

A man with a serious expression is looking through a window. He is wearing a dark, textured winter hat and a dark jacket. The window is decorated with a string of red lights. The background outside the window is dark and appears to be a snowy or wooded area. The overall mood is somber and mysterious.

IWO ZANIEWSKI

CZEGO NIE SŁYSZAŁ  
ARNE HILMEN

Iwo Zaniewski

**CZEGO NIE SŁYSZAŁ**

**ARNE HILMEN**

## Spis rzeczy

Ciemnoszare chmury...  
Arne Hilmen od kilkunastu lat...  
Firanka w oknie na parterze...  
W chromowanym kloszu...  
Przed bramą otynkowanej willi...  
Ze stanu bezmyślnego zagapienia...  
Śnieg stopniowo przestawał prosić...  
Odbicie jego twarzy...  
Koncert w dzielnicowym domu kultury...  
On coraz częściej mówi...  
Stojąc ze szklanką whisky...  
Pani Nygaard...  
Trzy brazylijskie tancerki...  
Ulice były puste...  
Wielka postać Grety Jensen...  
Deszcz lał nieprzerwanie...  
Arne zatrzymał się za radiowozem...  
Pałac papierosa...  
Chwilę trwało...  
Zdziwił się...  
Obudził go telefon...  
Zaparkował przed komisariatem...  
Popołudnie następnego dnia...  
Mercedes zjeżdżał powoli...  
Otaczała go niemal zupełna czerń...  
Sekretariat był pusty...  
Padał drobny, marznący deszcz...  
Deszcz przestał padać...  
„Holmenkollveien 47, godzina 23.20...  
Kurwa. Ja pierdolę...  
Erlends vei tonęła we mgle...

Siedział pod prysznicem...  
Błyski flesza rozświetlały taras...  
Szklanę z whisky odstawił...  
Kiedy taksówka...  
Na szczęście w butelce...  
Gawron na gałęzi...  
Zaparkował samochód na Plataveien...  
Dwaj studenci...  
Spod pokładu...  
Pierwszym kawałkiem normalnej rzeczywistości...  
Zaparkował przed sklepem...  
Duże, wysokie wnętrze...  
Za oknami biblioteki uniwersyteckiej...  
Zaparkował samochód...  
Niskie, nieprzerywane mruczenie...  
Poranek był znowu paskudny...  
Wychodząca z ciemności żeliwna rura...  
Ole i Gerd stali w drzwiach...  
Ciemna, jednolita szarość...  
Kiedy taksówka zatrzymała się...  
Leżał i patrzył w sufit...  
Nad jego dzielnicą...  
Wylądował po piątej...  
Obudził się po południu...  
Zatrzymał samochód...  
Siedział w samochodzie...  
Szefowa sekretariatu...  
Na parking rafinerii wjechał...  
Na korytarzu trzeciego piętra...  
Mgła bardzo powoli...  
Robotnicy pracowali...  
Usiadł w małej restauracji...  
W podziemnym parkingu...  
Wyjechał na ulicę...  
Stanął przy barierce...

Podniósł lornetkę...  
Winda utknęła...  
Dochodziła ósma...  
Deszcz coraz mocniej bębnił...  
Ból pod kolanem...  
Zgasił latarkę...  
Szuflada profesorowej...  
Coś szumiało w oddali...  
Spędzający noc...  
Wszystko straciło sens...  
Podeszli do samochodów...  
Była czwarta...  
Za oknem...  
Dochodziła szesnasta...  
Cała zawartość miski...  
Deszcz przestał już padać...

Ciemnoszare chmury połączyły się z mgłą. Po kilku wysokich biurowcach pozostały tylko rozsypane w nieładzie nieliczne okna. O tej porze roku właśnie ilość tych świecących kwadracików wskazywała, czy panorama tego sporego jak na Norwegię miasta jest widokiem dziennym, czy nocnym. Dni, kiedy mgła i deszcz mieszający się z topniejącym śniegiem przesłaniały szare budynki, niewiele różniły się od nocy, rozjaśnianej luną światła nieustannie pracującego portu.

Centrum miasta leżało nad fiordem. Nieliczne wieżowce nadawały mu pozór nowoczesnej biznesowej metropolii. Jednak dalej od centrum miasto traciło ten charakter. Gęsta zabudowa klasycyzujących kamienic przechodziła stopniowo w mieszaninę nijakich współczesnych budynków. Pejzaż zmieniał się wyraźniej w położonej na porośniętych lasem wzgórzach rozległej dzielnicy willowej. Wąskie, krzyżujące się pod różnymi kątami ulice wznosiły się, przecinając bezlistną o tej porze roku gęstwinię. Świecące nocą i dniem latarnie oświetlały z rzadka małe skrawki mokrego asfaltu. Czasami tylko w prześwitach niektórych uliczek pojawiał się widok na błado podświetlone brzuchy nisko sunących chmur, w których kryły się szczyty wież rektyfikacyjnych położonej na płaskowyżu rafinerii.

Dzielnica opadała ku miastu. Spomiędzy świerków i gęsto posadzonych buków wystawały już nie tylko spadziste dachy willi, ale też płaskie, kryjące kilkupiętrowe budynki. Świecące tu i ówdzie okna wydawały się unosić w ciemnoszarej mgle nad morzem czarnych, mokrych gałęzi.

Za jednym z takich okien w trzypiętrowym budynku z szarej cegły, rozjaśnionej poblaskiem neonu POLITIE, toczyła się rozmowa trzech mężczyzn. Niewielki pokój z dużym planem miasta na ścianie oświetlała stojąca na biurku lampa z chromowanym kloszem. Tyłem do okna siedział pięćdziesięcioletni blondyn z nieco przerzedzonymi włosami. Od pewnego czasu próbował za plecami odnaleźć dłonią rękaw skórzanej kurtki lotniczej z futrzanym kołnierzem. Nie szło mu to zbyt sprawnie, bo starał się robić wrażenie, że słucha z uwagą relacji sierżanta Gerda Lunde, krótko ostrzyżonego okularnika siedzącego pośrodku pokoju na obrotowym fotelu. Relacji przysłuchiwał się również potężny, bardziej przez nadwagę niż atletyczną budowę, mężczyzna o rumianej, nieco naiwnej twarzy. Nazywał się Ole Nilsen i również był sierżantem. Z wypchanymi dokumentami segregatorem zatrzymał się w pół kroku między drzwiami a biurkiem i spytał:

– Jak oni to zrobili, że nikt się nie kapnął przez tyle czasu, że to są zwłoki?

Gerd kontynuował spokojnym głosem:

– Zrobili to tak: zwłoki brali z ich własnego krematorium. Jak trumna wjeżdżała do pieca, dno się otwierało, zwłoki wpadały do chłodni. Przewozili je w specjalnych kontenerach do budynku

intensywnej terapii. W piwnicy była sala operacyjna, tam w ciała wprowadzano układy sterowania i elektrody pobudzające mięśnie. Zwłoki leżały podłączone do aparatury, oddychały i poruszały się.

– No nieźle. I co dalej? – spytał Ole, robiąc pół kroku w stronę biurka.

– No i tyle. – Gerd odepchnął się nogami i odjechał fotelem kawałek do tyłu. – Po filmie poszliśmy z dziećmi do tej nowej kręgielni. Mają tam takie małe tory i kule dla dzieci.

Segregator z dokumentami dotarł wreszcie do biurka. Ole położył go z przeproszącą miną.

– Ja swoją część odwalilem. Zrób to, błagam, bo ona codziennie mnie o to dręczy.

Blondyn wstał, uporawszy się z kurtką. Przeciągnął się i nie patrząc na segregator, spytał:

– Nie wiem, dlaczego mamy to robić najpierw na formularzach, a nie od razu w tym całym nowym systemie komputerowym?

– Ja też nie wiem – odparł bezradnie Ole. – I nie wiem, co mamy zrobić z tymi skargami o parkowanie.

– Jakimi? – Blondyn manipulował teraz przy zaklinowanym zamku kurtki.

– No tymi, po której stronie na wąskich ulicach.

– Nie wiem. To chyba zależy od mieszkańców. Nie ma na to przepisów. – Zakończył zmagania z zamkiem i wyszedł na korytarz, machnąwszy ręką na pożegnanie. – Przesyłajmy to do zarządu miasta – krzyknął już z klatki schodowej.

– No to do jutra! – odkrzyknął Gerd i odepchnąwszy się silnie nogami, wyjechał tyłem do drugiego pokoju.

Ole otworzył segregator i ustawił go na środku biurka. Miał zamiar westchnąć głęboko, ale spostrzegł małą kałużę pod kaloryferem. Pochylił się i podstawił rękę pod zawór.

– Znowu tutaj kapie! – zawołał. – Teraz to już kubek od kawy przez noc się przeleje. Co ja mam tu podstawić?

– Nie wiem. Podstaw kubek od kawy – usłyszał z sąsiedniego pokoju.

\*

Arne Hilmen od kilkunastu lat był szefem komisariatu przy Nissens gate. Oddalając się od niego jak zwykle długim, szybkim krokiem, patrzył mniej więcej trzy metry przed siebie na chodnik i zwinnie omijał kałuże. Omijał je może raczej nie tyle zwinnie, co dziwnie. Zbliżając się do kałuży, wyginał lekko całe ciało, w lewo lub w prawo, w zależności od tego, po której stronie pozostawała kałuża. Jeśli następowały po sobie wystarczająco często, przypominało to przejazd narciarza omijającego tyczki slalomu. Arne zdawał sobie sprawę, że taki nawyk w jego wieku może sprawiać dość niepokojące wrażenie, toteż przestał natychmiast, gdy tylko z mglistej ciemności wyłoniła się w oddali jakaś postać. Teraz omijał kałuże jak każdy świadomy celu swego marszu i pełen jeszcze energii pięćdziesięcioparolatek. Gdy jednak przybliżająca się postać z nieokreślonej płciowo sylwetki zaczęła przeistaczać się najpierw w jakąś panią, potem w raczej młodszą kobietę, by ostatnie metry pokonać jako zdecydowanie ładna dziewczyna, krok Arne skrócił się i nabrał nieco niedbałego charakteru. Ciemnowłosa dziewczyna na wysokich obcasach, wtulona w przytrzymywany obiema dłońmi tuż przy szyi futrzany kołnierz, minęła go drobnym, zdecydowanym krokiem. Arne zawsze oglądał się za ładnymi kobietami, więc uczynił tak i teraz. Zdał sobie jednak sprawę, że coś się zmieniło. Właściwie to już od pewnego czasu patrzeniu na mijane atrakcyjne dziewczyny towarzyszyły jakieś niezbyt przyjemne odczucia. Jakie? Odpowiedź wydawała się okropna i prosta: był już dla nich za stary. Ale czy to cała odpowiedź i czy w pełni prawdziwa, nie wiedział. Kobiety przecież ciągle patrzyły na niego z zainteresowaniem. Ich spojrzenia nadal zatrzymywały się na jego twarzy na ten odrobinę za długi moment. Tu musiało wchodzić w grę coś innego, coś głębszego, co niełatwo mu było nazwać. Jakby żal, może nawet pretensja. Tylko o co? Smutna myśl, że kobiety grały zbyt ważną rolę w jego życiu, przychodziła mu do głowy coraz częściej i coraz częściej też zdawał sobie sprawę, że jest ona dużo gorsza niż ta, że jest dla nich za stary. Był po prostu starym durniem, który poczucie własnej wartości zbudował wyłącznie na tych dłuższych o niezauważalny moment spojrzeniach. Poczucie, że jest atrakcyjny i w jakiś nieokreślony sposób szczególny, uspiło go i pozwoliło dryfować przez życie w beztrudnej wierze, że w końcu nastąpi coś, na co zasługuje ta jego szczególność.

Przestał omijać kałuże, przynajmniej te płytsze, a jego krok stał się zupełnie nijaki. Między nagimi gałęziami drzewa przesuwająca się nad nim brzęcząca lampa sodowa, dając na te pozornie zawile i głębokie rozważania prostą odpowiedź: chodziło o zwykłą rzeczywistość, w której nie wydarzy się już nigdy nic ciekawego.

Mżawka ustała i Arne ruszył lekkim truchtem. Biegał często. Do pracy i z pracy chodził lub



biegł. Nie dla kondycji. Nie znosił siedzieć. Nienawidził siedzenia za biurkiem i wypełniania formularzy. Formularze, dokumenty i raporty biurowe osaczały go i dusiły. Bieganie pomagało. Oplukiwało z drobnych, ledwo widocznych bez okularów i nic nieznaczących literek.

Dobiegł do rogu swojej ulicy. Rozpiął kurtkę i podszedł do samochodu. Stary szarozielony mercedes pagoda stał zaparkowany przy krawężniku, czyniąc wyraźny wyłom w rzędzie statecznie pękatych i nieróżniących się od siebie współczesnych samochodów. Stał i udzielał właścicielowi swojej podejrzananej reputacji. Reputacji kogoś, kto mimo swojego wieku beczelnie dobrze wygląda, jest nierodzinny i wie gdzie niefrasobliwie hulaszczę życie, które niewątpliwie doprowadzi go do upadku, co sugerowały chociażby mocno podrdzewiałe progi. Wyjmowanie, a właściwie wyszarpywanie kluczyków z bocznej kieszeni kurtki zawsze doprowadzało Arne do furii, na szczęście zwykle dość krótkiej. Kieszeń umieszczona była idiotycznie za wysoko. Czy załogi amerykańskich bombowców podczas drugiej wojny światowej nie potrzebowały mieć w tych kieszeniach żadnych niezbędnych i łatwo dostępnych rzeczy? Jeśli nie, to po co w ogóle były, szczególnie wobec braku kieszeni wewnętrznej, którą z trudem wszyła mu znajoma krawcowa.

Kluczyki w końcu dały się wyszarpnąć i Arne wsiadł do samochodu. Siedział przez chwilę, starając się o niczym nie myśleć. Nie było to łatwe, westchnął więc nad swoim nie wiadomo czy już do końca nieszczęśliwym życiem i sięgnął do schowka po iPoda. Podłączył go do radia i uruchomił silnik. Z głośników zabrzmiał saksofon Paula Desmond'a i Arne ruszył ciemną ulicą.

Dochodziła dziesiąta. O tej porze na chodnikach nie było już nikogo. Z rzadka przejeżdżał jakiś samochód. Dzielnica, w której z racji pełnionej funkcji strzegł bezpieczeństwa i porządku, po ósmej zapadała w komę. Nie działo się tu zupełnie nic. Było bezpiecznie i bardzo porządnie. Nikt nikogo nie mordował i nikt nie handlował narkotykami. Nierządu i stręczycielstwa też nikt tu nie uprawiał. Samochody kradziono dwa do trzech razy na tydzień, a sprawcy tych kradzieży podlegali komisariatom zupełnie innych dzielnic. Podobnie rzecz się miała z włamaniami do domów, garaży i ogrodów zimowych. Jeśli mieszkali tu w ogóle jacyś przestępcy, to kradli grube miliony w takich miejscach i takimi sposobami, o których on nie miał najmniejszego pojęcia.

Zjechał z obwodnicy i zapuścił się w ciemne i ponure ulice starej dzielnicy fabrycznej. Kiedyś produkowano tu wyposażenie statków. Dzisiaj znajdowały się w niej głównie opuszczone hale i magazyny hurtowni. Skręcił w otwartą bramę i wjechał na oświetlony sodową lampą betonowy plac. Otaczały go niskie zabudowania po jakiejś fabryce. Pod długą ceglana ścianą hali stały dwa samochody, land rover i coś nieokreślonego. Zatrzymał się na środku placu. Zgasił silnik i ściszył muzykę. Siedział przez chwilę, starając się dojrzeć, czy dzieje się coś za wysokimi, zasłoniętymi oknami hali. Były ciemne i gdyby nie pojawiające się od czasu do czasu białe błyski w wąskich szparach między zasłonami, hala robiłaby wrażenie opuszczonej. Wyjął telefon z wewnętrznej kieszeni i wybrał numer do Liv.

– Cześć. Już jestem.

– Zaraz kończymy. Poczekaj – odpowiedziała zmęczonym i nieco rozdrażnionym głosem.

Siedział więc i wpatrywał się w błyski. Wreszcie wyłączył iPoda i wysiadł z samochodu.

Zanosilo się na dłuższe czekanie. Podszedł powoli do okien, rozglądając się po placu.

W samochodach nie było nikogo. Spróbował dojrzeć przez błyskające szpary, co dzieje się w środku. Przechodził od jednego okna do drugiego, ale niczego nie dało się zobaczyć. Wiedział, że za oknami odbywała się sesja fotograficzna do jakiegoś pisma, a Liv zajmowała się przy niej make-upem. Czyli, jak sama to określała, była pudernicą. Odwiedził ją kilka razy przy takiej robocie, ale nie czuł się tam dobrze. Niektóre modelki nie przepadały za wizytami niezwiązanych z sesją osób i wcale tego nie ukrywały, a i Liv popatrywała kontrolnie, czy wzrok Arne nie za długo pozostaje na obnażonych fragmentach zgrabnych ciał.

Fotograficy i ich asystenci byli w porządku. Rozmawiało się z nimi całkiem swobodnie.

Trochę o samochodach, trochę o regatach. Stawali się tylko jakby nieco obcy, gdy wzięwszy do ręki aparat, zaczynali wyrzucać z siebie fontanny komplementów i zachwytów dla fotografowanych modelek. Wiedział, że tak właśnie zachowują się profesjonaliści, ale mimo wszystko widział w tym przesadę i sztuczność. Dziewczyny czuły się z tym jednak świetnie. Dawało mu to powód do rozważań, jak bardzo kobiety różnią się od mężczyzn i jak wiele mógłby osiągnąć, stosując na co dzień ten mechanizm. Podobno, twierdził jeden z asystentów, południowcy tak właśnie robią. Arne był jednak typem północnym i komplementy wydobywały się z niego z trudem i tylko pod wpływem wyraźnego bodźca, co czyniło go absolutnie niezdolnym do użycia tej niezwykle skutecznej metody.

Nagły pisk opon i odbijający się od murów ryk potężnego silnika oderwał go od ostatniego okna. Na plac wpadło wściekle czerwone ferrari i zatrzymało się kilka metrów od jego mercedesa. Za przyciemnionymi szybami nie dało się dojrzeć nikogo. Arne wyprostował się i ruszył niedbałym krokiem w stronę swojego samochodu. Silnik ferrari ciągle pracował, nieregularne trzaski turbiny wywoływały pozór nerwowości, jakby coś jeszcze się miało wydarzyć. Arne otworzył drzwi mercedesa i sięgnął po paczkę papierosów. Oparł się łokciem o dach i zapalił. Jakoś nie mógł pozbyć się wrażenia, że ktoś go obserwuje. Rozglądał się od niechcienia po placu, popatrywał na zamknięte drzwi hali. W końcu zaczęło go złościć, że odgrywa coś nie wiadomo przed kim. Liv nie wychodziła. Papieros się skończył. Wolno obszedł samochód i zajął się poprawianiem bocznego lusterka. Ferrari wreszcie zamilkło. Po chwili otworzyły się drzwi od strony kierowcy, ale nikt nie wysiadł. Słychać było tylko energiczny męski głos mówiący do telefonu:

– ...zrobimy inaczej! Ja się tym zajmę, a ty jutro lecisz do Singapuru. Ale musisz się z nimi zobaczyć, zanim spotkają się z tymi od Hunta.

Z samochodu wysiadł przystojniak około trzydziestki. Nie spojrzawszy nawet w stronę

Arne, kontynuował rozmowę, zdejmując przy tym marynarkę:

– Wiem, że ich szef będzie dopiero pojutrze, więc zdążysz... Wiem na pewno!... Nieważne, wiem na pewno! Pokazujesz im naszą propozycję wyższą o jakieś dwa do trzech procent... Tak, nie więcej. Daj mi Erika.

Po marynarce przysła kolej na koszulę. W sodowym świetle lampy ukazał się idealnie umięśniony tors. Przystojniak wrzucił koszulę do samochodu i wciąż nie przerywając rozmowy, włożył luźną bluzę.

– Erik, słuchaj! Musicie przekalkulować propozycję w wiarygodny sposób. Nie więcej niż trzy procent... Tak... Sprawdzaj cały czas notowania Hunta... Tak... Daj mi Paula!

Drzwi studia otworzyły się i pojawiły się w nich sylwetki kilku osób. Dziewczyny pożegnały się z fotografem i ruszyły w stronę samochodów. Fotograf i jego asystent wsiedli do land rovera. Wysoka, niezwykle zgrabna blondynka z długimi prostymi włosami podeszła do przystojniaka. Nie przerywając rozmowy, pocałował ją w policzek i wsiadł do auta, po czym otworzył jej drzwi od środka. Liv była niższa, miała na sobie puchową kurtkę i trzymała w ręku srebrną walizkę do make-upu. Stała przy mercedesie.

– Może mi otworzysz? – powiedziała.

– Jasne!

Obserwowała, jak obchodzi samochód, odbiera jej walizkę i otwiera drzwi. Zanim wsiadła, spojrzała porozumiewawczo na blondynkę, która skomentowała zachowanie swojego partnera, demonstracyjnie przewracając oczami. Liv odpowiedziała jej niezbyt szczerym gestem wyrażającym zrozumienie i z westchnieniem opadła na fotel. Arne zamknął za nią drzwi i przechodząc na swoją stronę, zerknął na dziewczynę w ferrari. Słysząc było, jak przystojniak nadal wydaje dyrektywy:

– Pilnuj go, żeby sprawdzał notowania Hunta. Powinni myśleć, że dogadujemy się z Conoco, a my ich tylko sprawdzamy...

Drzwi zatrzasnęły się, silnik ryknął i ferrari ruszyło, syjąc kamykami spod szerokich opon.

Arne zamknął drzwi, ale zamek nie zaskoczył, więc zrobił to jeszcze raz, mocniej.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik odezwał się swojsko, nostalgiczna ballada popłynęła cicho z iPod'a.

– Co to za koleś? – spytał.

– Wyglądało, że bardziej interesuje cię Else – powiedziała Liv, patrząc przed siebie.

– Naprawdę tak wyglądało? – zdziwił się, ale Liv tylko wzruszyła ramionami. – To co to za koleś?

– Ten koleś... to Stig Holm – powiedziała tak, jakby mówiła o kimś, o kim nie wypada nie wiedzieć.

– Aaa! Czyli?

– Czyli Stig Holm – odpowiedziała, uśmiechając się lekko i unosząc brwi.

– Czyli koleś, który wszystko ma.

– Nie wiem, czy wszystko, ale na pewno to, co trzeba.

– Nie chciałem urazić twoich uczuć do Stiga Holma.

Liv pokręciła głową z niedowierzaniem i odwróciła się do okna.

– Stig Holm ma nawet dziewczynę, która uśmiecha się do niego i całuje go na przywitanie – powiedział.

– Może dlatego, że Stig Holm o nią dba. Na przykład zabiera do Singapuru, żeby odpoczęła na słońcu. – Liv, mówiąc to, spojrzała na niego, otwarcie już wkurzona.

– Nie zabiera.

– Skąd wiesz, że nie zabiera? – spytała zdumiona.

– Po prostu wiem. To dokąd jedziemy?

– Jestem wykończona. Zawieź mnie do domu. Chcę się położyć.

– Okej. – Westchnął i zerknął w prawe lustro, przekręcone tak, że odbijał się w nim bok samochodu.

\*

Firanka w oknie na parterze lekko się poruszyła, gdy zbliżał się do drzwi, wydłubując klucze z drugiej bocznej kieszeni. Miał nadzieję, że uniknie tego spotkania, ale wchodząc po schodach, usłyszał za sobą:

– Dobry wieczór, panie Hilmen! Czekałem na pana.

– Dobry wieczór. – Spojrzał z półpiętra na przygarbioną sylwetkę gospodarza domu.

– Lokatorzy prosili mnie, żebym pana upomniał. Chodzi o te worki ze śmieciami i przedmioty, które pan wyniósł od siebie. Przeszkadzają mieszkańcom w dostępie do śmietników. Śmieciarze zabierają śmieci w czwartki. Przecież pan wie.

– Jutro to przestawię. Dobranoc – odpowiedział pokornie i ruszył dalej schodami.

– Dobranoc. Śmieciarze zabierają w czwartki – usłyszał jeszcze za sobą.

Dopiero kiedy dotarł na swoje trzecie piętro, usłyszał odgłos zamykanych na dole drzwi. Otworzył zamek i uchylił drzwi, odsuwając się na bok. Z ciemnej szczeliny wypadł, ocierając się o jego nogę, czarny, potężnie zbudowany kot i wywrócił się na grzbiet na środku klatki schodowej. Przez chwilę niemrawo tarzał się po kamiennej podłodze, po czym wrócił do mieszkania. Arne wszedł za kotem do ciemnego przedpokoju, zdjął buty i powiesił kurtkę. Uważając, aby go nie nadepnąć, przeszedł do salonu i zapalił światło. Wisząca u sufitu goła żarówka oświetlała dziesiątki porozkładanych na podłodze gazet. Pokój był prawie pusty. Pod oknem stało stare biurko z ekranem komputera, obok fotel klubowy obity przetartym zielonym aksamitem, a na środku jednej z dłuższych ścian przykryta gazetami ciężka antyczna komoda. Na gazetach stała ogromna metalowa puszka jasnożółtej farby. Pomalowana była dopiero jedna ściana. Kot siedział już w łazience przed pralką i wpatrywał się w niego z wyczekującym skupieniem. Arne przeszedł po szeleszczących gazetach i otworzył szafkę wiszącą nad pralką. Spomiędzy proszków do prania i rolek papieru toaletowego wydobyl fioletową torbę z suchą karmą. Wsypał resztkę do miski i poszedł do kuchni, pozostawiając za sobą mruczenie przemieszane z chrupaniem. Otworzył lodówkę i zagapił się, nie wiedząc, na co ma właściwie ochotę. Wreszcie wyjął jakiś jogurt, który okazał się przeterminowany, więc wylał go do zlewu. Ustawił ciekący kran tak, aby krople spadały na ściankę dzielącą obie komory i nie hałasowały. Wrócił do łazienki. W drzwiach minął się z kotem, który szedł do sypialni. Wypełniały ją pod sufit meble i przedmioty z całego mieszkania. Przeniesione z salonu półki z książkami otaczały łóżko ze skotłowaną pościelą. Widok na okno zasłaniał stół i ustawione na nim krzesła, zavalone stertami pism żeglarskich i elementami takielunku jachtowego. Otwarte drzwi blokowały przed upadkiem zwinięty ogromny dywan. Tuż

przy łóżku stała wysoka lampa z czerwonym abażurem, a roześmiany młody Arne patrzył na to wszystko z dzioba prującego spienioną wodę jachtu. To duże czarno-białe zdjęcie stało na kredensie, zasłaniając wypełnione płytami kompaktowymi i starymi kasetami magnetofonowymi półki. Obok nich z ogromnej donicy wyrastała palma, której postrzępione liście rozchodziły się na wszystkie strony pod samym sufitem.

Kot wskoczył na stół i ułożył się w zwoju lin pod baldachimem z krzeseł. Arne, po długim gorącym prysznicu przebrany w bawełniane szorty i powyciąganą koszulkę z krótkimi rękawami, wpęłził na łóżko, odkładając telefon na podłogę. Zgasił lampę i położył głowę na wygniecionej poduszce. Westchnął głęboko i zamknął oczy. Zapadła zupełna cisza. Leżał tak pięć, może dziesięć minut, ale czuł, że nie zaśnie. Otworzył oczy. Nie cierpiał bezsenności. Niestety, zdarzała mu się coraz częściej. Znał na pamięć sylwetki ustawionych na sobie mebli. Przeplecione palmowymi liśćmi stwarzały ramę dla prostokątnego prześwitu, w którym na tle niebieskawej zasłony sterczały dwa czarne trójkąty będące uszami kota. Gdzieś daleko włączył się alarm samochodowy. Leżał tak jeszcze przez chwilę, po czym uniósł się na łokciu, próbując odszukać na podłodze telefon. Zapalił lampę. Znalazł go i ustawił alarm budzenia. Chwilę zajęło mu szukanie wyłącznika, który zdążył gdzieś się zaplątać, wreszcie znalazł go i zgasił lampę.

\*

W chromowanym kloszu kreślarskiej lampy zniekształcona twarz Arne wyglądała jak blada plamka na wielkim szarym cielsku rozciągniętego swetra. Wypił łyk gorącej kawy i pomyślał, że to najprawdopodobniej jedyna chwila tego dnia, w której odczuł coś w rodzaju przyjemności. Przez parę wydobywającą się z kubka patrzył na zaścielające biurko formularze. W drzwiach pojawił się Gerd.

– Cieknie coraz bardziej z kaloryfera – powiedział.

Arne obrócił się na fotelu i patrzył teraz na niego przez opary kawy.

– Jak zadzwonię, to będą chcieli cały kaloryfer wymieniać. Będzie tak jak tam. – Gerd machnął plikiem swoich formularzy w stronę drzwi sekretariatu. – Chrzanili się z tym trzy dni. Będzie lodowato. Już chyba lepiej, żeby ciekło. Ale cieknie coraz bardziej. – Popatrzył na Arne bez specjalnej nadziei i wyszedł. Po chwili znów stanął w drzwiach. – W nocy dzwoniła jakaś baba, że jej służąca nie wróciła na noc.

– No i co? – spytał Arne w głąb kubka.

– Nic. Powiedziałem, żeby zadzwoniła po południu, jeśli służąca nie wróci. – Mówiąc to, Gerd podszedł do wiszącego na ścianie planu miasta i zaczął mu się przyglądać ze szpilką w ręku. – I mamy jeszcze zgłoszenie od firmy ochroniarskiej. – Wbił szpilkę. – Była próba włamania na Flaenveien.

– To pojedźcie tam. Ja muszę przynajmniej to zacząć. – Arne odstawił kubek i oparł ręce na formularzach. – Przyjdę, zanim skończycie. To nie jest daleko – dodał, zdając sobie świetnie sprawę, że nikt nie uwierzy w jego nagły napad pilności urzędniczej.

\*

Przed bramą otynkowanej willi w stylu Bauhausu stał umundurowany policjant z komisariatu; miał dziecianną twarz i sądząc po minie, wymieniał jakieś zabawne spostrzeżenia z przypominającym rugbyście pracownikiem firmy ochroniarskiej. Obaj przypatrywali się scenie, która rozgrywała się po drugiej stronie ulicy. Przed otwartymi drzwiami taksówki stała około sześćdziesięcioletnia kobieta w kraciastej pelerynie i czapce Sherlocka Holmesa. Pochylona, prawie kucając, namawiała dużego białego pudła, żeby usiadł na plastikowej folii przykrywającej tylne siedzenie. Pudel oczywiście nie miał na to najmniejszej ochoty. Wysiłkom kobiety przyglądał się ze sceptyczną miną turecki taksówkarz.

– Heidi! Hop! No, Heidi! Hop! Wiem, że nie znosisz folii, ale musisz. No hop! – przemawiała do pudła. – Ona za nic nie usiadzie na folii. Nie ma pan jakichś gazet? – zwróciła się do taksówkarza.

– Nie mam. Koca też nie mam – odpowiedział, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– A tu ma pan jakieś gazety! Niech pan da te gazety. – Machnęła ręką w stronę otwartego bagażnika.

– Ale to nie... To niedobre. To za małe. – Powiedziawszy to, odsunął się trochę od bagażnika.

– Niech pan podrze. Będzie dobre. Ona na folii nie siądzie. Niech pan da te gazety. – Wydawała polecenia, nie zwracając uwagi na jego wyraźnie narastające skonsternowanie. Wreszcie, widząc, że taksówkarz za długo już się ociąga, sama sięgnęła do bagażnika i wyjęła jakieś kolorowe pisma.

– Nie mogę! – jęknął zachwycony ochroniarz. – On ma tam świńskie pisma. Ale numer!

Właścicielka pudła, nie zwracając najmniejszej uwagi na zawartość magazynów, wydierała jedna po drugiej kartki i układała je na folii. Taksówkarz przyglądał się temu bezradnie.

– Niech pan da jeszcze. Niech pan drze gazety – rozkazała.

Taksówkarz niechętnie wyciągnął jeszcze jedno pismo i zamknął bagażnik. Oddał jedną stronę i zastygł z miną winowajcy. Wyjęła mu je z ręki i ułożyła na siedzeniu.

– Heidi! No chodź! Teraz będzie wygodnie. Tak jak lubisz, kochanie. Hop!

Pudel w końcu zdecydował się na skok. Gazety jednak rozjechały mu się pod łapami na folii, co natychmiast go zniechęciło. Kobieta zapobiegła jednak próbie ucieczki psa, poprzedzonej obrotem na ślizgających się papierach, zatrzasnąjąc mu błyskawicznie drzwi przed nosem. Nie patrząc na oniemiałą ze zdziwienia mordę Heidi, usiadła na przednim siedzeniu. Taksówkarz



niemrawo wgramolił się za kierownicę.

– Ona nie widziała, co to było? – zastanawiał się Młody, patrząc za odjeżdżającą taksówką.

– A cholera ją wie – rzucił nieco rozczarowany ochroniarz.

Scenka pewnie rozbawiłaby i Arne, ale dopiero teraz wyszedł zza rogu. Kiedy zbliżał się do bramy, z ogrodu wyłonił się Gerd.

– Ktoś próbował dostać się od strony tarasu. Szyba jest pęknięta – powiedział, niezbyt podekscytowany. – Właściciele gdzieś wyjechali, ale już ich powiadomiono.

– Nie ma tam żadnych zwierząt? – spytał Arne, ruszając ścieżką prowadzącą na tyły domu.

Pozostali szli gęsiego za nim.

– Nie, to ten czujnik przy szybie uruchomił alarm – odpowiedział idący na końcu ochroniarz.

– Kręcą się jacyś degeneraci. Odwala im na zimę. Sam taki nie wie, czy chce się włamać, czy nie – zrzędził Gerd za plecami Arne.

– Albo alarm sam zadziałał – podjął ochroniarz. – Teraz robią takie to wszystko pokomplikowane, że coraz gorsze jest. Te różne centralki popierdolone. Trzeba być jakimś informatykiem, żeby to obsługiwać, kurwa! Albo zwykły pilot od telewizora. Najebane ma tam tych guzików. Ja mówię: to wszystko debile robią. To wszystko robią jacyś popierdoleni debile.

Stanęli na trawniku i w milczeniu przyglądali się pękniętej szybie w dużym oknie tarasowym. Arne wszedł na mokry taras. Podciągnął spodnie na kolanach i kucnął przed szybą. Długie skośne pęknięcie biegło po przekątnej prawie całego okna. Zasłony nie pozwalały zobaczyć, co jest w środku. Poskrobał paznokciem w poprzek srebrnego śladu, ale paznokieć ślizgał się, o nic nie zahaczając. Postukał w szybę, która wydała głuchy odgłos, i wstał.

– Oglądaliśmy. Nie ma żadnych śladów rąk ani narzędzi. Taras mokry. Śladów nie ma – powiedział Gerd.

Arne zszedł powoli z tarasu i stanął obok pozostałej trójki.

– Takie pęknięcie to też nie wiadomo, stare czy nowe.

W milczeniu patrzyli na zarośniętą bluszczem ciemnoszarą ścianę. Zaczął padać drobny deszcz. Słysząc go było na zeschniętych liściach pokrywających trawnik. Gerd postawił kołnierz kurtki i rozejrzał się po okolicy. Zza drobnej siatki cienkich gałązek wysokiego żywopłotu ledwo przeziarał fragment sąsiedniego domu. Zapaliło się światło w zasłoniętym firanką okienku.

– Wygląda, jakby ktoś napierał całym ciałem na szybę, aż pękła – powiedział i dopiął kołnierz pod szyją.

– To jest gruba szyba zespolona. Musiał ktoś nieźle napierać.

Ochroniarz wszedł na taras i robiąc groźną minę, przybrał pozycję rugbysty atakującego szybę. Rozległ się krótki chichot młodego policjanta, któremu żart wyraźnie się spodobał. Po chwili

wszyscy szli ścieżką w stronę bramy.

Na ulicy Arne rozejrzał się za radiowozem. Stał zaparkowany kawałek dalej, za innym samochodem. Młody usłuznie otworzył drzwi. Arne usiadł na środku tylnego siedzenia, oparł głowę między zagłówkami i przez tylną szybę zagapił się w prawie zupełnie ciemne już niebo. Gerd usiadł obok Młodego, który uruchomił silnik. Ruszyli w milczeniu. Już na pierwszym zakręcie Arne zrobiło się lekko niedobrze, więc uniósł głowę i przez zamontowaną za fotelami kratę patrzył na przednią szybę. Wycieraczka ledwo zdążała zbierać krople migoczące w świetle mijanych latarni.

– A co to, mało jest porąbańców? Ja sam mam czasami ochotę jakąś szybę rozwalić. Urodziłem się w Lierne, ale tu, kurde, nie jest wiele lepiej – odezwał się nagle Gerd, wpatrując się w ciemność przez boczną szybę.

– U nas, w Somna, to od października zawsze się zaczynało. Piekarz się powiesił. Widziałem przez okno, jak wisiał – wypalił Młody, ośmielony wyznaniem Gerda. Ponieważ nikt nie podjął tematu, zamilkł na kilka przecznic. Dopiero kiedy zatrzymali się przed komisariatem, dokończył:

– Bez powodu się powiesił. Kręcił się tak na tym sznurze. – Znow zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Nawet zwierzętom odwala. Kiedyś owca sąsiadów sama na bronę się nabiła. Zwierzęta też wariują od tej ciemności. To nawet można zobaczyć po oczach u niektórych.

Wysiedli z radiowozu. Arne nie miał wyboru. Musiał zabrać się do formularzy.

\*

Ze stanu bezmyślnego zagapienia wyrwało Arne krótkie, znaczące miauknięcie. Ocknął się. Odłożył zaschnięty wałek na gazetę i wstał z fotela. Żółte oczy śledziły każdy jego ruch. Zdjął kurtkę z wieszaka, zabrał klucze z komody i wyszedł z mieszkania.

Prószył śnieg. Drobne płatki migotały w stożkach światła pod latarniami. Topniały jednak na ziemi, pozostawiając lśniąca czern chodnika i jezdni. Założył wełnianą czapkę i szelniej otulił się rozpiętą kurtką. Walka z zamkiem nie miała większego sensu. Mały sklep spożywczy znajdował się w odległości dwóch przecznic. Po kilku minutach wpatrywania się w chodnik pod nogami otworzył szklane drzwi i wszedł między półki wypełnione pstrokatą mozaiką opakowań. Tam, gdzie z paczek i puszek patrzyły oblizujące się psy i koty, czegoś jednak brakowało. Przeszukał bez rezultatu dwa dolne rzędy opakowań i wyrzwał zza półek w stronę lady. Czarnowłosa dziewczyna o wyrazistych oczach pomagała ułożyć w torbie zakupy jakiejś klientce. Jej głowa pojawiała się co chwilę zza pleców kobiety. Czarne oczy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i mocno czerwone usta czyniły jej urodę wyzywającą, a nawet nieco wulgarną. I chyba to właśnie spowodowało, że wyszedł zza półek i stanął za starszą panią. Cierpliwie czekał, aż zapłaci, powkłada, każdą z osobna, monety wydanej reszty do portmonetki, odbędzie kurtuazyjną wymianę zdań na pożegnanie i rzuciwszy na niego krótkie, chłodne spojrzenie, wyjdzie wreszcie. Dziewczyna odwróciła szczerze roześmianą twarz i zmieniła uśmiech na oficjalny. Spojrzała na długą bułkę, paczkę małych pomidorów i słoik oliwek, które to produkty zbierał Arne, żeby przedłużyć rozmowę o karmie dla kotów.

– To wszystko? – spytała grzecznie.

– Ma pani może takie zarcie dla kotów w fioletowej torbie? – zapytał i oparł się jedną ręką o ladę.

– Fioletowej? – Zmarszczyła ciemne brwi.

– Znaczy takiej... liliowej – doprecyzował z uśmiechem mającym wyrazić zakłopotanie.

Sądząc po minie, dziewczyna nadal nie wiedziała, o jaką torbę chodzi.

– Z takim brązowym kotem.

– No to tam są kitekaty z rudymi kotami. – Wskazała na półki.

– Nie, to nie kitekat. Nie pamiętam nazwy. Z takim pomarańczowym kotem z głupim wyrazem na mordzie – powiedział, robiąc minę mającą przybliżyć rodzaj wyrazu na mordzie kota.

Dziewczyna wreszcie się roześmiała. Miał zamiar kontynuować rozmowę w tym duchu, uradowany, że w kwestii uśmiechu uzyskał chociaż to, co poprzedzająca go starsza pani, gdy nagle

odezwał się jego telefon. Wydobył go z trudem i przeprosił gestem dziewczynę, odstępując dwa kroki od lady.

– Szefie, dzwoniła jakaś kobieta, że jej służąca okradła ją i zniknęła – zabrzmiał w słuchawce głos Ole.

– To pojedźcie do niej – odpowiedział i odsunął się od drzwi, wpuszczając jakiegoś klienta.

– Tak, ale jestem sam, bo Gerd pojechał do jakiegoś alarmu. Ta kobieta już w nocy dzwoniła, bardzo zdenerwowana, a to jest tam, gdzie biegasz. Na Erlends vei. Nazywa się Sigrid Ronstad. Erlends vei dziewiętnaście.

Dziewczyna wychyliła się zza pleców klienta, pytając spojrzeniem, czy ma zapakować to, co Arne zgromadził na ladzie. Kiwnął jej głową i przewrócił oczami, dając do zrozumienia, że wolałby porozmawiać z nią.

– Dobra, przejdę się tam – powiedział zrezygnowany.

Sięgnął po torbę, położył na ladzie pieniądze i doczekawszy, aż dziewczyna odwróci na chwilę wzrok od pytającego ją o coś faceta, uśmiechnął się na pożegnanie. Uzyskał jej całkiem miły i chyba szczery uśmiech.

\*

Śnieg stopniowo przestawał prószyc i jakimś cudem nie zamieniał się w deszcz. Arne szedł całkiem normalnym krokiem. Nie omijał kałuż w żaden szczególny sposób mimo lepszego nastroju, w jaki wprawiła go wizyta w sklepie.

Ulica wznosiła się lekko. Przez tworzącą niemal tunel płataninę nagich gałęzi migotały czerwone światełka rafinerii nad zalesionym zboczem płaskowyżu. Mijane wąskie przecznice stawały się bardziej asfaltowymi duktami leśnymi niż ulicami miasta. Pachniało zimną mgłą.

W oddali rozdarło ciszę wycie motocykla i Arne przypomniał sobie, że jednak jest stary. Szybkiej jazdy motocyklem odechciało mu się już tak dawno, że nie pamiętał, kiedy to było. Zdarzało mu się jechać naprawdę szybko, mimo to nie miał nigdy wypadku. Właściwie przestał jeździć dlatego, że nie znosił ubierać się w skórzaną zbroję, w której musiał potem tkwić, zanim z ulgą nie wrócił do domu. Lęk przed prędkością i wypadkiem przyszedł o wiele później, sam, bez żadnej przyczyny. Dopiero po latach zdał sobie sprawę, jakim szaleństwem jest przeistaczać się w tak łatwy do wytrącenia ze swej trajektorii pocisk. Ale i dziś widok kolesia wymijającego samochody na jednym kole z prędkością stu kilkudziesięciu kilometrów na godzinę wywoływał czasami bolesne ukłucie zazdrości.

Motocykl odjechał i Arne znowu usłyszał własne kroki. Doszedł do Erlends vei. Numery rosły w dół przecznicy, skręcił więc w lewo. Domy na tych ulicach stały daleko od siebie, ukryte w gęstwinie wysokich krzewów i drzew, które na tyłach rozległych ogrodów przechodziły w dość gęsty las. Doszedł do posesji numer 19 i stanął przed furtką. Nacisnął dzwonek. Stojąca jakieś trzydzieści metrów za płotem klasycystyczna willa wyglądała na opuszczoną. Dach porastał mech, tynk na kolumnkach ganku odpadał płatami. Już miał dzwonić jeszcze raz, kiedy zamek w furcie skrzekliwie zabzyczał; pchnął furtkę i wszedł na kamienną ścieżkę. W jednym z niewielkich okien obok wejścia zapaliło się słabe światło. Stanął na ganku przed ciężkimi brązowymi drzwiami. Po dłuższej chwili usłyszał za nimi jakieś szmery, ale nikt nie otwierał. Pochylił się i głośno powiedział:

– Nazywam się Arne Hilmen. Jestem z komisariatu przy Nissens gate.

Usłyszał brzęk zdejmowanego łańcucha i szczęk dwóch zamków. Drzwi się uchyliły. Przełożył torbę do lewej ręki, otworzył drzwi szerzej i wszedł do małego, mrocznego przedpokoju. Na tle otwartej szafy z płaszczami stała niewysoka kobieta około siedemdziesiątki i przyglądała mu się podejrzliwie.

– Przyszedł pan z policji? – spytała niepewnie.

– Nazywam się Hilmen. Jestem oficerem policji z komisariatu dzielnicowego.

Postawił pod ścianą głośno szeleszczącą torbę z wystającą bułką i sięgnął do wewnętrznej kieszeni po legitymację. Długa bułka przeważyla i torba przewróciła się na podłogę. Widząc, że torba sama nie ustoi, wcisnął ją między ścianę a stojak na parasole. Podał legitymację kobiecie. Nawet na nią nie spojrzała. Wpatrywała się w niego z wyraźnym napięciem.

– Niczego nie ruszałam – powiedziała. – Czekałam, aż przyjdzie policja.

– To dobrze, a co się stało? – spytał, zerkając w stronę salonu, gdzie paliło się światło, które nieco rozjaśniało mrok przedpokoju.

– Moja służąca Greta Jensen zniknęła. Wydaje mi się, że coś ukradła. Nie ma jej już dwa dni.

– Nie jest pani pewna, że coś ukradła?

– Nie wiem, ale szukała czegoś w moich szufladach w sypialni. Nie chciałam nic ruszać.

– Zdarzało się już coś takiego?

– Nie, nigdy. – Zamyśliła się, ale wyglądało to dość sztucznie. – Właśnie to jest dziwne.

Greta pracuje u mnie już bardzo długo. Kilkanaście lat.

– A zdarzało jej się zniknąć? – spytał, robiąc mały krok w stronę salonu.

– Nigdy. Ona ma ponad siedemdziesiąt lat i wychodzi tylko do sklepu. – Machnęła ręką w kierunku ulicy. – Proszę – powiedziała sztywno i weszła do salonu.

Urządzony w drobnomieszczańskim stylu, zastawiony był mieszaniną antyków i współczesnych mebli. Pod wiszącą na ścianie kopią renesansowego gobelinu z orszakiem królewskim stała jasnobrązowa kanapa na chromowanych nóżkach. Błyszczący stół z czterema krzesłami w pokrowcach zajmował centralne miejsce na wielkim perskim dywanie, który sięgał do przeciwległej ściany, w całości niemal zabudowanej ogromną biblioteką. Spora część książek wydawała się tylko dekoracją, sądząc po tłoczonych skórzanych grzbietach i równej, pasującej do półek wysokości. Na środku regału królował wielki plazmowy ekran, jak ołtarz udekorowany stojącymi z dwóch stron świecznikami. Największy dysonans w tym wnętrzu stanowiły zajmujące trzy czwarte ściany nowoczesne drzwi tarasowe, z trzema przesuwanymi szybami w aluminiowej ramie. Odbijał się w nich kryształowy żyrandol wypełniający salon brudnożółtym światłem.

– Nie wie pani, dokąd pani Jensen mogłaby pójść? Może jest u swojej rodziny? – spytał, wynajdując wzrokiem coraz mniej przyjemne zestawienia form i faktur.

– Ona tu nie ma rodziny. Jej syn mieszka od lat w Ameryce. – Pani Ronstad niespokojnie zerknęła na schody prowadzące z salonu na piętro. – Mogę pokazać panu te szuflady w sypialni? – Nie czekając na odpowiedź, ruszyła na górę.

Na piętrze zatrzymała się przed obrazem olejnym wiszącym w korytarzu. Przyjrzała mu się, cofając brodę, i wyprostowała go trochę. Weszła do sypialni. Zapaliła wysoką lampę

z seledynowym abażurem i stanęła na wprost sporej, stylizowanej na antyk komody na nóżkach. Ponieważ komoda znajdowała się przy drzwiach, Arne został w korytarzu. Sylwetki pani Ronstad i komody stawały się coraz wyraźniejsze na tle ściany, którą stopniowo rozjaśniała energooszczędna żarówka. Dolna szuflada komody była prawie do połowy wysunięta. Pani Ronstad stała, niemal opierając się o łóżko równo przykryte pikowaną narzutą, i wpatrywała się w komodę, raz po raz zerkając na niego nerwowo. Wreszcie rozłożyła ręce w geście bezradności i spytała, wykrzywiając usta, jakby mebel wywoływał u niej jakieś niedobre skojarzenia:

– Może pan sprawdzić tę komodę?

– Ja nie jestem w stanie stwierdzić, co mogło zginąć. Pani musi to zrobić – powiedział, starając się utrzymać na twarzy łagodny uśmiech.

– A nie zatrę śladów? – spytała z zaniepokojeniem.

Podszedł do drzwi i oparł się o framugę.

– Podejrzewa pani, że ktoś inny niż pani służąca mógł coś stąd zabrać? O jakich śladach pani myśli?

Pokręciła głową z zakłopotaniem.

– Nie wiem. Mieszkam tu tylko z Gretą. Mój mąż zmarł pięć lat temu.

Przyglądał się jej z uwagą. Popatrywała to na niego, to na wysuniętą szufladę. Robiło to wrażenie, jakby z jakiegoś powodu bała się podejść do komody.

– Szuflada jest otwarta. Proszę sprawdzić, czy czegoś nie brakuje – powiedział łagodnie.

Zrobiła dwa niepewne kroki i uklękła na jednym kolanie przed wysuniętą szufladą. Zajrzała do niej, namyślając się nad czymś, po czym mechanicznymi ruchami przełożyła kilka apaszek i chustek z miejsca na miejsce. Odwróciła głowę w stronę Arne. Ponieważ milczał, uważnie zasunęła szufladę i wstała. Spojrzała jeszcze raz na komodę, a potem rozejrzała się, jakby jeszcze o czymś chciała powiedzieć. Wreszcie przyglądziła idealnie ułożoną narzutę na łóżku i minąwszy go, wyszła z sypialni.

– Możemy chyba zejść – powiedziała, zerknąwszy z ukosa na obraz z górkim pejzażem, który przed chwilą poprawiała.

Arne kiwnął głową i przebiegł raz jeszcze spojrzeniem po sypialni. Idąc już korytarzem za schodzącą powoli panią Ronstad, przypomniał sobie, że w tym pomieszczeniu było jednak coś, co na chwilę przykuło jego uwagę, ale zapomniał o tym podczas tej dziwnej rozmowy o szufladzie. Cofnął się więc i przykucnął w drzwiach sypialni. Podłoga przed komodą pokryta była cienką, ale wyraźnie dostrzegalną warstwą kurzu. Zimne światło lampy stojącej pod oknem ślizgało się po parkiecie, wydobywając ledwo widoczne ślady pantofli. Pochylił się bardziej i zajrzał pod komodę. Warstwa kurzu była tam nieco grubsza. Przejechał dłonią po podłodze przy drzwiach. Tutaj kurzu nie było. Podniósł się i zszedł na dół. Pani Ronstad odwróciła się do niego i spytała:

– Będą panowie szukać pani Jensen?

– Tak, jeśli nie wróci do jutra, uruchomimy procedurę.

Kiwnęła głową, jakby nieprzekonana.

– Zgodnie z prawem w wypadku osoby dorosłej możemy zacząć poszukiwania po trzech dniach. Kiedy dokładnie pani Jensen wyszła z domu?

– Musiała wyjść wczoraj w nocy, bo rano już jej nie było.

Wydało mu się, że powiedziała to tak, jakby samo wspomnienie budziło większy niepokój, niż chciałyby ujawnić.

– Czy wzięła ze sobą jakieś swoje rzeczy?

– Nic nie wzięła. Tylko płaszcz.

Popatrzył na nią przez chwilę, niezdecydowany, ale ruszył w stronę przedpokoju.

Zanim jednak podniósł swoją torbę, odwrócił się i zapytał, uśmiechając się z lekkim zakłopotaniem:

– A nie pokłóciły się panie jakoś?

– Nie, nie... – odpowiedziała szybko, marszcząc brwi, jakby takie przypuszczenie mogło ją urazić. Po chwili jednak zmieniła wyraz twarzy i dodała mniej pewnie: – Może trochę. Miałam pretensję, że ostatnio nie sprząta dokładnie.

Kiwnął głową i podniósł swoją szeleszczącą torbę.

– Zadzwoń do pani, jak tylko coś będę wiedział. O to samo również panią bardzo bym prosił. – Położył rękę na klamce. – A czy pani Jensen narzekała na jakieś dolegliwości? – spytał, otwierając drzwi.

– Tak, na reumatyzm. Miała ciągle bóle rąk. – Pani Ronstad cofnęła się, bo do przedpokoju wpadł zimny powiew.

– Proszę się nie martwić. Jeśli sama nie wróci, to ją znajdziemy. Jutro zadzwonię do pani – powiedział i zamknął drzwi, pozostawiając ją na tle ciemnej szafy z płaszcami.

Na dworze zrobiło się jakoś zimniej i zaczął padać drobny deszcz. Zanim dotarł do furtki, postawił na ziemi torbę i wyjął z niej bułkę, która już zaczynała namakać. Przełamał ją na pół, a z torby zrobił paczkę, którą umieścił pod pachą. Powalczył chwilę z zamkiem kurtki i dopięty pod szyję wyszedł na ulicę. Pomyślał, że mógłby zadzwonić do Liv, ale ponowne rozpinanie kurtki z nieporęczną paczką pod pachą wydało mu się zbyt męczącym przedsięwzięciem. Poza tym Liv znowu była na sesji, która nie wiadomo kiedy się skończy. Spróbował wyobrazić ją sobie jako siedemdziesięciolatkę. Czy zrobi się z niej taka koszmarna baba jak ta Ronstad? Ciekawe, jaki musiał być jej mąż, żeby tyle lat z nią wytrzymać.

Spróbował wyobrazić sobie panią Ronstad udzielającą reprimendy innej starszej pani, że źle posprzątała pod komodą. Czy one w ogóle rozmawiały ze sobą? Czy przyjaźniły się w jakiś



sposób? Czy ta Jensen siedziała w jakimś pokoiku sama przez cały dzień, a chlebodawczyni tylko od czasu do czasu wydawała jej jakieś polecenia?

Tak czy inaczej coś dziwnego było w pani Ronstad. Stała przed tą komodą i z jakichś powodów nie chciała do niej podejść. Przejrzała rzeczy w szufladzie byle jak, jakby wiedziała, że nic nie zginęło. Z jednej strony zrozumiałe było jej zdenerwowanie. Zniknęła nagle osoba, która pomagała jej w codziennych zmaganiach, niezależnie, czy się lubiły, czy nie. Ale tam działo się coś jeszcze. Odegrała przed nim jakiś teatr, którego sensu nie był w stanie pojąć w tej chwili. Chyba że jej relacja z tą gosposią czy służącą była zupełnie inna. Niewykluczone też, że pani Ronstad była po prostu lekko szurnięta.

Snując te rozważania, o mało nie przegapił ulicy ze sklepem, gdzie postanowił jednak kupić już jakąkolwiek karmę dla kota. Zdziwił się nawet, że o tym zapomniał. Miał przecież ochotę jeszcze trochę porozmawiać z dziewczyną. Toteż rozczarował się, gdy wyszedłszy z za rogu, zobaczył, że sklep jest już zamknięty.

\*

Odbicie jego twarzy w chromowanej lampie wyglądało dokładnie tak samo jak wczoraj – mała, blada plamka na wielkim cielsku swetra. Kubek z kawą parował tak samo i tak samo rozpościerał się przed nim bezkresny widok na śnieżnobiałe pola formularzy, przyprószone gdzieśgdzie szarymi literkami. Różnicę stanowiła metka nowego swetra, która drapała go w kark. Sam sweter wyglądał tak samo jak wszystkie jego swetry: kaszmirowy, w ciemnoszarym kolorze. Wiedziony jakimś ulotnym impulsem energii odstawił rano zrolowany dywan i dostał się do szafy. Przeszukał stertę identycznych swetrów, różniących się tylko stopniem znoszenia, i wybrał jedyny, który nie miał przetartych łokci.

W drzwiach stanęła pani Nygaard. Jej chłodne spojrzenie zza połówkowych okularów spoczęło na formularzach. Przesunął jeden z nich, tak jakby porównywał coś ze znajdującym się pod nim, i sięgnął po długopis, ale pani Nygaard wyszła bez słowa. Odłożył długopis i wsunął dłoń za kołnierz. Metka, tak jak się spodziewał, nie dawała się nijak ułożyć i wymagała zabiegu z użyciem noża o odłamywanym ostrzu, który był w posiadaniu właśnie pani Nygaard. Operację trzeba było jednak odłożyć na później. W tej chwili bezwzględnie musiał stworzyć wrażenie, że pracuje nad formularzami, a przed wyjściem musiał je po prostu wypełnić do końca.

Był szefem, ale to dzięki pani Nygaard komisariat przy Nissens gate funkcjonował jakoś w strukturach miejskiej policji jako ogniwo łańcucha przerebu wszelkiego rodzaju dokumentów, raportów i statystyk, co w przypadku tej dzielnicy było praktycznie jedyną jego funkcją. Ole, Gerd i Arne doskonale zdawali sobie sprawę, że dopóki potrzeby pani Nygaard w kwestii podpisów, raportów i zatwierdzeń po przeczytaniu będą zaspokajane, dopóty oni będą mogli czuć się bezpiecznie. Komenda główna pozostanie jedynie odległym gmaszyskiem z własnymi problemami i nikt tam nie wpadnie na pomysł, żeby coś tu kontrolować czy restrukturyzować. Pani Nygaard również zdawała sobie z tego sprawę, ale nigdy w żaden sposób nie nadużyła swojej nieformalnej władzy. Jedyną formą represji, jaką stosowała, było owo chłodne, milczące spojrzenie, którego zaznał przed chwilą. Z sekretariatu dobiegało klikanie w klawiaturę. Krótkie, szybkie serie uderzeń świadczyły o zdeterminowaniu i braku wątpliwości co do sensu pracy, którą wykonywała. Z jednej strony uspokajało go to, z drugiej wprawiało w zakłopotanie.

Pani Nygaard musiała być zrobiona z jakichś kompletnie innych komórek niż on. Mimo to żyli w pełnej symbiozie. Czulo się, że zdaje sobie ona sprawę z ich wdzięczności, ale było to chyba jedyne jej uczucie, którego byli świadomi. W jakimś sensie pozostawała nieprzenikniona. Niby rzeczowa, otwarta, konkretna, nawet ciepła w spontanicznych odruchach, a jednak niepojęta, żyjąca

w jakimś innym świecie. Arne odczuwał ją jako niezbędne wyposażenie komisariatu., przystępne i użyteczne zakończenie połączenia sieciowego z komendą główną, może nawet z Interpolem, gdyby zaszła taka konieczność. Przecież on był żeglarzem. Jego dusza odżywała owiewana silnym, słonym wiatrem, rosła od mijanych w pędzie boi regatowych i twarzy podziwiających go dziewczyn.

Klawiatura pani Nygaard niepokojąco ucichła i Arne podpisał miesięczne zestawienie rachunków za benzynę dla radiowozu.

– Idzie pani dzisiaj na ten koncert? – spytał głośno i zaszeleścił formularzami. – Mógłbym panią podwieźć.

– Przecież pan tu przychodzi na piechotę – odpowiedziała niezbyt głośno; pewnie coś czytała albo przeglądała.

– Poszedłbym po samochód.

Zapadła chwila ciszy.

– Poszedłby pan? – Tu nastąpiła krótka pauza, ale już za moment usłyszał: – Lepiej niech pan to przed wyjściem skończy. Dziękuję, ale umówiona jestem na dzisiaj z dalszą rodziną.

– No tak – powiedział już bardziej do siebie i wczytał się w raport Gerda z wyjazdu do pękniętej szyby.

\*

Koncert w dzielnicowym domu kultury dobiegał końca. Oświetlona punktowym reflektorem twarz Ole nie przypominała tej naiwnej rumianej gęby, którą znał na co dzień. Ostre górne światło zatopiło wylupiaсте nieco oczy w głębokich cieniach i zarysowało nieistniejące w biurze kości policzkowe. Tym razem Ole nie szarpał strun ogromnego czarnego kontrabasу. Grał smyczkiem. Fortepian ucichł. Perkusja szemrała tylko, stwarzając stopnie, po których Ole wbiegał i zbiegał, zatrzymywał się z namysłem, to znów skakał po kilka na raz, nagle zjeżdżał, jakby były pochylnią, by znów wspiąć się dostojnym krokiem. Kurde, on naprawdę fajnie na tym gra – pomyślał Arne. W momencie gdy perkusja mocniej zaznaczyła swoją obecność i dołączył do niej fortepian, na sali rozległy się przytłumione śmiechy. Arne dostrzegł małą dziewczynkę mozolnie wspinającą się z boku na scenę.

– Rita! Gdzie ty tam wchodzisz! Wracaj tu zaraz! – rozległo się ściszone wołanie jakiejś kobiety.

– On ma duże skrzypce! – odrzyknęła dziewczynka. Z boku pojawiła się pochylona postać, najprawdopodobniej jej taty; zanim się wyprostowała i ruszyła do Ole, zdołał zdjąć ją ze sceny. Ktoś błysnął fleszem i w tym momencie utwór się skończył. Rozległy się brawa. Wydało mu się, że po części dla dziewczynki.

\*

On coraz częściej mówi, że chce zrezygnować z pracy. Ja widzę, że jest sfrustrowany. Ukrywa to, ale jest coraz gorzej – powiedziała cicho żona Ole, błędząc wzrokiem po holu przed szatnią.

– Wszyscy się trochę nudzimy. – Arne westchnął, zaglądając do pogniecionej paczki w poszukiwaniu ostatniego papierosa.

– Wiesz co? Ja się nie nudzę. Mam na głowie cały dom i mamę.

– Wiem, ale chyba nie musisz się martwić. Nie myślę, żeby coś miało się zmienić. Jazzu nikt dzisiaj nie słucha i Ole dobrze o tym wie. Aż taki desperat to on nie jest, żeby zamienić stałą pensję na użeranie się o występ w knajpie.

– Nie wiem. Może masz rację... – Po chwili odwróciła wzrok od szklanej ściany i spojrzała na niego z lekkim uśmiechem. – Jesteś w lepszej sytuacji. Twoja pasja nie zagraża twojej pensji.

– Mówisz o żeglarstwie i regatach? – spytał, trochę zdziwiony.

– Nie. Mówię o kobietach. – Spojrzała mu w oczy z udaną powagą.

– Obawiam się, że moja pensja zagraża mojej pasji – powiedział, chowając do kieszeni zgniecioną paczkę, a żona Ole roześmiała się i walnęła go pięścią w bok. Oboje odwrócili się, słysząc dobiegające z bocznych drzwi znajome głosy. Pojawił się w nich Gerd ze swoją żoną i Ole, któremu dwójka płaczących się pod nogami chłopaczków próbowała za wszelką cenę pomóc nieść gigantyczny futerał z kontrabasem.

– Dasz mi zagrać na tym kiedyś? Ole! Dasz mi zagrać? – jęczał błagalnie jeden z nich.

– Perkusja jest fajniejsza! Debilu! – poradził mu brat.

\*

Stojąc ze szklanką whisky w jednej ręce i wałkiem do malowania w drugiej, Arne uświadomił sobie, że w prawie pustym salonie z wyścieloną gazetami podłogą czuje się chyba lepiej niż ze wszystkimi meblami i wielkim dywanem. Wziął łyk i wolno, precyzyjnie prowadząc wałek, zamalował kawałek ściany wokół włącznika światła. Postanowił malować salon jak najdłużej, a potem się zobaczy, czy nie wywalić dywanu i nie pomalować podłogi po wycyklinowaniu białą bejcą. Chociaż coś fajnego było w tych gazetach. Chyba ta ich prowizoryczność; stwarzały nadzieję, że coś tu się jeszcze wydarzy, że jakoś tu będzie inaczej. Wypił kolejny łyk i usiadł w dużym zielonym fotelu. Poczł, że ogarnia go wreszcie miłe zmęczenie. Nie trwało to jednak długo. Na kolana wskoczył mu kot i otarł się przymilnie uchem o mokry wałek. Postawił kota na podłodze i ukląkł przy korytku z farbą. Problem z zasychającym wałkiem powtarzał się każdego wieczoru, tyle że dzisiaj w zlewie nagromadziło się tak dużo naczyń, że na upchnięcie tam korytka z wałkiem nie było szans. Położył wałek w korytku i rozejrzał się za plastikową miską, która gdzieś przecież była w mieszkaniu. Niestety, nigdzie nie było jej widać. Męka niekończącego się wypłukiwania farby pod kranem wydawała się nieunikniona. Podeszedł do komody i zajrzał pod spód. Podłoga pokryta była grubą warstwą kurzu. Wypił resztę whisky i usiadł na gazetach. Wygarnął ręką trochę kurzu i przyjrzał się pokrywającym dłoń ciemnoszarym, zwałkowanym kłakom. Stanęła mu przed oczami ciemna sylwetka pani Ronstad. Rozkładała bezradnie ręce i bała się podejść do własnej komody. O co chodziło z tą szufladą? Dlaczego chciała, żeby on tam zajrzał? Przecież wiedziała, że nikt nic stamtąd nie ukradł.

Otrzeptał dłoń o spodnie i zagapił się na wąską talię i długie nogi roześmianej tancerki. Nagłówek ogłoszenia w gazecie, na której siedział, informował, że w klubie Metro można się ogrzać przy gorących brazylijskich rytmach. Wstał z wysiłkiem i rozprostował plecy. Nie chciało mu się spać. Nie chciało mu się malować i nie chciało mu się usiąść w fotelu z ciężkim, gorącym i wbijającym pazury kotem. Ewentualnie chciało mu się być w Brazylii. Cumować jacht w porcie pełnym kolorowych tancerek. Chociaż tego też nie był pewien do końca. Podeszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Drobne płatki śniegu znowu wirowały pod latarnią. Czarne dachy odcinały się połamaną linią na tle rudawej łuny dalekich świateł portu. Przejechał jakiś samochód. Z ciemności wyłoniła się drobna postać staruszki. Dreptała powoli z zawieszoną na ramieniu torebką. Minęła słup latarni. Jej cień na przyprószonym śniegiem chodniku wydłużał się coraz szybciej, aż zlał się znowu z ciemnością i zniknął.

Sięgnął po telefon leżący na biurku. Po chwili zabrzmiał w nim niewyraźny dźwięk

programu telewizyjnego i poprzedzony kasznięciem męski głos:

- Komisariat policji Nissens gate, słucham, w czym mogę pomóc?
- Cześć. Tu Arne. Sprawdź, czy szpitale nie zgłosiły tej Grety Jansen.
- Nie, nic nie ma. Chyba nikt nie zgłaszał.
- Okej, dzięki.

Odłożył telefon. Zaraz wziął go jednak z powrotem i wybrał numer do Liv, ale włączyła się poczta głosowa. Odszedł od okna i ruszył w głąb mieszkania, szukając wzrokiem butelki.

\*

Pani Nygaard przyglądała się Arne znad okularów, nie przerywając klikania w klawiaturę.

– Wiadomo coś o Grecie Jensen? – spytał schrypniętym głosem i zaczął zdejmować kurtkę.

– Nie, nic nie przyszło – odpowiedziała, opuszczając wzrok na ekran.

– Ma pani aspirynę?

Nie odrywając się od komputera, otworzyła szufladę i podała mu alka seltzer.

Wziął kubek wody z automatu i wszedł do swojego pokoju. Na biurku leżało jeszcze trochę nieprzerobionych formularzy i jakiś nowy plik papierów, na szczęście niezbyt gruby. Powiesił kurtkę na oparciu fotela i usiadł, wyciągając nogi. Siedział tak chwilę, przyglądając się obrażonemu na świat gawronowi, który urzędował naprzeciwko na mokrej gałęzi. Postawił kubek na biurku i wrzucił tabletkę. Setki maleńkich kropelek wyskoczyły nad powierzchnię wody i zaczęły lądować na formularzach. Perliły się przez chwilę, po czym wsiąkały w rubryki, literki i pieczętki. Wstał i poszedł do ekspresu po kawę. Ten jednak zażądał od niego wyrzucenia fusów z zasobnika. Uprzytomnił sobie, że znowu zapomniał usunąć z przejścia za domem worki ze śmieciami. Kiedy wysypał fusy, pojawiły się dwa żądania: dosypania kawy i wylania wody z tacy. Było to najbardziej znienawidzone żądanie, bo zlew znajdował się w kuchni i ociekającą tacę trzeba było przenieść spory kawałek. Stary sposób zadziałał. Po wysunięciu i ponownym wsunięciu tacy ekspres dał się oszukać i warcząc, napełnił kubek gorącą kawą. Wrócił za biurko i wypił dwa łyki. Gawron za oknem nie zmienił pozycji. Tabletkę się rozpuściła. Sięgnął po przyklejoną do lampy karteczkę i wybrał zapisany tam numer. Wziął łyk kawy i czekał na połączenie.

– Słucham, ochrona – usłyszał szorstki głos.

– Przepraszam, zadzwoniłem się do domu pani Ronstad? – zapytał trochę zdziwiony.

– Tak, a kto mówi?

– Arne Hilmen. Komisariat policji Nissens gate. Coś się stało?

– Pani Ronstad zmarła w nocy – usłyszał w słuchawce.

Nabrał głęboko powietrza i odstawił kubek.

– Jak to się stało? – spytał.

– Lekarz stwierdził zawał. Radiowóz z komendy głównej jest na miejscu. Nasza centrala łączy się z komendą główną, dlatego do was nikt nie zadzwonił – tłumaczył ochroniarz. W tle słychać było jakieś głosy.

– Okej. Ale dlaczego wzywaliście policję? – spytał Arne, zanim zdał sobie sprawę, że to chyba głupio zabrzmiało jak na pytanie szefa komisariatu.



– Pani Ronstad sama włączyła alarm. Wyglądało to na napad. Ale nic nie było. Musiała źle się poczuć i dlatego włączyła ten alarm. Policja nic tu nie znalazła. Zrobili zdjęcia i właśnie odjeżdżają. Przepraszam, muszę kończyć, bo wychodzimy i trzeba zamknąć dom.

– Rozumiem. Dziękuję. Do widzenia.

Siedział bez ruchu i rozglądał się niewidzącym wzrokiem po pokoju. Miał ją przed oczami, stojącą naprzeciwko komody i potem, kiedy wychodził, na tle szafy z ubraniami. Może była chora. Może dlatego tak dziwnie się zachowywała. Zdał sobie sprawę, co przed chwilą pomyślał – przecież musiała być chora, skoro miała zawał. Spojrzał w okno. Gawrona już nie było.

Wypił resztę kawy i zastanawiał się, czy wmusić w siebie alka seltzer. Głowa na razie trochę się uspokoiła. Odstawił kubek na parapet i sięgnął po długopis. Wypełnił kilka formularzy, ale ciągle przypominał sobie panią Ronstad, jak mechanicznie przekłada rzeczy w szufladzie, a potem patrzy na niego. Odłożył długopis. Z sekretariatu słychać było klikanie. W drzwiach na korytarz zobaczył przechodzącego Ole.

– Ta Ronstad zmarła – powiedział w stronę drzwi.

Ole cofnął się i stanął na progu.

– Dzisiaj w nocy umarła na serce.

Ole w milczeniu unióśł brwi i pokiwał głową. Arne nie wiedział, co właściwie chce mu powiedzieć.

– Ile ona miała lat? – spytał Ole, czując, że wypada jakoś zareagować.

– Nie wiem. Chyba ponad siedemdziesiąt.

Ole znów pokiwał głową, ale wyraźnie żadna już myśl na ten temat nie przychodziła mu do głowy. Nagle ożywił się i spytał:

– Idziecie dzisiaj z Gerdem do Metra? Bo ja raczej nie pójdę, gardło mnie boli, jakaś cholera mi się rozkręca.

– Nie wiem, może pójdziemy. Gdzieś trzeba iść – powiedział, a Ole znów pokiwał głową i zniknął w korytarzu.

Czego ona chciała ode mnie przy tej komodzie?, pomyślał. – Miałem pogrzebać w jej rzeczach? To całe jej paskudne mieszkanie było wysprzątane. Dlaczego więc przed komodą podłoga była zakurzona?

Wyobraził sobie starą Jensen, która na złość nie sprząta w niektórych miejscach i dręczy w ten sposób znienawidzoną przez lata upokorzeń pracodawczynię. Skazane na siebie przez starość i samotność toczą milczącą walkę, doprowadzając się do szaleństwa i rozpacz. Jensen znika co pewien czas, dając Ronstad poczuć, czym jest prawdziwa samotność. Szantażuje ją tym, chcąc wymóc lepsze traktowanie, może pieniądze, może spadek albo cholera wie co. Ronstad – zakompleksiona wdowa po jakimś profesorku – walczy do upadłego o swój status pani na

włościach. Upokarza służącą przy znajomych, mszcząc się za jej ucieczki.

Zdał sobie sprawę, że podpisuje dokumenty, w ogóle ich nie czytając. Sięgnął po nie i przejrzał pobieżnie, zmuszając się do zrozumienia tego, co podpisał.

A może ta Jensen w ogóle nie istnieje. Ronstad była kompletnie walnięta, żyła w koszmarze samotności, wydając polecenia nieistniejącej służącej. Sama chowała przed sobą rzeczy, zostawiała niezamiecioną podłogę i skarżyła się potem znajomym. Absurdalność tej myśli kazała mu otrzeźwieć i zabrać się do roboty.

– No, zaraz będzie koniec! – Chcąc odciąć się od projekcji własnych lęków, powiedział to na tyle głośno, aby słyszała pani Nygaard.

Nikt mu nie odpowiedział. Pani Nygaard musiała akurat wyjść z sekretariatu.

\*

Trzy brazylijskie tancerki wyginały się synchronicznie w rytm samby. Środkowa, z zielonym strusio-pawim ogonem, przypominała trochę tę z reklamy. W tle szalał na kongach, bongosach i perkusji zespół instrumentalny. Ściśnięci na małym podwyższeniu i omiatani wszelkimi możliwymi efektami świetlnymi, jakie zdołali wymyślić autorzy oprogramowania scenicznych reflektorów, robili wszystko, aby ten skrawek przestrzeni stał się Brazylią w dzień karnawału. I trzeba przyznać, nawet im się to udawało. Inaczej rzecz się miała z salą. Całkiem spora i ciemna przestrzeń klubu wypełniona była stolikami, między którymi dla uzyskania nastroju nieskrępowanego szaleństwa poustawiano różnego rodzaju fotele, pufy i kanapy. Siedzieli na nich Norwegowie. Trochę rozmawiali, jedli, popijali przeróżne alkohole i od czasu do czasu spoglądali w stronę odległej sceny. Było duszno, gorąco i głośno. W tym sensie anons gazetowy nie kłamał. Na jednej z kanap siedział Arne, oddzielony od Liv poduszką z frędzlami. Wciśnięta w kąt kanapy, z szerokim kieliszkiem czegoś niebieskiego w ręku, wpatrywała się w prześwit między stolikami, na którego końcu widać było wyginające się tancerki. Arne przysłuchiwał się rozmowie, jaką przy stoliku obok prowadził kompletnie pijany Gerd z dość sympatycznie wyglądającym facetem. Z przebijających się przez bębny fragmentów wynikało, że rozmowa, a właściwie monolog Gerda, dotyczy oddziaływania słońca.

– No co ty. Słońce wcale wszystkiego nie zmienia – mówił z przekonaniem, nachylając się przez stolik. – Moja siostra mieszkała w Johannesburgu. Tam jest taki okrągły wieżowiec. Kiedyś był super, teraz tam są slumsy. Codziennie w tym wieżowcu jest przynajmniej jedno samobójstwo albo morderstwo. Słońce nic nie robi tak dogłębnie. – Zamarł na chwilę, wpatrzony w nogi tancerek, po czym zagadnął, zniżając głos: – A ten koleś z tego wieżowca Thorsena, znaczy ten Thorsen, słyszałem, że też chciał samobójstwo popelnić. Ty na pewno wiesz, jak było.

– Nie. To jakieś brednie. Nie chciał nic popelnić – powiedział facet i włożył do ust widelec z całą masą frytek.

– To co chciał? – nie dawał za wygraną Gerd.

– Nic nie chciał. Były plotki, że miał zawał czy coś tam. Źle się poczuł. Ludzie wygadują totalne brednie, jak ktoś ma więcej forsy. – Przełknął frytki i obrócił się w stronę sceny.

Straciwszy uwagę współbiednika, Gerd skoncentrował się na Arne.

– Ta z zielonymi piórami! Nie wyrabiam. Ale jazda! To jednak może przez to słońce one są takie. – Gerd poruszył biodrami, naśladując tancerki. – Nasze nie są takie. – Zamyślił się przez moment. – Nasze nie są takie, bo tu, kurwa, słońca nie ma. Mówię ci. Bo tu, kurwa, słońca nie ma.

To jest w ogóle inna rasa. To jest inna rasa przez to słońce... – Przerwał, gdy jego błądzący wzrok natrafił na Liv. – O! Przepraszam, Liv. Jakoś cię nie zauważyłem. Nie chodziło mi o... o genetykę, tylko o takie jakby powierzchowne oddziaływanie słońca na kobietę.

Reszta wypowiedzi umknęła Arne, bo w kieszeni marynarki zadzwonił telefon. Wyjął go i zatkawszy sobie drugie ucho, słuchał przez chwilę.

– W którym szpitalu? Dzięki – powiedział i zamyślił się.

– A nie zastanawiałaś się, czego przez brak słońca brakuje tutejszym facetom? – powiedziała Liv do Gerda, omijając go wzrokiem.

Arne przechylił się przez poduszkę i objął ją ramieniem.

– Muszę pojechać do szpitala. Znalazł się ktoś, kogo szukamy. Zobaczymy się jakoś jutro? – szepnął jej do ucha.

– Zapomniałam ci powiedzieć. Jutro może polecę do Lizbony. Mają to jeszcze potwierdzić, ale pewnie polecę.

– Ile cię nie będzie? – spytał zaskoczony, bo przez ostatnie tygodnie przywykł już do narzekań Liv na miejsca, gdzie odbywały się sesje do pism o modzie. Były to głównie śmietniska, hale fabryczne i opuszczone magazyny.

– Dwa albo trzy dni.

– Wspaniale. Wreszcie skorzystasz ze zbawiennego oddziaływania słońca.

– To ma być sesja w oceanarium, tam jest ciemno jak w piwnicy – powiedziała, przekopując torebkę.

– Przepraszam, ale chyba nie dam rady cię odwiedzić. Nie mogę przyjść do szpitala w środku nocy. – Pocałował ją i wstał z kanapy.

Oddalając się, miał wrażenie, że słyszy jakąś uszczypliwość na temat pilnowania porządku w mieście, którą Liv wypowiedziała do wnętrza torebki.

\*

Ulice były puste o tej porze i Arne znalazł się na oddziale pourazowym szpitala miejskiego w ciągu dwudziestu minut. Siedział na twardym krześle z wygiętej sklejki i obserwował przemykające co pewien czas cienie na mlecznej szybie oddzielającej poczekalnię od korytarza.

Postać Grety Jensen przez dwa dni, odkąd o niej usłyszał, urosła w jego wyobraźni, wypełniając puste przestrzenie, w których gdzieś na samym dole poniewierały się niechęć do formularzy, obrazki z ciemnych, spokojnych ulic i biura rozbrzmiewającego klikaniem klawiatury pani Nygaard. Mimo to w żaden sposób nie umiał Grety Jensen sobie wyobrazić. Zdał sobie sprawę, że z ekscytacją oczekuje spotkania z gosposią, która wyszła z domu prawdopodobnie po to, aby dopieć swojej niezdolnej pracodawczyni. To, że znalazła się w szpitalu, było trochę dziwne, ale mogła w końcu źle się poczuć. Kto wie, jak przebiegała jej ostatnia rozmowa z panią Ronstad... Ale może po prostu samotność starej kobiety robiła na nim takie wrażenie.

Na mlecznej ścianie pojawił się cień. Duży i rozmyty, przesuwiał się kilka razy w prawo i lewo, po czym zaczął się wyostrzać, ciemnieć i maleć, jakby się oddalał. Gdy zmałał do wielkości człowieka, klamka się poruszyła i w drzwiach ukazał się lekarz dyżurny. Był chudy, wysoki, krótko ostrzyżony i miał na nosie okulary w grubej czarnej oprawie. Poprzedziwszy krótki, zmęczony uśmiech wyglądającym na uciążliwy tik skurczem twarzy, stanął przed Arne i wyciągnął z kieszeni kitla złożony na pół wydruk.

– Pan Hilmen z policji? W sprawie pani Jensen, tak? – spytał i rozłożył kartkę.

– Tak. Co się stało? Jak tu trafiła? – Arne wstał i przeniósł wzrok z kartki na twarz doktora.

– Pani Jensen ma częściowy zanik pamięci. Przywieźli ją jacyś ludzie, którym o mało nie wpadła pod samochód przy wjeździe na autostradę. Była zupełnie wycieńczona – powiedział i zagłębił się w lekturze.

Arne, nie mogąc doczekać się dalszych wyjaśnień, spytał:

– Czym, pańskim zdaniem, mógł być spowodowany ten zanik pamięci?

Doktor oderwał wzrok od kartki, zdjął okulary i spojrzał na niego.

– Na rezonansie magnetycznym głowy widać kilka mikrowylewów, ale nie bardzo wiemy, co mogło być ich bezpośrednią przyczyną. Mogły powstać dawniej. – Na twarzy pojawił się tik, a po nim jakby mający go ukryć ledwo widoczny uśmiech. – Pani Jensen nie ma żadnych obrażeń na ciele. Rozmawiałem z psychologiem, który ją badał. Jest przekonany, że przeżyła bardzo silny stres.

– Jakiego rodzaju mógł być to stres?

– Nie wiem. Psycholog uważa, że coś musiało ją skrajnie przestraszyć.

– Przestraszyć? – spytał i ogarnęło go jakieś dziwne uczucie.

Do tej pory wyobrażał sobie relacje Jensen i Ronstad jako ewentualne pasmo stresów i napięć, ale nie prawdziwego strachu. Sformułowanie użyte przez psychologa nadawało wszystkiemu wydźwięk, którego się nie spodziewał.

– Tak. Psycholog twierdzi, że ta utrata pamięci ma raczej związek z silną traumą lękową niż z wylewami. – Doktor włożył okulary pomiędzy długopisy sterczące z kieszeni kitla i spojrzał na Arne z miną dającą do zrozumienia, że to wszystko, co może powiedzieć.

– Czy mógłbym z nią porozmawiać?

Doktor zastanawiał się przez chwilę, po czym otworzył szklane drzwi.

– Myślę, że teraz już można, ale nie sądzę, żeby pan się czegoś od niej dowiedział.

Ruszyli w milczeniu białym korytarzem. Doktor poprosił gestem, aby poczekał, a sam wszedł do pokoju dyżurnej pielęgniarki. Rozmawiał z nią szeptem przez chwilę. Gdy kiwnęła głową znad zastawionego lekarstwami stołu, wyszedł i wskazał boczny korytarz.

– Jeśli śpi, to wolałbym jej nie budzić, wtedy przyszedłby pan jutro – odezwał się, gdy stanęli przed drzwiami separatki. Otworzył je i wszedł pierwszy.

– Pani Jensen, ma pani gościa – powiedział cicho, ale wyraźnie.

Mała siwa głowa poruszyła się nieznacznie nad ustawioną pionowo poduszką. Arne wszedł i stanął na środku małego pokoju. Greta Jensen była drobną, chudą staruszką. Kilka długich kosmyków opadało na jej bladą, pokrytą zmarszczkami twarz. Szare, głęboko osadzone oczy patrzyły w przestrzeń za ramą łóżka. Okryta była kołdrą i kocem, z wierzchu dłoni spod plastra wystawał wenflon.

– Dobry wieczór – powiedział Arne i przybliżył się o krok do łóżka. Oczy kobiety poruszyły się. Spojrzała najpierw gdzieś obok, potem przez moment na niego. Uśmiechnął się, ale jej twarz pozostała bez wyrazu, a oczy wróciły do punktu, z którego się oderwały. Usiadł na krześle przy łóżku i czekał na jakąś reakcję. Doktor został przy drzwiach, dając wyraz swoim wątpliwościom co do wyniku wizyty.

– Przyszedłem z komisariatu niedaleko pani domu – odezwał się Arne, ale nie wywołało to żadnej zmiany. – Pani Greta Jensen? – zapytał głośniejszym głosem, widząc, że doktor kładzie rękę na klamce.

Staruszka odwróciła głowę i patrząc obok kolan Arne, powiedziała cicho:

– Greta Jensen.

Odetchnął głęboko i pochylił się w jej stronę.

– Pracuje pani u profesorowej Ronstad?

Wydało mu się, że tego pytania już nie usłyszała. Obserwował jej szeroko otwarte oczy. Patrzyła nieruchomo na koc. Po chwili jednak jej wargi poruszyły się i usłyszał niewyraźny szept:

– Pani Ronstad. – Zabrzmiało to, jakby mechanicznie powtórzyła nazwisko, nie rozumiejąc sensu pytania.

– Pracuje pani u pani Ronstad, prawda? – zapytał, powoli wymawiając słowa.

– U pani Ronstad – odpowiedziała takim samym szeptem, ale jakby zdziwiona, że jeszcze raz pyta ją o to samo.

– Pamięta pani, jak się tutaj znalazła?

Zmarszczyła brwi i po chwili dłuższego namysłu odpowiedziała prawie przytomnie:

– Tacy mili państwo mnie tutaj przywieźli. – Znowu zapatrzyła się w przestrzeń. – Zabłądziłam w mieście jakoś – dodała, po czym pierwszy raz spojrzała mu w oczy.

– Pamięta pani, co było przedtem?

– Chodziłam po ulicach – odpowiedziała, jakby to było oczywiste.

Doktor stanął za Arne i również przyglądał się jej uważnie.

– A jeszcze przedtem? – zapytał.

Pani Jensen odwróciła głowę i zaczęła błędzić wzrokiem po ścianie. Po chwili zamknęła oczy. Wysilek na jej twarzy stał się wyraźnie widoczny. Trwało to może pół minuty.

– Nie pamiętam – powiedziała cicho i jakby ze zdziwieniem spojrzała na Arne.

– Wyszła pani z domu profesorowej? – próbował pobudzić jej pamięć.

– Chyba wyszłam – odpowiedziała, ale nie zabrzmiało to jak wspomnienie, tylko nazwanie logicznej przyczyny znalezienia się na ulicy. Arne spojrzał na doktora, który rozłożył ręce. Trwali tak w milczeniu dobrą minutę, gdy pani Jensen powiedziała nagle:

– Tak, wyszłam.

– Przypomina sobie pani? – podchwycił doktor.

– Tak, wyszłam – powtórzyła i spojrzała na nich.

– Przestraszyła się pani czegoś? – Arne pochylił się i położył jej rękę na dłoni.

Ledwo widocznym ruchem kiwnęła głową, ale nadal milczała. Obie ręce leżące na kocu cofnęły się minimalnie.

– Przestraszyła się pani? – powtórzył pytanie Arne.

– Tak, przestraszyłam się – odpowiedziała szeptem.

Jej palce pod jego ręką zaczęły się nerwowo poruszać.

– Co tam się stało? Czego się pani bała?

Spojrzała na niego, ale czuł, że go nie widzi, że przez jego oczy patrzy w dal.

– Nie pamiętam. – Westchnęła i opadła na poduszkę.

– Coś się stało w domu – powiedział ciepłym, ale zdecydowanym tonem. – Wyszła pani na ulicę, bo coś stało się w domu.

– Herbata – szepnęła.

– Chce się pani napić herbaty? – Doktor wyciągnął rękę w stronę przycisku wzywającego pielęgniarkę, ale Arne powstrzymał go gestem.

– Herbata? – spytał i ścisnął lekko jej rękę.

– Dziwna herbata – wyszeptała ledwo słyszalnie.

– Piła pani herbatę?

Nie odpowiadała, ale po chwili się odezwała, nie odrywając wzroku od koca:

– Taka dziwna herbata była.

– Piła pani tę herbatę?

– Nie, nie piłam.

– A pani profesorowa piła?

Pokręciła głową.

– Nie pamiętam.

– Dziwnie smakowała? Dlatego pani nie piła?

– Nie, nie piłam. Przestraszyłam się. – Spojrzała na niego.

– Przestraszyła się pani herbaty?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Piła pani herbatę z panią Ronstad i przestraszyła się pani. Pani Ronstad krzyczała na panią?

– Byłam sama i przestraszyłam się.

Pomyślał, że gdzieś tam jest granica pamięci, której chyba nie przekroczą.

– Pani Ronstad była w domu, jak pani się przestraszyła?

Patrzyła na niego coraz bardziej zagubionym i zmęczonym wzrokiem.

– Nie pamiętam... – powtórzyła i oparła głowę na poduszce.

Arne pogładził ją po ręce i wstał z krzesła. Wyszli na korytarz. Doktor spojrzął na zegarek.

– Nie myślałem, że uda się panu porozmawiać. Do nas w ogóle się nie odezwała. Nie mam pojęcia, co jej się tam pomieszało z tą herbatą. W takich przypadkach pamięć powraca bardzo powoli, jeśli w ogóle. Moim zdaniem raczej coś musiało się stać na ulicy. Może widziała jakiś wypadek. Tak naprawdę nie wiemy, w jakim stanie psychicznym była w ogóle. Starsi ludzie, wie pan, różnie bywa.

Stanęli przed drzwiami poczekalni.

– Więcej panu chyba nie pomogę. Muszę dokończyć obchód.

– Gdyby pani Jensen coś sobie przypomniała, proszę zadzwonić do mnie. – Arne podał mu wizytówkę. – Nie wiem, co dalej będzie się z nią działo. Problem polega na tym, że pracodawczyni pani Jensen właśnie zmarła, a ona, zdaje się, nie ma tu rodziny. Pewnie pojawi się ktoś z opieki społecznej. Powiadomimy ich jutro.



– Musimy potrzymać ją jeszcze na obserwacji. Jeśli coś się wydarzy, na pewno zadzwonię do pana. – Doktor wrzucił wizytówkę do kieszeni między swoje niezliczone długopisy i pożegnał się skinieniem głowy.

\*

Wielka postać Greta Jensen zniknęła z wyobraźni Arne. Jej miejsce zajęła szklanka z dziwną herbatą. Obok, przycupnięta na krześle, siedziała siwa drobna staruszka i wpatrywała się w nią oczami rozszerzonymi z przerażenia. Przecież to jakaś kompletna paranoja. Co ona wygadywała o jakiejś herbacie? Co w tym domu mogło się stać? Nie miał pojęcia, kim była pani Ronstad, i mimo tej wizyty w szpitalu nadal nie wiedział, kim jest Greta Jensen. Mogła być znerwicowaną, rozkojarzoną wiejską kobietą, ale równie dobrze kulturalną panią pomagającą prowadzić dom. To, jak mówiła o miłych ludziach, którzy przywieźli ją do szpitala, wyglądało na wypowiedź osoby o ciepłym i łagodnym usposobieniu. No i niby co z tego? Kompletnie nic. To nie jest sprawa dla policji. To w ogóle nie jest żadna sprawa. Właścicielka domu zmarła na zawał serca. Poznał ją. Była sztywną, niesympatyczną osobą. Miała za złe swojej służącej, że źle sprząta. W dodatku podejrzewała ją o grzebanie w jej rzeczach. Wrażliwa starsza pani, skazana z braku rodziny na dożywotnie towarzystwo kogoś takiego miała prawo doznać rozstroju nerwowego. Zamiast herbaty mogła być zupa albo cokolwiek innego, co widziała tuż przed jakimś atakiem nerwowym, który skończył się częściową utratą pamięci. Wybiegła albo wyszła z domu, płaszcz zabrała odruchowo. Błąkała się po ulicach, aż zasłabła i o mało nie wpadła pod samochód.

Szklane drzwi rozsunęły się. Na dworze lał deszcz. Arne wybiegł na parking i stanął. Krople wody rozbryzgiwały się na dachach stojących tu i ówdzie samochodów. Wyglądało na to, że zapomniał, gdzie zostawił swojego mercedesa. Z narastającą złością rozglądał się na wszystkie strony. Nigdzie go nie widział. Przeszedł kilka kroków. Przecież do cholery nikt w takim miejscu w taką pogodę nie kradnie takich gruchotów! Odwrócił się i spojrzał na wejście do szpitala. Wyglądało chyba trochę inaczej niż to, którym wchodził. Wszedł z powrotem do budynku. Po przeciwnej stronie recepcji było również wejście ze szklanymi rozsuwanymi drzwiami. Wyszedł przez nie na zewnątrz. Na środku niemal identycznego parkingu stał ogromny czarny świerk. Teraz go sobie przypominał, ale... gdzie zostawił samochód? Z tego miejsca nie było go widać. Wygląda na to, że nie tak trudno zapomnieć o czymś – pomyślał. Cofnął się pod zadaszenie drzwi, żeby spróbować przypomnieć sobie, w którym miejscu zaparkował. Czujnik ruchu zadziałał i drzwi się otworzyły. Dyżurująca pielęgniarka spojrzała na niego znad blatu recepcji. Dopiął mokrą kurtkę i poszedł między samochody.

Mercedes stał niedaleko, schowany za wyższym pojazdem. Wydłubał kluczyki z kieszeni i otworzył zamek. Uszczelka szyby wisiała odklejona od ramy. Usiadł na mokrym siedzeniu, zatrzasnął drzwi i dopchnął uszczelkę na miejsce. Włączył silnik i oparł głowę o zagłówek. Przed

oczami znowu pojawiła mu się szklanka z herbatą.

\*

Deszcz lał nieprzerwanie od wczoraj. Siedzenie w mercedesie nadal było wilgotne. Arne podłożył sobie irchę do szyb, żeby nie nasiąkły mu spodnie. Sąsiedzi wsiadali do samochodów, walcząc z niedającymi się złożyć parasolami. Podirytowani, wydawali komendy guzdrzącym się dzieciom i odjeżdżali przez przedszkola i szkoły do pracy. Para leniwie spełzała z szyby. Wyjął telefon i zadzwonił do pani Nygaard.

– Przyjdę trochę później. Chciałbym wpaść na chwilę do komendy głównej. Jestem tu niedaleko. Mogłaby pani sprawdzić, kto zajmował się sprawą pani Ronstad? I tak spadnie to na nas.

Pani Nygaard obiecała oddzwonić. Arne podkreślił ogrzewanie na maksimum i ruszył.

Przez ścianę deszczu budynek komendy głównej wyglądał jak układanka żółtawych prostokątów okien zawieszonych w szarej przestrzeni. Szara elewacja zlała się zupełnie z burym niebem. Arne zaparkował po przeciwnej stronie szerokiej ulicy. Wszedł do małej kawiarni i usiadł z kawą i rogalikiem przy oknie. Sam nie bardzo wiedział, po co tam idzie. Klucze do mieszkania pani Ronstad i raport i tak w swoim czasie znalazłyby się w komisariacie. Spojrzał na leżącą obok, pozostawioną przez kogoś gazetę. Jakieś milionowe manipulacje finansowe. Jakiś prezes podejrzany o działanie na szkodę firmy zrezygnował ze stanowiska. Opis był długi i zawiły. Przestał go czytać po kilkunastu zdaniach. Dlaczego on nigdy nie zainteresował się pieniędzmi na tyle, żeby robić jakieś manipulacje, niekoniecznie podejrzane? Do policji trafił przez przypadek. Może nie tyle przez przypadek, co przez żeglarstwo. Żeglarze przeważnie mieli pieniądze, jak zdołał zauważyć. Nie ma wątpliwości, że musieli interesować się też pieniędzmi. Dlaczego on jednak nimi się nie zainteresował, nie miał pojęcia. Z jakiegoś powodu już jako młody chłopak żył w przekonaniu, że przemijanie to nie pożegnania z odchodzącymi chwilami, ale droga ku coraz bardziej przyjemnym i emocjonującym przeżyciom. Innymi słowy, był lekkomyślnym optymistą. Sformułowanie: bezmyślnym optymistą zdawało się tu bardziej na miejscu. Trzeba być naprawdę bezmyślnym człowiekiem, żeby zostać policjantem z powodu dostępu do lepszego sprzętu, jakim dysponował policyjny klub żeglarski. Co właściwie miał na swoje usprawiedliwienie? Oprócz niefrasobliwej i serdecznej osobowości swojej matki, którą pewnie po części odziedziczył, mógł tłumaczyć się tym, że z policji miał zamiar się jakoś wyplątać i wieść pełne sportowo-towarzyskich sukcesów życie żeglarza regatowego. Szkoła policyjna nie traktowała go zbyt surowo. Był lubiany i zdobywał wysokie miejsca w zawodach. Gdy po kilku latach obcięto finanse klubu, miał zamiar zacząć się wyplątywać. Praca oficera policji dawała jednak stałą pensję, a ciągła nadzieja, że coś się jakoś samo wydarzy, tępiła instynkt samozachowawczy i pojawiające się od czasu do czasu impulsy

do zdecydowanego działania. Ale było coś jeszcze, co spowodowało, że nic ze swoim życiem nie zrobił. Wstydział się tego. Uciekał od tych myśli, ale coraz rzadziej mu się to udawało. Prawda była żałosna.

Zadzwoił telefon. W pokoju 412 czekał na niego jakiś Lundgren.

Tylko parter komendy wyglądał jak coś związanego z policją. Długie korytarze górnych pięter przypominały zwykły urząd, w którego dziesiątkach pokoi opowiadane ściszym głosem plotki mieszały się z klikaniem klawiatur i szelestem papierów. Arne dobrze wiedział, że za większością tych drzwi czają się szarpące nerwami emocje. Emocje, których źródłem nie są jednak zapierające dech śledztwa, ale pochłaniająca całą energię walka o wpływy, pozycje i stanowiska. Pracował tu prawie przez rok. Nie stawiając oporu, dawał się nieść strumieniowi podszeptów, niewinnych aluzji i niewyjaśnionych intryg. Strumień łagodnie przenosił go z wydziału do wydziału, mimo rzetelnej pracy na niezmiennie niskie stanowiska. Perspektywa większych zarobków nie była w stanie przełamać jego niechęci do udawanych przyjaźni i wspólnych knoń przeciwko stojącym na drodze.

Kiedy tylko pojawiła się możliwość objęcia funkcji szefa powstającego właśnie komisariatu, zmobilizował się do działania. Okazało się to nie takie znów trudne. Nikomu specjalnie nie zależało na stanowisku, z którego raczej donikąd już nie daje się dojść. On sam miał tego świadomość, ale zakładał wtedy, że to idealne miejsce na przeczekanie do momentu, aż los, któremu z nieznanых powodów ciągle ufał, coś mu przyniesie.

Pokój 412 zastawiony był starymi drewnianymi szafami – stały pod wszystkimi ścianami. Nawet między oknami była jedna, częściowo zasłaniając wnękę okienną. Na środku, między dwiema szafami z blachy, stało duże, zawalone szarymi teczkami biurko. W pierwszej chwili Arne pomyślał, że w pokoju nie ma nikogo, ale spod blatu wyłonił się mały człowieczek w rozpinanym swetrze koloru drewnianych szaf i położywszy na blacie plik teczek, popatrzył na niego niechętnie przez pokryte odciskami palców okulary w cienkiej oprawce.

– Inspektor Hilmen z Nissens gate? Proszę tu podpisać. – Wskazał palcem na wypełnione już potwierdzenie odbioru dokumentów i przesunął ku niemu otwartą teczkę.

Arne wziął leżący na biurku długopis i podpisał kwit.

– To był zawał serca, prawda? A zrobili jeszcze jakieś badanie? – spytał i sięgnął po wystający z teczki raport, z którego zsunęły się klucze.

– Wszystko jest napisane. Sekcji nie było. Lekarz zbadał tylko krew.

– Nie był pewny, że to zawał?

– Nie. Sprawdzaliśmy, czy nie przedawkowała leków albo alkoholu. – Zdjął okulary i przetaił szkła papierową chusteczką. – Ale niczego nie znaleźli. Niech pan uważa, klucze do domu są w teczce. – Założył okulary i zagłębił się w zawartości jednej z teczek wydobytych spod biurka.

Arne sięgnął po kilka połączonych kółkiem kluczy i schował je do kieszeni.

– Ma pan wszystko? To wasz rejon – wymamrotał urzędnik, nie poruszając wargami, i zniknął za blatem.

Nie chcąc studiować zawartości teczki na korytarzu, Arne wsunął ją pod kurtkę i wyszedł na ulicę. Przedarł się przez rozbryzgujące wodę samochody i wsiadł do mercedesa. Położył teczkę na siedzeniu i wyjął dwie kartki z raportem. Przebiegł szybko wzrokiem po tekście. Wynikało z niego, że radiowóz dotarł na miejsce o 2.47. Ekipa pogotowia i dwaj ludzie z ochrony byli już w domu. Lekarz stwierdził zgon w wyniku zatrzymania akcji serca. Ochroniarze po otrzymaniu sygnału alarmowego i nieodebraniu telefonu przez właścicielkę domu zdecydowali się wejść do środka. Skorzystali z uchylonego okna w łazience. Ponieważ użyty został pilot antynapadowy, postanowili wezwać policję. Policjanci nie znaleźli żadnych śladów próby włamania ani żadnych śladów w ogrodzie. Niewielkie pęknięcie zewnętrznej szyby, które zauważyli w oknie tarasowym, mogło być już wcześniej. Z rozmowy z lekarzem dowiedzieli się, że pani Ronstad wzywała pogotowie mniej więcej pół roku temu. Powodem było zasłabnięcie związane z arytmia serca. Policjant piszący raport zakończył go słowami: „Pani Sigrid Ronstad najprawdopodobniej przestraszyła się, że nie zdoła dojść z kanapy do telefonu i skorzystała z pilota alarmowego, który musiał być w zasięgu jej ręki”.

W teczce była jeszcze jakaś biała kartka. Sięgnął po nią i odwrócił. Zobaczył dwa zdjęcia wydrukowane na drukarce. Ciało pani Ronstad nie leżało na kanapie, jak sobie to wyobrażał, tylko na podłodze, po lewej stronie kanapy. Głowa oparta była o ścianę, lewa ręka z zaciśniętymi palcami pozostała na boku kanapy, a prawa leżała na podłodze, tuż obok pilota alarmowego. Zdjęcia były niewielkie. Wyciągnął ze skrytki okulary, których czasami używał do czytania, i przyjrzał się jej twarzy. Poczł nieprzyjemny dreszcz. Pani Ronstad miała niedomknięte oczy, uniesione brwi i usta wykrzywione w zastygłym skurczu. Nadawało to jej twarzy wyraz skrajnego przerażenia. Ułożenie ciała sprawiało wrażenie, jakby nie spadła z kanapy, tylko próbowała się za nią ukryć. Jej głowa zwrócona była w stronę okna tarasowego. Drugie zdjęcie obejmowało szerzej tę samą część pokoju. Prawe ramię zmarłej opierało się o etażerkę stojącą przy ścianie, tak jakby próbowała się tam wcisnąć. Etażerka stała dalej od kanapy, niż to pamiętał z wizyty w mieszkaniu. Na podłodze leżały kawałki porcelany. Poza tym pokój wyglądał normalnie. Arne zdjął okulary i nabrał głęboko powietrza. Zdawał sobie sprawę, że atak serca jest niezwykle bolesny i widok, który zobaczył, tylko to potwierdzał. Skurcz twarzy z pewnością był wynikiem bólu, a ciało mogło się tak ułożyć, gdy pani Ronstad próbowała sięgnąć po pilota, który pewnie leżał na etażerze. Logicznie wszystko to można było wytłumaczyć, wrażenie jednak pozostawało dziwne. Dziwne było coś jeszcze. Nagle sobie to uświadomił: pani Ronstad była ubrana. Nie miała na sobie nocnej koszuli, jak można by sądzić z pory, kiedy to wszystko się stało, ale ciemnogrnatowe spodnie i wełniany szal narzucony

na bluzkę. Była w tych samych spodniach, co wtedy, gdy z nią rozmawiał. Co robiła ubrana w salonie po drugiej w nocy? Czując się gorzej, mogła pozostać w ubraniu, żeby w razie czego pojechać do szpitala – odpowiedział sam sobie i wsadził raport do teczki. Uruchomił silnik i włączył wycieraczki.

Wyjechał z zatłoczonego centrum. W biurze nie musiał dziś nic wypełniać i podpisywać. Powinien tam po prostu być. Siedzieć i jak każdy policjant czekać, aż ktoś coś zakłóci. Jechał wolno ulicami swojej dzielnicy, zastanawiając się, jak przestać się zastanawiać. W pewnej chwili zorientował się, że wjeżdża na Erlends vei. Deszcz nie przestawał padać. Ale po co miałyby wchodzić do tego domu? Zatrzymał się po przeciwnej stronie ulicy. Zdał sobie sprawę, że zaczyna się już obawiać tych niedających się odgonić wyobrażeń. Martwa, przerażona twarz pani Ronstad nie chciała zniknąć. Zająła miejsce obok szklanki z herbatą i przestraszonej Grety Jensen. Miał ochotę jeszcze raz przyjrzeć się zdjęciu, ale wyjął je tylko z kieszeni i nie oglądając, schował do teczki z raportem. Sięgnął po klucze i zastygł w pół ruchu, oparty o podłokietnik. Nie wiedział, co z nimi robić. Nie chciał ich nosić przy sobie. Nie chciał zostawiać ich w komisariacie. Domem ktoś w końcu będzie musiał się zająć. Może zgłosi się jakaś dalsza rodzina, jacyś prawnicy. Ktoś z komisariatu będzie musiał tu przyjść i zdać dom, cholera wie komu. Z jakiegoś powodu wołał, żeby to on, a nie Gerd albo Ole, wchodził do środka. Otworzył skrytkę i wrzucił do niej klucze.

Posępna elewacja domu przezierała przez niestrzyżony od lat żywopłot. Siedział i gapił się na nią, nie mając pojęcia, co ze sobą zrobić. Ruszył wreszcie i powoli dojechał pod komisariat. Nie chciało mu się wchodzić do biura. Nie chciało mu się również wracać do domu i malować ścian na ten kretyński żółty kolor. Liv poleciała do Lizbony. W samochodzie przed komisariatem też nie mógł siedzieć.

Przeszedł przez pusty sekretariat i usiadł w fotelu za biurkiem. Położył przed sobą teczkę i zdał sobie sprawę, że ma ją ochotę gdzieś ukryć. Kładł teczkę na parapecie, kiedy w drzwiach pojawił się Ole.

– Zabrali nam kaloryfer! – oznajmił z oburzeniem. – Dopiero jak się zaciek na dole zrobił, to się ruszyli.

– I kiedy zamontują nowy? – spytał Arne, zmuszając się do żywszej reakcji.

– Podobno jutro, ale chcą podłogę wymieniać.

– Całą? – Arne starał się nie tracić wyrazu zainteresowania na twarzy.

– Chyba nie. Nie wiem zresztą. – Ole oparł się o framugę i zastygł. Wyglądało to tak, jakby czekał na decyzję szefa.

– Dobra, zadzwonię do nich i dowiem się, co mają zamiar zrobić – obiecał Arne, ukrywając pod niedbałym tonem rosnące zniecierpliwienie.

Za plecami Ole błysnęły okulary pani Nygaard.

– Jest zgłoszenie włamania przy Noysomheten cztery. Jakies laboratorium farmaceutyczne – powiedziała sucho i poszła w głąb korytarza.

Ole obejrzał się za nią, ani trochę nie pojmując jej uczuć. Podeszedł do planu miasta wiszącego na ścianie i odszukał powoli adres.

– To niedaleko tego co przedwczoraj – powiedział, nie wiedzieć czemu jakby radośnie, i wbił szpilkę z czerwoną główką.

\*



Arne zatrzymał się za radiowozem, z którego wysiadł Młody i nachylił się do interkomu umieszczonego na marmurowym bloku podtrzymującym potężną belkę z halogenami oświetlającymi bramę. Gdy majestatycznie się otworzyła, wjechali żwirową alejką pod grubą betonową płytę z okrągłym otworem. Ekstrawagancki dach nad głównym wejściem wisiał na stalowych rurach wychodzących pod kątem z wymyślnie połamanej szarej bryły budynku. Szklane drzwi pod wyciętym z metalu napisem „Lab Farm” rozsunęły się i weszli do holu. Z boku wysokiego wnętrza, przed podpartym jedną nogą blatem recepcji, stało kilku mężczyzn. Na młodym policjancie ta mieszanina szklanych tafli z marmurowymi blokami musiała zrobić spore wrażenie, bo stanął na środku i z zadartą głową gapił się na płataninę stalowych odciągów. Arne i Ole podeszli do recepcji. Trzydziestolatek w granatowym garniturze, z postawionymi na żel włosami, zerknął w ich stronę, ale szybko odwrócił wzrok, bo stojący przed nim mały facecik o świdrujących oczkach wyrzucił właśnie z siebie zduszony wściekłością potok słów:

– Ja wiem! To jest robota kogoś od Hansena! I tak dojdę, kto u nas robi dla Hansena! Nikt tu z zewnątrz nie wszedł. – Świdrujące oczka spoczęły na Ole. – No, jest wreszcie policja, jak widzę.

– Dojechaliśmy w dziesięć minut od zgłoszenia, o ile się nie mylę – powiedział Ole z nieco ironicznie przerysowaną dumą. Facecik zignorował go i spojrzał na Arne, który podszedł bliżej.

– Hilmen z komisariatu dzielnicowego.

– Poza moimi pracownikami tylko ci od Hansena wiedzą, co tu robimy – rzucił facecik i łypnął na stojących z niepewnymi minami podwładnych.

– Podobno ktoś się do was włamał – powiedział Arne.

– Nikt się tu nie włamał. Mam niestety do czynienia z sabotażem. Chyba że ktoś z zewnątrz dostał się tu, a jakimś cudem nie zarejestrowały go kamery.

– Opowie mi pan, co się stało? To może coś będziemy mogli pomóc.

Trzej mężczyźni spojrzeli na niego z większą nadzieją niż obawą.

– Ktoś dostał się do pokoju sedymentacji i zniszczył wielomiesięczną pracę tej firmy.

– Ale, jak rozumiem, nic nie zginęło?

– Zginęło dużo pieniędzy panie Hi...

– Hilmen.

– Zginęło dużo ciężko zarobionych pieniędzy, panie Hilmen.

– Najmocniej przepraszam, panie Gundersen, ale muszę to trochę skorygować – odezwał się

starszy mężczyzna w fartuchu laboratoryjnym. Miał chudą, pociągłą twarz i w odróżnieniu od swojego szefa ciepłe spojrzenie. – Powiedziałem panu, że roztwory zostały zaburzone, to prawda, ale nie stało się nic aż tak poważnego. W kilku naczyniach poziom osadu zmalował nieco. Zaskoczyło mnie to, bo stać się to mogło tylko na skutek czyjś działania. Ktoś musiał poruszyć stelażem albo samymi naczyniami.

– To w końcu w ilu naczyniach osad został wzburzony? – warknął wściekle Gundersen.

– Dokładnie nie wiem, może w kilkunastu. Sprawdzenie tego zajmie sporo czasu. Sam pan wie, że nie jest to proste.

– Wiem, że mam straty, a ktoś jest za to odpowiedzialny.

– Może spojrzymy na te nagrania, o których pan wspomniał? – Arne podszedł do ekranu monitora za blatem recepcji.

– Może pan sobie oglądać, ale już przejrzelśmy zapisy z całej nocy. Nic tam nie ma. – Gundersen oparł się o blat i zaczął nerwowo stukać weń spinką od mankietu.

Strażnik pochylił się nad klawiaturą i uruchomił odtwarzanie. Wszyscy poza szefem ścisnęli się za plecami Arne i utkwili wzrok w ekranie. Pojawiły się na nim cztery pola, a w nich obrazy z jakichś trzech korytarzy i dziedzińca przed bramą. U dołu każdego pola migały minuty nagrania i czasu zegarowego.

– O której włączył się alarm? – spytał Arne.

– O drugiej dwanaście w nocy. – Strażnik postukał w klawiaturę.

– Niech pan ustawi odtwarzanie od drugiej dziesięć, powiedzmy. – Arne, mówiąc do strażnika, zerknął na szefa, który nie przestawał stukać spinką o blat.

– Nic tam nie ma. Oglądaliśmy. Trzeba sprawdzić, kto był tam ostatni – powiedział Gundersen, patrząc przez szybę; wciąż stukał spinką.

– Podejrzewam, że ja – odezwał się znowu starszy laborant o ciepłym spojrzeniu. – O osiemnastej zawsze sprawdzam poziomy osadów. – W jego tonie wyczuwało się wyraźną urazę.

– Nie twierdę, że to pan – prychnął Gundersen. – Mógł być ktoś później. Poruszył roztwory, a potem uruchomił alarm.

– Jeśli temu komuś udało się wejść tam i wyjść niepostrzeżenie, to po co miałby uruchamiać alarm? – kontynuował swoją polemikę starszy laborant.

– Nie wiem. Żeby upozorować włamanie, że to ktoś z zewnątrz – odpowiedział już nieco zbity z tropu Gundersen.

– Włamanie przez okno, które się nie otwiera i po włamaniu jest całe? – spytał laborant już nieco mniej wzburzonym tonem; chyba czuł, że może przeholować.

– Nie wiem. Same się nie poruszyły – syknął Gundersen i odwrócił się.

Na czterech polach nadal nic się nie działo. Cyferki czasu dobiegały do drugiej dwanaście.

Arne zbliżył twarz do ekranu. Trzy korytarze i podjazd przed bramą niezmiennie wyglądały jak nieruchome zdjęcia. Na wyświetlaczach czas dobiegł do drugiej trzynastej. Kilkanaście sekund później drzwi zamykające jeden z korytarzy otworzyły się. Wszedł strażnik i zniknął, podchodząc do ściany, na której wisiała kamera.

– Niech pan da na cały ekran obraz z tej kamery – poprosił Arne. – Jak rozumiem, szedł pan sprawdzić, co wywołało alarm?

– Tak. Otworzyłem drzwi kartą i wszedłem. Nikogo tam nie było. Sprawdziłem dokładnie i zamknąłem drzwi. – Strażnik przełączył podgląd i na monitorze pojawił się wąski korytarz zakończony zwykłymi drzwiami.

– Jeszcze raz niech pan puści, od drugiej jedenaście.

Cyferki sekund znowu zaczęły migotać.

– Ta kamera jest na ścianie nad drzwiami tego pokoju sedimentacji, tak?

Strażnik kiwnął głową i jak pozostali w milczeniu wpatrywał się w ekran. W momencie gdy czas przekroczył o kilka sekund drugą dwanaście, obraz ledwo zauważalnie podskoczył.

– Jest chyba jakieś drgnięcie – powiedział strażnik i spojrzał na Arne.

– Wysięgnik z kamerą musiał zadrzeć. Jakby ktoś otworzył albo zamknął drzwi.

Szef odwrócił się ku nim.

– Czyli ktoś musiał być w środku – rzucił z ponurą satysfakcją.

– Ponieważ na zapisach dalej nic się nie dzieje, to powinien być tam i teraz. Chyba że nie monitorujecie bez przerwy.

– Panie...

– Hilmen.

– Nie jesteśmy idiotami. Byliśmy tam. Strażnik sprawdzał w nocy. Drzwi były zamknięte.

– Tak, ale wyłączyłem alarm, bo nic się nie działo – powiedział cicho strażnik.

Arne wyszedł zza blatu recepcji.

– Chodźmy tam jeszcze raz.

Starszy laborant wyjął z kieszeni fartucha kartę magnetyczną i wskazał nią jeden z korytarzy. W holu pozostał strażnik, młody policjant i wyżelowany facet, którego wyraźną chęć dołączenia do grupy Gundersen ostudził niedbałym gestem ręki. Drzwi, przed którymi się zatrzymali, nie różniły się niczym od mijanych wcześniej. Nie były zamknięte. Laborant wszedł pierwszy. Arne rozpoznał korytarz z zapisu kamerowego. Kończył się szerszymi drzwiami z zamkiem na kartę magnetyczną. Nad drzwiami umieszczona była mała kamera na krótkim, standardowym ramieniu. Po przesunięciu karty zamek wydał szcęknięcie i weszli do wnętrza. Na środku pozbawionego mebli pokoju stał wysoki metalowy stelaż, utrzymujący po każdej stronie po kilkadziesiąt długich, wąskich półek. Półki zastawione były rzędami małych szklanych pojemników

z mętnymi płynami. Pod każdym umieszczona była tabliczka z opisem.

– Jesteśmy do tyłu jakieś cztery, pięć miesięcy. Ktoś wzburzył roztwory – powiedział Gundersen i zawiesił spojrzenie na mętnych cieczach.

– Tu badamy osadzanie się różnych frakcji w roztworach. W różnym czasie różne substancje wytrącają się z płynu – wyjaśnił laborant i powstrzymał Ole, który zrobił gest, jakby chciał oprzeć się ręką o stelaż. – Proszę uważać. Roztwory nie mogą się poruszyć. To stabilna konstrukcja, ale nie powinno się o nią opierać.

– Tam jest ta pancerna szyba? – spytał Ole i podszedł do wielkiej metalowej rolety, przykrywającej większą część ściany.

– Tak. To wielowarstwowa dźwiękoszczelna szyba. Można powiedzieć, że pancerna. – Laborant nacisnął przycisk umieszczony na ścianie i roleta z cichym terkotem zaczęła się podnosić.

Wszyscy w milczeniu obserwowali ukazującą się powoli panoramę zamglonego ogrodu. Na znikającym w szarości krótko przystrzyżonym trawniku rosły powystrzygane w różne formy krzewy bukszpanu. Wyglądały jak dziwne, ogromne figury szachowe stojące na stole bilardowym. Cień dumy pojawił się na moment na twarzy Gundersena, ale odwrócił się od okna i zrzędliwie wycedził:

– Ktoś był tu w środku.

– Który czujnik alarmowy zadziałał? Przy drzwiach czy przy oknie? – spytał Ole, kładąc rękę na szerokiej ramie.

– Tu jest tylko czujnik ruchu. – Laborant wskazał na białe pudełeczko umieszczone na ścianie obok wylotu idącej pod sufitem blaszanej rury wentylacyjnej.

– Ktoś był tu w środku – zaczął znowu Gundersen. – Trzeba sprawdzić, czy te zapisy z kamer nie są zmanipulowane.

– Sprawdzimy, jeśli będzie trzeba – powiedział uspokajająco Ole.

– Jak to jeśli będzie trzeba? A na razie nie trzeba?! – wybuchnął Gundersen ku jego zaskoczeniu.

– Sprawdzimy. Niech się pan nie denerwuje. Wyjdę jeszcze do ogrodu – powiedział pojednawczo Arne i ruszył do drzwi.

\*

Pałac papierosa, stał teraz między surrealistycznymi figurami z bukszpanu i przyglądał się swojemu odbiciu w panoramicznej szybie okna. Stalowa rama sięgała niemal ziemi.

– Nie ma sensu badać zapisów z tych kamer – usłyszał głos Ole wyłaniającego się z mgły. – To jest prosty system, na dodatek ustawiony na sześć godzin zapisu. Nawet tego profesora czy laboranta nie zarejestrowało. Mówił, że był o osiemnastej.

Arne przyklęknął i zaczął przypatrywać się mokrej ziemi pod oknem.

– Oni tu nic takiego specjalnego nie robią. Gadałem z tym strażnikiem. Ten szefunio to niezły palant. Ale boją się go. Ciągle ma jakieś fochy – kontynuował Ole.

– Zauważyłem – wtrącił Arne.

– Jakieś badania na zamówienie firm farmaceutycznych tu robią. Żadne cuda. Te drzwi nawet nie mają jakiegoś ekstrazamka, tylko zwykły, na kartę, jak w hotelu. Każdy może tam wejść.

– I wszyscy mają takie karty?

– Podobno tylko sprzątaczkę nie mają. Obejdę to wszystko jeszcze naokoło.

Ole zniknął za rogiem budynku, a Arne zaczął dokładniej przyglądać się czemuś, co przed chwilą zobaczył na ziemi. Tuż pod ścianą odcisnięty był ślad. Przypominał niewyraźny odcisk dużej psiej łapy.

– I co tam? – spytał na widok podchodzącego z głębi ogrodu młodego policjanta.

Młody trzymał w ręku notes.

– Mam zeznanie ogrodnika. Urzęduje tam dalej, w takim domku. Nic nie widział. Usłyszał alarm, wyszedł z domku do ogrodu, ale nikogo nie widział. – Zajrzał do notesu i zamknął go z trzaskiem. – Trudna z nim rozmowa. Załamany jest, bo pies mu zdechł akurat.

Na te słowa Arne podniósł się z ziemi.

– Okej. Możecie się zwijać. Ja jeszcze zajrzę do tego ogrodnika.

Zrobiło się zupełnie cicho. Nie bardzo wiedział, gdzie ma szukać domku ogrodnika, ruszył więc po prostu w stronę, z której przyszedł Młody. Słyszał tylko chrupanie zmrożonej trawy pod podeszwami butów. Mgła była tak gęsta, że poczuł się jak w dziwnym śnie. Mijał ukazujące się znienacka niczym duchy abstrakcyjne formy wystrzyżone w bukszpanie i zastanawiał się, kto mógł być ich autorem. Krzewy miały już swoje lata, więc architekt pretensjonalnego budynku chyba nie wchodził w rachubę. Trudno też było wyobrazić sobie właściciela firmy jako źródło takiej inspiracji.

Doszedł do rogu ogrodu i ruszył wzdłuż porośniętego bluszczem muru. Idąc wzdłuż niego,

musiał trafić do celu. I rzeczywiście, po kilkudziesięciu metrach z mgły wyłonił się drewniany domek. Mijając niewielkie okno, dostrzegł za szybą twarz. Pojawiła się na moment, nałożona na jego własne odbicie. Spomiędzy pokrywających ją zmarszczek patrzyły blade, zażawione oczy. Drzwi były uchylone. Pchnął je i stanął na progu. Przy małym stoliku, ustawionym pod oknem, siedział stary, chudy człowiek o pooranej bruzdami twarzy. Odwrócił się od okna i spojrzał na niego niepewnie. Arne uśmiechnął się.

– Dzień dobry. Bardzo mi przykro. Słyszałem, że pański pies nie żyje – powiedział i wszedł do środka.

– Pan też jest z policji? – cicho zapytał ogrodnik.

– Tak. Niech mi pan opowie, co tu się działo. Wiem, że pan już opowiadał. – Rozejrzał się po izbie i usiadł na krześle stojącym obok wąskiego łóżka, przy którym leżał zrzucony koc. – Jak to było z pana psem?

Stary człowiek wyprostował się na skrzypiącym krześle i przetarł oczy żylastą ręką.

– Pies biegał po ogrodzie, a ja tu siedziałem, bo zimno. Potem się ten alarm włączył. Tutaj słabo słyhać. Jeszcze jak drzwi zamknięte.

– Pies nie szczekał?

– Szczekał... – zaczął schrypniętym głosem ogrodnik, ale rozkaszał się nagle.

– I wyszedł pan po niego?

– Wyszedłem. – Zawahał się. – Potem wyszedłem – dodał po chwili. – Ale niech pan nie mówi panu Gundersenowi, bo mnie wyrzuci.

– Niczego nie powiem. Na pewno niczego nie powiem. Proszę się nie obawiać.

– Jestem stary, wie pan, i tak bym niczego nie zrobił. Trochę bałem się wyjść...

– Rozumiem. Jasne, że rozumiem – zapewnił go Arne. – A kiedy znalazł pan psa?

– Wyszedłem, jak było już trochę jaśniej. Szukałem go długo. Leżał tam, w cisach. Nie mogłem go znaleźć, bo to są gęste krzaki. Był tam tak wciśnięty między gałęzie. – Wskazał ręką w stronę ogrodu i utkwiał wzrok w leżącym obok łóżka kocu.

Dopiero teraz Arne zauważył, że spomiędzy fałdów wystaje potężna psia łapa. Pochylił się i zsunął kraciasty materiał. Na podłodze leżał duży owczarek niemiecki. Uniesiona warga odsłaniała białe kły. Widać było zdartą skórę na pysku i resztki zaschniętej krwi.

– Słyszał pan tylko szczekanie psa? – Opuścił koc i spojrzał na ogrodnika.

– Tak. Tylko szczekanie – odpowiedział staruszek i odwrócił głowę do okna, ale Arne zdążył zauważyć na jego twarzy dziwny wyraz.

– A czy to szczekanie było takie, jakby pies z kimś walczył?

– Nie wiem... Nie wiem... Dziwne było.

– Dziwne?

Stary nie odzywał się dłuższą chwilę.

– Tak. Ja właśnie tego się bałem. – Patrzył na Arne oczami, z których już wyraźnie przeziarał strach.

– Co w nim było dziwnego?

– Nie wiem. – Rozejrzał się bezradnie po pokoju. – Raz było daleko, a raz znowu blisko.

– Pewnie pies biegał po ogrodzie i szczekał.

– Nie, nie tak, jakby biegał. Tak szybko pies nie biega.

– A tak jakby co? – Arne czuł, że i jemu zaczyna udzielać się jakiś niepokój.

Jego rozmówca robił wrażenie, jakby bał się powiedzieć albo nie mógł znaleźć właściwych słów.

– Nie wiem. Jakby coś go przenosiło – wyrzucił z siebie po chwili. Patrzyli na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Jakby coś go przenosiło? – powtórzył Arne.

– Pies tak nie biega, że jest tak blisko, a zaraz potem daleko. Niech pan nie mówi panu Gundersenowi, że nie wyszedłem od razu.

Arne pokręcił głową.

– Ale jakie było to szczekanie? Takie jakby pies kogoś atakował? Czy jakby uciekał?

– Jak pies ucieka, to nie szczeka. On czegoś się bał, dlatego atakował chyba. – Oparte na kolanach dłonie rozłożyły się bezradnie.

Arne wstał z krzesła i spojrział przez drzwi w mglistą dal ogrodu.

– Nic nie powiem panu Gundersenowi. Niech się pan nie martwi. Dziękuję panu bardzo. – Skinął głową na pożegnanie i wyszedł.

Oddalał się wolnym krokiem od domku. Myśl, którą miał przed rozmową, że spyta ogrodnika, czy to on jest autorem bukszpanowych rzeźb, wydała mu się teraz zupełnie nie na miejscu. Chciał tam jednak wrócić jeszcze na chwilę. Musiał coś sprawdzić. Zawrócił.

Ogrodnik siedział nadal przy oknie. Arne podszedł i stanął przy jego stoliku.

– Przepraszam, że wracam, ale jak tu szedłem, podziwiałem te wspaniałe rzeźby z bukszpanu. Bo to chyba bukszpan, prawda?

– Tak, bukszpan. – Na twarzy starego pojawił się słaby uśmiech.

– Chciałem spytać, czy to pan jest ich autorem.

Pomarszczona twarz rozjaśniła się, a pod oczami pojawiły się nowe zmarszczki.

– No tak, ja je tak przycinam.

– Pan Gundersen wyraźnie jest z nich dumny. – Arne uśmiechnął się.

– Kiedyś, jak zrobiłem pierwsze dwa, to nie był, ale takim jego znajomym się spodobało.

Potem powiedział, że mogę tak wszystkie strzyc, jak mi się podoba, ale on sam to nie wiem, czy to

lubi.

– No tak, rozumiem. Zauważyłem, że nie jest zbyt sympatyczny. Ale gratuluję panu, są piękne. Dziękuję jeszcze raz. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedział stary i ukłonił mu się z uśmiechem.

Arne szedł do bramy. Przypuszczenie, że ogrodnik był w nocy pijany, rozwiało się. Zatrzymał się pod bramą i czekał cierpliwie, aż powoli się otworzy.

Wyjechał na ulicę. Mgła gęstniała, ale jeszcze nie zamieniała się w deszcz. Opowieść ogrodnika stopniowo przenikała w głąb jego świadomości, wywołując chaos. Wyobrażenie szczekającego i ganiającego pędem w tę i z powrotem psa, zakończone wbiciem się w krzaki, nieodparcie przypominało idiotyczną kreskówkę. Słowa jednak, które usłyszał, wywoływały lęk. W żaden sposób nie potrafił wyobrazić sobie, co mogło wydarzyć się w tej firmie. Gundersen wyglądał na spryciarza, który spokojnie mógłby kombinować na przykład z ubezpieczeniem badań. Ale proces odzyskiwania pieniędzy potrwa miesiące. Gundersen będzie potrzebował raportu policji. Nie miał pojęcia, co ma w nim napisać. Z kolei laborant nie wyglądał na człowieka załamane wielkością strat. Może po prostu zepsuty czujnik sam się wzbudził, wszczynając alarm, a te naczynia, w których coś tam się mieszało, to zwykła niedbałość pracowników, która wyszła przy okazji na jaw. Przecież to ten strażnik, sprawdzając w nocy pokój, mógł potrafić stelaż – uprzytomnił sobie nagle. Wyglądało na to, że sprawa nie jest aż tak zawiła, jak mu się zdawało.

Sięgnął po telefon, aby tymi przemyśleniami podzielić się z Ole i poprosić go, żeby sam napisał raport. Wybrał numer, ale odłożył telefon. Ole spyta go o ogrodnika. A tą dziwną opowieścią nie miał ochoty na razie z nikim się dzielić. Co miał powiedzieć? Że ogrodnik przestraszył się własnego psa, bo ten dziwnie szczekał, a ta dziwność polegała na tym, że raz był dalej, a raz bliżej? Wyjdzie na wariata. Ogrodnik też. Swoją drogą może być w tym trochę prawdy. Ludzie z psychicznymi zaburzeniami nie muszą w każdym słowie i geście wyglądać na wariatów. Stary, samotny człowiek, wycinający w krzewach dziwaczne formy. Pies też był stary. Przypomniał sobie jego mocno posiwiały pysk. Przestraszył się alarmu i biegał po ogrodzie, aż padł na serce, próbując schować się w krzakach, o które się poranił. Przecież tak właśnie mogło być. Zresztą niby jak mogło być inaczej?

Mimo dość logicznych podsumowań wewnętrzne napięcie nie chciało go opuścić. Cała ta struktura waliła się w przypadku, gdyby czujnik zadziałał prawidłowo. Musiałoby to oznaczać, że w pokoju sedymentacji ktoś był. Tyle że znalazł się tam w jakiś niepojęty sposób. Kanał wentylacyjny był dość szeroki, ale raczej nie na tyle, by człowiek mógł się tamtędy dostać. Poza tym, po co miałby się tam dostawać? Żeby poruszyć kilkoma słóikami? Jakby ktoś chciał coś niszczyć, to zapewne zrobiłby to skuteczniej. Nie, to musiał być strażnik, który ze strachu przed impulsywnym i trochę nieobliczalnym szefem po prostu się nie przyznał. Mógł też zwyczajnie nie



zauważyć, że potrafił stelaż. Albo co najbardziej prawdopodobne, zauważył, ale nie zdawał sobie sprawy, że to mogło spowodować zmieszanie roztworów w kilku naczyniach.

Ciągle jednak w tej dziwacznej historii było coś, co nie pozwalało mu o niej zapomnieć.

Znowu wziął do ręki telefon i znalazł właściwy numer.

– Wydział patologii sądowej – zabrzmiał spokojny głos.

– To ty Harald? Tu Arne. Masz dla mnie minutę?

– Jasne. Co tam słysząc? Pływałeś w tym sezonie?

– Nie, jakoś nie mogę się zebrać. Jacht stoi i próchnieje na nabrzeżu chyba od półtora roku, ale popływamy jeszcze.

– No, mam nadzieję. Ciągle w ciebie wierzę. Co tam? Mów.

– Słuchaj, mam taki problem. Mógłbyś mi zbadać psa? To znaczy zwłoki psa. Ale chciałbym to zrobić nieoficjalnie.

– Da się zrobić. A co się stało?

– Nic specjalnego. Wczoraj w nocy chyba ktoś się próbował włamać do Farm Labu na Noysomheten i dla psa skończyło się to fatalnie. To pies starego ogrodnika. On też nie widział, jak to się stało. Muszę napisać jakiś raport i przydałoby mi się coś w rodzaju twojej konsultacji. Problem polega na tym, że właściciel firmy jest mocno narwany i podejrzewa swoich pracowników. Ogródnik bał się wyjść, jak usłyszał alarm, i denerwuje się, że straci pracę. Obiecałem mu, że nie powiem właścicielowi.

– Rozumiem. Da się zrobić.

– Wyślesz tam kogoś? Nie trzeba wchodzić główną bramą. Od bocznej ulicy jest mała furtka zaraz przy domku tego ogrodnika. Jak się zawoła, to pewnie otworzy.

– Nie ma problemu, ktoś tam pojedzie. Ale wyniki będziesz miał, nie wiem, za dwa, trzy dni, bo mamy teraz pełno roboty i dwoje ludzi na zwolnieniu. Okej?

– Jasne. Może być za dwa, trzy dni. Dzięki.

– Nie ma sprawy. Odezwę się, jak to zrobimy.

Arne schował telefon do kieszeni i skręcił w Erlends vei.

\*

Chwilę trwało, zanim znalazł właściwy klucz. Wreszcie jeden dał się przekręcić. Zamek szczyknął i furtka otworzyła się, zrzucając mu na rękę krople osiadłej mgły. Zatrzasnął ją za sobą i ruszył kamienną ścieżką do ogrodu na tyłach domu. Dawno nieprzycinane krzewy cisu zasłaniały widok na równie gęsto zarośniętą sąsiednią posesję. Z tej części ogrodu nie widać było nawet fragmentu innych budynków. Minął boczną ścianę domu i stanął przed czterema stopniami szerokich schodów prowadzących na taras. W mokrej gładkiej powierzchni odbijała się ciemna szyba rozsuwanych drzwi. Zaciągnięta zasłona nie pozwalała zobaczyć wnętrza salonu. Wszedł na taras i kucnął przed biegnącą łukiem srebrną rysą na szybie. Zaczynała się u dołu, mniej więcej w połowie jednej z trzech przesuwanych części. Kończyła się na wysokości jego oczu. Na ramie, u początku rysy, nie było żadnego śladu. Oparł się o nią rękami i nacisnął lekko kolaniem na szybę. Ugięła się minimalnie, nie wydając żadnego odgłosu. Przesunął się kawałek dalej i napał mocniej kolaniem. Coś cicho skrzypnęło, ale rysa się nie wydłużyła. Podniósł się i spojrzał na ogród. Od tarasu do ogrodzenia kryjącego się w gąszczu bezlistnych krzaków oplecionych suchymi pędami wina rozpościerała się sucha, zarośnięta chwastami łąka, będąca zapewne kiedyś trawnikiem. Widać było, że pani Ronstad już wiele lat temu zaniechała jakichkolwiek prac ogrodowych.

Za kłębowiskiem niskich drzew i krzewów czerniał potężny świerkowy las. Arne wszedł z tarasu i zagłębił się po kolana w martwej, mokrej trawie. Na końcach szarych źdźbeł jarzyły się gdzieniegdzie kropelki rosy, odbijając światło dalekiej ulicznej latarni. Szedł wolno, uważnie przeczesując wzrokiem metr po metrze. Płatanina zeschniętych łodyg i opadłych liści wyglądała tak, jakby nikt nie chodził tu od miesięcy. Dotarł do krzaków i obejrzał się za siebie. Trzeba było mocno wyteńczyć uwagę, aby dostrzec ślad, który teoretycznie powinien po nim pozostać. Kilka dni deszczu, wiatru i śniegu zatarłoby prawdopodobnie nawet ślad samochodu, gdyby ktoś nim tu wjechał. Zasłonił twarz rękami i przedarł się przez zahaczające o ubranie, oplecione dzikim winem gałęzie. Po kilku metrach harataniny dojrzał wreszcie do płotu. Zardzewiała siatka, rozpięta na żelaznych słupkach, biegła w jedną i drugą stronę, niemal na całej długości poprzerastana krzakami. Kilkanaście metrów za siatką zaczynał się las.

Arne odetchnął głęboko i zamknął na chwilę oczy. Zastanawiał się, czy ma dość energii, by pokonać tę dżunglę. I po co właściwie miałby się przez nią przedzierać? Co dałoby mu znalezienie dziury w tym płocie? Czy wyjaśniłoby wyraz przerażenia na martwej twarzy, którą zobaczył na zdjęciu? Odpowiedź była oczywista: niczego by to nie wyjaśniło, jeśli tu w ogóle było coś do wyjaśniania. Stał jednak dalej i wyteżał wzrok, by przeniknąć gęstą sieć krzyżujących się gałęzi.

Splot dziwnych wydarzeń ostatnich dni w jakiś sposób ożywił go, odsuwając na bok coraz częstszy lęk przed samotnością czy też po prostu przed starością. Zdawał sobie sprawę, że najprawdopodobniej ulega sugestii, kojącej wewnętrzną pustkę iluzji, której chyba jednak nie chciał utracić. Tak, szukanie dziury w płocie w tym momencie jego życia miało sens samo w sobie.

Naciągnął kurtkę na głowę, pochylił się i ruszył tyłem wzdłuż siatki. Napierał plecami na gałąź i zasłoniwszy twarz ramieniem, brnął powoli, obserwując zardzewiały płot. Po kilku minutach fizyczne zmęczenie i narastające poczucie absurdalności kazało mu się zatrzymać.

Z oddali słychać było jadący za lasem pociąg z cysternami do położonej na płaskowyżu rafinerii i odbywającą się gdzieś bliżej awanturę między wronami. Spomiędzy drzew przezierало światelko okna jakiegoś dalekiego sąsiada. Postanowił jednak dokończyć, co zaczął. Po kilku krokach poczuł bolesne ukłucie w lewej łydce. Z trudem odwrócił się i zobaczył dziurę w siatce. Przerdzewiały drut pękł i sterczał wygięty. Splot rozszedł się do połowy wysokości płotu. Przez taką dziurę mógł przecisnąć się człowiek albo spore zwierzę. Zeschłe łodygi traw sterczały pod nią podobnie jak naokoło. Może były nieco niższe. Może kilka z nich nie złamało się od wiatru. Nie sposób było tego stwierdzić. Uważnie przyjrzał się sterczącemu drutowi, ale nie znalazł żadnej sierści czy nitki z ubrania. Podniósł się i cofnął kilka kroków. Nie chciał w tym miejscu przedzierać się w kierunku domu. Może jeszcze trzeba będzie tu przyjść i zbadać to miejsce dokładniej.

Oslonił twarz ramionami i przecisnął się przez krzaki. Pokonał zdziczały trawnik i z kompletnie przemoczonymi nogawkami stanął na ganku. Otworzył oba zamki, ale gdy położył rękę na klamce, przyszło mu do głowy, że gdy wejdzie, może uruchomić się alarm. Stał tak chwilę, nie wiedząc, co ma zrobić. Wydało mu się mało prawdopodobne, żeby ochroniarze, gdy wychodzili z policją, włączyli alarm, ustawiając nowy kod. Chociaż właśnie tak powinni zrobić. Dom zapewne nadal był pod ich opieką. Postanowił zaryzykować.

Gdy zamknął drzwi, ogarnął go zapach starego mieszkania. Wosk do mebli, trochę czegoś w rodzaju naftaliny i chyba niewyrzucone resztki jedzenia. Nigdzie nie świeciła żadna lampka kontrolna. Panel alarmowy musiał być gdzieś schowany. Zajrzał do szafy. Zamontowany był na bocznej ścianie. Nic nie migąło – wyglądało na to, że jest nieaktywny. Rozejrzał się za włącznikiem i zapalił światło w przedpokoju. Wszedł do salonu. Pozostawiono go w takim stanie, jak wyglądał na zdjęciach. Etażerka odsunięta od kanapy, pod nią kawałki kolorowej porcelany. Podeszedł do drzwi tarasowych, rozsunał zasłony i usiadł na kanapie z prawej strony, gdzie najprawdopodobniej siedziała Ronstad tuż przed śmiercią. Część drzwi zasłaniał stół z krzesłami w pokrowcach. Ze środka i z lewej strony kanapy widok na ogród był szerszy. Arne znów usiadł z prawej, tuż przy bocznym oparciu. Przechylił się przez nie, tak jakby chciał sięgnąć do etażerki. Wysunął się, jak mógł najbardziej, i rozluźnił ciało. Zsunął się na podłogę. Upadł z przodu kanapy. Ronstad nie mogła znaleźć się przy ścianie, spadając z kanapy w jakikolwiek dający się wyobrazić sposób.

Musiała znaleźć się tam z własnej woli. Musiała próbować się tam schować.

Wstał i położył się na podłodze; plecy i głowę oparł o ścianę. Lewą rękę zostawił na bocznym oparciu. Z tego miejsca taras był dobrze widoczny. Widziało się go pod blatem stołu. Wstał i spojrział na ścianę. Widać było na niej ciemniejszy ślad. Odpowiadał wysokością górnej półce etażerki. To było miejsce, gdzie stała. Odległość od kanapy wynosiła mniej więcej pół metra. Przesunął etażerkę na jej stare miejsce, zaznaczywszy przedtem pozycje jej nóg kawałkami porcelany. Usiadł na podłodze i spróbował wcisnąć się tak, aby nie było go widać z tarasu. Etażerka przesunęła się trochę. Ronstad musiała zrobić to samo. Poszło jej nawet łatwiej, bo była węższa w ramionach. Dlaczego wobec tego etażerka znalazła się pół metra dalej? Z tarasu ciągle widać było jego nogi. Mimo że podkurczone, wystawały za krawędź kanapy do połowy łydki. Aby je schować, musiał popchnąć etażerkę plecami i ułożyć się skosem. To wtedy najprawdopodobniej spadła na podłogę porcelanowa figurka. Arne leżał na podłodze i patrzył pod blatem na fragment tarasu.

W salonie było dość ciemno, oświetlała go jedynie lampa z przedpokoju. Szary zmierzch pozwalał dostrzec krzaki na tle czarnego lasu. Tak było teraz, ale to zdarzyło się w środku nocy. W salonie musiało palić się światło. Jeśli nie żyrandol, to pewnie lampka na etażerze lub stojąca po drugiej stronie lampa na wysokiej nodze. To, co zobaczyła Ronstad, musiało być blisko. Przy samej szybie.

Podniósł się z podłogi i zapalił obie lampy. Rozejrzał się za wejściem do kuchni. Była od strony ulicy. Wpadało do niej żółte światło latarni. Otworzył szafkę pod zlewem, zapalił lampę i zajrzał do kubła na śmieci. Na dnie plastikowego worka leżało pogniecione opakowanie po pieczywie tostowym, połówka wyciśniętej cytryny, resztki ziemniaczanego purée, kilka kawałków pomidora i zmięty ręcznik papierowy. Wyjął worek, zawiązał go i odstawił pod drzwiami. Otworzył szafkę wiszącą nad blatem. Przebiegał wzrokiem po dziesiątkach opakowań, aż znalazł to, czego szukał. Za paczką kawy bezkofeinowej stały dwa pudełka z herbatą. Wyjął je i otworzył. Earl Grey był prawie nienapoczęty. W drugiej paczce pozostało jeszcze trochę zwykłej czarnej herbaty. Na blacie stał chiński żeliwny imbryczek. Jego sitko do połowy wypełnione było jeszcze mokrymi listkami. Włączył kuchenkę elektryczną i postawił na niej czajnik. Płyta rozgrzewała się powoli.

Zastanawiał się, gdzie Greta Jensen mogła zwykle pijać herbatę. W kuchni nie było żadnego stolika. Może siadała przy blacie kuchennym na taborecie, który stał teraz obok lodówki. Pewnie robiła to jednak w salonie. Wyszedł z kuchni i ruszył na piętro. Gdy minął zakręt, jego wzrok spoczął na wiszącym na ścianie obrazie. Był znowu lekko przekrzywiony. Podeszedł do niego i wyprostował, tak jak zrobiła to Ronstad. Stał w drzwiach ciemnej sypialni. Okno zasłonięte było grubą zasłoną. Zapalił kinkiet w korytarzu i oparł się o framugę. Bok komody wchodził w prostokąt światła. Dolna szuflada była wysunięta. Wystawała chyba kawałek dalej niż wtedy, gdy

stała przed nią Ronstad. Wszedł do sypialni i trzymając się jak najbliżej łóżka, podszedł do stojącej pod oknem lampy. Gdy wrócił tą samą drogą pod drzwi, sypialnia jaśniała już trupim blaskiem energooszczędnej żarówki. Uklęknął i spojrzął na podłogę przed komodą. Śladów pantofli nie było. Cała pokryta była cienką warstwą kurzu. Zastanawiał się, jak to możliwe. Od śmierci pani Ronstad minęły dopiero dwie doby. Musiała wchodzić do sypialni, bo łóżko nie było posłane. Zsunęta do połowy kapa odsłaniała kołdrę sfałdowaną tak, jakby ktoś na niej leżał. Gdyby nie wchodziła tu od czasu jego wizyty, opadający z powietrza kurz miałby jakieś cztery doby, żeby zatrzeć ślady. Nie miał pojęcia, czy tyle wystarczy. Podsunął się bliżej i dotknął ręką parkietu. Warstwa kurzu była niezwykle cienka. Palce zostawiły prawie niezauważalny ślad. Może wystarczy otwarte okno albo posłanie łóżka, żeby kurz wzbił się i opadł.

Postanowił nie przejmować się kurzem i podszedł do komody. Rzeczy w szufladzie wyglądały jak wtedy, gdy mechanicznym ruchem przekładała je właścicielka. Spróbował delikatnie wysunąć szufladę. Nie poddała się tak łatwo, jak oczekiwał. W głębi ducha przypuszczał, że może chodzi za lekko na rolkach i sama się po trochu wysuwa, gdy ktoś przechodzi obok. Uderzył parę razy w bok komody. Szuflada drgnęła i chyba nawet kilka milimetrów się wysunęła. Były to jednak dość mocne uderzenia i trudno było sobie wyobrazić, że któraś ze starszych pań co pewien czas waliła w komodę z taką siłą, i to w dodatku nieświadomie.

Wsunął szufladę i zgasił lampę. Z kuchni dobiegał klekot pokrywki na czajniku. Zszedł na dół i zalał wrzątkiem herbatę w imbryczku. Rozejrzał się za kubkiem. W szafie znalazł małe filiżanki do kawy i szklanki z uszkiem. Wziął jedną z nich i napełnił w trzech czwartych gorącą herbatą. Przeszedł do salonu i zapalił lampkę na etażerze. Odsunął krzesło i postawił szklankę na stole. Usiadł przed nią i oparł łokcie na blacie. Siedział nieruchomo i wpatrywał się w parujący rudopomarańczowy płyn. Światło lampki, przechodząc przez szklankę, ogniskowało się na wierzchu jego dłoni. Wyciągnął nogi i oparł się na krześle.

Właśnie w tym miejscu mogła siedzieć Greta Jensen. Czekala, aż herbata nieco wystygnie. Pani Ronstad spała w swoim łóżku na górze w sypialni. Herbata stygła i parowała. W domu panowała zupełna cisza. Nagle Greta Jensen zauważyła, że herbata jest dziwna. Przestraszyła się i chwyciwszy płaszcz, wyszła z domu, tracąc częściowo pamięć. Przecież to jest jakaś kompletna bzdura. Jeśli w domu działałoby się coś strasznego, Ronstad chyba też by się obudziła i razem uciekłyby na ulicę. Gdyby zaś Ronstad w jakiś sposób straszyla Jensen, to potem sama nie musiałyby umierać ze strachu. Zaczynał mieć tego dosyć. Kto powiedział, do cholery, że Ronstad umarła ze strachu? On sam tak powiedział, bo miała dziwny wyraz twarzy na zdjęciu. Zapomniał nagle, jakie miny mają ludzie po śmierci? Mało to potwornych zdjęć widział w podręcznikach medycyny sądowej? Powinien z tym skończyć. Skończyć z udawaniem, że coś niezwykłego dzieje się w jego niestety zwykłym i wytracającym energię życiu. Odczuwane gdzieś pod splotem

słonecznym napięciu ekscytacji zamieniało się w dławiący ból rozczarowania, który powoli przesuwał się ku górze.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Narastało w nim wewnętrzne rozbicie i wiedział, że nie będzie łatwo sobie z tym poradzić. Wszedł do kuchni i zgasił światło. Wziął worek ze śmieciami i wyciągnął klucze z kieszeni. W przedpokoju przypomniał sobie, że powinien zasłonić drzwi tarasowe i zgasić lampy. Odstawił worek i cofnął się do salonu. Rozmyślił się jednak, podszedł do stołu i sięgnął po szklankę. Jeszcze przed chwilą siedział nad nią, dogłębnie przejęty.

Niesamowitość sytuacji, w jakiej się znalazł, wyostrzyła jego zmysły i tak rozpalila wyobraźnię, że niemal zobaczył demona unoszącego się nad parującą powierzchnią herbaty. Teraz wstydził się tego i jak najszybciej chciał ją wylać do zlewu, a szklankę odstawić do szafy. Zrobiłby tak pewnie, gdyby do sprzecznych uczuć nie dołączyło kolejne. Chciał jej jednak spróbować. Z pełną, jak mu się zdawało, świadomością idiotyzmu swojego zachowania podniósł szklankę do ust i upił trochę. Była już tylko ciepła i smakowała jak zwykła słaba herbata, czemu oczywiście w najmniejszym stopniu się nie dziwił.

Zgasił lampkę i podszedł do lampy stojącej obok stoliczka z telefonem. Widok aparatu natchnął go nową myślą: przecież ta Ronstad musiała mieć jakichś znajomych. Wysunął małą szufladkę. Leżało w niej kilka długopisów, okulary, jakieś rachunki ze sklepu i czarny notes. Odstawił szklankę na stolik i usiadł w dużym, klubowym fotelu. Zaczął przerzucać kartki. Zaledwie kilkanaście nazwisk. Nie miał pojęcia, kim mogą być ci ludzie. W pamięci telefonu nic. Ronstad chyba nie była zbyt towarzyska albo nie używała elektronicznych udogodnień. Nacisnął przycisk ponownego łączenia. Na wyświetlaczu pojawił się jakiś numer. Znalazł go w notesie pod hasłem „sklep”. Przerzucił jeszcze kilka kartek. Nazwisko Lene Sorensen wydało mu się z jakichś powodów bardziej przystępne niż niewyraźnie napisane Halvorsen. Wpisał numer i podniósł słuchawkę do ucha. Chyba wszystkie numery w notesie były telefonami stacjonarnymi, musiały należeć do starszych ludzi, którzy nie znosili skomplikowanych klawiatur telefonów komórkowych i pewnie w ogóle nie dzwonili za wiele. Notes był prawie pusty. Może wpisy pochodziły jeszcze z czasów, kiedy sieci komórkowe dopiero się rozwijały. Może miała inny notes, którego używała na co dzień. Po drugiej stronie nikt nie odbierał. Cofnął się do początku. Pod A był tylko Akselberg. Wybrał numer i czekał na połączenie. Po dłuższej chwili odezwał się głęboki, męski głos:

– Halo, słucham.

– Dobry wieczór. Nazywam się Arne Hilmen, jestem oficerem policji z komisariatu przy Nissens gate. Czy rozmawiam z panem Akselbergiem?

– Tak, słucham – odpowiedział mężczyzna bez specjalnego zaniepokojenia.

– Mam dla pana smutną wiadomość. Pani Ronstad zmarła przedwczoraj. Państwo, zdaje się, przyjaźniliście się.

– Tak, wiemy o tym. Bardzo jesteśmy tym poruszeni. Dowiedzieliśmy się od znajomej. Przejeżdżała tamtędy, jak właśnie była policja. Podobno zmarła na serce, prawda? – W głosie nie wyczuwało się jednak głębszego poruszenia.

– Tak, lekarz stwierdził, że to serce było przyczyną.

– No tak, domyślaliśmy się. Od dłuższego czasu miała problemy z arytmia.

– Czy państwo ostatnio kontaktowaliście się może z panią Ronstad? Pytam, bo pani Ronstad przywołała ochronę tej nocy, kiedy to się stało, i może opowiadała komuś, że coś ją niepokoi czy coś w tym rodzaju.

– Ja nie, ale żona rozmawiała z nią przez telefon kilka dni temu. Sigrid dzwoniła dość późno w nocy. Była chyba rzeczywiście w jakimś złym stanie psychicznym. Mówiła, że nocą nie czuje się najlepiej.

– Pamięta pan może coś więcej?

– Żona wyczuła, że Sigrid jakby miała jakieś lęki. Chyba nawet powiedziała coś takiego, że boi się sama być w domu nocą. Trochę dziwne rzeczy mówiła. Podobno powiedziała, że ma wrażenie, jakby ktoś był w domu. No, żona tłumaczyła jej, że przecież mieszka z Gretą, ale ona mówiła, że to co innego. Tak o tym mówiła, jakby... – zawahał się – jakby wstydziła się przyznać, że ma takie myśli... Jej się chyba wydawało, że to Asmund, jej nieżyjący mąż... Rozumie pan.

– No tak, chyba rozumiem.

– Sigrid bardzo przeżyła śmierć męża. My zresztą też. Szczerze mówiąc, bardziej z nim byliśmy zaprzyjaźnieni. Wykładaliśmy z profesorem Ronstadem na uniwersytecie. Nie wiem, co mogę jeszcze panu powiedzieć... Następnego dnia Sigrid dzwoniła jeszcze i przepraszała za ten telefon. Chyba wstydziła się, że wyszło na to, że wierzy w duchy.

– Rozumiem. A nie wie pan, czy rozmawiała z kimś jeszcze o tych swoich niepokojach? Może ta państwa znajoma, która przejeżdżała wtedy, coś mogłaby wiedzieć?

– Wie pan, nie sądzę. Karin, z tego, co wiem, nie była w najlepszych stosunkach z Sigrid. Mieszka niedaleko i często tamtędy przejeżdża. To przyjaciółka mojej żony. Pewnie więcej może powiedzieć Greta, ona od lat pracowała u Ronstadów.

– No tak, oczywiście. Rozmawiałem z nią. Tak się jednak złożyło, że Greta Jensen też miała swego rodzaju problemy. Przeżyła jakiś szok kilka dni wcześniej i doznała częściowego zaniku pamięci. Trudno z nią się w tej sprawie porozumieć. Jest na obserwacji w szpitalu.

– Co też pan mówi? To rzeczywiście dziwna historia. – Akselberg zdawał się tym o wiele bardziej poruszony. – To była, znaczy to jest, mocno starsza pani. Bardzo samotna i jak odniosłem wrażenie, raczej z własnej woli unikająca kontaktów. Przyznam się, że chyba zaledwie raz czy dwa razy z nią rozmawiałem, i to bardzo dawno temu. Problemy z pamięcią, zaniki pamięci to w starszym wieku nie takie rzadkie przypadłości. Niestety, wiem coś o tym.

– No tak. Dziękuję panu bardzo i przepraszam, ale muszę dopełnić trochę różnych formalności, stąd te pytania.

– Rozumiem. Oczywiście. Proszę dzwonić, jeśli jeszcze chciałby się pan czegoś dowiedzieć, ale chyba to wszystko, co wiem na ten temat. Po śmierci Asmunda nasze kontakty rozluźniły się i właściwie nie odwiedzaliśmy się. Tak jak mówiłem, żona czasami rozmawiała z nią przez telefon.

– Dziękuję panu, na pewno zadzwonię, jeśli jeszcze będę czegoś potrzebował. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i opadł na oparcie fotela. Zdał sobie sprawę, jak bardzo był spięty podczas tej rozmowy. A więc Ronstad bała się ducha. Podejrzewała, że duch jej męża wysuwa szufladę z komody. Dlatego chciała, aby on ją sprawdził. Stało się jasne, dlaczego przełożyła kilka rzeczy, nie sprawdzając dokładniej, czy coś zginęło. Wiedziała, że Jensen niczego stamtąd nie wzięła. Jasne też było, przynajmniej dla niego, że duchów przesuwających meble nie ma, czego więc naprawdę się bała?

Wstał z fotela i wszedł po schodach na górę. Zapalił światło w korytarzu i zajrzał do sypialni. Szuflada w komodzie była zamknięta, tak jak ją zostawił. Podszedł z boku do komody i kilka razy w nią kopnął. Ciężki mebel zadrżał nieznacznie, ale wążutki pasek górnej krawędzi szuflady ukazał się jednak, łapiąc światło z korytarza. Arne oparł nogę o blat komody i spróbował poruszyć ją w ten sposób. Naparł kilka razy dość mocno, ale nawet nie zaskrzypiała. Wymierzył w jej bok jeszcze parę kopniaków. Jasny pasek krawędzi minimalnie się poszerzył. Widać było, że tą metodą szuflada może i da się w końcu bardziej wysunąć, ale operacja musiałaby trwać naprawdę długo, a hałas byłby dość znaczny. Ludzie i duchy nie wysuwają szuflad w ten sposób.

Zanim wyszedł z sypialni, podszedł do łóżka i położył się na nim. Było na tyle wysokie, a komoda w jego nogach stała na tyle blisko, że z tej pozycji szuflady nie dało się zobaczyć. Niewiele powiedziało mu to doświadczenie. Wstał i zszedł na dół. Zasunął zasłony w drzwiach tarasowych i zgasił obie lampy. Zabrał ze sobą śmieci w worku i wyszedł na dwór. Szary plastikowy kubek znalazł w zarośniętej bluszczem altance koło furtki. Wrzucił tam worek i wyszedł na ulicę. Było już zupełnie ciemno. Mgła przepływała powoli między poskręcanyimi gałęziami drzew i osadzała się na nich. Świeciły matową szarością pod nienickającym w dali rzędem latarni. Ruszył szybkim krokiem w górę ulicy. Założył wełnianą czapkę, bo zrobiło się naprawdę zimno. Myśli, nietrafne wnioski, pytania i dziwne wyobrażenia kłębiły mu się w głowie. Wszystko sprowadzało się do jednego: czego one się przestraszyły? Coś przecież musiały zobaczyć. Był prawie pewny, że Jensen usiadła z herbatą w salonie. Może nie przy stole. Może na kanapie albo w fotelu obok telefonu. Z każdego z tych miejsc widać było taras. Ktoś w nocy musiał się tam pojawić. Ktoś lub coś tak straszego, że Jensen doznała szoku i straciła pamięć, a Ronstad nie wytrzymało serce. Światło z salonu dociera ledwie poza krawędź tarasu. Gdyby coś pojawiło się na trawniku, z salonu nie byłoby widoczne przez nakładające się dodatkowo na ciemny obraz odbicie



oświetlonego wnętrza. To, co przeraziło Ronstad i Jensen, musiało podejść do samej szyby. Coś dziać się musiało na tarasie. Chyba że było to jakoś inaczej oświetlone. Na część trawnika pada trochę światła latarni stojącej przed domem. Jeśli to coś nie było czarne, tylko białe albo chociażby szare, może mogło być widoczne z salonu. Pas słabego światła rzuconego z ulicy zaczyna się w odległości pięciu czy sześciu metrów od schodów tarasu. To za daleko jednak, żeby stojącą tam postać dało się zobaczyć z kanapy, a co dopiero z jednego z krzeseł przy stole. Chyba że to potworne zjawisko świeciło własnym światłem...

Arne przypomniał sobie głupią historię, która zdarzyła mu się przed ponad dwudziestu laty. Był w kinie na *Szczękach*. Film wywarł na nim mocne wrażenie. Prawie zeszytniały ze strachu oczekiwał pojawienia się potwornego rekina, który znieacka wyłaniał się z mrocznej głębi. Wracał sam ciemnymi ulicami i co pewien czas oglądał się za siebie. Wstydlive jak na ten wiek, płęć i aspiracje uczucie, że jakiś rekin unoszący się nad ziemią wychynie na niego z zaułka, towarzyszyło mu całą drogę. Kiedy wszedł do domu, z ulgą zapalił światło w korytarzu. Rzucił kurtkę na oparcie krzesła i zawahał się przed zgaszeniem światła, zanim wszedł na schody prowadzące na piętro. Górny wyłącznik niestety nie działał i aby lampa nie paliła się przez całą noc, trzeba ją było wyłączyć na dole. Wchodząc na górę, nie zdołał opanować wyobraźni wysyłającej za nim z ciemności rekina. Gdy był w połowie schodów, usłyszał za sobą ślizgające się po stopniach pazury jakiegoś goniącego go zwierzęcia. Lodowaty dreszcz przeszedł mu przez całe ciało. Wbiegł, potykając się, na górny korytarz i dopadł do włącznika kinkietu. Dysząc z przerażenia, podszedł do balustrady i spojrzął w dół. Na schodach nic nie było. Za to jego kurtka leżała pod krzesłem. Zsuwający się po krawędzi oparcia zamek błyskawiczny był źródłem odgłosu pazurów. Odetchnął wtedy głęboko i stał chwilę, żeby ochłonać. Z uczuciem uszczerbku na męskiej dumie i postanowieniem popracowania nad sobą otworzył drzwi do pokoju. Zamknął je, nie zapalając światła. Gdy się odwrócił, ciarki przeszły mu po plecach. Za firanką stała drżąca postać w kapturze. Przez sekundę czy dwie nie był w stanie zrobić kroku, zanim dotarło do niego, co widzi. Światło ulicznej latarni rzucało na firankę cień czubka chwiejącego się na wietrze niskiego świerka. Cieniowi drzewa daleko było do sylwetki zakapturzonego mnicha. Właśnie wtedy zdał sobie sprawę, jak działa mózg w chwilach napięcia. Rzeczywisty obraz czy dźwięk przez ułamek sekundy przeistacza się w pasujący do stanu ducha kształt. Miał wrażenie, że ta głupia historia zahartowała go jednak. Nigdy później w podobnych okolicznościach nie doświadczył już takich stanów.

Wrócił myślami do domu profesora. Może po prostu ktoś chciał je nastraszyć, przyszło mu nagle do głowy. Jakiś zidiociały wesołek przebierał się w upiorny strój i podświetlał latarką. Wyłaniał się z ciemności i zbliżał do okna. Jeśli nie zauważyły, napierał na szybę, aż pękła. Udało mu się przerazić Jensen, która wybiegła na ulicę, dostarczając mu wspaniałej zabawy, to zabrał się za Ronstad i tu przeholował. Musiał widzieć przez okno, jak sięga po pilota alarmowego, chowając

się za kanapą, i uciekł w popłochu, przechodząc przez furtkę albo przez dziurę w płocie. Może nawet nie widział, co się z nią stało. To może być całkiem ekscytujące, takie nocne wypadki, pomyślał. Kilku chłopaków pracuje nad odpowiednimi strojami i sprytnymi sposobami przerażającego oświetlenia. Diody, światłowody, nawet zwykłe małe latarki. Sam tak się bawił kiedyś przed lustrem w ciemnej łazience. Wystarczyło wykrzywić twarz i odpowiednio blisko nad czołem albo przy brodzie ustawić niezbyt silną latarkę. Efekt był nadspodziewanie upiorny. Wszystko zależało od kąta padania światła. Ciekawe, czy to nie tacy amatorzy mocnych wrażeń próbowali się ukazać komuś kilka dni temu na Flaenveien, gdzie włączył się czujnik w oknie tarasowym. Nie wiedzieli, że w domu nie ma nikogo. Stukali w szybę, napierali na nią, aż pękła. Taka wersja wydarzeń tłumaczyłaby wszystko. Ale co w takim razie stało się w ogrodzie Farm Labu? Uciekający pies nie szczeka. Ogrodnik przestraszył się szczekania, więc pies musiał coś atakować. Może przebiezańców. Szukając mocniejszych wrażeń, zakradli się, chcąc przestraszyć wartownika. Zanim zdążyli mu się ukazać, dopadł ich pies. Uderzyli go czymś albo potraktowali gazem, co tłumaczyłoby dziwne szczekanie. Mało prawdopodobna jednak wydawała się koincydencja z alarmem w pokoju sedymentacji. Choć mogło się zdarzyć, że któryś z nich uderzył czymś tępym w taflę pancernej szyby, wzbudzając jakimś cudem wewnętrzny czujnik ruchu. Było to naciągane, ale sporo wyjaśniało. Na Erlends vei profesorowa usłyszała, że ktoś kręci się po ogrodzie. Podeszła do etażerki, żeby wezwać pilotem ochronę. Zapaliła światło w salonie i zobaczyła przygotowane dla niej przedstawienie na tarasie. Wszystko stawało się jasne. Znikała przerażająca tajemnica, a z nią obsesja wyjaśnienia niepojmowalnego zagrożenia. Pozostało konkretne zadanie do wykonania. Trzeba wytropić sprawców.

\*

Zdziwił się, jak szybko dotarł do domu. Włączana czujnikiem ruchu lampa nad wejściem oświetliła jego postać odbijającą się w szybie drzwi. Górne oświetlenie wydobyło czoło i kości policzkowe. Oczy zapadły się w czarne oczodoły. Podeszedł bliżej i szukając w kieszeni kluczy, powoli pochylał głowę. Odbicie dolnej szczęki zniknęło, pogrążone w cieniu. Gdyby pomalował sobie czubek nosa na czarno, jego twarz wyglądałaby jak żyjąca ludzka czaszka. Może coś takiego Ronstad zobaczyła z kanapy? Wyobraził sobie, jak zaniepokojona jakimiś dziwnymi odgłosami odwraca się w stronę drzwi tarasowych i próbuje dostrzec, co się dzieje za szybą. Wydaje jej się, że nic tam nie ma. Nagle w dziwnym miejscu, u dołu okna, spostrzega upiorną, jakby zawieszoną w ciemności, zniekształconą twarz. Poczuł, że sztywnieje ze zgrozy. W tym momencie dotarło do niego, jak bardzo się myli: okno tarasowe w salonie było całkowicie zasłonięte. To, czego się przeraziła, musiało być w środku. Z kieszeni wypadły mu kluczyki do samochodu. Zapomniał o nim i zostawił na Erlends vei.

\*

Obudził go telefon pani Nygaard. Trochę trwało, zanim zrozumiał, jakie dokumenty powinien podpisać do jedenastej. Teraz był już pewny, że pani Nygaard uważa go za alkoholika. Zdjął z siebie kota i poszedł do łazienki wziąć prysznic. Pod lejącą się na kark gorącą wodą powoli dochodziło do jego świadomości, co wydarzyło się wczoraj. Po dłuższym namyśle zrozumiał, że jedynym realnym wydarzeniem był telefon do znajomego Ronstad, a właściwie znajomego jej męża, który wspominał o lękach i dziwnym wrażeniu, jakiego doznawała w nocy. Poza tam nic się nie wydarzyło. Wszystko, co przeżył, działo się w jego głowie.

Ubrał się i włączył ekspres do kawy. Wyjął z szafy zieloną torebkę suchej karmy, która – zignorowana przez kota – znalazła się tam kilka miesięcy temu. Kot podszedł do miski, powąchał granulki i spojrzał na niego z wyrzutem. Za oknem dachy domów niknęły w ciemnej szarości. Mgła nie ustępowała. Arne popijał kawę, zagapiony w daleki czubek topoli. Za plecami usłyszał kilka niemrawych chrupnięć i oddalające się skrzypnięcia podłogi pod obrażonym zwierzęciem.

Co dalej? Myśl o długim spacerze po zostawiony samochód napawała go niemal wstrętem. Chciał jak najszybciej oderwać się od nastroju domu przy Erlends vei. Problem polegał na tym, że nie znajdował niczego, co mogłoby go od niego skutecznie odciągnąć. Liv nie dzwoniła z Portugalii, on też nie miał ochoty się do niej odzywać. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, dlaczego wciąż są czymś w rodzaju pary. Zdawał sobie sprawę, że Liv jest z nim z braku lepszego kandydata. Niekoniecznie dlatego, że miał swoje lata. Oglądała się za przystojnymi facetami w jego wieku. Jasne, że szuka kogoś z większą forszą. Nie miał jej tego za złe, z jakichś powodów nie raniło to jego poczucia własnej wartości. Chyba oboje traktowali ten związek w sposób, w jaki on traktował pracę w komisariacie. Przyszłość miała coś przynieść, oboje na coś czekali.

Odstawił kubek do zlewu i włożył kurtkę. Na dworze zimne, wilgotne powietrze przeniknęło pod sweter. Owinął szyję szalikiem i dopiął zamek. Szedł szybkim, zdecydowanym krokiem. Miało mu to ułatwić niemyślenie. Zsynchronizowanie rytmu oddechów z rytmem kroków przez jakiś czas nawet pomagało dość skutecznie, ale już po kilku przecnicach walka z cisnącymi się do głowy wyobrażeniami i pytaniami bez odpowiedzi zaczynała wyglądać na przegraną. Kiedy skręcił w Erlends vei, nawet nie próbował już im się przeciwstawiać. Minął mercedesa, podszedł do furki, otworzył ją i wszedł do ogrodu. Od wczoraj nic się tu nie zmieniło. Drzwi tarasowe były zasłonięte, ale zasłony nie stykały się ze sobą. Przez wąską szczelinę można było od biedy coś zobaczyć. Wczoraj, gdy je zasłaniał, musiał to zrobić niezbyt dokładnie. Może Ronstad nie robiła tego lepiej. Może tej nocy szczelina między zasłonami była szersza i to, co zobaczyła, znajdowało

się jednak na zewnątrz.

Otworzył oba zamki i wszedł do domu. Zanim usiadł na kanapie, rozsunął zasłony i spróbował je zsunąć, nie wkładając w to zbyt dużo siły. Chodziły po wspólnym pręcie karnisza niezbyt gładko i szczelina pozostała szersza niż poprzednio. U dołu okna była wystarczająco szeroka, żeby jakaś twarz mogła się przez nią ukazać, jeśli tu w ogóle coś komuś się ukazywało.

Wszedł na piętro i zajrzał do sypialni. Komoda wyglądała tak, jak ją zostawił. Dolna szuflada wystawała mniej więcej na centymetr. Nachylił się i zgarnął trochę kurzu z podłogi przy samej komodzie. Tam jego warstwa wydawała się nieco grubsza. Na klepce pozostał wyraźny ślad. Sięgnął drugą dłonią głęboko pod spód i przesunął na podobną odległość. Na palcach obu rąk miał mniej więcej tyle samo kurzu. To trochę dziwne, pomyślał. Pod komodą powinno go chyba być więcej. Nie mogąc znaleźć żadnego sensownego wytłumaczenia, postanowił rozejrzeć się trochę po domu, zanim raz na zawsze stąd wyjdzie. Po przeciwnej stronie korytarza były drzwi. Otworzył je i wszedł do gabinetu profesora. Po tytułach książek zajmującej dwie ściany biblioteki zorientował się, że był prawnikiem. Pod wychodzącym na ulicę oknem stało ogromne biurko. Poza lampą i ramką ze zdjęciem profesorowej sprzed może dwudziestu lat nie było na nim niczego. Sądząc po kurzu, musiało nie być sprzątane przynajmniej od tygodnia. Nie miał ochoty zaglądać do szuflad i węszyć w życiu profesora. Jeśli gdzieś w domu zdarzyło się coś dziwnego, to Ronstad by mu to pokazała, tak jak zrobiła to z komodą. Przykryte pokrowcami fotele, mały stolik, niski regał z winylowymi płytami i stojącym na nim gramofonem. Nie było tu nic ciekawego.

Odwrócił się do drzwi i spojrzał jeszcze raz na bibliotekę. Książki stały w równych rzędach od ziemi do sufitu. Chciał już wyjść, kiedy spostrzegł, że na najwyższej półce stoją jakoś inaczej. Kilka z nich wysuniętych było kawałek poza krawędź półki. Podeszedł bliżej i spróbował do nich sięgnąć. Były za wysoko. Wyglądało, że ktoś chciał wyciągnąć jedną z nich, ale zrezygnował.

Rozejrzył się po gabinecie. W jednym z kątów stała trzystopniowa drabinka biblioteczna. Przynal ją do półek i stanął na najwyższym stopniu. Chwycił grzbiet najbardziej wystającej książki i spróbował wyciągnąć. Nie były ciasno upchane, ale ta, którą poruszył, pociągnęła jednak za sobą kilka sąsiednich. Przytrzymał je drugą ręką i wyjął podręcznik uniwersytecki do socjologii. Nic szczególnego nie było w tej książce, obok stały inne podręczniki. Przekartkował ją szybko, nic z niej nie wypadło. Wydało mu się jednak dziwne, że nie ma na niej kurzu. Sięgnął po inną książkę, z niższej półki, i dmuchnął na nią od góry. Na tle okna zawirował pylisty obłok. Ktoś niedawno musiał wyjąć ten podręcznik do socjologii i go przeglądać. Wziął do ręki sąsiednią książkę. Była zakurzona jak ta z dolnej półki.

Przyjrzał się dokładniej podręcznikowi – miał zgnieciony róg jednej z twardych okładek. Wypadł komuś z rąk albo spadł z półki i uderzył o podłogę. Dlaczego profesorowa Ronstad albo Greta Jensen miałyby nagle do tego stopnia zainteresować się socjologią, żeby wspinać się po

drabince do najwyższej półki i sięgać po podręcznik akademicki pierwszego roku? Kilka książek socjologicznych stało na niższych półkach; wszystkie pokryte były kurzem.

Coś musiało się jednak tutaj wydarzyć. Przypomniał sobie, co Akselberg powiedział mu przez telefon. Ronstad, według niego, wstydziła się przyznać do swoich przypuszczeń, że duch jej męża pojawia się w domu. Książka musiała jakimś sposobem spaść z półki, a Ronstad znalazła ją na podłodze.

Zszedł z drabinki, oparł ręce na bocznej ścianie regału i spróbował nim poruszyć. Okazało się, że nie jest przymocowany do ściany. Zatrząsł się i zaskrzypiał, jakaś książka na jednej z półek przewróciła się z hukiem. Przyjrzał się uważniej książkom na niższych półkach. Było na nich zdecydowanie mniej kurzu. Najprawdopodobniej Jensen odkurzała tam, gdzie bez większego problemu mogła dosięgnąć. Może upomniana przez Ronstad próbowała dostać się do wyższych półek, zachwiała się i złapawszy za regał, poruszyła go tak, że podręcznik socjologii spadł na podłogę. Była za niska, żeby postawić tam go z powrotem, więc odłożyła na biurko. Nie powiedziała nic Ronstad, a ta, znalazłszy go, uznała, że tylko duch jej męża mógł tego dokonać.

Wstawił książkę na miejsce i zamknął drzwi gabinetu. Był zmęczony i niewyspany, nie miał ochoty dalej myszkować po tym domu. Wyszedł na ulicę i wsiadł do samochodu. Oparł głowę na zagłówek, opuścił nieco szybę i zamknął oczy. Obudził go telefon od pani Nygaard. Była druga po południu. Powiedział, że jest przeziębiony i był u lekarza, ale zaraz przyjedzie i podpisze dokumenty.

W samochodzie było lodowato. Włączył silnik i siedział przez chwilę, rozcierając skostniałe dłonie. Wreszcie otrząsnął się z sennego otępienia i ruszył. Kawalek za zakrętem wąską ulicę blokował stojący ambulans. Arne zaczął się wycofywać, żeby inną drogą dojechać do komisariatu, ale zatrzymał się tuż przed rogiem. Siedział i wpatrywał się w migające światelka na dachu karetki. Pomyślał, że jeśli nie sprawdzi, po co przyjechała, będzie wyobrażał sobie niestworzone historie. Wyłączył silnik i wysiadł. Przy ambulansie nic się nie działo. Tylne drzwi były uchylone. Gdy podszedł bliżej, zobaczył pochylającego się nad czyjąś zabandażowaną nogą sanitariusza.

– Dobrze, że staw skokowy jest cały. Problem jest, jak w stawie skokowym coś pęknie – powiedział sanitariusz, wychylił się i zatrzasnął drzwi.

Kierowca uruchomił silnik i ambulans powoli odjechał. Arne patrzył za nim, aż pojazd zniknął za zakrętem. Już miał wracać do samochodu, kiedy dobiegł go kobiecy głos:

– Rozumiem, nie dzisiaj, ale w takim razie proszę przyjechać jutro rano, bo woda leje mi się po murze. – Kobieta mówiła do telefonu wyraźnie poirytowana. – Nie no, mówię panu, że tylko ta pionowa rynna odpadła! Tak, jasne, że będzie ktoś w domu.

Widział ją przez zarośnięty rzadkim bluszczem parkan. Patrzyła na mur z ciemnym zaciekami. Podszedł do uchylonej furtki, ale kobieta go nie zauważyła.

– Przepraszam. Może w czymś pomóc? – zawołał.

Odwróciła się, zaskoczona. Miała około czterdziestu lat. Na jej inteligentnej twarzy pojawił się uśmiech zakłopotania.

– Widziałem, że coś się stało. Może mogę pomóc?

– Dziękuję. Mąż złamał nogę, bo właśnie tę rynnę naprawiał. Teraz będzie się lało po ścianie, dopóki nie przyjadą ci nierozgarnięci faceci.

– Mogę spojrzeć? – zapytał i wszedł do ogrodu.

– Proszę, niech pan spojrzy. Ale co pan tu może zrobić? Trzeba mieć coś do lutowania. Spory kawał pionowej rury oderwał się od poziomej rynny i odstawał od muru, wisząc w metalowej obejmie.

– Tak, tu rzeczywiście potrzeba jakichś bardziej profesjonalnych narzędzi – przyznał.

– To przez te cholerne kuny – powiedziała kobieta i otuliła się szczelnie płaszczem.

– Przez kuny? – Kompletnie zaskoczyło go to stwierdzenie.

– Biegają w nocy po dachu. To pewnie i rynnę rozwalili. Chyba ze dwa razy nawet alarm się włączył.

– Nie wiedziałem, że tu, w mieście, są kuny. – Próbował przypomnieć sobie, jak wygląda kuna.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Mówię tak, bo jak kiedyś mieszkałam na wsi, to kuny biegały nam nad głowami. A tu czasem w nocy słyhać jakieś odgłosy, coś się dzieje na tym blaszanym dachu. No ale sama kuny też tu nie widziałam. – Podeszła do drzwi. – Przepraszam, muszę wracać do domu, córka jest przeziębiona i daję jej obiad.

– Oczywiście. Przepraszam, przeceniłem swoje umiejętności. Rzeczywiście bez lutowania się nie obejdzie.

– Dziękuję za dobre chęci. Do widzenia. – Uśmiechnęła się serdecznie i weszła do domu.

Blaszany czterospadowy dach z mansardami mógł całkiem nieźle hałasować pod łapami jakichś biegających zwierzaków. Kuny czy cokolwiek innego, co w nocy buszowało po ogrodach, mogło być jakimś rozwiązaniem zagadki włączających się alarmów. Arne nie miał pojęcia, czego mogą szukać kuny na dachu i jak się tam w ogóle dostają. Może właśnie wchodzą na niego po rynnach? Jego wiedza zoologiczna ograniczała się do znajomości zachowań kotów, ściśle rzecz ujmując – jednego.

Wszedł na ulicę. Na stojącym nieopodal słupku widniała tablica z nazwą ulicy: Venasvegen. Ciekawe, ile takich alarmów bez konkretnej przyczyny włącza się co noc w jego dzielnicy.





Zaparkował przed komisariatem obok samochodów Gerda i Ole. Pomyślał, że nie wygląda na jakoś szczególnie chorego, sięgnął więc na tylne siedzenie po szalik i owinął nim szyję.

– Może pan weźmie zwolnienie. Takie nieleczone przeziębienia kończą się zapaleniem płuc – powiedziała na jego widok pani Nygaard.

Zakaszła i odpowiedział cichym głosem:

– Zjem trochę pigułek i przejdzie.

Nigdy nie podejrzewał pani Nygaard o taką troskliwość; przeczuwał, że jest spowodowana tym, że rozwiązał jej podejrzenia co do alkoholowych przyczyn jego porannych niedomagań, przynajmniej dzisiaj.

– A co panu przepisał? – spytała, zdejmując okulary.

Tego pytania nie przewidział.

– Coś mi tam wypisał. Zostawiłem recepty w samochodzie – wyratował się. Czując jednak, że dalsza rozmowa na ten temat może go zmusić do coraz bardziej ryzykownych krętaństw, zagadnął: – Pani Nygaard, miałbym taką prośbę. Byłbym wdzięczny, gdyby zadzwoniła pani do firm ochroniarskich z naszej dzielnicy i poprosiła, żeby przysłały nam raporty z interwencji do zgłoszeń o alarmach, które się włączyły bez powodu. To znaczy bez wyjaśnionego powodu. Jak nie ma podejrzenia próby włamania, oni nam tego nie zgłaszają. Chodzi mi właśnie o takie zgłoszenia.

– Oczywiście. Mogę to zrobić – powiedziała tonem, w którym wyczuł cień urazy, że nie okazał większej wdzięczności za jej troskliwość.

– Mam nadzieję, że ma pani jeszcze tę aspirynę w szufladzie?

– Mam, niech pan weźmie. I gorącą herbatę z cytryną – powiedziała łagodniej i wyjęła z szuflady aspirynę, a nie alka seltzer, jak się tego obawiał. – Z jakiego okresu chciałby pan mieć te raporty?

– Nie wiem. Szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się. Może z ostatniego miesiąca. Zobaczmy, ile tego będzie.

Kiwnęła głową i pochyliła się nad klawiaturą.

– W domu niech pan napije się koniecznie herbaty z imbirem, to lepiej działa niż jakieś antybiotyki, które teraz od razu przepisują – powiedziała, nie odrywając się od pisania, gdy był już w swoim pokoju.

Podpisał leżące na biurku dokumenty i położył przed nią. Kiwnęła nieznacznie głową. Wrócił do siebie i stanął przed planem miasta. Kilka kolorowych szpilek sterczało w różnych

miejscach dzielnicy. Oprócz domu profesorowej na Erlends vei, fałszywego alarmu na Flaenveien i Lab Farmu na Noysomheten nie pamiętał już, w związku z czym ktoś je tam powbił. Zapalił zamontowaną nad planem lampę na regulowanym ramieniu i zabrał się do szukania Venasvegen, gdzie kuny oberwały rynnę. Trzecia przecznica Erlends vei ciągnęła się spory kawałek, to był chyba trzeci dom od rogu po prawej. Przesuwając powoli wzrok wzdłuż szarej linii ulicy biegnącej przez bladozielone plamy graniczących ze sobą posesji, spostrzegł wyraźną dziurkę po szpilce kilka centymetrów wyżej. Odchodząca od Venasvegen ulica łukiem wchodziła w ciemnozielony obszar lasów. Dziurka była przy prostokącie budynku z numerem 39. Wetknął w nią szpilkę i sięgnął po następną, którą wbił przy Venasvegen. Potem wszedł do pokoju Gerda i Ole. Obaj pochłonięci byli grzebaniem w internecie.

– Pamiętacie, co to było przy Lavrans vei?

– Ty chyba tam byłeś. Włamanie, co nic nie ukradli – powiedział Gerd, wychylając się zza monitora do Ole.

– Tak. Babka nieźle się przestraszyła. Ktoś dostał się do sypialni na piętrze, wszedł przez balkon, trochę zdemolował pokój i uciekł. Niczego nie buchnął.

– Jak otworzył drzwi balkonowe? – spytał Arne, czując znajome klimaty.

Ole uniósł brwi i pokręcił głową.

– Były otwarte, nie musiał.

– A jak się dostał na balkon?

– Chyba po kracie dolnego okna, ale musiał być niezły, bo jak patrzyłem, to tam nie ma się czego złapać tak na oko.

Arne pokiwał głową i odwrócił się, żeby wyjść, ale cofnął się jeszcze.

– Widzieliście tu kiedyś kuny w mieście?

Spojrzeni na niego, zaskoczeni pytaniem.

– Nie wiem, a co? – spytał Ole i odkręcił się na fotelu w stronę pokoju.

– Nic, zastanawiam się, czy jakieś zwierzęta nie włączają czasem tych alarmów.

Gerd wyjechał na swoim fotelu kawałek zza biurka.

– Ja kiedyś miałem oświetlenie ogródka na takie czujniki. W końcu zlikwidowałem, bo mi koty włączały. Całą noc, bez przerwy się zapalało.

– Kiedy ty miałeś koty? – zdziwił się Ole.

– Nie miałem. Przyłaziły od sąsiadów. Dwa takie tłuste durnie.

– Koty są fajne, bo nie są takimi namolnymi lizusami jak psy. Nie ślinią się i nie wyciągają zębami instalacji do podlewania.

– Sam jesteś namolnym lizusem. Widziałeś kiedyś psa, który leży na grzbiecie pod kanapą i wypruwa z niej bebechy albo naznacza potwornym smrodem głośnik?

– Pies Olsena zrobił mu kupę do kalosza.

– Gerd, brat twojej żony jest chyba ekologiem? Czy w zarządzie lasów coś robi? – Arne przerwał wznieconą polemikę.

– No jest, a co?

– Chciałbym go o coś spytać.

– O te kuny?

– O kuny albo o coś innego.

– Okej. Mogę do niego zadzwonić. – Gerd wzruszył ramionami, ale po chwili pokiwał głową jakby z większym zrozumieniem.

Arne wyszedł z pokoju, bo chciał jeszcze coś sprawdzić na planie. Pani Nygaard musiała już wyjść, bo jej klawiatura milczała.

– Podchodzą. Podchodzą jakieś zwierzęta. – Przez uchylone drzwi dochodził cicho głos Gerda. – Słyszałem różne historie. Moja ciotka w Lierne mieszkała pod lasem. Większość życia spędziła na wsi. Nie bała się lasu. Ale do czasu. Kiedyś późno wieczorem wracała do domu od sąsiadki. Wchodzi do domu i czuje, że w domu jest zimno. Jakby jakieś okno albo drzwi były otwarte. Coś ją tknęło i nie weszła od razu do kuchni. Stała w korytarzu i słucha. Słyszy, że chyba w kuchni ktoś jest. Jakby ktoś stół próbował przesunąć. Jakieś szmery i cisza. Stała i bała się ruszyć. Wreszcie, jak długo nic się nie działo, zajrzała. Drzwi kuchenne na podwórko otwarte. Totalny bajzel w kuchni. Wszystko porozwalane. Zabarykadowała się w domu i nie spała do rana.

– I co to było? – z lękiem w głosie wyszeptał Ole.

– Podobno niedźwiedź. Mówiła, że leśniczy widział w lesie ślady.

W pokoju zapadła cisza. Arne wbił głębiej szpilkę przy Lavrans vei.

\*

Popołudnie następnego dnia było zimne i wietrzne, ale deszcz nie padał. Mercedes toczył się wolno wąską, łukowato wznoszącą się drogą. Kawałek dalej gęsty las na wzgórzu falował ostrymi wierzchołkami świerków. Dom na posesji numer 39 był ostatni. Stał w nieco większej odległości od pozostałych, na najwyższej położonej działce. Arne zatrzymał się obok dużego volvo zaparkowanego przed bramą. Ponad żywopłotem z cisów widać było okna parteru, w których paliło się światło. Nie był umówiony i nie wiedział, jak Inga Strand, właścicielka domu, zareaguje na jego wizytę. Sądząc po zaparkowanym volvo i samochodzie stojącym na podjeździe, była w domu i chyba miała gości. Wolał nie uprzedzać o swojej wizycie, bojąc się, że odmówi.

Furtka była otwarta. Balkon musiał znajdować się z drugiej strony domu, ale Arne zdecydował się najpierw przedstawić, zanim zacznie myszkować po czymś ogrodzie. Podszedł do drzwi i zadzwonił. Otworzyła mu mocno utapirowana blondynka w czerwonym żakiecie. Mogła mieć około czterdziestu pięciu lat, może nawet więcej. Sądząc po makijażu i muzyce dochodzącej z wnętrza, nie trafił z wizytą najlepiej.

– Pan do mnie? – spytała, unosząc nieco jedną brew.

Odniósł wrażenie, że jest lekko wstawiona.

– Mam nadzieję, że tak. Pani Inga Strand, prawda? – Uśmiechnął się i pomyślał, że jest jakaś szansa.

W odpowiedzi kiwnęła głową.

– Nazywam się Arne Hilmen, jestem z komisariatu policji przy Nissens gate. Przepraszam, nie dość, że niezapowiedziany, to jeszcze, jak widzę, przyszedłem nie w porę. Ma pani chyba gości.

– Jest tylko znajoma. A coś się stało?

– Jakies dwa tygodnie temu było do państwa włamanie. Wiem, że nic nie skradziono, ktoś tylko narobił bałaganu. Chodzi o to, że zdarzyło się kilka podobnych sytuacji i jeśli nie sprawiłoby to pani większego kłopotu, chciałbym spytać o parę rzeczy.

– To było straszne. Gdyby nie to, że zasnąłam w wannie, a nie we własnym łóżku, mogliby mnie zabić. Do tej pory nie chcę tam nawet zaglądać, zanim nie zamontują krat – wyrzuciła z siebie i cofnęła się, wpuszczając go do przedpokoju.

– A moglibyśmy zajrzeć na chwilę? – spytał, zerkając w głąb dużego salonu. Z kanapy obok niskiego stolika, na którym stała butelka wina i kieliszki, pomachała do niego kobieta w podobnym wieku i typie co gospodyni.

– Zaprowadzę pana. To na górze, w sypialni – powiedziała i ruszyła przed nim schodami,

nie przejmując się pozostawioną w salonie znajomą.

– Na szczęście rozboleła mnie głowa i zasnąłam w wannie. – Wskazała na drzwi do łazienki. – Jestem pewna, że coś by mi zrobili, gdyby zastali mnie w łóżku.

– A dlaczego pani uważa, że było ich kilku? – spytał i wszedł za nią do sporej sypialni.

– Nie wiem. – Zaskoczyło ją to pytanie. – A złodzieje czy bandyci nie chodzą grupami?

– Wnioskując z mojego doświadczenia, to różnie bywa, ale ma pani rację, przeważnie włamują się po dwóch, biorąc pod uwagę statystyki.

– No, ja nie znam się na statystykach, ale sam pan widzi, co tu narobili. Nie wchodziłam od tego czasu do sypialni. Tylko żeby okno zamknąć. Może pan tu znajdzie jakieś ślady, bo ci, co tu byli, nic nie znaleźli. Tak powiedzieli i poszli sobie.

Na pierwszy rzut oka sypialnia była w idealnym stanie. Szerokie łóżko stało między dwiema lampami rzucającymi ciepłe światło na atlasową narzutę i część kremowego dywanu zajmującego niemal całą podłogę. Wzdłuż ściany ciągnął się długi, niski regał z szafkami i szufladami. Stały na nim, równo ustawione, duży płaski telewizor, dekodery satelitarny i odtwarzacz CD. Pod przeciwległą ścianą mały stolik i dwa obite beżowym pluszem fotele. Drzwi balkonowe częściowo przysłonięte rudawymi zasłonami zamykały perspektywę pokoju.

– Mówiła pani, że niczego tu nie ruszała – powiedział ze zdziwieniem i przyjrzał się jej uważniej.

– Posłałam tylko łóżko i zamknęłam okno. Zerwali obraz ze ściany albo go jakoś strącili. Właśnie ten huk mnie obudził, ale zanim wyszłam z wanny, to już uciekli na szczęście. – Nerwowym ruchem głowy wskazała na pustą ścianę, gdzie przy górnej krawędzi jaśniejszego prostokąta widniała wyłupana w tynku dziura po haku czy gwoździu.

Za łóżkiem, oparty o ścianę, stał szeroki na ponad metr obraz w prostej drewnianej ramie. Przedstawiał oszroniony gęsty las. Nie wyglądał na jakąś tandetę, ale też pewnie nie przedstawiał jakiejś większej wartości. W antykwariatach sporo było tego typu obrazów. Chyba nawet Ole miał coś podobnego na ścianie. Dziwne było to, w jaki sposób obraz znalazł się na podłodze. Mocna rama wytrzymała zderzenie z ziemią, bo było to chyba zderzenie, przy ścianie leżały kawałki pokruszonego tynku i spory hak. Nigdzie jednak nie było widać śladów proszku uwidaczniającego odciski palców. Ole musiał uznać, że skoro nikt niczego nie ukradł, nie ma sensu zawracać sobie tym głowy.

– Mam nadzieję, że nie robi to pani problemu, jeśli przysłałbym tu kogoś z techników. Chyba nie zrobiliśmy wszystkiego, co do nas należy – powiedział Arne ze skrucą. – Może jakieś ślady uda się znaleźć. Mówiła pani, że niczego tu nie dotykała po włamaniu, prawda?

– Obrazu nie ruszałam, w ogóle nie pamiętam, kiedy ostatni raz mogłam go dotknąć. Dotknęłam tylko parawanu, jak zobaczyłam, że jest zniszczony.

Mniej więcej metr od drzwi balkonowych stał złoto-beżowy parawan z japońskim malowidłem. Dopiero gdy podeszli bliżej, spostrzegł, że gruby włóknisty papier w środkowym segmencie jest prawie do połowy przedarty. Trzy czarne drewniane ramy połączone były wąskimi metalowymi zawiasami. Całość robiła wrażenie delikatnej i lekkiej konstrukcji.

– Gdzie był parawan, kiedy weszła pani do pokoju?

– Stał tu, gdzie stoi. Nigdzie go nie przestawiałam.

– Nie był przewrócony? – spytał zaskoczony. Papier wyglądał na rozszarpany, a nie przecięty czymś ostrym. Wydawało się niemożliwością spowodować takie uszkodzenie, nie przewracając parawanu. Dotknął papieru w sąsiednim segmencie. Był mocno naciągnięty i stawał na tyle duży opór, że cała rama zachwiała się lekko.

– Stał tak samo, jak teraz. Nie wierzy mi pan?

– Wierzę, tylko zastanawiam się, jak mogło dojść do takiego uszkodzenia.

– Rozdarli go, i tyle. – Spojrzała ze smutkiem na długie pęknięcie. – To dziewiętnastowieczny japoński parawan, a nie żadna współczesna tandeta. Nie wiem, kto i za ile to teraz naprawi.

– Rozumiem, to rzeczywiście bardzo ładny parawan. Myślę, że da się naprawić, ale podejrzewam, że nie będzie to zbyt tanie. Poznałem kiedyś faceta, który zajmuje się konserwacją dzieł sztuki. Miał sporo forsy, uczyłem go trochę żeglarstwa. Może znajdę do niego telefon.

– Naprawdę? Byłabym panu wdzięczna – powiedziała i podeszła do okna. – Było otwarte na ten ogranicznik. – Dotknęła skokowego suwaka w ramie.

– Niech pani otworzy tak, jak było wtedy.

Rama okna uchylła się i zatrzymała z kliknięciem w odległości około trzydziestu centymetrów od futryny. Do sypialni wpłynęło lodowate powietrze. Inga Strand odsunęła się od okna i otuliła swoim czerwonym żakietem.

– Zaziębi się pani. Proszę zejść na dół. Nie ma sensu, żeby stała tu pani i marzła.

Obszedł parawan, którego środkowa, rozdarta część wypadła dokładnie naprzeciw szczeliny między ramą a futryną. Przyjrzał się uważnie, centymetr po centymetrze, ramie uchylonego okna. Nigdzie, nawet na lekko wystających śrubach trzymających zamek, nie było niczego, co można by uznać za ślad pozostawiony przez włamywacza. Arne przycisnął kurtkę do brzucha i bez problemu wydostał się na mały, wyłożony płytkami balkon. Pokryty resztkami zamrożonego śniegu trawnik otoczony był parkanem z wąsko ustawionych żelaznych prętów. Tuż za nim zaczynał się las. Gęsto wspinające się po zboczu świerki zasłaniały poszycie zbitą masą dolnych gałęzi. Gdzieś z dala, zza krawędzi wzgórza, dochodził cichy szum rafinerii.

Arne przechylił się z boku przez metalową balustradę i zajrzał możliwie najgłębiej pod balkon. Krata zabezpieczająca okno tarasowe kończyła się nieco ponad metr od jego spodu.

Wspięcie się po niej i uchwycenie balustrady nie było łatwe, ale nie niemożliwe. Ktoś wygimnastykowany i mocno zdeterminowany mógłby tego dokonać. Największy problem miałyby ze wspięciem się na samą balustradę. Wąskie stalowe płaskowniki zamocowane były do boków betonowej płyty balkonu i sięgały do samego dołu jej grubości, co uniemożliwiało złapanie za jakąkolwiek poziomą krawędź i podciągnięcie się na niej. Wspinanie się na samych rękach po gładkich pionowych prętach też nie wyglądało na łatwe zadanie. Nad balkonem, przyczepiona do gzymsu, biegła blaszana rynna. Sądząc jednak po grubości blachy, widocznej na wywiniętej krawędzi, nie wytrzymałaby ciężaru dorosłego człowieka. Ktoś lub coś musiało się jednak pojawić na balkonie i potem dostać do sypialni. Wersja z włamaniem nie miała najmniejszego sensu. Wyniesienie bez hałasu sprzętu elektronicznego nie przedstawiało żadnych trudności, urządzenia te jednak stały na szafkach nietknięte.

– Pierwszy raz widzę prawdziwego detektywa przy pracy. To fascynujące. – Inny kobiecy głos, dobiegający z głębi mieszkania, wyrwał go z zamyślenia.

Przecisnął się z powrotem do wnętrza. W drzwiach sypialni, oparta o framugę, stała w niedbalej pozie przyjaciółka gospodyni.

– To miło, że pani tak uważa – odpowiedział z uśmiechem.

– Brita, uspokój się! – Inga Strand próbowała powstrzymać koleżankę od dalszych uwag. – Brita ma kłopoty z mężem i...

– Mężowie to straszne świnię – przerwała jej Brita. Przymknęła oczy, wypijając resztkę wina z kieliszka.

– Przestań!

– A pan ma kłopoty z żoną? – spytała zalotnie, nie dając się spławić.

– Nie mam, ale chyba rozumiem, o co pani chodzi – powiedział Arne z ulgą, widząc, że Strand rusza w stronę przyjaciółki.

Poważniejsza interwencja okazała się niepotrzebna. Brita wycofała się pospiesznie z progu sypialni.

– Żony to też straszne świnię – usłyszeli jeszcze z korytarza.

– Okej. Proszę się nie przejmować – pospieszył z zapewnieniem, widząc, że gospodyni szuka słów, aby go przeprosić. – Mam do pani prośbę. Ułatwiłoby mi ogromnie, gdyby zgodziła się pani wypożyczyć na kilka dni parawan i ten obraz. Zrobilibyśmy dokładniejszą analizę śladów, bo jakieś na pewno powinny tu zostać.

Inga Strand nie miała nic przeciwko temu. Kiwnęła głową i zerknęła przez drzwi w stronę schodów.

– Proszę zejść do swojej znajomej. Jeśli można, zostałbym tu jeszcze chwilę i spokojnie to sobie obejrzał.

Zgodziła się chętnie i zostawiła go samego. Gdy ucichły jej kroki na schodach, spróbował pozbierać myśli. Właściwie dlaczego chciał tu jeszcze zostać? Obejrzał już przecież wszystko dokładnie, dalsze przyglądanie się meblom i ścianom nie miało sensu. Tyle że obecność obserwującej każdy jego ruch właścicielki domu przeszkadzała mu po prostu się skupić. Myśl, że w tym pokoju mogło być coś, co zabiło swoim widokiem profesorową Ronstad, ekscytowała go, odkąd usłyszał o tym niby-włamaniu; teraz jednak wizja przebierających się dowcipnisiów rozwiała się, pozostawiając pustkę, której nie miał czym wypełnić. Na wszystkie dotychczasowe zdarzenia, które tak bardzo poruszały jego wyobraźnię, zdołał znaleźć mniej lub bardziej wiarygodne racjonalne wytłumaczenia. Rozdarty parawan i zerwany ze ściany obraz czyniły go zupełnie bezradnym. Pozostawał świat zjawisk niewytłumaczalnych, to jednak prowadziło donikąd. Przypomniawszy sobie film dokumentalny o dziwnych światłach zaobserwowanych w Hesdallen. Pojawiające się na niebie świetliste punkty zniżały się tak bardzo, że zostawiały ślady na śniegu. Mimo dziesiątek czy setek zdjęć i naocznych obserwacji natury tego zjawiska nikt do tej pory nie wyjaśnił. Może coś takiego zobaczyły Jensen i Ronstad. Może coś takiego zabiło psa ogrodnika. Hesdallen jest w końcu w Norwegii.

Myśl o spędzaniu nocy na internetowych poszukiwaniach opisów niewyjaśnionych zjawisk wydała mu się smutną i beznadziejną perspektywą. Jakoś nie mógł uwierzyć, że to świetlista kula wpadła przez okno, rozdarła parawan i walnęła w obraz, wyrrywając hak ze ściany. O wiele bardziej prawdopodobna była wściekła kuna.

Podszedł do parawanu. Dopiero teraz dostrzegł, jak bardzo jest piękny. Przedstawiał ośnieżony brzeg jeziora, po którym podążali, jeden za drugim, jacyś wędrowcy. Na pierwszym planie, w czarnej toni przerębla, tuż pod powierzchnią wody unosiła się czerwona ryba. Przyglądała im się z ukrycia, a oni szli gdzieś, nie wiedząc o jej istnieniu.

\*



Mercedes zjeżdżał powoli opadającą ulicą. Arne przytrzymał kolanem kierownicę, żeby nie wjechać na pobocze. Obie ręce zajęte miał przeszukiwaniem pamięci telefonu. Gunnar Moen mógł być już na emeryturze. Nie widzieli się jakieś trzy albo cztery lata. Ostatnio rozmawiali w porcie, gdzie ekipa laboratorium policyjnego przez kilka dni rozkręcała silniki do motorówek w poszukiwaniu narkotyków. Odwiedził go tam prywatnie, mając nadzieję, że namówi do kupna małego jachtu, poprawiając sobie w ten sposób nie najlepszą w tym czasie sytuację finansową. Rozmowa nie bardzo się kleiła. Gunnar był zdenerwowany. Oficer prowadzący dochodzenie miał pewne informacje, że w transporcie silników przemywane są narkotyki, a od trzech dni nikt nie potrafił ich znaleźć. Ktoś powiedział, że chce wymienić ekipę techniczną. Arne przyglądał się setkom porozkładanych na foliach części i przyszło mu do głowy, że towar może być gdzieś w samym kontenerze. Jego uwagę skwitowano nerwowym śmiechem. Nikt nie był tak dumny, żeby nie sprawdzić wszystkich profili konstrukcji. Poczul się głupio i przestał się wtrącać. Gunnar podszedł, żeby się pożegnać; nie miał ochoty rozmawiać o jachcie. Bardziej żeby zatrzeć wrażenie swojej naiwności niż z głębiej przemyślanego powodu spytał Gunnara, czy sprawdzili ściany. „Co ty gadasz, człowieku? One są z pojedynczej blachy”, usłyszał zgryźliwą odpowiedź.

„Skąd wiesz, że z pojedynczej?”, odszczeknął się, do reszty pognębiony.

Wtedy Gunnar odwrócił się i kazał zważyć pusty kontener. Narkotyki wypełniały obie boczne ściany zrobione z cieńszej, podwójnej blachy. W sumie ważyły nieco więcej niż standardowy kontener. Prawdziwą wdzięczność Gunnara zaskarbił sobie jednak kilka minut później, kiedy jeden z techników odcinających dodatkową warstwę blachy spytał go kąśliwie, czy widział kiedyś coś takiego. Przemilczał wtedy, że to jego pomysł.

Gunnar odebrał telefon; pracował jeszcze i zgodził się bez formalności zbadać parawan w policyjnym laboratorium.

\*

Otaczała go niemal zupełna czerń. Od dwóch godzin żałował, że wpadł na ten pomysł. W plecy i pośladki mimo długiej puchowej kurtki wbijały mu się okrągłe bale, z których zbudowana była platforma obserwacyjna należąca do zarządu lasów. Nie mógł zapalić papierosa ani zbyt często zmieniać pozycji ze względu na hałas. Arne i Kai, ekolog, brat żony Gerda, siedzieli tak od dziesiątej wieczorem. Równie dobrze tych kilka informacji zdobyć mógł przez telefon, ale facet był sympatyczny i kiedy zaproponował jego zdaniem ciekawą wyprawę, dał się namówić. Teraz tkwili tu zmarznięci, właściwie w zupełnym milczeniu. Z półdrzemki wydobył go szept Kaia:

– Ryś, wilk, rosomak... Przetrwały tego marne resztki, i to tylko na północy. Co masz tutaj: lis, lis polarny, wydra, borsuk, co tam jeszcze, no, ta twoja kuna. – Dopiero po chwili dotarło do niego, że Kai wymienia zwierzęta, o które pytał, czy mogą podejść do domów. – Kuny podchodzą. Potrafią podnieść dachówkę i przegryźć się przez deski. Robią sobie gniazda na strychach. Sprytne są jak cholera.

– Umieją chodzić po murze?

– Tego nie wiem, ale po takim ceglanym, z występami, to całkiem możliwe.

– A mogą tu być niedźwiedzie?

– Niedźwiedzie? Człowieku, jakieś niedobitki za kręgiem polarnym. Chociaż niektórzy mówią co innego.

– Ktoś widział tu niedźwiedzia?

– Ja nie, ale ktoś opowiadał, że widział ślady za linią kolejową do rafinerii.

– Kiedy?

– Parę lat temu, ale coś mi się nie wydaje, żeby to była prawda. Niezłą historię, i to prawdziwą, opowiadał mi Krystian, mój kolega, jemu wierzę. W lasach niedaleko Dokki robili we dwóch badania ekosystemu. Mieszkali w leśniczówce. Prawie co noc słyszeli jakieś odgłosy tuż przy domu. Myśleli, że to kuny albo borsuk. Ale któregoś ranka zobaczyli, że coś zeżarło im wykopane rośliny do badań, które trzymali pod plandeką w samochodzie. Czaili się przy oknach kilka nocy, aż w końcu wypatrzyli, że to jeleni, i to spory, zrobił sobie szwedzki stół z ich samochodu. Postanowili zacząć się pod plandeką i zrobić mu zdjęcie portretowe, jak wpięprza ich rośliny. Wszystko już było przygotowane, ale Krystian akurat dostał telefon, że jego narzeczona wykręciła mu jakiś numer. No więc załamka. Oczywiście bania. Rano Krystian nieprzytomny wychodzi z kacem na dwór... Otrzeźwiał w pół sekundy. Całe podwórko we krwi i flakach. Tyle po jeleniu zostało.

– To niedźwiedź go pożarł?

– A co da radę jeleniowi? Może wilki. Cholera wie. Na igliwiu i badyłach żadnych śladów wyraźnych nie widzieli. Wsiedli w samochód i spierniczyli stamtąd. Tak to silne związki z kobietami mogą mieć błogosławiony wpływ na nasze życie.

Jakiś szelest i odgłos pękającej gałązki przerwał jego opowieść. Zamilkli i nasłuchiwali. Kai podał mu lornetkę.

– Ma noktowizor, ale tak bardzo nie rozjaśnia. Teraz są takie, co widać jak w dzień, tylko drogie jak diabli.

Arne, starając się nie szeleścić kurtką, wychylił się zza drewnianej ścianki i spojrział przez lornetkę. Miliony zielonkawych, krzyżujących się gałązek zawirowały mu przed oczami. Dopiero gdy oparł lornetkę o krawędź bariery, obraz się uspokoił. Chmury podświetlone łuną dalekiego miasta przepuszczały gdzieniegdzie w gęstwinę niewielkie ilości światła. Silne szkła spłaszczają płataninę drobnych i większych gałęzi. Przesuwający się w polu widzenia las wydawał się wyjątkowo gęsty. Pomimo braku igieł w dolnych partiach drzewa najeżone były tysiącami obumarłych, powyginanych do dołu gałęzi.

Myśl o jakimś zwierzęciu podchodzącym w nocy do zabudowań wydawała się Arne w tej chwili jedynym rozwiązaniem dręczącej go zagadki. Przypomniał mu się film o kunach albo łasicach, tego akurat nie pamiętał, w którym te nieprawdopodobnie zwinne zwierzęta o długim, giętkim tułowiu, polując na myszy czy nornice, biegały po ziemi i drzewach z niebywałą prędkością. Nie miał wątpliwości, że jeśli są w jego dzielnicy, mogą być powodem uruchamiania się alarmów czy uszkodzeń rynien. Jeśli wchodzi na strychy, mogą też wejść przez okno do pokoju. Spłoszona kuna może strącić obraz ze ściany. Ale czy może przebić papierowy parawan, nie przewracając go? Trudno było to sobie wyobrazić. Jak i uwierzyć, że profesorka Ronstad próbowała schować się za kanapą na widok kuny, nawet jeśli zwierzę jakimś cudem biegało po jej salonie. Chociaż... Ronstad i Jensen mogły nie wiedzieć, że w ich domu jest kuna albo jakieś inne zwierzę. Mogło przedostawać się w nocy ze strychu do pokoi i powodować dziwne odgłosy, potrącając meble, zrzucając książki z półek. Mogło, myszkując po mieszkaniu, dostać się pod komodę i wysunąć od spodu szufladę. To właśnie najniższa szuflada wysuwała się w tajemniczy sposób. Kuny albo łasice mogły przedostawać się z pomieszczenia do pomieszczenia przez kanały wentylacyjne. Ronstad przerazić się mogła czegoś, co zdarzyło się w pokoju za sprawą jakiegoś zwierzęcia. Mogła na przykład zobaczyć, że książki w bibliotece poruszają się same – w rzeczywistości popychane od tyłu przez przemieszczającą się kunę, która rozzuchwalała się na tyle, żeby wędrówki po mieszkaniu odbywać w obecności ludzi. Nie było to zbyt przekonujące, ale miało sens.

Przesuwający się w lornetce i fosforyzujący na zielono las znużył go na tyle, że chciał już ją

odłożyć, gdy nagle w polu widzenia pojawiło się coś, co spowodowało, że wrócił w to samo miejsce. Przez gęstą sieć krzyżujących się gałęzi przezierał jakiś kształt, który nie był krzakiem ani drzewem. Chwilę trwało, zanim znów go odnalazł. Zimny dreszcz przeszedł mu przez ciało. Zza ażurowej kurtyny zeschniętych pnączy wpatrywała się w niego świecącymi oczami jakaś upiorna, wydłużona maska. Lornetka drgnęła mu w ręku i demon zniknął z pola widzenia.

– Co tam widzisz? – spytał Kai, czując, że coś się dzieje.

– Tam coś jest. – Arne wskazał dłonią kierunek i wstrzymując oddech, znów spojrział przez lornetkę.

Przerażający rogaty pysk powoli chował się za drzewem.

– To łoś. Coraz więcej ich tutaj – spokojnie wyszeptał Kai.

Z drugiej strony pnia wyłonił się profil przeżuwającego coś pyska. Łoś podniósł łeb i chwycił wargami mech porastający korę.

– To jedyne zwierzęta, którym sprzyja wyrąb lasów. Mają coraz więcej pastwisk. – Kai opuścił lornetkę i dopiął kurtkę pod szyją.

Arne, ciągle pod wrażeniem, uważnie przyglądał się zwierzęciu. Łoś znieruchomiał nagle, nasłuchując.

– Nic więcej tu nie wypatrzymy. Wiem, że kuny tu chodzą, miałem nadzieję, że je zobaczysz, ale jakoś nie mieliśmy szczęścia. Wracajmy, bo zamarzniemy. – Kai schował lornetkę do plecaka.

W tym momencie łoś ruszył z miejsca, jakby coś go spłoszyło, i zniknął w gęstwinie.

– Chyba się czegoś przestraszył – powiedział Arne i uniósł się z niewygodnej pozycji.

– Pewnie nas w końcu usłyszał. – Kai westchnął i zaczął schodzić po drabinie.

Gdy stanęli na ziemi, Arne poczuł się trochę niepewnie.

– Ale on już nie patrzył w naszą stronę – powiedział z wahaniem.

Kai zapalił latarkę i wzruszył ramionami.

– Samochód jest tam. Chodźmy.

Odwrócił się i wszedł między krzaki, rozgarniając gałęzie.

Arne, uważając na odbijające witki, ruszył jego śladem. Suche patyki pod butami pękały z trzaskiem, a mimo to do ich uszu dotarł trzask łamanej gdzieś przed nimi gałęzi. Zatrzymali się obaj. Światło laterek nie przebijało dalej niż na kilka metrów. Nasłuchiwali.

– Jest jeszcze gdzieś tutaj – powiedział Kai.

– Myślisz, że jest ich tu więcej? – Arne podniósł latarkę i spróbował oświetlić pnie powyżej krzaków.

– W takiej gęstwinie raczej nie. Bardziej lubią polany. Ale to on. Odbiegł gdzieś blisko. Porożem zaczepia o gałęzie.

- Odbiegł w przeciwnym kierunku. Widziałem przez lornetkę.
- Samochód jest tu zaraz. – Głos Kaia zabrzmiał już nieco mniej pewnie.

Oslaniając twarze, zaczęli iść szybszym krokiem. Arne poczuł, że robi mu się gorąco. Nie mógł powstrzymać odruchu oglądania się za siebie. Widział tam tylko ciemność. Co chwilę wydawało mu się, że kolejny trzask to nie gałązka złamana przez Kaia, tylko większa gałąź w oddali. Po kilkudziesięciu metrach błysnęło coś z prawej strony.

- Jest tam! – krzyknął Kai i oświetlił widoczną przez zarośla karoserię land rovera.

W tym momencie usłyszeli uderzenie w pień. Dobiegło z lewej strony. Wypadli na ścieżkę. Samochód wciśnięty był między gęste krzaki rosnące po obu stronach błotnistego duktu. Przedarli się wzdłuż jego boków i odpierając plecami gałęzie, z trudem otworzyli drzwi. Kai uruchomił silnik i włączył reflektory. Odwrócił się do tyłu, ale widok przez tylną szybę zasłaniały graty piętrzące się na siedzeniu. Przez boczne lusterka nie było nic widać.

– Po jaką cholere wożę ten śmietnik ze sobą – powiedział Kai i klękawszy na siedzeniu, zaczął przekładać brezentowe worki. Arne obserwował ścieżkę przed samochodem. Widocznych było tylko kilka jej metrów, dalej skręcała. Wydało mu się, że krzaki z prawej strony lekko się poruszyły. Kai rozplątywał jakieś parciane pasy. Wreszcie uporał się z workami. Ruszyli. Land rover zabuksował i lekko zsunął się z drogi. Kai jeszcze raz powoli puścił sprzęgło. Zaczęli się cofać. Chrobot trących o karoserię gałęzi narastał. Tylne koła wróciły na twardy grunt. Poruszone krzaki chwiały się w świetle reflektorów i powoli zostawały w tyle za maską. Arne wpatrywał się w chaszczę po prawej. Był niemal pewny, że coś porusza nimi bardziej niż cofający się samochód. Kai patrzył wykręcony przez tylną szybę. Nieprzyjemne wrażenie nie chciało ustąpić. Gałęzie po lewej zachowywały się spokojniej. Szybciej przestawały się bujać. Może nie jechali środkiem. Może prawy bok samochodu napinał gałęzie mocniej. Coś jednak było nie tak. Wysokie pręty leszczyny chwiały się miękko, ale wydawało się, że co chwila któryś drga, uderzony od dołu z odwrotnego kierunku. Może rosły gęsto i ocierały się o siebie. Znowu zaczęły grzęznąć. Tył zsunął się głębiej w prawo. Grubsze gałęzie uderzyły w tylne drzwi.

- Nie zatrzymuj się, jedź – powiedział Arne, widząc, że Kai się waha.

Silnik ryknął na zwiększonych obrotach. Koła podskoczyły na korzeniach i ścinając zakręt, weszły znów w koleiny. Strach ustąpił. Może dlatego, że dukt stał się szerszy. Potrącali coraz mniej wystających gałęzi. Wreszcie wjechali na szosę. Arne odetchnął głęboko.

- Co się stało? – spytał Kai.

– Nic, jakoś zmęczyło mnie to cofanie – odpowiedział, siląc się na niedbały ton, i spojrzał przez boczną szybę.

Oświetlone tylnymi lampami na czerwono zarośla oddalały się, niknąc w ciemności.



Sekretariat był pusty. Gerd rozmawiał u siebie z kimś przez telefon. Na biurku Arne leżało kilkanaście raportów od firm ochroniarskich.

„Norsk Security: Poniedziałek, godzina 1.48. Adres: Frennings vei 17. Uruchomił się alarm przy drzwiach garażowych. Śladów próby włamania nie znaleziono.

Czwartek, 2.07. Hareveien 4. Uchyliło się niedomknięte okno w suterenie, wzbudzając czujnik ruchu.

Piątek, 4.21. Glads vei 28. Włączyły się lampy ogrodowe uruchamiane czujnikami ruchu. Powiadomienie z pilota alarmowego. Próby włamania nie stwierdzono.

Niedziela, 2.16. Ogmunds vei 40. Detektor ruchu w przyległej do domu oranżerii. Żadnych śladów włamania.

Nord Gard. Plataveien 31. Godzina 23.07. Alarm przy drzwiach tarasowych. Przyczyna: wiatr albo wada czujnika.

Hansegata 9. Czujnik ruchu w garażu. Uchylone okno. Ślady kota na śniegu”.

Nie miał pojęcia, co z tym zrobić. Było tego więcej, niż się spodziewał. Przerzucał kolejne wydruki. Niedomknięte okna, psy, koty, wiatr, gałąź, wada czujnika lub centralki. Głównie jednak nieumyślne uruchamianie alarmów przez samych właścicieli. Dziwne były te włączania się detektorów ruchu w zamkniętych pomieszczeniach. Jakim cudem dzieje się coś takiego? Arne w żadnym swoim mieszkaniu nie miał systemu alarmowego, ale było tego pełno wszędzie. Ludzie, żeby czuć się bezpieczniej, montowali czujniki, gdzie tylko się da. Czy w tej oranżerii na Ogmunds vei działo się coś, tylko nikt tego nie widział? A może okno było nieszczelne i wiatr poruszył liśćmi rośliny niedaleko czujnika. A może też łąził tam w nocy kot właścicieli, bo zapomnieli zamknąć drzwi.

Podszedł do planu miasta. Przekładał raport za raportem i wbijał szpilki zgodnie z adresami. Kilkanaście kolorowych łebków sterczało rozproszonych w granicach dzielnicy. W okolicy Erlends vei było ich trochę więcej. W kieszeni kurtki odezwał się telefon. Dzwonił Gunnar z laboratorium.

Padał drobny, marznący deszcz. Arne całkiem przemókł, zanim zdecydował się zadzwonić po taksówkę. Laboratorium ekspertyz policji mieściło się w starym parterowym budynku niedaleko portu. Pokazał legitymację zaspanemu policjantowi na portierni i wszedł przez wysokie, okute blachą drzwi. Pomieszczenie, w którym miał nadzieję znaleźć Gunnara, było ciemną halą podzieloną ścianami z siatki na zamykane boksy. Na kilku długich stołach stały urządzenia do badań balistycznych i analiz mikroskopowych. Ich skomplikowane kształty wydobywał z mroku poblask od świecącego ekranu monitora. Wyświetlał mocno powiększony obraz jakichś włókien. Widać było na nich kilka ciemnych drobin o dziwacznych kształtach. Dopiero po chwili zorientował się, że monitor podłączony jest do mikroskopu, który na ruchomym ramieniu unosi się nad stołem, a powierzchnia, której niemal dotyka obiektyw, to rozdarty papier jego parawanu. Dwie światłowodowe lampki rozjaśniały małe niebieskawy krąg tuż pod soczewką.

– Kompletnie niczego tu nie ma – rozległo się za plecami. Odwrócił się i zobaczył Gunnara wyłaniającego się zza ściany zastawionej gazowymi butlami. – Niczego tu nie ma – powtórzył i zaczął wolno obracać pokrętko przy ramieniu mikroskopu.

– A te ciemne kawałki? – Arne wskazał na przesuujące się w górę ekranu włókna z drobinkami.

– To nic, czego nie byłoby na meblach czy dywanie w każdym domu. Okruchy suchych liści z lasu czy ogrodu. To jest wszędzie. Wystarczy mały przeciąg. Na obrazie też niczego nie znalazłem. Nikt go dawno nie odkurzał.

– W jaki sposób, twoim zdaniem, obraz znalazł się na podłodze?

Gunnar wzruszył ramionami.

– Ktoś w rękawiczkach mógł go szarpnąć w dół, nie unosząc najpierw do góry, żeby ucho na ramie zeszło z haka. Ale to dziwny sposób jak na złodzieja, który chce zachowywać się cicho. Albo ktoś uderzył w obraz tak, że stworzyła się dźwignia i hak został wyrwany ze ściany. Rama jest spaczona, pionowe listwy są trochę wygięte. Jeśli gwałtownie naciśnie się dolną listwę, to hak może wylecieć z gipsowego tynku.

– Myślisz, że ktoś mógł się o ramę oprzeć?

– Teoretycznie tak. Jedyne, co z mojego punktu widzenia wydaje się dziwne, to pęknięcie tego papieru.

Odsunął mikroskop znad parawanu i przełączył coś w stojącym obok panelu z aparaturą. Jedna lampka zgasła, druga rozjarzyła się silnym białym światłem. Ustawił ją tak, aby promienie



ślizgały się po powierzchni papieru, uwydatniając najmniejsze nierówności.

– Tu nie ma żadnego wgłębienia. Linia przerwania jest postrzępiona, ale płaska.

– Jak mocny jest ten japoński papier? – Arne poprawił ustawienie lampy tak, aby światło objęło całe pęknięcie.

– To zależy, jak jego wytrzymałość chce się sprawdzić. Jak dźgniesz długopisem, to dziura zrobi się łatwo. Dużo trudniej go przerwać, napierając większą powierzchnią. I to jest jedyna rzecz, która mnie tu trochę dziwi. Nie widać żadnego wgniecenia przy krawędzi przedarcia. W ten parawan nikt nie uderzył niczym ostrym. Tępe narzędzie, jak czubek buta czy łokieć, zostawiłoby również ślad w układzie włókien w miejscu pierwszego styku z papierem. Tu nic takiego nie ma.

– Parawan się nie przewrócił. Stał pół metra od okna uchylonego na trzydzieści centymetrów. To kto lub co mogło go w ten sposób uszkodzić?

– Też się zastanawiam. Żeby tak rozedrzeć ten papier, ktoś musiałby naprzeć na niego dużą powierzchnią, na przykład ramieniem albo plecami, ale wtedy parawan by upadł. Chyba że ktoś inny go przytrzymał, ale to raczej bez sensu w tych okolicznościach. Albo była to duża prędkość. Wtedy może parawan by się nie przewrócił.

– Jaka by to musiała być prędkość?

– Nie wiem. To trudno policzyć. Ale sądzę, że naprawdę duża.

– Myślisz, że mogło to zrobić jakieś zwierzę?

Gunnar oparł się o blat stołu i włożył ręce do kieszeni fartucha. Uśmiechnął się, jakby miał swoje rozwiązanie tej zagadki.

– Może mogło. Nie wiem. Na pewno nie było porośnięte futrem. Na rozdarciu nie ma najmniejszych śladów sierści. A może po prostu ta pani nie mówi wszystkiego. Jeśli popchnie się taki parawan na przykład na oparcie gładkiego skózanego fotela, efekt będzie dokładnie taki, jaki tu mamy.

– Też tak myślałem, ale tam w sypialni są dwa welurowe fotele z drewnianym wykończeniem oparcia, a parawan stał na miękkim dywanie.

– No dobrze, a nie przyszło ci do głowy, że tam mogła się po prostu odbyć jakaś awantura z jej mężem? Ktoś kogoś popchnął na obraz. Hak wyleciał ze ściany. Parawan wylądował na łóżku. Tłukli się po pijanemu albo i na trzeźwo. Wezwała pilotem ochroniarzy. Zanim przyjechali, państwo postanowili nie dzielić się ze światem swoimi problemami i coś trzeba było wymyślić. Nie przyszło ci coś takiego do głowy?

– Przyszło.

– No i co?

– No i nic, po prostu też przyszło mi to do głowy.



Deszcz przestał padać. W długich kałużach przy krawężnikach przesuwały się odbicia lamp. Wetknięte z tyłu za pasek raporty firm ochroniarskich szeleściły pod kurtką Arne w rytm kroków. Awantura rodzinna rzeczywiście wyjaśniałaby wszystko. Dlaczego dopiero Gunnar mu to uświadomił? Nikt nie musiał rzucać parawanem. Wystarczyło, że ktoś kogoś na niego popchnął. Parawan oparł się o ścianę albo o futrynę okna i papier pękł, przyciśnięty plecami. Dlatego nie ma żadnego wyraźnego wgniecenia. Poczul się jak kompletny idiota. Ciekawe, kto postrzega go już jako sfrustrowanego oszołoma, który histerycznie próbuje nadać sens swojemu życiu. Ole i Gerd muszą o tym rozmawiać.

Minęli go jacyś ludzie. Wyłonił się zza nich prostokąt światła na chodniku. Sklep był otwarty. Miał ochotę pogadać z dziewczyną, zanim usiądzie w fotelu i zacznie gapić się w ścianę. Na ulicy było pusto, ale postanowił nie wypatrywać jej, stojąc poza światłem padającym z witryny. Wszedł. Za ladą nie było nikogo. Z zaplecza dochodził odgłos przesuwania ciężkich kartonów. Na półkach z karmą dla kotów kilka fioletowych torebek stało w równym szeregu. Sięgnął po dwie i wyjrzał z uśmiechem zdobywcy w stronę lady. Stał za nią właściciel i drapał się po brzuchu pod swetrem.

\*

„Holmenkollveien 47, godzina 23.20. Nieumyślne włączenie pilota antynapadowego.

Jerpefaret 8, godzina 2.05. Alarm zainicjowany czujnikiem przy oknie. Prawdopodobna przyczyna: poruszenie się obluzowanej rynny z powodu wiatru.

Langmyrveien 29. Śnieg zsuwający się z dachu pobudził czujnik na balkonie”.

Kran w kuchni zrzucał miarowo krople na blachę zlewu. Kot w półśnie wbijał mu pazury w udo. Czy w innych miesiącach alarmy włączały się tak samo często? A może w innych dzielnicach włączały się mniej. Kapiący kran nie dawał zebrać myśli. Gdzieś włączył się alarm samochodowy. Kot uniósł głowę, ale po chwili znów przymknął oczy i wreszcie zwinął łapy pod siebie. Samochód zawodził piskliwie. Arne nie miał siły, żeby się ruszyć i podstawić gąbkę pod spadające krople. Narastała w nim wściekłość. Powinien skończyć z tym malowaniem. Stara biała ściana, której nie zdążył pomalować, wyglądała lepiej. Po jaką cholerę malował to wszystko na ten kretyński żółty kolor? Alarm wyłączył się wreszcie. Ile czasu zdoła tak jeszcze wytrzymać? Dlaczego Liv nie dzwoni? Ale właściwie co takiego miałby jej powiedzieć, gdyby zadzwoniła. Że żółty go denerwuje?

Niedaleko odezwał się inny alarm samochodowy.

– Kto, kurwa, robi coś z tymi samochodami?!

Kot zeskoczył z kolan obudzony głośno wypowiedzianym zdaniem. Samochód wył za rogiem albo niewiele dalej. Arne wstał z fotela i wyszedł, głośno zatraskując drzwi.

Zimne powietrze owiewało twarz i przenikało przez sweter, ale wściekłość nie odchodziła, narastała. Ruszył biegiem. Jękliwy dźwięk alarmu stawał się coraz głośniejszy. Dochodził z głębi przecznicy. Arne zwolnił i wyszedł zza rogu. W odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów, między zaparkowanymi w rzędzie samochodami, zobaczył kilku wyrostków. Wykrzykiwali coś i popychali się na maski samochodów. To nie była bójka, raczej pijackie wygłupy. Mogli być trochę naćpani. Podeszedł kilka kroków i zatrzymał się. Mimo nieustępującej złości nie był pewny, czy chce wdawać się w awanturę. Trochę też obawiał się, czy da radę trzem agresywnym facetom. Alarm ucichł. Gdy odwracał się, żeby odejść, zobaczył, że spostrzegli go i przestali się popychać. Któryś krzyknął coś w jego stronę. Mijając narożnik parkanu, obejrzał się – szli za nim. Robił właśnie coś najgłupszego w świecie, zachowywał się jak typowa potencjalna ofiara. Przeszedł jeszcze kilka kroków i zatrzymał się. Przecież nie zwieje teraz do domu, nie usiądzie w tym pieprzonym fotelu i nie będzie się gapić w żółtą ścianę. Odwrócił się i ruszył im naprzeciw biegiem. Kiedy minął narożnik ogrodzenia, dzieliło go od nich około trzydziestu metrów. Przyspieszył. Efekt

był taki, jak się spodziewał. Zatrzymali się, ogłupiali. Zbliżał się, wbijając spojrzenie w oczy najwyższego z nich. Kiedy był w odległości kilku kroków, dwaj cofnęli się między samochody, tylko najwyższy stał i rozglądał się zdezorientowany. Odruchowo cofnął się pół kroku, gdy Arne uderzył w niego prawym barkiem. Wydając chrapliwe jęknięcie, przeleciał nad podmurówką. Przerdzewiała siatka puściła na łączeniu przy słupku. Zaplątany w sterzące druty, wpadł plecami między krzaki w ogrodzie. Pozbierał się z trudem, ale gdy stawał na podmurówce, Arne z całej siły popchnął go znowu na siatkę. Drugi atak był dla niego wyraźnie większym zaskoczeniem niż pierwszy. Czując, że ma do czynienia z furriatem, który nie zamierza na tym poprzestać i idzie na niego po pękającej ze zgrzytem siatce, wydał z siebie schrypnięty wrzask:

– Policja!

Arne jedną ręką machnął mu przed nosem legitymacją, drugą znów pchnął go w sterzące poprzez leżącą siatkę badyle.

– To bezprawne użycie siły! – wrzasnął leżący, próbując oswobodzić rękę z drutów.

– Jesteś prawnikiem? – spytał Arne, nachylając się nad nim.

Otworzyły się drzwi w domu na sąsiedniej posesji. Arne wyprostował się i stanął na podmurówce. Przez gałęzie krzaków widać było kilku mężczyzn podchodzących do furtki. Mieli w rękach kije narciarskie albo golfowe. Zaraz tu będą, pomyślał. Spojrzał na szarpiącego się z siatką i klnącego chłopaka.

– Zamknij się, jeśli nie chcesz dostać po łbie kijem golfowym! – warknął.

Chłopak zamilkł. Nie mógł wydostać ręki z poskręcanej siatki. Dopiero teraz przyjrzał się jego twarzy. Gówniarz miał ze dwadzieścia lat. Był przerażony. Arne zszedł z podmurówki i rozciągnął zardzewiałe druty, uwalniając dość głęboko przecięty nadgarstek swej ofiary.

– Wylaź! Spadamy stąd.

Ukryli się za krzakami. Mężczyźni z kijami, nie widząc nikogo na chodniku, wyszli na środek ulicy. Musieli spostrzec któregoś z kumpli chłopaka, bo odwrócili się w przeciwną stronę. To był właściwy moment. Ruszyli tuż przy płocie. Po kilkunastu sekundach dotarli do rogu.

– Ty w prawo, ja w lewo – powiedział Arne, skręcając w swoją ulicę.

Chłopak spojrzał na niego z mieszaniną wdzięczności i nienawiści i zaciskając dłoń na krwawiącym nadgarstku, oddalił się truchtem w przeciwną stronę.

Kurwa. Ja pierdolę – to jedyna myśl, która przychodziła teraz Arne do głowy.

Stał w progu pokoju. Wściekłość, z której trochę ochłonął, wracając, uderzyła ze zdwojoną siłą. Żółty kolor niedomalowanych ścian był obrzydliwy. Dlaczego wpadł na ten pomysł? Co się dzieje z jego życiem? Nie miało żadnego sensu, żadnej przyszłości.

Stał i nie mógł się ruszyć. Wyjął telefon, spojrzął na wyświetlacz: piętnaście po dwunastej. Podszedł do okna. Pod latarnią utworzył się jasny stożek mgiełki. Nic się nie działo. Przeszedł do kuchni. Kran nie dawał się dokręcić. Wyjął z lodówki karton soku. Na dnie była resztką. Nie chciał jej próbować. Wylał do zlewu i napił się letniej wody z kranu. Kapanie jakoś ustało. Stał w drzwiach kuchni i zapatrzył się na fotel. Za chwilę zwariuję, pomyślał. Ruszył znowu do okna, ale podszedł do komody. Odsunął górną szufladę. Latarka leżała na wierzchu. Schował ją do kieszeni i zasunął szufladę. Wyjął z szafki fioletową torbę i nasypał karmy do miski. Zdjął szalik z wieszaka i zawahał się. Wrócił do salonu, znów wysunął szufladę. Sięgnął głęboko między wypełniające ją przedmioty i wy dostał służbowy pistolet w kaburze. Wyjął go, sprawdził magazynek. Kaburę schował z powrotem, a pistolet wetknął z tyłu za pasek, pod kurtkę.

\*

Erlends vei tonęła we mgle. Panowała niemal zupełna cisza, daleki szum rafinerii był tej nocy ledwo słyszalny. Zamek furtki szczęknął i znajome krople rosy spadły Arne na rękę. Przeszedł na tył domu i stanął na schodach tarasu. Zapalił latarkę i zbliżył się do okna. Rysa kończyła się tam, gdzie poprzednio. Z krawędzi tarasu snop światła rozproszony we mgle dosięgał połowy trawnika. Martwa trawa, poprzerastana chwastami, nie różniła się od tej, którą zapamiętał. Wrócił na ganek i otworzył drzwi. Centralka alarmu była wyłączona. Zastanawiał się, czy w ciągu nocy, którą miał zamiar tu spędzić, chce mieć pod ręką aktywnego pilota alarmowego. Nie znał się na tyle na tych urządzeniach, aby wiedzieć, czy samo uaktywnienie systemu zostanie zauważone w centrali. Nie miał ochoty dawać komuś sygnału, że kręci się po domu o tej porze. Zgasił światło w przedpokoju. Wpadający przez kuchenne okno poblask ulicznej latarni rozjaśniał wejście do salonu i kawałek podłogi. Nie chciał zapalać latarki, aby nie ściągnąć uwagi jakiegoś spóźnionego przechodnia. Stał, nasłuchiwał i przyzwyczajał wzrok do ciemności. Z kuchni dobiegało ledwo słyszalne tykanie zegara elektrycznego. Było dość chłodno. Ronstad oszczędzała na ogrzewaniu. Piec ustawiony w okolicach minimum musiał być w piwnicy, bo żaden szum nie zakłócał głębokiej ciszy, jaka panowała w domu. Klepki parkietu zaskrzypiały cicho, gdy powoli wszedł do salonu. Szklanka z resztką herbaty stała na stoliku obok telefonu. Wziął ją i wrócił do kuchni. Włączył kuchenkę pod czajnikiem i wsypał trochę listków do imbryka. To nie może być bez znaczenia. Z jakichś powodów w pamięci Jensen pozostała właśnie herbata. Jakkolwiek absurdalnie by to brzmiało, musiała naprawdę przestraszyć się czegoś, co w ten czy inny sposób wiązało się z herbatą. Działo się to w nocy. Musiało być cicho, bo nic nie obudziło Ronstad śpiącej w sypialni na górze. Może Jensen oglądała telewizję i zobaczyła coś, co wywołało u niej taką reakcję. Coś, co pobudziło jakieś ukryte głęboko traumatyczne wspomnienia. Ale Ronstad powiedziała mu, gdyby rano zastała włączony telewizor. Było tak jak teraz, może tylko w salonie czy kuchni paliło się światło. Wolał go jednak nie zapalać. Chciał mieć szansę zobaczyć, co dzieje się na tarasie albo w głębi ogrodu, gdyby coś zaczął się zacząć. Gotująca się woda zagłuszyła tykanie zegara. Zalał herbatę i z gorącą szklanką wrócił do salonu. Postawił ją na dużym stole i podszedł do okna. Rozsunął zasłony. Krawędź tarasu była ledwie widoczna na tle trawnika, którego prawą stronę nieco rozjaśniało dochodzące z ulicy światło latarni. Z latarką w rękę wszedł na schody. Skierował snop na ścianę korytarza. Obraz był lekko przekrzywiony. Już nie pamiętał, czy tak wisiał przedtem. Bez zastanowienia podszedł i naprostował go. Szuflada w komodzie wystawała chyba nie bardziej, niż kiedy ostatnio próbował wysunąć ją różnymi sposobami. Kiedy jednak zbliżył się i oświetlił jej

krawędź, zobaczył, że przez wąską szparę widać już jej wnętrze. Niewiele to zmieniało. Wrócił na schody i szedł do wysokości zakrętu. Z tego miejsca miał widok na cały salon i korytarz pierwszego piętra. Usiadł na stopniu i oparł się o ścianę. Wyciągnął uwierający go w tej pozycji pistolet, położył na stopniu i zgasił latarkę. Była zupełna cisza, tykanie kuchennego zegara nie dochodziło do tego miejsca.

Siedział tak bez ruchu kilkanaście minut. Wściekłość rozeszła się gdzieś, czuł narastające zmęczenie i gorycz powracającej frustracji. Znowu docierała do niego absurdalność położenia, w które sam się zaplątał. Wyświetlacz telefonu pokazywał pierwszą dwadzieścia osiem. Gdyby teraz zadzwoniła Liv, skłamałby, że leży już w łóżku i właśnie zasypia. Wiedział jednak, że nie zadzwoni. Miała wracać jutro albo pojutrze. Krawędź wyższego stopnia wpijała się w jego plecy. Wyciągnął nogi, opierając stopy o tralkę poręczy, a plecy o ścianę. To była zdecydowanie wygodniejsza pozycja. Mógł tak przesiedzieć godzinę, może dwie. Wiedział, że jeśli nawet tej nocy nic się nie wydarzy, i tak przyjdzie tu znowu. Wtedy weźmie poduszkę z kanapy. Postawił futrzany kołnierz i wygodniej oparł głowę. Między tralkami poręczy świeciła czerwona dioda stojącego na regale z książkami telewizora. Wpatrywał się w nią przez chwilę. Za oknem czerń tarasu odcinała się minimalnie od trawy, na której zaczynała osadzać się mgła. Znowu spojrzał na diodę. W końcu zamknął oczy. Nie obawiał się, że zaśnie. Trwał tak dłuższy czas, czując, że jego zmysły zarejestrują każdy, nawet najmniejszy bodziec. Depresyjne myśli o przyszłości ustąpiły miejsca czemuś w rodzaju bezmyślnej koncentracji. Może to jest metoda na samotne wieczory. Przez chwilę wydało mu się to nawet realną alternatywą. Czuł, że jego słuch wyostrza się z każdą minutą. Chyba słyszał już nawet ciche tykanie zegara. Tak ciche, że nie był pewny, czy naprawdę je słyszy. Może zegar pracował nierówno, raz ciszej, a raz minimalnie głośniejsze? Może jednak było wyobrażeniem, skoro już go nie słyszał. Spróbował znowu je przywołać, ale nie przychodziło. Wstrzymał na chwilę oddech, ale nic się nie zmieniło. Musiał wyobrażać sobie to tykanie. Ale jak mógł słyszeć wyobrażone tykanie? Może zasnął na chwilę? Co w takim razie go obudziło? Coś musiało się zmienić. Chyba jednak zasnął i coś go obudziło. Otworzył oczy. Był już pewny, że spał przed chwilą. Tykanie musiało być snem. Jakiś dźwięk musiał go obudzić. Znowu wstrzymał oddech i wyteżył słuch. Nic. Ponowił próbę. Czuł bicie serca. Od wstrzymywania oddechu stało się jakby mocniejsze. Uprzytomnił sobie, że jest zdenerwowany i napięty. Zasnął i coś przegapił. Przegapił jakiś obcy dźwięk, który go obudził. Dźwięk podobny do tykania. Rozejrzał się. W salonie wszystko było na swoim miejscu, na schodach wyżej panowała ciemność. Kiedy sięgał po latarkę, nagle to usłyszał. Gdzieś z głębi mieszkania dobiegło ciche skrzypnięcie. Zamarł. Teraz wyraźnie już słyszał swoje serce. W mieszkaniu znowu panowała cisza. Był pewny, że obudziły go jakieś skrzypnięcia. Krew zaczęła pulsować mu w skroniach. Tak mogła pracować więźba dachowa. Stare drewniane konstrukcje czasem wydawały takie odgłosy. Drewniane meble tak samo. W jego



mieszkańcu też czasami coś stuknęło w nocy. Nie zwracał na to uwagi, bo zawsze powodem mógł być kot. Znów to usłyszał. W splocie słonecznym poczuł narastający ucisk. Tym razem trzask był głośniejszy. Dobiegał z piętra. Wpatrując się w ciemność, Arne sięgnął po latarkę. Odruchowo skulił się na stopniu i zaświecił w górę schodów. Fala gorąca uderzyła mu do głowy: obraz na ścianie był przekrzywiony. Poczuł, że drętwieje. Musiała trzeszczeć podłoga w sypialni, korytarzu albo w zamkniętym gabinecie profesora. Trzaśnięcie miało zbyt wysoki dźwięk jak na pracującą belkę stropową. Może rozsycha się komoda w sypialni. Myśli, że ktoś mógł przed chwilą w ciemności przejść korytarzem i potrać obraz, nie dawało się jednak łatwo odgonić. Oświetlił salon. Ogromne cienie tralek balustrady przesunęły się po ścianie. Na tarasie nic się nie działo. Pokryty był cienką warstwą szronu i kawałkami lodu. Na szronie coś było. Z tej odległości nie dawało się jednak rozpoznać. Kilka ciemniejszych miejsc wyglądało jak ślady. Skoncentrował na nich snop światła latarki. Zobaczył ślady butów. Swoich własnych. Zostawił je, kiedy chodził po tarasie przed wejściem do domu. Coś cicho trzasnęło. Nie był w stanie określić z jakiego kierunku. Skierował latarkę na schody. Obraz chyba przekrzywiony był bardziej. Wrócił światłem do salonu. Szklanka z herbatą połyskiwała na stole. Wyglądała normalnie. Wysunął latarkę przez tralki, żeby zniknęły ich cienie. Przez chwilę miał wrażenie, że cień rogu stołu padający na zsuniętą częściowo zasłonę poruszył się trochę. Zmienił pozycję latarki. Cień przesunął się, co było zrozumiałe. Wydało mu się jednak, że na ten ruch nałożył się inny, że ledwie zauważalnie poruszyła się sama zasłona. Latarka w wyciągniętej ręce drżała, nie pozwalając przyjrzeć się tak niewielkiemu ruchowi. Plama światła poruszała się po fałdach zasłony, wywołując wrażenie ruchu. Pamiętał, że zsunięta zasłona wisiała w odległości około trzydziestu centymetrów od szyby. Była tam wystarczająca przestrzeń, aby ktoś mógł się ukryć. Opanowujący go lęk narzucał wyobrażenie schowanej za zasłoną postaci, której oddech delikatnie porusza tkaniną. Mogło to być jednak złudzenie.

Starając się zachowywać jak najciszej, ułożył latarkę na dolnym stopniu tak, aby snop światła nieruchomo padał na róg stołu i rzucał cień na zasłonę. Zesztywniały z napięcia wpatrywał się w pionowe fałdy brązowego materiału. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Zasłona naprawdę lekko się poruszała. Wahnięcia nie większe niż dwa, trzy centymetry od okna i z powrotem powtarzały się regularnie. Poczuł, że ma trudności z oddychaniem. Nie spuszczać wzroku z zasłony, sięgnął po leżący na stopniu pistolet. W pokoju działo się coś jeszcze, czego w związku z tym nie mógł zobaczyć. Z krawędzi górnego stopnia powoli opadał kurz. Małe drobinki przesuwwały się w ciemności po jego powierzchni i jak w zwolnionym tempie padały na niższy stopień. Podświetlone reflektorem jarzyły się jak mikroskopijne gwiazdki i pewnie dałyby mu się dostrzec, gdyby – oderwawszy na moment wzrok utkwiony w zasłonie – spojrzął tam, podnosząc latarkę. Trzymany w ręku pistolet, skierowany przeciw siłom, których nie

pojmował, dawał namiastkę zabezpieczenia. Wstał i powoli zaczął schodzić ze schodów. Przed godziną oglądał zasłonę przez okno od zewnątrz. Chwilę później dotykał jej, przesuując ją po karniszu. Nikt tam nie mógł się ukryć. Zasłona jednak naprawdę się poruszała. Gdy był na najniższym stopniu, usłyszał za sobą skrzypnięcie. Odgłos musiał wydać któryś z wyższych stopni za skrzytem albo górna część balustrady. Zeskoczył na podłogę i oświetlił schody. Nikogo tam nie było. Z trudem opanował ogarniającą go chęć ucieczki. Stał z wycelowanym w zasłonę pistoletem w wyciągniętej ręce i latarką w drugiej, skierowaną na schody. Z góry dobiegło kolejne, tym razem cichsze skrzypnięcie. Arne wiedział, że musi podejść do okna. Dygotał, ból w skroniach stawał się coraz silniejszy. Czuł, że utrata kontroli nad strachem jest już niedaleko. Podeszedł do stołu, który dzielił go od zasłony. Pochylił się nad blatem i na ile mógł, zbliżył latarkę do wolno poruszającego się nad podłogą końca materiału. Cofające się i zbliżające fałdy nie poruszały się regularnie. Coś, czego nie widział, popychało je raz mocniej, raz nieco słabiej. Zaczął przesuwać się w bok, aby ominąć stół. Dzieliło go od rogu kilka centymetrów, gdy tuż za szybą rozległo się głośnie, metaliczne zgrzytnięcie i niewielki szary kształt przeleciał skosem w dół i zniknął za dolną ramą okna. Reakcja Arne była już poza kontrolą. Odskoczył do tyłu i biegiem dopadł do drzwi. Kiedy szarpał za klamkę, latarka wypadła mu z ręki. Mijając drzwi, kurtkę zaczepił o zamek, pociągając je za sobą. Zbiegając z ganku, usłyszał, jak zamykają się z trzaskiem. Wypadł na ulicę i gnany instynktem zatrzymał się dopiero w świetle latarni. Szumiało mu w głowie, czuł, że za chwilę straci równowagę. Nogi ugięły się pod nim; żeby nie upaść, usiadł na krawężniku. Czuł krople potu spływające po klatce piersiowej i szyi. Przed oczami ciągle miał obraz poruszającej się zasłony i czegoś szarego, co pojawiło się na moment za oknem. Metaliczny stuk otrzeźwił go na chwilę. Podniósł z asfaltu pistolet, który wysunął się z bezwiednie rozluźnionej dłoni. Teraz dopiero spostrzegł, że przez cały czas był zabezpieczony. Z odległej przecznicy wyjechał samochód. Kiedy znalazł się bliżej, Arne dojrzał na jego dachu świecący napis taxi. Podniósł się z trudem i chwiejnym krokiem wyszedł na środek ulicy.

\*

Siedział pod prysznicem, gorąca woda lała mu się na głowę. Dreszcze minęły, ale poczucie kompletnego rozbicia pozostało. Para stopniowo wypełniała łazienkę. Gdy mleczny klosz lampy zniknął za gorącą mgłą, zmniejszył temperaturę wody i ciśnienie w kranie. Nie miał jeszcze dość sił, by wstać i się wytrzeć. Oprzytomniał na tyle, żeby zdać sobie sprawę, że właściwie nie wie, co tak naprawdę się stało. Jedno było pewne: nigdy przedtem nie bał się tak bardzo. Nigdy nie przeżywał takiego lęku. Strach przed utratą życia był czymś zupełnie innym. Pamiętał doskonale, co czuł i myślał, gdy wiele lat temu podczas nauki zwrotów na desce windsurfingowej wbił się pod wodę, przyczepiony hakiem uprząży do żagla, który na skutek wywrotki przy dużej prędkości znalazł się pod deską w pozycji niemal pionowej. Gdy stwierdził, że nie da rady zdjąć zaciśniętej liny z haka i wypłynąć na powierzchnię, wpadł w taką panikę, że zapomniawszy o istnieniu bezpiecznika luzującego hak, przesunął pod wodą ponadsześciometrowy żagiel, żeby wystawić głowę i złapać trochę powietrza. Adrenalina dała mu taką siłę, że pracujące mięśnie zerwały więzadła poboczne w kolanie. To było jednak zupełnie inne uczucie. W domu profesorowej przeżył strach, który pozbawił jego mięśnie energii i doprowadził niemal do utraty przytomności. Tam bał się utonięcia, a tu – sam nie wiedział czego. Przecież nie utraty życia, droga ucieczki przez cały czas stała otworem. Był to lęk przed nieznanym, coś, czego przedtem nie mógł sobie wyobrazić.

Zakręcił wodę, wytarł się i wrzucił do pralki mokre od potu ubranie. W szafie kuchennej była napoczęta butelka whisky. Nalał pół szklanki i owinięty kocem usiadł w swoim fotelu.

Jeśli Ronstad przeżywała co noc podobne stany, nic dziwnego, że nie żyje. Uświadomił sobie jednak pewną różnicę. Profesorowa musiała doświadczyć czegoś więcej. Skrzypnięcia podłóg czy drewnianych belek, które tam usłyszał, zdarzają się dość często w starych domach, szczególnie przy tak gwałtownie zmieniającej się wilgotności i temperaturze, jak miało to miejsce tej nocy. Musiała być do tego przyzwyczajona. Zasłona poruszała się i nie było to złudzenie, ale czy nie mogła poruszać się od delikatnych zawirowań powietrza napływającego z głębi pokoju i schładzanego przy dużej szybie? Wiszące na jednym gwoździu obrazy z uchem przybitym do ramy nieidealnie w środku ciężkości mają tendencję do przekrzywiania się, wie to każdy, kto ma taki obraz i do tego niezbyt równe ściany. Jeśli szuflada w komodzie rzeczywiście wysuwała się sama, to mógł być to powód do lęku. On jednak nic takiego nie widział. To czego właściwie tak bardzo się tam przestraszył, zanim usłyszał, że coś dzieje się na tarasie? Lęk przyszedł, gdy uświadomił sobie, co wybudziło go z krótkiego snu, a były to tylko skrzypnięcia, które przed chwilą zaliczył do normalnych zjawisk. Jak zwykle gubił się w sprzecznych spekulacjach. Z ulgą

poczuł, że ogarnia go senność.

\*

Błyski flesza rozświetlały taras. Wysłany przez Gunnara z laboratorium policyjnego fotograf z niechętną miną przyklękał na mokrym kamieniu i robił zbliżenia kawałków roztapiającego się lodu.

– Niech pan zrobi jeszcze te resztki lodu na rynnie i potem pęknięcie szyby w ultrafiolecie – poprosił Arne i podniósł kawałek pokruszonego lodu.

Nie miał wątpliwości, że to właśnie fragment tego, co przeleciało w nocy za oknem. Leżące na tarasie odpryski miały lekko wygięte powierzchnie, już na oko pasujące do okrągłej rynny.

– Nic tu nie ma, panie Hilmen. – Fotograf oderwał wzrok od okularu z lampą ultrafioletową, przez który z widocznym na twarzy wysiłkiem obejrzał od góry do samego dołu pękniętą szybę. – Wiatr poruszył obluźowaną rynnę i lód spadł na taras.

Spakował urządzenie do torby i podniósł się z wyraźną ulgą.

– Wiatru wczoraj nie było, panie Sagvik – powiedział Arne. – Wiatru wczoraj nie było. Chodźmy jeszcze na chwilę do środka.

W domu weszli od razu na piętro. Obraz nie był przekrzywiony bardziej, za to już z korytarza widać było, że szuflada wysunięta jest kilka centymetrów. W padającym przez okno słabym świetle szarego dnia kurz na podłodze był wystarczająco dobrze widoczny. Ślad, który przed czterema dniami Arne zrobił ręką przy samej komodzie, zniknął zupełnie. Poprosił fotografa o zdjęcie parkietu, a gdy flesz błysnął, przetarł dłonią jedną z klepek i poprosił o następne. Nie musiał długo czekać na pytanie, po co te zdjęcia, na szczęście zadzwonił jego telefon. Harald Lund z wydziału patologii miał mu coś do powiedzenia. Przeprawił go na moment i podziękował Sagvikowi za jego wizytę. Harald przeszedł od razu do rzeczy:

– Słuchaj, Arne. Nie wiem, dlaczego ten pies nie żyje. W protokole napisałbym: Przyczyna śmierci: zatrzymanie akcji serca. Liczne drobne skaleczenia i otarcia. Duże otarcie skóry na lewej części pyska. Pies miał swoje lata, ale był w dobrej formie. Na pewno nikt go nie otruł. To tyle.

– Rozumiem. A powiedz mi, czy twoim zdaniem mógł z kimś lub z czymś walczyć przed śmiercią?

– Na pewno nie walczył z innym psem, bo nie ma śladów zębów. Skaleczenia i otarcia są spowodowane raczej przez ostre krzewy i gałęzie, przez które prawdopodobnie uciekał.

– Co według ciebie mogło być przyczyną zatrzymania serca?

– Uczciwie odpowiem, że nie wiem. Serce wygląda na zdrowe. Naczynia krwionośne drożne. Wycieńczenie wysiłkiem albo jakiś szok.

– Myślisz, że mógł umrzeć ze strachu?

– Teoretycznie tak, jak wszystkie wyżej rozwinięte stworzenia. Tętnice nie były na tyle przewężone, żeby spowodować zawał. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to reakcja nerwowa obkurczająca naczynia krwionośne, ale pojęcia nie mam, czego mógłby się aż tak przestraszyć.

– No właśnie, ja też nie wiem i to mnie trochę zastanawia. W każdym razie dzięki za twój wysiłek. Mam nadzieję, że to nie był jakiś duży kłopot.

Pożegnał się z Haraldem i zszedł do salonu. W domu, tak jak ostatniej nocy, panowała zupełna cisza. Stał przed zasłoną i zaczął ją obserwować. Fałdy ciężkiego materiału na pierwszy rzut oka wydawały się nieruchome, ale gdy spojrzał na zwisającą tuż nad podłogą krawędź, dostrzegł, że minimalnie się porusza. Ruch był prawie niedostrzegalny. Wyjął paczkę papierosów i zapalił. Delikatnie wdmuchnął trochę dymu między szybę a zasłonę. Po chwili, gdy zawirowania ustały, stopniowo rozmywająca się chmurka zaczęła opadać. Tak jak się spodziewał, schłodzone przy szybie powietrze schodziło w dół i wypływało pod krawędzią zasłony. W nocy jednak zasłona wykonywała ruchy o dwa, trzy centymetry większe. Może wtedy różnica temperatur była większa i to spowodowało tak silne zawirowania. Nabrał w płuca powietrza i dmuchnął mocno za zasłonę. Fałdy drgnęły lekko, ale niewiele to miało wspólnego z tym, co widział w nocy. Wysunął jedno z krzeseł spod stołu i usiadł na środku salonu. Papieros dopalał się i zaczynał parzyć w palce. Rozejrzał się za popielniczką. Ronstad i Jensen nie paliły. Wrzucił niedopałek do herbaty i poszedł wylać ją do zlewu. Gdy woda w odpływie ucichła, zdał sobie sprawę, że dopiero teraz usłyszał tykanie zegara. Jak to było możliwe, że słyszał je w nocy na schodach? Wszedł powoli z kuchni i zatrzymał się w drzwiach salonu. Tutaj już nie było go słychać. Wszedł na schody i usiadł. Zamknął oczy i uspokoił oddech. Niczego nie słyszał. Gdzieś daleko przejechał samochód. Kiedy szum silnika się oddalił, miał przez moment wrażenie, że do jego uszu dochodzą ledwie słyszalne tyknięcia. Po chwili jednak nie był już tego pewny. Wzdrygnął się na dźwięk przychodzącego esemesa. Liv wróciła i proponowała wyjście wieczorem na jakieś party w studiu fotograficznym. Zamknął drzwi na oba zamki i ruszył ścieżką do furtki. Przecież, do jasnej cholery, nie było żadnego wiatru! Na tarasie ktoś musiał być i poruszyć rynnę. Sama się nie poruszyła. Zawrócił. Wszedł na taras. Pionowa rura z miedzianej blachy tkwiła w dwóch luźnych obejmach wystających z muru. Łączenie rynny nie było lutowane. Karbowane zwężenie jednej części wchodziło w drugą. Zagięty wylot opierał się na tarasie. Złapał obiema dłońmi dolną rurę i unióś ją kilka centymetrów, wciskając na przewężenie. Karbowanie schowało się w całości. Puścił. Rynna trzymała się sama. Poruszył ją lekko. Zgrzytnęła, ale nie wypadła. Poruszył mocniej. Wysunęła się kilka milimetrów. Spróbował uderzać w nią raz z jednej, raz z drugiej strony. Po kilku uderzeniach wypadła wreszcie. Mały kawałek lodu odpadł z górnej części i rozbił się pod oknem.



Szklankę z whisky odstawił na umywalkę i zbliżył twarz do lustra. Było chyba widać, że jest pijany. Odkręcił kran i oplukał się zimną wodą. Ktoś wszedł do łazienki.

– Chcesz trochę? – usłyszał.

W lustrze zobaczył opartą o ścianę dziewczynę. Podtrzymywała otwartą torebkę na zgiętym kolanie i wcierała sobie coś w dziąsła.

– Nie, dzięki. Jestem pijanym policjantem – odpowiedział przez ramię i ponownie zanurzył twarz w zimnej wodzie.

Wytarł się papierowym ręcznikiem i podszedł do drzwi. Kiedy wychodził, dziewczyna uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. Odwzajemnił jej uśmiech i ruszył wolnym krokiem przez łomot głośników, wypełniający studio i okalające je szerokie korytarze. Znalazł Liv z grupką znajomych przy samej kolumnie głośnikowej; wykrzykiwali coś sobie wprost uszu. Rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby usiąść. Jak oni wytrzymują ten jazgot? Nikt nie tańczy. Wszyscy próbują rozmawiać i co dwa zdania milkną, zmęczeni wrzaskiem, który muszą z siebie wydobyć. Z daleka pomachał mu Nils, fotograf i właściciel studia, całkiem sympatyczny człowiek, chyba niewiele młodszy od niego. Nalewał drinka jakiemuś starszemu facetowi w różowym swetrze. Facet chyba spytał, kim Arne jest, bo Nils coś odpowiedział i obaj spojrzeli na niego. Swoją drogą ciekawe, co powiedział. Pewnie prawdę, bo facet wrócił spojrzeniem do dwóch modelek siedzących pod kolorową dekoracją. Ktoś, trzeba przyznać, naprawdę fajnie to zrobił. Wszystkie pomieszczenia zdobiły druciane konstrukcje z naciągniętymi kawałkami kolorowej folii od reflektorów. Grube druty powyginane w łuki, zygzaki i kółka krzyżowały się ze sobą. Światło stojących za nimi małych reflektorów przechodziło przez folię i pokrywało ściany setkami kolorowych plam o przedziwnych kształtach.

Wszedł do sporego pomieszczenia zaadaptowanego na garderobę. Tu też było tłoczno, ale poziom dźwięku wydawał się mniejszy. Za uchylonym skrzydłem drzwi do studia spostrzegł pustą kanapę. Obok na składanych krzesłach siedziało kilka osób. Trzech bardzo pewnych swego uroku facetów, sądząc po wyglądzie, z agencji reklamowej, i całkiem atrakcyjna dziewczyna w czarnych dzinsach i kusym haftowanym żakiecie. Usiadł w drugim końcu kanapy i złożył głowę na miękkim oparciu. To było naprawdę niezłe miejsce. Mógł tu przesiedzieć do końca imprezy. Pół szklanki whisky, którą trzymał w wygodnie opartej ręce, powinno mu wystarczyć. Kolorowe folie na powyginanych drutach obracały się leniwie, zmieniając co chwila kolor słabej żarówki zwisającej z sufitu. Strzępy dobiegającej go rozmowy niosły obrazy systemów wtryskowych, koni



mechanicznych, wysokich cen i jakichś znajomych idiotów, którzy dali się na coś nabrać. Poczul, że delikatny materiał otarł się o jego kolana. Otworzył oczy. Do grupy dołączyła dziewczyna z łazienki. Przyglądała fałdy falbaniastej spódnicy i usiadła na wolnym krześle. Spojrzała na niego i powiedziała coś do koleżanki w haftowanym żakiecie. Kanapa nie była chyba jednak tak spokojnym miejscem, jak miał na to nadzieję. Ale na razie nic szczególnego się nie działo. Znow zamknął oczy. Nie minęła jednak minuta, kiedy kanapa lekko się ugięła. Nie chcąc wyjść na pijanego buca, który zasypia na przyjęciu, otworzył oczy. Nie było tak źle: obok siedziała nie narkomanka z łazienki, tylko ładniejsza dziewczyna w żakiecie. Uśmiechnął się do niej i łyknął whisky.

– Naprawdę jesteś policjantem? – spytała, szczerze zainteresowana.

– Naprawdę – odpowiedział i wziął kolejny łyk.

– Ale super! Opowiedz coś ciekawego. Oni tam potwornie nudzą. – Wpatrywała się w niego z prawdziwym zaciekawieniem.

– Naprawdę nie wiem, co mogłoby cię zainteresować – bąknął w głąb szklanki, czując, że nie ma ochoty na flirty.

– Błagam cię, tylko mi nie mów, że nic ciekawego nie masz do opowiedzenia! – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Chyba mi nie powiesz, że wlepiasz mandaty za parkowanie – dodała ściszym głosem, świadoma wrażenia, jakie wywiera jej uroda.

– Nie wlepiam – odpowiedział i spojrzał jej w oczy.

– No właśnie. To opowiadaj. Nie wytrzymuję tych bredni, które opowiadają faceci na imprezach. – Wdzięcznym ruchem głowy wskazała swobodnie rozpartych na krzesłach kolegów.

Odwrócił się do niej, kładąc ramię na oparciu kanapy, i zrobił minę, jakby się namyślał.

– Przecież w twojej pracy, do cholery, musiało chociaż raz zdarzyć się coś ciekawego!

– Okej. – Uśmiechnął się z chyba wyczuwalną fałszywą skromnością. – Ostatnio coś rzeczywiście się dzieje.

– Jakieś morderstwo?

– Dlaczego zaraz morderstwo?

– No bo mówisz, że coś ciekawego. – Przynęła się bliżej, zerknąwszy przez ramię na facetów pijących piwo i dziewczynę z łazienki, która co chwilę ciekawie popatrywała w ich stronę.

– Mów, nie będę się wcinać. Powiedziałeś, że coś ciekawego.

– Raczej dziwnego. Nawet bardzo.

– Co?

– Coś dziwnego dzieje się w nocy – powiedział spokojnie i rozejrzał się po sali.

– Gdzie? – Zmarszczyła brwi.

– W ogrodach.

- W ogrodach? – Była coraz bardziej zaintrygowana.
- W domach też. Coś uruchamia alarmy.
- Dlaczego mówisz: coś? – spytała dość przytomnie.
- Bo nie wiem, co to jest. Nie zostawia śladów.
- Jakies zwierzę?
- Jeśli zwierzę, to bardzo dziwne. Wchodzi do domów, przesuwa meble...  
Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zdziwienia.
- Jezu! To przerażające. Jakiś potwór – wyszeptwała.
- Lea! Chodź tu, nie zdręczaj człowieka! – zawołała dziewczyna z łazienki.
- Jesteście nudi! A ten gość opowiada zajebistą historię o potworze, który w nocy wchodzi do domów.

Faceci obrócili się w ich stronę, wyraźnie zaintrygowani.

– No i co z tym potworem? – spytał jeden, z wpróbkniętymi oczami. Miał na sobie wąską zamszową marynarkę z zielonymi tyrolskimi wyłogami.

– Spokojnie, wyluzujcie. Nic nie mówię o żadnym potworze...

– Ale mówisz, że coś wchodzi w nocy do domów – przerwała mu dziewczyna.

– I straszy? – spytał, krztusząc się piwem, czerwony na twarzy koleś w rozpiętej białej koszuli.

Parę stojących bliżej osób spojrzało w ich stronę. Była wśród nich Else. Widząc Arne, puściła do niego oko. Jej widok wyraźnie dodał wigoru facetowi w tyrolskiej marynarce.

– No, jak zacząłeś, to mów. Co wchodzi do domów? – rzucił zaczepnie.

Arne rozłożył ręce i pokręcił głową.

– Sporo alarmów się włącza bez wyraźnego powodu. To tyle.

– I policja myśli, że to potwór?

– Matthias! Ty głupku! – skarciła go dziewczyna.

– Nie. Policja nie myśli, że to potwór – spokojnie odpowiedział Arne.

– Przepraszam. Przepraszam. Głupie pytanie.

– Ale mówiłeś, że coś wchodzi do domów – włączył się ten w białej koszuli. – I ktoś to widział?

– Martin! – warknęła dziewczyna ostrzegawczo.

– Ale mnie naprawdę to ciekawi! – bronił się Martin, szczerze oburzony. – Ktoś to widział?  
– powtórzył poważnym tonem.

– Może widziała to jedna kobieta. – Powiedziawszy to, Arne zrobił gest dający do zrozumienia, że chce już wycofać się z rozmowy.

– I co mówiła? – nalegał Martin.

– No właśnie nic. – Arne wstał i poprawił marynarkę.

– Zaniemówiła ze strachu? – wtrącił się znów Matthias.

– Nie. Umarła – powiedział przez ramię, odchodząc.

– Ze strachu?

– Wiele na to wskazuje.

– No to musiał być jednak potwór! – wrzasnął Matthias.

Arne nie zareagował. Podeszedł przywitać się z Else, ale zza jej pleców wyłoniła się Liv.

– O! Tu jesteś. Chyba już pójdę. Muszę jeszcze coś załatwić – powiedział, gdy podeszła do niego z, jak mu się wydawało, nieco drwiącym uśmiechem.

– Po pijanemu? – spytała.

– Ta rozmowa trochę mnie otrzeźwiła.

– Jeśli naprawdę musisz, to idź. – Uśmiechnęła się, tym razem chyba z lekkim rozczarowaniem.

– Naprawdę muszę jeszcze coś załatwić.

– Musisz sprawdzić, co robi potwór?

– Właśnie. Jak zobaczysz Nilsa, powiedz mu, że zrobił fajne dekoracje.

\*

Kiedy taksówka zatrzymała się na Erlends vei, było dziesięć po pierwszej. Arne poprosił szofera, żeby zaczekał na niego. Wygrzebując klucze z kieszeni, uświadomił sobie, że zachowuje się paranoicznie. Po rozmowie z dziewczyną chciał po prostu wrócić do domu i położyć się spać. Gadanie, że musi coś jeszcze załatwić, było zwykłą wymówką. Kiedy Liv drwiąco spytała, czy idzie sprawdzić, co robi potwór, rozzłościł się na nią. I przyjechał tu – chyba żeby udowodnić diabli wiedzą już komu, że zajmowanie się potworem jest poważnym, wymagającym poświęceń zajęciem.

Otworzył drzwi i poszedł na górę, do sypialni. Ominął podłogę przy komodzie i zapalił lampę. Wrócił tą samą drogą do drzwi i spojrzał pod kątem na zakurzony parkiet. Ślady, które zrobił wcześniej, były nietknięte, a szuflada wysunięta tyle, ile poprzednio.

Tak, właśnie tak wygląda paranoja – pomyślał. Zgasił lampę i wyszedł.

\*

Na szczęście w butelce zostało jeszcze trochę whisky. Wlał wszystko do szklanki i poszedł do łazienki z kotem płaczącym się pod nogami. Otworzył szafkę nad pralką i sięgnął za pudełka z proszkami do prania po torbę z kocią karmą. Gdy ją wyciągał, zaczepił o jedno z pudełek, niestety było otwarte. Błat pralki i podłogę zasypał proszek. Zaklął wściekle i zaczął bosymi stopami zagarniać go w kąt łazienki. Ponieważ kot uznał, że jest to jakiś rodzaj zabawy i wyłożył się w proszku, Arne rozsypał mu garść karmy pod umywalką. Rozebrał się i otworzył pralkę, żeby dorzucić do brudów koszulę. Z otwartych drzwiczek pociekło trochę wody. Znow zaklął wściekle, bo podłoga od wody z proszkiem stała się śliska. Zapomniał odwirować pranie, które zrobił ostatniej nocy. Ustawił programator i włączył pralkę. Ponieważ programator miał zwyczaj się zawieszać, musiał odczekać, aż pompa zacznie pracować. Kiedy wreszcie zaczęła buczeć, poszedł do kuchni po ścierkę do podłogi. Oczywiście nie mógł jej znaleźć i zaklął po raz kolejny, słysząc narastające wycie odwirowywania. Stara pralka dostawała drgawek przy większych obrotach i trzeba było ją przytrzymywać, żeby nie wyjechała na środek łazienki. Stanął na śliskiej podłodze i oparł się o blat zasypany proszkiem. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie upchnął odkurzacz. Pralka zwiększyła obroty, a oczom Arne ukazał się dość niezwykły widok: ziarenka proszku zaczęły układać się w szczególny sposób. Przesuwając się pod wpływem wibracji, powoli tworzyły symetryczny kształt. Przypominał poduszkę o zapadniętych bokach. Na środku blatu gromadziło się coraz więcej proszku. Kiedy Arne przestał trzymać pralkę, wpadła w dygot. Kształt poduszki stopniowo się rozmywał. Po chwili obroty wzrosły do maksimum i Arne znow musiał przytrzymać blat mocniej. Poczuł w dłoniach silniejszą wibrację, ale drgań pokrywy nie dawało się już uchwycić wzrokiem. Tym razem boki poduszki zaczęły się przesuwac ku środkom krawędzi, a jej centrum stopniowo pustoszało, ukazując poszerzające się koło. Arne sięgnął po szklankę i postawił ją na pralce. Powierzchnia whisky zmieniła się w mgnieniu oka. Powstały na niej stojące, koncentryczne kręgi. Drżały, ale nie rozchodziły się ku brzegom. Przeważił programator na niższe obroty. Kręgi w szklance nie zniknęły, ale było ich teraz mniej. Cztery wyraźne pierścienie marszczyły powierzchnię płynu. Może tak właśnie wyglądała dziwna herbata Grety Jensen. Pralka przestała drzeć, włączyła się pompa. Whisky w szklance już tylko lekko się kołysała.

Arne wyszedł z łazienki i włączył komputer na biurku w salonie. To, czego przed chwilą był świadkiem, ukazywało wszystko w zupełnie innym świetle. Drżenie gruntu spowodowane jakimiś pracami ziemnymi albo czymś w tym rodzaju wyjaśniałoby sporo. Jeśli alarm wibracyjny w telefonie powoduje, że wędruje on po całym stole, dlaczego jakieś drgania nie miałyby powoli

wysuwać szuflady albo przekrzywić obrazu na ścianie. Gdy wyświetliła się strona wyszukiwarki, wpisał słowo „wibracje”. Oprócz dziesiątek muzycznych adresów zawierających wibrację w przeróżnych kontekstach pojawiły się strony popularnonaukowe. Obejrzał kilkanaście filmów ukazujących niesamowite wzory tworzące się z piasku pod wpływem drgań. Podobne cuda działały się z wodą. Na jej powierzchni w naczyniach ustawianych na specjalnych drgających płytach powstawały nie tylko kręgi, ale też zawile sploty przenikających się zniekształceń. Przeczytał fragmenty kilku artykułów, w tym wstęp do mechaniki drgań opatrzony wykresami i opisami doświadczeń. Gdy doszedł do lewitacji elektrycznej, która popchnęła go niepostrzeżenie w świat hinduskich fakirów, wrócił do drgań skorupy ziemskiej. Otworzyła się mapa świata z zaznaczonymi na czerwono obszarami aktywności sejsmicznej. Zbliżył się do Norwegii. Była, jak się tego spodziewał, zupełnie szara.

Pralka kończyła odwirowywanie. Zaskrzypiała jęklonie i wreszcie ucichła.

\*

Gawron na gałęzi za oknem chyba mu się przyglądał, bo gdy machnął ręką, cofnął głowę jakby lekko zdziwiony. Arne dopił kawę i podszedł do planu miasta z plikiem raportów. Były wśród nich nowe, z ostatnich dwóch tygodni. Czytał kolejno każdy i wbijał szpilkę, jeśli opis mówił o włączeniu się alarmu bez oczywistych powodów. Gdy skończył, policzył szpilki. Było ich trzydzieści osiem, rozsianych niemal po całej dzielnicy. Małe kolorowe łebki sterczały nad planem, zlewając się z grafiką ulic, zabudowań i innymi oznaczeniami.

Uchylił drzwi i zajrzał do sekretariatu, mając nadzieję, że będzie pusty. Pani Nygaard siedziała jednak za biurkiem.

– Ma pani jeszcze te kolorowe kółeczka do naklejania na teczki?

Jak zwykle nie odrywając wzroku od ekranu, otworzyła szufladę i podała mu opakowanie.

– Może wziąłby pan urlop i wyjechał gdzieś na słońce na kilka dni? – spytała nagle, gdy chował się już w swoim pokoju.

– Pomyślę o tym, pani Nygaard. Dziękuję. – Starał się być uprzejmy, nie chciał jednak wdać się w dłuższą rozmowę na ten temat. Pokiwała głową, wpatrzona tym razem w klawiaturę, w którą stuknęła z nieprawdopodobną prędkością.

Zamknął drzwi i wyjął z folii kartonik pełen małych białych kółeczek. Podszedł do mapy i pracowicie ponaklejał je na łebki od szpilek. Zapalił lampę na ruchomym ramieniu, umieszczoną nad planem, i odsunął się dwa kroki. Teraz było to widać wyraźnie. Nad okolicami Erlends vei, gdzie stał dom profesorowej Ronstad, Lavrans vei, gdzie coś zniszczyło parawan Ingi Strand, i Venasvegen, gdzie kuny oderwały rynnę, unosiło się ich więcej. Odszedł jeszcze kawałek. Kółeczka tworzyły coś w rodzaju podłużnego zagęszczenia. Chmura białych punktów od strony płaskowyżu i terenów przemysłowych była jakby ostrzej zakończona. Drugi koniec bardziej się rozpraszał, zanikał w kierunku centrum miasta. Arne wyjął z kieszeni telefon i zrobił kilka zdjęć. Potem usiadł za biurkiem i wszedł na stronę uniwersytetu. Zajęło mu trochę czasu, zanim znalazł numer telefonu do sekretariatu Katedry Geofizyki.

\*

Zaparkował samochód na Plataveien i ruszył uliczkami łagodnie opadającymi w kierunku Erlends vei. Do umówionego, a ściślej, wyzebranego spotkania na uniwersytecie miał trochę czasu. Nie obyło się bez mejlowego przesłania tematu rozmowy, co na skutek wątpliwości, którymi był przepełniony, stanowiło niemały wysiłek. Miał teraz ochotę przejść się po okolicy najeżonej szpilkami w nadziei, że może przypadkiem dostrzeże coś, co różni tę część dzielnicy od pozostałych.

Było nieco cieplej niż wczoraj. Nie wiało, a poranna mżawka ustała. Jeśli miałby znaleźć jedno słowo charakteryzujące jego dzielnicę, byłaby to cisza. Tutaj zupełnie nic się nie działo. Samochody przejeżdżały rzadko, w zasięgu wzroku często nie było ani jednego przechodnia. Nie pamiętał, kiedy ostatnio prowadzono tu jakieś roboty drogowe. Z niektórych miejsc ledwie było słychać pociągi z cysternami jadące do rafinerii. Była to jednak taka odległość, że myśl o wynikających z tego jakichś drganiach wydawała się nieprawdopodobna. Może skaliste podłoże przenosiło vibracje, jeśli nie od pociągów, to może od linii metra. Ta jednak nie dochodziła do tej części dzielnicy. Drgania gruntu tłumaczyłyby logicznie włączanie się systemów alarmowych, pękanie rynien, trzeszczenie starych konstrukcji drewnianych, może nawet pękanie szyb, ale byłyby chyba jednak jakoś wyczuwalne. Nie pamiętał, żeby coś drżało nocą w domu profesorowej. A drgania musiałyby chyba być spore, żeby poruszyć zasłonę.

Do miejsca, gdzie doszedł, zaczynał już docierać daleki szum miasta. Już tylko kilka przecznic dzieliło go od okolicy, w której według planu zagęszczenie białych punktów zanikało. Tu już zupełnie nic się nie działo. Skręcił w przecznicę. Z mijanego domu słychać było przez otwarte okno pracujący odkurzacz. Po chwili wydało mu się, że słyszy coś jeszcze. Z niedającego się ustalić kierunku dochodził zanikający, to znów nasilający się szum. Gdy wyszedł na szerszą ulicę, usłyszał to lepiej. Dźwięk stał się znajomy. W prześwicie między drzewami można było dojrzeć szczyty kilku wyższych budynków, położonych w centrum. Zza jednego z nich wyłoniła się mała sylwetka śmigłowca. Na tle ciemnoszarego nieba ledwie było go widać. Gdy skręcił łagodnym łukiem, szum zmienił się w charakterystyczny łopot wirnika i ucichł zupełnie, kiedy helikopter odleciał gdzieś ponad fiordem. Dopiął kurtkę i ruszył z powrotem. Miał kawał drogi pod górę.



Dwaj studenci siedzący naprzeciw niego nie wyglądali na rozluźnionych. Ze zwieszonymi głowami studiowali grube zeszyty wypełnione notatkami. Jeden gryzł koniec długopisu, drugi nerwowo zaginał rogi kartek. Kiedy monumentalne drzwi otworzyły się i z gabinetu wyszedł kolejny student, ich spojrzenia oderwały się od notatek i zawisły na jego twarzy, ale on wzruszył tylko ramionami, parsknął cicho i w milczeniu oddalił się korytarzem. Po chwili usłyszeli jedynie stłumione przekleństwo. Nikt nie ruszył się z miejsca. Studenci popatrzyli na siebie niepewnie, a potem spojrzeli na Arne. Zrobił zachęcający gest w kierunku drzwi gabinetu. Pokręcili głowami. Do drzwi przykręcona była mosiężna tabliczka: „Katedra Geofizyki. Profesor Frederik Kristensen”. Wszedł. Na końcu wysokiego gabinetu, przewężonego dwiema potężnymi, oszklonymi bibliotekami, w mdłym świetle górnej lampy siedział za biurkiem krótko ostrzyżony mężczyzna koło siedemdziesiątki. Kiedy Arne zatrzymał się w pół drogi, onieśmiałony nieco brakiem jego reakcji, usłyszał ciche i jakby zdziwione:

– Słucham pana.

Przedstawił się i podszedł bliżej. Twarz profesora Kristensena złożona była głównie z długich pionowych bruzd, między którymi tkwiła para bladych i zimnych oczu.

– A, tak. Wiem – powiedział znów tak cicho, że trudno było poznać, czy jest w tym niechęć, czy tylko zmęczenie.

Wskazał Arne krzesło i marszcząc brwi, przebiegł wzrokiem po wydruku mejlowym.

– Aktywność sejsmiczna w środkowej i północnej Norwegii nie występuje – powiedział sucho. – W naszym regionie nie prowadzi się również żadnych wierceń na lądzie. Platformy wiertnicze są na morzu, w pasie szelfowym, więc nie bardzo wiem, jakie drgania gruntu mogłyby spowodować ten pański problem alarmowy.

Lekka ironia w sformułowaniu „pański problem alarmowy” nie była chyba złudzeniem.

– Panie profesorze, rozumiem. Ale ja nie twierdzę, że są to drgania gruntu. Ja w ogóle nie twierdzę. Zauważyłem po prostu większą niż zwykle liczbę włączeń się alarmów w pewnej części mojej dzielnicy. Zastanawiam się, czym to może być spowodowane.

– To jest katedra geofizyki. Nie zajmujemy się tu instalacjami alarmowymi.

– Oczywiście, ja rozumiem i bardzo doceniam, że zgodził się pan poświęcić mi trochę czasu. Miałem nadzieję, że może razem zastanowimy się, co może powodować te alarmy. – Położył na biurku wydrukowane zdjęcie planu z zaznaczonymi punktami.

Profesor uniósł lekko kartkę, żeby nie musieć pochylać głowy.

– Na podstawie jak przeprowadzonych badań powstał ten plan? – Ożywił się nieco. – Jeśli wolno spytać.

– No wie pan, trudno nazwać to badaniami. Mieliśmy ostatnio wiele wezwań do włamań i okazywało się, że żadnego włamania nie było.

– Każdy z tych punktów oznacza właśnie taki przypadek?

– No... nie zawsze. – Zawahał się, czując, że nie będzie to właściwa odpowiedź. – Czasami sugerowałem się innymi faktami.

– Sam pan widzi, że nie jest to rzetelnie przeprowadzone badanie. Nie może pan mieć miarodajnych wyników z badania przeprowadzonego na podstawie różnych założeń wstępnych czy różnych rodzajów, nazwijmy to, pomiarów.

– Zdaję sobie sprawę, że nie są to obserwacje naukowe, ale...

– Jakie zaobserwował pan fakty? – przerwał mu, przymykając oczy.

– Pękanie szyb, przechylenie się obrazów na ścianach, odpadanie rynien.

– To, co pan opisuje, wygląda na trzęsienie ziemi. Nie wyjeżdżałem z miasta przez ostatnie pół roku i żadnego trzęsienia ziemi nie zauważyłem.

– Panie Kristensen, ja też nie zauważyłem, ale ilość różnych, może z pozoru błahych zdarzeń wydała mi się zastanawiająca.

– No dobrze. W ilu miejscach oberwały się rynny?

– Rynny... W dwóch.

– Panie Hilmen, o czym pan mówi?

– Jeśli zsumować te różne drobne fakty, wygląda, że coś dziwnego jednak się dzieje – nie dawał za wygraną Arne.

– Ale właściwie co dziwnego? Czy dysponuje pan podobnymi wynikami, nazwijmy to – badań z innych dzielnic?

– Nie, ale jak pan widzi na planie, zaznaczenia nie obejmują całej dzielnicy. Alarmy i te dziwne zdarzenia mają miejsce głównie w części położonej na wzgórzach. Tu w dole, bliżej centrum, nic się nie dzieje.

Kristensen pokręcił głową i westchnął głęboko. Jeszcze raz uniósł zdjęcie i przyjrzał mu się uważniej.

– Co pozaznaczał pan na tej mapie? Tu są dziesiątki punktów. W jednym miejscu alarm, w innym przekrzywiony obraz, w jeszcze innym oberwana rynna. Aż tyle tego było? Aż tyle obrazów poprzekrzywiało się w mieście?

– Nie. Przyznaję, że wiele punktów to moje przypuszczenia oparte na raportach firm ochroniarskich, które wyjeżdżały do fałszywych alarmów. – Było jasne, że wdawanie się w opowieści o Grecie Jensen czy jego własnych przeżyciach z ruszającą się zasłoną przyniesie efekt

odwrotny do oczekiwanego.

– Panie Hilmen – profesor przyjął ton bardziej dobrotliwy, żeby nie powiedzieć protekcyjny – sam miałem problemy z regulacją alarmu w domu. Elektryk przyjeżdżał chyba ze trzy razy, zanim uporał się z dwoma czujnikami, które ciągle się włączały. Okazało się, że jeden reagował na pająka, który zrobił sobie pajęczynę tuż przed nim, a drugi na gałąź poruszaną przez wiatr. Na wzgórzach wiatr jest silniejszy niż w dolnej części miasta. Może to coś wyjaśnia.

– W przypadkach, o których mówiłem, włączały się przeważnie czujniki w oknach – powiedział Arne bardziej na swoje usprawiedliwienie, niż aby zasiać wątpliwość w umyśle profesora.

– Cieszę się, że żyjemy w kraju, w którym policja ma takie problemy. Naprawdę nie wiem, jak mam panu pomóc. – Profesor spojrzał wymownie na zegarek.

– Cóż... Chyba nie przygotowałem się za dobrze. – Arne wstał i schował zdjęcie do teczki. Ponieważ Kristensen się nie odzywał, ruszył w stronę drzwi.

– Niech pan sprawdzi na stronie stacji seismologicznej KONO w Kongsbergu – odezwał się nagle profesor. – Tam są dostępne zapisy seismografów. Chociaż to panu nic nie powie – dorzucił po krótkim westchnięciu. – Niech mi pan wierzy. Ziemia u nas nie drży.

– A co jeszcze może drgać? – spytał Arne desperacko, stojąc już przy drzwiach.

Kristensen pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Drgać może wszystko. Ciała stałe, ciecze i gazy. To jest w programie szkoły podstawowej. Czując zalewającą go falę wstydu i wściekłości, wyszedł na korytarz.

\*

Spod pokładu dobiegało monotonne złożenie Jensa. Stuki i chrobotanie narzędzi skutniczych o wręgi i wsporniki z rzadka tylko przebijały jego niekończący się monolog:

– Mało jej, kurwa! Jeszcze jej, kurwa, mało! Raz już mnie dopadła. O mało nie siedziałem przecież. Ledwo się, kurwa, wywinąłem przecież, nie! To jeszcze jej, kurwa, mało! Okej, przyznaję. Pewne uchybienia były. Pewne błędy były. Przyznaję. Miałem historie uboczne. Alkohol był. Przyznaję. No i te jebane alimenty. Przyznaję. Ale uregulowaliśmy, no, kurwa, uregulowaliśmy, nie? Ale jej, kurwa, znowu mało! – Przeszedł chyba w stronę rufy, bo jego głos znacznie przycichł. – A ja znam kulisy jej psychologii. Wiem, co ją teraz wkurwiło. Wiem, kurwa! Ją wkurwiło, że nawiązałem kontakt z córką. Że dzwoni do mnie. Nawet tu była. Że mnie jednak kocha i ja ją kocham. To ją wkurwia. To ją wkurwia, ja wiem.

Jens ucichł. Słysząc było tylko wzmoczoną szamotaninę z jakąś oporną częścią. Kadłub jachtu stojącego na podporach chwiało się lekko. Arne siedział okrakiem na dziobie, opierając brodę o reling. Małe fale wlewały się na pochyłe betonowe nabrzeże. Daleko na horyzoncie jakiś żagiel próbował łapać resztki wiatru, którego tutaj zupełnie już nie było.

Arne nie miał najmniejszej wątpliwości: skończyło się jego kretyńskie prywatne śledztwo. Nie pozostawało nic poza powrotem do normalnej rzeczywistości. Gdyby jeszcze było w niej coś, do czego miałby ochotę wracać...

Zza zabudowań stoczni wysuniętych na cyplu wyłonił się długi, smukły kadłub potężnego jachtu. Sunął bezgłośnie na idealnie tłumionym silniku. Po wodzie niosły się śmiechy i muzyka. Na wantach rozpięte były sznury lampek. Oświetlony ciepłym światłem, pełen młodych ludzi pokład kontrastował beztruskim nastrojem z zimną szarością fiordu. Jakaś Maren nie chciała się na coś zgodzić. Facet siedzący ze szklanką na bomie wykrzykiwał:

– Błagam cię! Musisz to zrobić! Po tym, co powiedziałaś, musisz to zrobić.

Arne przypomniał sobie, że pod pokładem ma gdzieś taki sznur lampek. Dlaczego nie miałby siedzieć na bomie i namawiać na coś na przykład tej dziewczyny ze sklepu?

– To co robimy z tą wręgą? Mam się z nią pieprzyć dalej czy wymieniamy całą? – rozległ się głos Jensa prawie dosłownie pod nim.

– Wymieniamy! – odkrzyknął i zeskoczył na beton.



Pierwszym kawałkiem normalnej rzeczywistości, którego próbował się chwycić, była wręga jego starego jachtu. Drugim – biała farba. Na szczęście tak gęsta, że jedna warstwa przykrywała idiotyczny żółty, którym nie wiadomo dlaczego chciał wcześniej wymalować swoje mieszkanie. Jedna ściana była gotowa. Farba schła błyskawicznie. Wyciągnięty z sypialni odkurzony regał czekał na książki. Właściwie część książek już na nim stała. Ku zaskoczeniu Arne powstał jednak dylemat: czy książki mają stać, jak stały, czy też powinny zostać jakoś posegregowane i dać tym samym początek nowemu podejściu do życia, jak najdalszemu od dotychczasowego niefrasobliwego rozmemłania. Podjęciu szybkiej decyzji nie sprzyjał inny kawałek rzeczywistości, z którym trzeba by spróbować się rozstać: whisky. Napoczęta butelka stała na komodzie i kusiała. Arne zdawał sobie sprawę, jakie stanowi zagrożenie. Nie kupił jej, żeby się upić. Miała być w domu, aby od czasu do czasu mógł sobie łyknąć. Tylko że nie pamiętał wieczoru w czasie ostatnich kilku miesięcy, żeby nie miał na taki łyk ochoty. Tak czy owak, dzisiejszy wieczór nie mógł być momentem przełomu, bo Arne był już dość mocno wstawiony. Żeby nie tkwić beczynnym w fotelu, postanowił odłożyć na później decyzję o uporządkowaniu książek, a teraz przenieść je wszystkie na regał, żeby nie walały się po całym mieszkaniu. Mimo że nie było ich aż tak wiele, leżały dosłownie wszędzie. Po półgodzinie kursowania po całym mieszkaniu miał już dosyć. Poza tym uświadomił sobie, że do przeczytanych książek nie będzie już wracał, a te, których dotąd nie przeczytał, nadal zupełnie go nie pociągają. Trzy czwarte biblioteki stanowiły podręczniki, albumy i pisma żeglarskie, do których od dawna już nie zaglądał. Reszta, czyli przeczytane powieści sensacyjne i kryminały oraz trochę ambitniejszej literatury z biblioteki po ojcu, też nie była mu właściwie do niczego potrzebna. Zdawał sobie sprawę, że jego stosunek do świata i kultury nie świadczy o nim najlepiej. Gryzło go to trochę już wcześniej, a coś w rodzaju dumy z tego, że nie ma żadnej pornografii, tak typowej dla zbiorów literackich jego kolegów, przestało mieć znaczenie i tłumić poczucie, że jest nieukiem i ignorantem.

Rozejrzał się po salonie. Całkiem spora sterta książek wznosiła się jeszcze na komodzie obok whisky. Zanim zakręcił butelkę, nalał jeszcze trochę. Chcąc za jednym razem wziąć całą stertę, przechylił ją, aby oparła mu się na piersi. Nie był jednak w tym zbyt precyzyjny i książki posypały się na podłogę. Zaniósł te, które zostały mu w rękach, na regał i usiadł na gazetach, żeby pozbierać resztę. Gdy podniósł największą i rzucił, aby na niej kłaść mniejsze, wydmuchnięty spod gazety kurz zawirował w powietrzu. Arne oparł głowę na książkach i obserwował drobinki opadające w świetle lampy. Nie chciało mu się wstawać, tym bardziej że na dalsze malowanie nie

miał już ochoty, a sama myśl o siedzeniu w fotelu z ciężkim kotem na kolanach wciągała go w jakąś duszną ciemność. Drobinki opadały i opadały. Kiedy osłonił się ręką od światła żarówki, zobaczył pyłki unoszące się na tle czarnego okna, jakby grawitacja w ogóle ich nie dotyczyła. Zawirowały jak szalone, gdy delikatnie dmuchnął w ich stronę. Z cienia ciągle wyłaniały się nowe. Kawalek wolnej od gazet podłogi pokryty był grubo kurzem. Przejechał po niej palcem, zostawiając wijącą się linię. Spróbował dmuchnięciem zamazać ślad. Część linii pokryła się kurzem. Jeszcze raz dmuchnął. Poderwany pył opadał zarówno na ślad, jak i na powierzchnię obok, pozostawiając go jednak wciąż widocznym. Wziął do ręki jakieś pismo i machnął nim kilka razy tuż nad niezatartą częścią linii. Drobinki kurzu zachowały się trochę inaczej. Przesuwały się w jedną i drugą stronę, poruszone zawirowaniem powietrza. W środku linii podłoga była czysta, ale granice śladu zbliżyły się do siebie. Arne starał się poruszać pismem szybciej. Zwężanie śladu przyspieszyło się trochę. Właśnie zmieniał pozycję, aby móc obiema rękami szybciej poruszać gazetą, gdy tuż przed jego twarzą pojawiła się czarna głowa z wielkimi żółtymi ślepiami. Kot przypatrywał mu się przez chwilę, po czym wywalił się w sam środek niedokończonego eksperymentu. Arne westchnął i poszedł w ślady kota. Miał ochotę gdzieś wyjść, ale nie miał pojęcia dokąd. Przypomnił mu się przepływający jacht, zalany ciepłym światłem pokład i głosy roześmianych ludzi. Śmiejąca się Maren, która czegoś tam nie chciała. Gdyby nadal brakowało ulubionego żarcia dla kota, byłby to dobry pretekst, żeby wybrać się do sklepu i porozmawiać z dziewczyną. Sklep chyba jeszcze był otwarty. Przypomnił sobie, że karmę sprzedał mu właściciel. Poza tym wciąż czuł się na siłach nawiązać rozmowę z dziewczyną bez pomocy torby z namalowanym kotem.

\*

Zaparkował przed sklepem. Wewnątrz paliło się światło, ale przez witryny nie było widać nikogo. Dzwonek przy drzwiach spowodował jednak jakieś szmery na zapleczu. Arne rozejrzał się po półkach za czymś, co mógłby kupić, gdyby za ladą pojawił się właściciel. Ale to była ona. Tym razem włosy związała w kucyk. Ciemnozielony sweter kontrastował z czerwoną pomadką na ustach. Poznała go, ciemne brwi nieco się uniosły, a na twarzy pojawił się uśmiech.

– Jest chyba ta karma dla kotów, której pan szukał – powiedziała, wychylając się w stronę półek.

Już chciał powiedzieć, że ją ma, i jakoś inaczej zacząć rozmowę, ale ze zdziwieniem usłyszał własny głos:

– Naprawdę? Ta w fioletowej torbie?

– Tak, z kotem, co ma głupi wyraz mordy.

A więc pamiętała go i wyraźnie sprawił na niej pozytywne wrażenie. Wszedł między półki i wyciągnął jedną z toreb.

– Niech pan weźmie więcej, bo to nie zawsze przywożą – powiedziała, gdy podszedł do kasy.

– Kilka dni temu kupiłem więcej, jak pani nie było. Szczerze mówiąc, to wszedłem tutaj, bo jakoś nie mogę wysiedzieć sam w domu.

Spojrzała na niego uważniej i zaczęła przekładać kwity kasowe.

– Kota pogłaskałem przed wyjściem i wyspałem mu jedzenie do miski – dodał po chwili milczenia.

Przez moment jej twarz była nieruchoma. Wydawało się, że skupiona jest całkowicie na rachunkach. Kąciki ust uniosły się jednak w ledwie zauważalnym uśmiechu. Arne stał i przyglądał jej się w milczeniu. Nadal skrupulatnie segregowała papierki. Wreszcie odezwała się, nie podnosząc oczu:

– Za pięć minut muszę zamknąć.

Zastanawiał się, co powinien teraz powiedzieć, ale postanowił zaryzykować:

– A może poszlibyśmy gdzieś na chwilę. Nie chce mi się wracać do domu ani chodzić samemu po ulicach.

Zamknęła szufladę kasy, odwróciła się i zaczęła przekładać ceny pod słóiczkami na półce.

– Proszę się nie obawiać. Nie jestem męczącym nudziarzem z problemami. To znaczy, prawdę powiedziawszy, może jestem, ale spróbuję nie zaprezentować tego w jakiś dotkliwy sposób.



Przekładała nadal ceny, wyraźnie zastanawiając się nad tym, co usłyszała.

– Okej. – Spojrzała na niego. – Miałam spotkać się ze znajomymi w klubie. Jak chcesz, możesz pójść ze mną.

– Dzięki. To miło z twojej strony. Mam tu samochód.

– Kupujesz tę karmę? Bo muszę zamknąć kasę. – Uniosła nieco jedną brew, co bardzo mu się spodobało.

– Nie, będę miał pretekst, żeby tu znowu wpaść.

Zamknęła szufladę i zniknęła na zapleczu. Usłyszał szelest kurtki i kilka piśnięć kodu alarmowego. Wyszła, owijając sobie długi wzorzysty szal wokół szyi. Zaskoczyło go, że jest tak wysoka. Myślał, że za ladą jest podwyższona podłoga.

– Wychodzimy, zaraz się włączy – powiedziała, potrząsając kluczami.

Gdy uporała się z zamkami, wsiedli do samochodu.

– Jedź do portu, potem ci pokażę – powiedziała, szukając czegoś w torebce.

Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że wypił sporo whisky i by nie ryzykować kontroli drogowej, powinien jechać bocznymi ulicami. Widząc, że wyjęła z torebki puderniczkę, zapalił jej lampkę przy lusterku. Przejechali spory kawałek, nie odzywając się do siebie. Im dłużej jechali w milczeniu, tym trudniejsze wydawało mu się zaczęcie jakiejś rozmowy.

– Fajny samochód i fajnie, że nie jedziesz za szybko. Nie znoszę, jak faceci pokazują, co potrafią – powiedziała, poprawiając sobie kreski na powiekach. Gdy zerknęła na niego, odrywając na moment wzrok od lusterka, zdążył dostrzec, że jej oczy są ciemnobrązowe, a nie czarne, jak myślał.

– Nie wyglądasz na typową Norweżkę.

– Mama jest Hiszpanką – powiedziała cicho, a ponieważ nie rozwijała tematu, postanowił jej nie wypytywać.

Podobało mu się, że nie jest gadatliwa. Pozwalało mu to nie wdawać się w opowieści o nim samym. Nie znosił zmyślać, a nie miał ochoty mówić o swoich lękach i dręczących go zmorach. Atmosfera, jaką wytwarzała, uspokajała go. Niewątpliwie miała świadomość swojej urody, ale jej zachowanie nie wymuszało demonstrowania gotowości do flirtu. Dawało jednak taką możliwość, a to właśnie było najprzyjemniejsze. Arne nie chciał wiedzieć, czy ma chłopaka, czym się interesuje i jakie ma plany na przyszłość. Miał ochotę spędzić z nią trochę czasu i cieszyć się tym, że nie wysłała go do diabła, czemu ciągle trochę się dziwił. Prawdę mówiąc, obawiał się sprawdzać, czy jest w jej oczach potencjalnym kandydatem na amanta.

– Skręć w tę ulicę, a potem zatrzymajmy się przed rogiem. Tam dalej często stoją gliny – wskazała, podzwaniając bransoletkami, których przedtem nie zauważył.

– Dzięki. Tak zrobimy. – Podjechał do krawężnika i zaparkował w rzędzie stojących

samochodów.

Kiedy wyszli zza rogu, dobiegł ich głuchy rytm basów, wydobywający się gdzieś z podziemi. Spora grupa młodych ludzi tłoczyła się w ciemnej bramie. Przekrzykiwali się, pili piwo z puszek i palili papierosy. Brama stanowiła najwyraźniej integralną część klubu, którego nazwa skrywała się gdzieś między plakatami ponaklejanymi na ścianach. Arne nie był pewny, czy właśnie w takim miejscu chciał się dzisiaj znaleźć. Basowe dudnienie narastało z każdym stopniem, gdy schodził za dziewczyną po wąskich schodach oświetlonych czerwonymi żarówkami.

\*

Duże, wysokie wnętrze było wypełnione zbitym, kotłującym się tłumem. Dziewczyna odwróciła się do niego i z uśmiechem wruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że nic na to nie poradzi. Gestem głowy wskazała bar jako ewentualny kierunek. Odpowiedział podobnym gestem i ruszył jej śladem, mozolnie przepychając się wśród ciał podążających w różne strony. Mniej więcej po minucie dotarli do długiej lady. Zawirowania sprawiły jednak, że znaleźli się przy niej oddzieleni sporą liczbą osób, wykrzykujących coś w stronę barmana. Siwy facet z zaczesanymi do tyłu włosami poruszał się ze zdumiewającą sprawnością. Nalewał po dwa drinki naraz, nie tracąc kontroli nad ich proporcjami. Miał już swoje lata, ale sądząc z energii i wyrazu twarzy, był tu na swoim miejscu. Dwie towarzyszące mu pomocnice traktowały pracę już mniej entuzjastycznie; uwijały się jak w ukropie, ale ich twarze pozostawały kamienne. Barman, spostrzegłszy dziewczynę, nachylił się do niej przez blat. Wyglądało na to, że dobrze się znają. Krzyknęła mu coś do ucha i spojrzała na Arne. Kiwnął głową. Tłum poruszał się jak gorąca lawa albo woda za śrubą dokującego statku. Tworzyły się wiry i podążające w przeróżnych kierunkach strumienie. Z jakichś powodów nikt nie chciał pozostać na swoim dotychczasowym miejscu. Każdy dążył do kogoś lub czegoś. W pobliżu baru na ruch niezmordowanie przemieszczających się postaci nakładał się – niekoniecznie powtarzający kierunek – ruch podawanych z rąk do rąk drinków, które jakimś cudem musiały chyba znajdować swoich adresatów. Po chwili dwie szklanki zawisły nad głową dziewczyny. Przejęła je od barmana i korzystając z przemieszczającej się luki w strumieniu, dała się ponieść w stronę Arne przygniecionej do blatu. Oderwanie się od baru nie było trudne. Wystarczyło się obrócić, pozwalając napierającym zająć swoje miejsca, i dać się ponieść zawirowaniom. Z początku prądy wydawały się sprzyjać spotkaniu z dryfującymi szklankami. Po chwili jednak coraz więcej rąk, włosów i twarzy zaczęło wypełniać dzielącą ich przestrzeń. Poczuli, że przyszedł czas na przejęcie inicjatywy. Ustawił się bokiem i wykorzystując małe wolne przestrzenie niespodziewanie pojawiające się tu i ówdzie, zaczął systematycznie zmniejszać dystans. Spotkali się w końcu przy ścianie, gdzie gigantyczna kolumna głośnikowa porażającym natężeniem dźwięku stworzyła nieco wolnego miejsca, dzięki czemu powstał mały azyl dla namiętnie całującej się pary. Arne odebrał z rąk dziewczyny jedną ze szklanek i oparł się łokciem o mur, robiąc jej miejsce, gdzie mogła stanąć niepopychana. Pomachała komuś za jego plecami i wzięła głębszy łyk, pozostawiając czerwony ślad szminki na brzegu szklanki. Podała mu ją i powiedziała coś, czego oczywiście nie usłyszał. Roześmiał się; nawet nie próbował odpowiadać. Zsunęła z siebie kurtkę i rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby ją odłożyć. Przełożył szklanki

do jednej dłoni i wyjął jej kurtkę z rąk. Pokręciła głową i coś powiedziała. Gdy znów tylko się roześmiał, zrobiła węzowy ruch ciałem i spojrzała na kotłujący się tłum. Nachylił się i wrzasnął jej do ucha:

– Idź tańczyć! Z największą przyjemnością zostanę twoim wieszakiem!

Ostatnich słów chyba nie dosłyszała, bo zarzuciła mu szal na szyję i próbowała pociągnąć go za sobą w głąb sali. Zrobił kilka kroków, ale ponieważ czuł, że na tańce nie ma najmniejszej ochoty, zatrzymał się i pociągnął ją za sweter, dając do zrozumienia, żeby go również zdjęła. Puściła szal i uniosła brew, tak jak zrobiła to w sklepie. Stała przez chwilę, patrząc mu w oczy, po czym ściągnęła grubą golf, uwalniając przy okazji z kucyka gęste czarne włosy. Odebrał sweter i cofnął się, nie spuszczając z niej oczu. Na dodatek była cholernie zgrabna. Musiała mieć jakiegoś faceta i wielu innych do ewentualnej dyspozycji. Arne poczuł, że obawa, iż uzupełni ich grono, staje się całkiem realna. Powoli, nie gubiąc go z oczu, zagłębiała się w kłębowisko tańczących. Rozciągającą się linię ich spojrzeń przerwała brutalnie grupa znajomych całującej się pary. Na szczęście zamiast stanąć przy kolumnie, pociągnęli parę za sobą. Błyskawicznie zajęli jej miejsce. Gdy wrócił wzrokiem na salę, dziewczyny już nie było.

Klinowata przestrzeń między kolumną głośnikową a ścianą stanowiła idealne miejsce na kurtkę i sweter. Szal zsuwał się na podłogę, więc przewiesił go przez ramię. Uświadomił sobie, że od wyjścia ze sklepu coraz bardziej boli go głowa. Kolejny łyk wódki z sokiem pomarańczowym raczej temu nie przeciwdziałał. Pewnie dlatego nie miał ochoty na tańce. Nie znosił takiej muzyki, a tym bardziej wyginania się w jej rytm w zbitym tłumie. Atrakcyjność i sposób zachowania dziewczyny prawie przełamały jego opory, coś jednak go powstrzymało. Nie miał już pewności, czy to rzeczywiście ból głowy. Nie był gotowy na inicjatywę większego zbliżenia z jej strony. Spojrzenie przy zdejmowaniu swetra chyba dość wyraźnie wskazywało, że ona ma na to ochotę. Wszystko jakoś wymykało się spod kontroli.

Kolejna grupa zdyszanych imprezowiczów postanowiła odetchnąć pod ścianą. Zataczali się, obejmując się i wrzeszcząc sobie do uszu. Ktoś plecami popchnął go na kolumnę. Żeby nie upaść, oparł się o nią ręką. Stał tak przez chwilę, bo mocno wstawione towarzystwo wypełniało coraz bardziej przestrzeń przy ścianie, i ponieważ nie chciał wejść w dudniący głośnik, musiał się o niego zapierać. Zastanawiał się, jak odnajdzie dziewczynę, aby powiedzieć jej, że jedzie do domu, i oddać jej kurtkę. Szal zsuwał mu się z ręki. Odstawił szklanki na podłogę i przewiesił go lepiej przez ramię, na którym się wspierał. Podnosząc głowę, zobaczył coś dziwnego. Meandry kwiatowych wzorów pulsowały rytmem muzyki. Jedwab, wiszący w odległości około dwudziestu centymetrów od membrany głośnika, chodził w tył i w przód, powtarzając jej drgania. Wstawił dłoń między szal a siatkę chroniącą głośnik. Poczuł rytmiczne uderzenia powietrza, pulsowanie tkaniny w ogóle się nie zmniejszyło. Oparł się drugą ręką i powoli oddalał szal od kolumny. Stopniowo drgania stawały

się słabsze. Przestały być zauważalne w odległości niecałego metra. Gdy przystawił ramię do obudowy i szal dotknął kratki, drgania wróciły, ale siła ich była jakby mniejsza, niż gdy trzymał go trochę dalej. Ktoś położył mu rękę na plecach.

– Źle się czujesz?!

Odwrócił głowę, napotykając twarz patrzącej na niego z troską dziewczyny. Zdał sobie sprawę, że pozycja, w jakiej go zastała, dość wyraźnie wskazywała na to, że ma zamiar zwymiotować na głośnik.

– Nie! Tak! To znaczy trochę boli mnie głowa. Chciałem cię znaleźć, żeby oddać ci kurtkę. Chyba jednak pojedę do domu! – wykrzyczał jej w ucho, podnosząc się z dwuznaczej pozycji.

Spojrzała na niego uważnie, po czym kładąc mu rękę na szyi, przyciągnęła do siebie i aby nie wrzeszczeć, niemal dotknęła wargami jego ucha.

– Chyba lepiej będzie, jak pojedziesz. Ja wrócę ze znajomymi – powiedziała ciepłym głosem. Kiwnął głową.

– Uważaj na gliny – dodała.

– Będę uważał. Dzięki, że mnie zabrałaś – odpowiedział, zbliżając z kolei swoje usta do jej ucha.

Zabrała mu szal i podniosła ich drinki z podłogi. Uśmiechnął się i ruszył ku wyjściu przez tłum. Pomachała mu ręką, kiedy po chwili odwrócił się, żeby jeszcze raz na nią spojrzeć.

Dlaczego, do cholery, nawet nie wiem, jak ona ma na imię? – pomyślał, gdy wreszcie dobrnął do drzwi.

\*

Za oknami biblioteki uniwersyteckiej wiatr poruszał moką plataniną bezlistnych gałęzi. Jedna z nich co pewien czas stukała w olbrzymią szybę. Student siedzący kilka stolików przed Arne nie był w stanie się skupić. Za każdym stuknięciem spoglądał na okno. Wielką salę przykrytą stropem z jasnego drewna podświetlały rzędy lamp z niebieskimi kloszami stojących na stolikach. Oprócz stuknięć o szybę słychać było jedynie dobiegający z różnych miejsc szelest przewracanych kartek i urywane serie kliknięć w klawiatury. Arne przerzucił kolejną stronę. Poza dwoma małymi zdjęciami przedstawiającymi efekty rezonansu, które widział na blacie własnej pralki i potem w internecie, w książce były niemal same wzory matematyczne. Wykresy przypominały funkcje, których nie znosił rozwiązywać w szkole. Dziesiątki niemal identycznych sinusoid, rozpiętych między osiami X i Y mówiły mu tylko to, że istnieje świat ludzi widzących otaczającą go rzeczywistość w całkowicie obcy mu sposób. Doskonale wyczuwał, pod jakim kątem ustawić żagiel, żeby jacht płynął najszybciej, ale nie pojmował, jak można mieć satysfakcję z wyliczania tego kąta przez podstawianie jakichś liczb z przecinkami do kolejnych wzorów. Tak naprawdę nigdy nie mógł pojąć, jak to możliwe, że dzielenie kilogramów przez metry, mnożenie litrów przez wynik przemnożonych przez same siebie sekund może sprawdzać się w rzeczywistości. Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że nie jest w stanie zrozumieć, czym tak naprawdę są jednostki powszechnie używane do opisu sił i oddziaływań fizycznych. Prawie wszystkie były jakimiś abstrakcyjnymi bytami określanymi przez wzajemną relację kolejnych abstrakcyjnych bytów. Zamknął książkę i zapatrzył się na gałąź stukającą w szybę. Był pewien, że w domu profesorowej Ronstad naprawdę działo się coś dziwnego. Każda z zaobserwowanych efemerycznych dziwności mogła być przeinterpretowanym drobnym, nietypowym zdarzeniem, ale wszystkie razem coś oznaczały i były wynikiem czegoś, czego nie rozumiał, ale co istniało i stanowiło zagrożenie.

Siedzący obok patykowaty okularnik z wyrazem zdziwienia na twarzy porównywał swoje pisane maczkiem notatki z równie drobnym tekstem w książce, po którym wodził palcem, bezwiednie poruszając wargami.

Arne przypatrywał mu się przez chwilę, po czym spytał:

– Przepraszam, mógłby mi pan coś doradzić?

Student poruszył nerwowo głową i spojrzał na niego zdziwionymi oczami. Ponieważ zastygł w tej pozycji bez słowa, Arne zdecydował się brnąć dalej:

– Jaki tytuł może mieć książka, gdzie będzie coś o drganiach powietrza?

Jedyną reakcją było kilka mrugnięć oczami. Arne unosił już rękę w przeproszającym geście,

gdy usłyszał:

– Nie wiem. – I po dłuższej pauzie: – Może aerodynamika?

– Ale nie chodzi mi o samoloty, raczej o same drgania powietrza – dodał Arne, czując, że mała jest szansa na radę. Student po dłuższej serii mrugnięć powrócił oczami do swoich notatek.

Nie wyłączył się chyba jednak z konwersacji, bo kiwał głową, jakby jakiś proces myślowy wywołany pytaniem toczył się w jego wnętrzu.

– Ale to znaczy... – zaczął. – Do czego pan tego szuka?

– Chodzi mi o to, jaki mogą mieć wpływ drgania powietrza na systemy alarmowe.

– Nie, to nie wiem – zabrzmiała w końcu nietrudna do przewidzenia odpowiedź.

– Szukam czegoś, gdzie będzie coś o drganiach powietrza – powtórzył Arne, raczej sam do siebie, czując, że wkurza go ten mrugający kujon.

– Laminarne i turbulentne przepływy gazowe – usłyszał chłodno i zwięźle wypowiedziane zdanie.

Musiało paść z ust siedzącego przed nim ogolonego na łyso osobnika, bo nikogo w najbliższej okolicy nie było.

– Okej. Dzięki – powiedział do pleców w szarej skórzanej kurtce.

Ponieważ plecy ani łyśa głowa nie drgnęły, podniósł się i zebrał swoje książki.

– A po co to panu? Do tych alarmów? – Głowa odwróciła się do niego.

Małe oczy osadzone pod niskim czołem, wąskie usta i mocna szczęka przywodziły na myśl bulteriera albo portret pamięciowy neonazisty. Arne kiwnął głową, nie bardzo wiedząc, co miałby jeszcze powiedzieć. Student, bo mimo wszystko był to chyba student, przez chwilę przyglądał mu się, oceniając według jakichś swoich kryteriów, po czym pokiwał głową jakby ze zrozumieniem i odwrócił się do swoich lektur. Arne przysunął krzesło do stołu i rozejrzał się za katalogami. Ostrzyżona głowa zwróciła się do niego profilem.

– Jak jest wybuch, na przykład petardy, to od huku w samochodach alarmy się włączają – powiedział bez specjalnego zaangażowania.

– Właśnie – przytaknął Arne.

– Fala dźwiękowa. Uderzenie fali.

– No a jak jest cicho?

Chłopak pokręcił głową i wzruszył ramionami.

Arne stał chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Gdy ruszał między rzędy, student odezwał się znowu:

– Niesłyszalne dźwięki.

– Co? – Arne obszedł stolik studenta i stanął z przodu.

– Niesłyszalne dźwięki.

– Jakie niesłyszalne dźwięki?

– Infradźwięki.

– Infradźwięki?

– No tak. Infradźwięki. To będzie akustyka – odezwał się nagle okularnik z uśmiechem odkrywcy.

Student, którego wyraźnie rozpraszała gałąź za szybą, odwrócił się w ich stronę, pokręcił głową i znów spojrzał za okno.

– Okej. Dzięki – powiedział cicho Arne i poszedł do katalogów.

Akustyka miała swoją półkę. Szedł wolno i czytał tytuły na grzbietach. Żaden nie mówił nic o infradźwiękach. Sięgnął po *Propagację fal dźwiękowych*. Prawie same wykresy i wzory. W *Kodowaniu i dekodowaniu sygnałów akustycznych* podobnie. Czego właściwie szukał? Kolorowych zdjęć? Postanowił czytać spisy treści. *Akustyka liniowa*, *Akustyka nieliniowa*, *Elektroakustyka*. Wyjął z półki grubą książkę zatytułowaną po prostu: *Akustyka*, spis rozdziałów zajmował prawie trzy strony. W połowie drugiej znalazł wreszcie: *Zakresy częstotliwości niesłyszalnych – infradźwięki*. Rozdział miał kilkanaście stron, oprócz wykresów i wzorów było tam trochę tekstu. Oparł się o półkę i zaczął czytać. Infradźwiękami nazywano drgania powietrza albo innego ośrodka o tak niskiej częstotliwości, że człowiek nie jest ich w stanie usłyszeć. Granica słyszalności określana była poniżej szesnastu herców. Dźwięki takie miały dość niezwykle właściwości, rozchodziły się na ogromne odległości, przenikały bez problemu nawet przez bardzo grube mury. Ich źródłem mogły być trzęsienia ziemi, morskie fale czy wiatr opływający wysokie budynki. Było to nawet ciekawe, ale chyba niewiele miało wspólnego z tym, czego doświadczył. Przerzucił kilka kartek. Czytał co drugie, trzecie zdanie, czując, że znów zagłębia się w jakąś otchłań mętnych przypuszczeń i rozczarowań. Miał już odłożyć książkę, kiedy uświadomił sobie, co przed chwilą przeczytał. Wrócił kilka linijek wcześniej. Zdanie brzmiało: „Mogą wywoływać zaburzenia pracy błędnika i inne dysfunkcje systemu nerwowego, takie jak depresja czy stany lękowe”. Gdy doszedł do stwierdzenia, że niskie częstotliwości mogą spowalniać pracę serca i obniżać ciśnienie tętnicze, jego ciśnienie wzrosło. Jakim sposobem infradźwięki mogą wzbudzać czujniki alarmowe, na razie nie wiedział, ale wiele innych zdarzeń znajdowało tu swoje wytłumaczenie. Skąd jednak miałyby się brać dźwięki tak niskich częstotliwości w jego spokojnej i nudnej dzielnicy? Dalej rozdział traktował o jakichś trudnych do przewidzenia dyfrakcjach i interferencjach, kończył się za to znów dość ciekawym zestawieniem. Była to krótka lista niepochozących z natury źródeł infradźwięków. Głębokie odwierty, rurociągi gazowe, systemy wentylacyjne dużej mocy, mosty, silniki okrętowe i samoloty odrzutowe. Te wszystkie rzeczy mogły, choć nie musiały, wytwarzać drgania niosące się przez dziesiątki kilometrów. Po drugiej stronie prześwitywało jeszcze kilka zdań. Arne przerzucił stronę i przeczytał nagłówek krótkiego



akapitu: *Broń dźwiękowa*. Brzmiało to dość dziwnie, sam tekst nie wyjaśniał za wiele. Podczas drugiej wojny światowej Niemcy robili eksperymenty z urządzeniem mającym za pomocą parabolicznego zwierciadła skupiać i nakierowywać wiązkę fal dźwiękowych emitowanych przez następujące po sobie eksplozje ładunków nitrogliceryny. Badania nad wojskowym zastosowaniem infradźwięków w czasie zimnej wojny. Starano się zbudować działo infradźwiękowe. Był to rodzaj piszczałki organowej powiększonej do ogromnych rozmiarów – poruszające się membrany miały wprawiać w drgania niskiej częstotliwości słup powietrza o odpowiednich wymiarach. Odpowiednio wymodelowana rura miała kilkanaście metrów długości. Prace nad takimi instalacjami prowadzono między innymi w Stanach Zjednoczonych i we Francji.

Następne rozdziały poświęcone były ultradźwiękom. Arne odstawił książkę na miejsce i przejrzał resztę tytułów. W jeszcze dwóch podręcznikach znalazł rozdziały mówiące o infradźwiękach, ale oprócz nieco innych tabelek i wykresów nie wyczytał tam nic więcej. W jednym z nich jako najczęstsze źródło niskich częstotliwości podawano wadliwie działające rurociągi gazowe. Zmiany przekroju rur i źle dobrane zawory mogły powodować emisję infradźwiękową. Spojrzał na zegarek. Duża księgarnia, gdzie zwykle kupował pisma i książki żeglarskie, była jeszcze otwarta. Lakoniczny opis upiornego urządzenia wysyłającego niesłyszalne fale rozwalające układ nerwowy zrobił na nim wrażenie. Miał nadzieję, że znajdzie tam coś więcej na ten temat.

\*

Zaparkował samochód na podziemnym parkingu centrum handlowego i przeszedł dwie ulice dalej. W księgarni było sporo ludzi. Dział militariów i techniki wojskowej zajmował kilka sporych półek. Fascynaci broni byli zwykle mniej lub bardziej otyli, a wąsy musiały chyba być ich znakiem rozpoznawczym. Stało ich tam kilku. Z nabożnym skupieniem studiowali kamuflaże czołgów, rozkładówki z kolorowymi zdjęciami karabinów maszynowych; facet, obok którego Arne musiał się precyzyjnie do półki, wpatrywał się w stare maski przeciwgazowe i wykopane gdzieś bagnety.

Po półgodzinie czytania z przechyloną na bok głową tytułów stojących książek miał dosyć. Sięgnął po *Prawdę o niemieckiej Wunderwaffe*, ale niczego o infradźwiękach nie znalazł. Wciągnął go natomiast rozdział dotyczący najtajniejszego projektu Trzeciej Rzeszy – tajemniczego dzwonu. Z reprodukcji dokumentów, fragmentów relacji przesłuchiwanym przez alianckie wywiady świadków i opinii współczesnych naukowców wynikało, że Niemcy rozwijali projekt, który współczesnemu człowiekowi, jako tako obeznanemu ze stanem nauki i techniki, po prostu nie mieścił się w głowie. Sama metoda zgładzenia milionów ludzi w Europie, ZSRR i Ameryce nie była szczególnie oryginalna, polegała mianowicie na ich wytruciu. Natomiast planowany sposób przeniesienia broni chemicznej na ogromne odległości był przejawem obłądki albo geniuszu wynikającego ze zbiorowego szaleństwa. Niemieccy inżynierowie i naukowcy, pracując w dziesiątkach zespołów, konsekwentnie tworzyli od podstaw system zdolny przeciwstawić się grawitacji. Na terenie Polski powstały podziemne miasta fabryki, gdzie planowano produkować i oblatywać urządzenia wyposażone w napęd antygravitacyjny. Wspomniany dzwon był czymś w rodzaju reaktora, w którym przeciwbieżnie wirujące cylindry z rtęcią wprowadzoną przez wysokie napięcie w stan plazmy wytwarzały zjawisko separacji pól magnetycznych zdolne przy osiągnięciu odpowiednich wartości ekranować ciężenie. Kiedy doszedł do opisu niewyjaśnionych zgonów, jakie przydarzały się polskim oficerom wywiadu przesłuchującym po kapitulacji Niemiec świadków związanych z projektem, w księgarni przygasło światło, czym delikatnie dano do zrozumienia, że czas zamykać. Uwięzieni w Polsce hitlerowcy podejrzani o branie udziału w tym przedsięwzięciu dość szybko zniknęli gdzieś w ZSRR. Całą dokumentację projektu jeszcze podczas wojny przetransportowano do Norwegii, gdzie ślad po niej zaginął. Dalej nie mógł już czytać, bo przy drzwiach stanął uśmiechnięty sprzedawca i wypuszczał wszystkich na ulicę. Postanowił kupić tę książkę. Chociaż Arne podejrzewał, że przedstawiony w niej – dość chaotycznie – swoisty raport z historycznego śledztwa nie do końca musi być wiarygodny, czuł jednak uznanie dla niezwyklej dociekliwości autora, który ukazywał obraz Niemiec z tego okresu jako coś absolutnie

niebywałego. Jakim cudem dzieje się coś takiego, że Stany Zjednoczone mają dzisiaj problemy z załogowymi lotami orbitalnymi, bo nie dysponują odpowiednimi wahadłowcami czy czymś tam, podczas gdy pogrążone w kryzysie Niemcy w ciągu dziesięciu lat przeistoczyły się w organizację zdolną zawładnąć niemal całym światem?

Sam zaskoczony tak sformułowanym pytaniem, Arne zagapił się na mijającą go właśnie bardzo zgrabną dziewczynę. Wyprzedziła go, stukając w szybkim rytmie obcasami, przeszła na drugą stronę ulicy i pomachała przez szybę kawiarni do koleżanki. Kiedy wystudowanym gestem poprawiała sobie opadające na ramiona włosy i znikła we wnętrzu, pomyślał, że jest po prostu niedouczonego ignorantem i nie umie odpowiedzieć na to pytanie. Dziewczyny siedziały przy stoliku i o czymś zawzięcie sobie opowiadały. Zastanawiał się, czy nie wejść tam na kawę. Na razie nie miał pomysłu na dalszą część wieczoru. Przechodząc przez ulicę, spostrzegł, że sąsiednia witryna to antykwariat. Drzwi były jeszcze otwarte. Na dźwięk dzwonka spod zawalonego książkami stołu wyłonił się drobny siwy człowieczek w szarej marynarce i wąskim sprasowanym krawacie. Kiwnął przyjaźnie głową i opuścił się z powrotem pod stół, gdzie siedząc na kilku grubych tomach, spisywał coś, zaglądając do książek rozłożonych na podłodze.

– Ma pan coś może o czymś takim jak broń dźwiękowa? – spytał Arne, rozejrzawszy się bezradnie po dziesiątkach półek wypełnionych szczelnie mozaiką różnokolorowych grzbietów.

Siwy człowiek popatrzył na niego, jakby nie rozumiejąc pytania.

– Chodzi mi o infradźwięki. To może być w jakiejś książce o różnych wynalazkach zbrojeniowych.

– Wiem, o co panu chodzi. Zastanawiam się tylko, gdzie to stoi – powiedział antykwariusz, wpatrując się zmrużonymi oczami gdzieś w środek mozaiki. – Niech pan sięgnie z łaski swojej po tę żółtą, większego formatu. – Wskazał ołówkiem na jedną z półek.

Niezbyt gruba i trochę zużyta książka zatytułowana była *Tajne projekty militarne zimnej wojny*. Zajrzał do spisu treści: *Radzieckie bomby wodorowe, Broń bakteriologiczna, Atomowy napęd lotniczy, Radiatory mikrofalowe*, wreszcie znalazł coś pod koniec. Rozdział rzeczywiście nosił tytuł *Broń dźwiękowa*, ale miał zaledwie kilka kartek. W tekście rozmieszczone były rysunki przedstawiające jakieś dziwne przekroje i kilka niewyraźnych czarno-białych zdjęć. Laboratorium zastawione aparaturą pomiarową podłączoną do jakiegoś rurociągu, kilku facetów stojących obok cysterny albo rury leżącej na wielkiej przyczepie i fragment czegoś w rodzaju turbiny.

– Znalazł pan tam coś? – dobiegło spod stołu.

– Tak, wezmę ją. – Arne sięgnął po portfel. – Przepraszam, pan czytał wszystko, co tu stoi na półkach? – wyrwało mu się.

– Oczywiście. – Siwy człowiek uśmiechnął się do niego zza sterty książek pokrywających stół.



Niskie, nieprzerywane mruczenie wypełniało pokój. Zza ekranu monitora obserwowały go żółte przymrużone ślepie. Dziwne rysunki zamieszczone w książce przedstawiały przekroje kilku systemów służących do wzbudzania drgań powietrza w odpowiednio powiększonych puszczkach organowych. Jeden z nich tworzyła ogromna metalowa membrana popychana na zmianę do przodu i do tyłu przez tłok napędzany silnikiem; drugi był czymś w rodzaju powiększonego gwizdka, do którego tłoczyła powietrze potężna dmuchawa; trzeci przypominał turbinę o dziwnie powyginanych łopatkach, mającą prawdopodobnie przepychać powietrze przez labirynt kanałów o różnej średnicy. Po jaką cholere oni to wszystko robili? – zastanawiał się. Czy tym można było rzeczywiście jakoś walczyć? Ciągnięcie za sobą na pole walki gigantycznych rur w obliczu konfrontacji na przykład z całkiem konwencjonalnym atakiem rakietowym wydawało się średnio skuteczną strategią. Co więc tak bardzo groźnego kryło się za tymi eksperymentami? Tekst częściowo odpowiedział mu na to pytanie: „Fale o częstotliwościach poniżej progu słyszalności, czyli dźwięki niższe niż szesnaście herców, przy niezbyt dużym natężeniu powodują nudności, zawroty głowy, trudności z oddychaniem. Przy większym – ataki lęku i paniki, zawężenie pola widzenia. Przy częstotliwościach poniżej dziesięciu herców – zaburzenia pracy błędnika, przekrwienie płuc, obniżenie ciśnienia tętniczego, zatrzymanie akcji serca”.

Zrozumiał teraz, co tak bardzo musiało pobudzać wyobraźnię generałów i inspirować ministrów obrony wrogich sobie mocarstw, a wzięwszy pod uwagę to, że cały ten koszmar odbywałby się w ciszy, bez możliwości zlokalizowania źródła oddalonego i o dziesiątki kilometrów, nawet jemu wydało się przekonujące. Wszystko to było bardzo ciekawe i rzeczywiście w jakiś chory sposób pobudzało wyobraźnię. Kartkując książkę, Arne zatrzymał się na ilustracji przedstawiającej w postaci graficznego kleksa o wysokości całej strony grzyb atomowy największej rosyjskiej bomby wodorowej. Zrozumiał sens tego obrazka, gdy dostrzegł u dołu strony plamkę wysokości mniej więcej dwóch liter tekstu obrazującą w proporcji wybuch amerykańskiej bomby zrzuconej na Hiroszimę. Energia, jaką ludzkość poświęcała zabijaniu, była rzeczywiście niezwykle imponująca, ale stanowiło to jednak temat odległy od jego problemu. Profesorowa Ronstad, nawet jeśli założyć najbardziej sensacyjne okoliczności, nie zmarła przecież w wyniku działania broni infradźwiękowej. Był jednak niemal pewny, że jakieś dziwne drgania mogły się do tego przyczynić. Dźwięki poniżej słyszalności wyjaśniałyby wiele zagadkowych zdarzeń. Wysuwająca się szuflada mogła wpadać w wibrację. To samo mogło dziać się z herbatą. Pękające szyby, odpadające rynny i włączające się alarmy znalazłyby swoją przyczynę. Panika i utrata pamięci Grety Jensen mogła

zostać wywołana właśnie takim oddziaływaniem. Serce psa mogło zatrzymać się z tego samego powodu. „Pies, kiedy ucieka, nie szczeka. Jego szczekanie było dziwne. Tak jakby raz był blisko, a raz daleko. Jakby coś go przenosiło”. Przypominał sobie te dziwnie brzmiące zdania starego ogrodnika. Co mogło przenosić tego psa? Dlaczego raz był blisko, a raz daleko? „Tak szybko pies nie biega”. Co działo się w tym ogrodzie, zanim zatrzymało się jego serce? Co działo się w salonie profesorowej, zanim jej serce stanęło? Co ona widziała? Czy tylko poruszającą się zasłonę? Co przebiło japoński parawan? Niesłyszalne drgania powietrza stanowiły jakiś ślad, ale stawiały kolejne pytanie: skąd się wzięły? W okolicy, gdzie miały miejsce częstsze fałszywe alarmy, nie było żadnych laboratoriów, tym bardziej wojskowych. Pod ziemią nie przechodziły tam żadne rurociągi. Metro było daleko, a gdyby nawet wytwarzało jakieś drgania, strefa ich oddziaływania zaczynałaby się przecież przy linii tuneli. Może istniało coś w specyfice tych zjawisk, o czym nie miał pojęcia. Informacje znalezione w internecie niczego więcej nie wyjaśniały. Ktoś musiał mu pomóc. Poza Francuzem Nicolasem Chardinem, autorem książki, nikt inny nie przychodził mu do głowy. Po półgodzinie miał na ekranie komputera gotowy list do wydawnictwa, w którym tłumacząc się prowadzonym śledztwem, prosił o przesłanie załącznika panu Chardinowi w celu skorzystania z jego wiedzy jako eksperta.

Chardin był dziennikarzem i historykiem, ale studiował również fizykę. Interesował się polityką i zbrojeniami. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych jeździł dużo po świecie, pracował jako korespondent kilku gazet. Teraz pewnie był już na emeryturze. Książka pierwszy raz ukazała się we Francji dwadzieścia dwa lata temu.

Załącznikiem był dość krótki list napisany po dłuższych przemyśleniach, w którym, aby nie wywoływać sensacji, gdyby czytały go niepowołane osoby, Arne wyjaśniał jedynie, że potrzebuje konsultacji dotyczącej efektów oddziaływania infradźwięków. Podał swój prywatny telefon i prosił o możliwie szybką odpowiedź. Podpisał się jako inspektor policji. Wystarczyło kliknąć „send”. Wahał się trochę. Nie był pewien, czy tym listem nie narobi jakiegoś niepotrzebnego zamieszania. Czy ktoś z wydawnictwa nie wpadnie na pomysł, żeby zadzwonić do komendy po wyjaśnienia. Z tłumaczeniem się ze swoich obserwacji miał już wystarczająco nieprzyjemne doświadczenia na uniwersytecie. Uznał jednak, że przesadza z obawami, i postanowił zaryzykować. Kliknął. Obudzony kot otworzył na chwilę oczy.

Poranek był znowu paskudny. Wiał lodowaty wiatr i co chwila zaciął deszcz. Na szczęście nie było mgły. Arne podpisał, co miał do podpisania, i pił swoją kawę, patrząc w okno. Czekał, aż deszcz przestanie padać. Krople nieustannie bębniły o blaszany parapet. Na gałęzi nie było gawrona. Ole w swoim pokoju rozmawiał z jakąś kobietą, która odważyła się przyjść i złożyć zeznanie w sprawie pobicia przez męża. Słyszał tylko pojedyncze słowa, wypowiedane cichym głosem. Arne miał dosyć siedzenia, a deszcz nie miał zamiaru ustać. Założył wełnianą czapkę i wyszedł z komisariatu.

Wjechał na obwodnicę, minął port jachtowy i skręcił w boczną drogę, oddalającą się od fiordu. Droga z początku łagodnie, później coraz ostrzej wspięła się na wzgórza otaczające miasto. Po obu stronach gęstniały wysokie świerki. Z każdym zakrętem robiło się coraz ciemniej. Wreszcie gałęzie odcięły niemal zupełnie światło przesączające się przez grube ciemnoszare chmury. Deszcz nie ustawał. W snopach reflektorów błyskało coraz więcej złotych kreseczek. W sumie całkiem niezły dzień na podziwianie panoramy miasta, nie było mgły ani gęsto padającego śniegu. Nachylenie drogi zmniejszyło się. Dwa zakręty dzieliły Arne od najwyższego punktu osiągalnego samochodem na wzgórzach. Zwolnił i starał się nie przegapić wąskiego duktu, gdzie kilka razy zostawiał już samochód. Odkręcił pokrytą kroplami szybę z prawej strony i wpatrywał się w ścianę lasu. Czarna szczelina między ciężko zwisającymi gałęziami świerków wreszcie pojawiła się w oknie. Cofnął się parę metrów i ryzykując ugrzęźnięcie w mokrej ziemi, ostrożnie zjechał z szosy. Krawędź asfaltu chrupnęła o miskę olejową, ale szerokie opony dawały sobie jakoś radę. Zatrzymał się dopiero, kiedy chrobot sterczących z obu stron suchych badyli o karoserię przypomniał mu, że lubi swój samochód. Wyjął lornetkę z kieszeni za oparciem fotela, dopiął kurtkę i postawił kołnierz. Deszcz prawie nie przenikał przez zbite piętra zachodzących na siebie gałęzi. Odetchnął głęboko zimnym powietrzem przesyconym zapachem żywicy i butwiejącego poszycia. Szedł powoli wznoszącą się ścieżką. Czuł, że w gruncie rzeczy nie ma do czego się spieszyć. Szczęśliwie odłożony powrót do ziejącej pustką rzeczywistości majaczył jednak gdzieś w perspektywie. To urojone śledztwo uświadomiło mu co prawda stopień depresji, w jakiej od kilku lat się znajdował, ale zarazem wyciągało go z niej, co chwilę rozbudzając spragnioną emocji wyobraźnię. Dziwny stan zawieszenia, w jakim się znalazł, uwolnił go od męki bezsennych nocy. Coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że wcale nie chce znaleźć prostego i racjonalnego wytłumaczenia wydarzeń, do których jednak najprawdopodobniej sam dopisał znaczenie, powagę, a nawet grozę. Ta świadomość z kolei wywoływała zażenowanie własnym zachowaniem. Za nic nie

chciałby, aby ktokolwiek dowiedział się na przykład, co sprowadza go dzisiaj w to miejsce. Oglądanie miasta z góry w celu wytropienia źródła niesłyszalnych dźwięków brzmiało śmiesznie dla niego samego. Niesiony wiatrem deszcz przerwał w nieprzyjemny sposób tę równie nieprzyjemną psychoanalizę. Z polany, na którą wyszedł, roztaczał się widok na całe miasto, od fiordu po płaskowyż. Brnąc przez mokrą trawę, doszedł do krawędzi zbocza. Rosnące niżej świerki zasłaniały tylko najbliższe położone zabudowania. Była to górna granica lasu, który – schodząc po falistych pagórkach – przykrywał niemal zupełnie oddaloną o jakieś trzy, cztery kilometry dzielnicę willową. Szeroko rozstawione obiektywy jego morskiej lornetki nie spłaszczyły obrazu mimo dużego powiększenia i dobrze oddawały głębię. Oglądany przez nią pejzaż dzielił się na wyraźnie odseparowane od siebie plany. Przesuwał ją powoli w lewo od położonego bliżej centrum początku dzielnicy. Kilka przecznic w górę był jego komisariat, z tego miejsca jednak zasłaniały go drzewa. Dwa, może trzy kilometry w stronę wzgórz zaczynał się najbardziej interesujący go obszar. Gdzieś tutaj przechodziła Erlends vei i stał dom profesorowej. Dachy wystające tu i ówdzie pomiędzy drzew nie dawały się łatwo rozpoznać. Widoczny fragment jednego z nich, pokryty omszałą dachówką, mógł chyba należeć do jej domu, ale nie miał co do tego pewności. Przesunął pole widzenia o kilkaset metrów. To chyba była Lavrans vei. Można ją było rozpoznać po łuku, którym wchodziła na zbocze. Ostatni budynek pod lasem należał do pani Strand. Tam coś przebiło parawan. Okno tarasowe musiało być na ścianie z lewej strony, niewidocznej z tej perspektywy. Przypomniawszy sobie, jak stał na balkonie i wpatrywał się w gęsty świerkowy las wspinający się na zbocze. Teraz mógł go oglądać z góry. Wolno przesunął lornetkę wzdłuż linii drzew. Nie było tu kompletnie niczego. Żadnej instalacji, nawet przesyłowej linii elektrycznej, a co dopiero jakiegoś rurociągu. Mieszkał w tym mieście prawie całe swoje życie i nie musiał tu sterczeć w deszczu z lornetką, żeby stwierdzić, że żadne groźne rury nie przechodzą między zwykłymi domami. W lornetce ciągle przesunęły się wystające z siebie spiczaste czubki świerków. Dotarł tak do szczytu wzgórze i podążał teraz po linii horyzontu, którą stanowił płaskowyż. Bardzo daleko były widoczne trakcja kolejowa i stojące na torach cysterny. Nagle zaskoczył. Przecież tam gdzieś jest rafineria! Opuścił lornetkę. Z tego miejsca nie było jej widać. Zasłaniał ją las otaczający polanę. Kończył się jednak na krawędzi urwiska.

Arne zaczął schodzić po zboczu. Z każdym metrem odsłaniał się coraz szerszy widok na lewą stronę horyzontu. Rafineria ciągle jednak była ukryta za lasem, a zbocze robiło się coraz bardziej strome, więc postanowił sprawdzić, co widać ze skalnego urwiska. Doszczętnie przemoczony dotarł tam, przedzierając się przez krzaki. Korzenie skrajnych drzew wystawały pomiędzy stromo opadającymi skałami poprzerastanymi trawą. Niełatwo było znaleźć miejsce, z którego dałoby się wyjrzeć poza gęstą ścianę lasu. W końcu, przedzierając się przez ostre gałęzie ociekające wodą, dojrzał niewielki występ skalny. Dojście do niego wyglądało na niezbyt



bezpieczne. Zdrowo myślący człowiek wróciłby do samochodu i pojechał obejrzeć rafinerię z bliska, ale on dawno już przestał się za kogoś takiego uważać. Zawiesił lornetkę na szyi i schował ją pod kurtkę, żeby nie obijała się o kamienie. Przytrzymując się wystających korzeni, zszedł ostrożnie na skały wystające z urwiska. To było właściwe miejsce. Gałęzie świerków nie zasłaniały już rafinerii. Nigdy przedtem nie oglądał jej z tej perspektywy. Piętrzące się instalacje, wysokie rusztowania i różnego rodzaju mniejsze i większe budynki zajmowały ogromną przestrzeń. Wyciągnął lornetkę. Właściwie nie było miejsca wolnego od rurociągów. Wiły się tuż nad ziemią, wsparte na kratownicach przechodziły nad betonowymi drogami albo torami kolejowymi. Mimo odległości lornetka pozwalała dostrzec długi płot biegnący wzdłuż krawędzi zbocza. Stała za nim długa hala z blachy falistej, ustawiona równolegle do stojących na szynach pociągów z cysternami. Między torami sterczały rusztowania z instalacją, najprawdopodobniej służyły do ich napełniania. Jeśli do wyemitowania szkodliwych drgań potrzebne były wadliwie działające rurociągi, to znajdował się ich tutaj bezmiar. Wieże krakingowe rafinerii niknęły za zasłoną deszczu, a ich szczyty co chwila chowały się w chmurach. Tutaj dowolnej grubości rur i zbiorników było tyle, że przez ich sploty i krzyżowania nie widać było nieba. Opuścił lornetkę i przyjrzał się konfiguracji terenu. Ta część dzielnicy, w której działy się dziwne zjawiska, oddalona była od instalacji rafinerii o jakieś cztery, może pięć kilometrów. Dzielił ją od nich gęsty las porastający stopniowo wznoszące się pagórki. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby jakieś rozchodzące się w powietrzu drgania wywoływały skutki akurat tylko w tym miejscu. Robiło się coraz ciemniej. Daleko, z przeciwnej strony, kolorowe neony w centrum zdawały się wisieć w powietrzu. Szklano-stalowe wieżowce, nad którymi były zainstalowane, niknęły na tle szarych wód fiordu i niższych budynków. Arne uniósł znowu lornetkę, ale w kieszeni kurtki odezwał się telefon. Dzwoniła Liv. Miała ochotę zobaczyć się z nim wieczorem. Wyobraził sobie świece, wino i miękką, suchą kanapę. Pomyślał, że nie ma nic przeciwko temu.

\*

Wychodząca z ciemności żeliwna rura łączyła się nad jego głową z plastikową za pomocą redukującej średnicę przejściówki. Uszczelniający silikon wyglądał na stary, ale nic tu nie ciekło. Arne przesunął się kilka centymetrów i poruszył delikatnie gwintowanym gniazdem łączącym rurę z cylindrycznym urządzeniem zwisającym z góry. Zdecydował się nie ryzykować zalania twarzy zimnymi pomyjami. Wyciągnął ręce i znajdując po omacku metalowy pierścień mocujący młynek do odpadków z komorą zlewozmywaka, zaczął go odkręcać. Mimo bólu palców udało mu się obrócić go kilka razy. Młynek tkwił jednak niewzruszenie w otworze zlewu.

– Liv, przytrzymaj to na górze, bo się obraca – wystękał, nie przerywając prób.

Ponieważ zwisająca z blatu łydka, którą widział w szparze uchylonych drzwiczek szafki, nadal bujała się rytmicznie, ponowił swój apel.

– Liv, rusz się! Przytrzymaj to, bo się obraca.

Łydka zniknęła.

– Ale za co ja mam to przytrzymać? – usłyszał nad sobą.

– Złap za te gumowe uszczelki albo wsadź tam widelec, jak się brzydzisz. – Przysunął nos do szczeliny w obudowie młynka. – Dobra, zostaw. Silnik się spalił. – Z wąskiego otworu czuć było swąd spalonej izolacji. – Powiedz właścicielowi, żeby wymienić.

– Już mu mówiłam. To poprzedni lokator zamontował. Nie należy do wyposażenia.

– Kupię ci nowy, jak chcesz.

– Naprawdę? Jesteś kochany. – Poczul, że stopa Liv rozsuwa jego szlafrok i głaszcze go po brzuchu.

– Musisz to jednak przytrzymać, bo nie dokręcę tego i będzie ciekło.

W salonie zadzwonił telefon. Liv zastanawiała się chyba, czy odebrać, bo głaskanie ustało.

– Poczekaj. Muszę odebrać – usłyszał i zobaczył stopy opuszczające się na podłogę.

Liv przeszła do salonu.

Wysunął głowę spod zlewu i sięgnął po stojący przy kuble na śmieci kieliszek. Oparł się o szafkę i wypił resztkę wina. Widział ją przez szparę w niedomkniętych drzwiach. Siedziała na kanapie pod swoim dużym czarno-białym zdjęciem, zrobionym podczas sesji, na której występowała jako modelka.

– No cześć!... Nie mogę. No mówię ci, że nie mogę... No to powiedz... No ale mówię ci, że nie mogę... Okej, ale powiedz. – Dłuższą chwilę słuchała. Jej spojrzenie ze ściany ześlizgnęło się gdzieś na dywan, a na ustach pojawił się uśmiech. – Naprawdę?!... Nie bujasz?... To genialnie!...

Teraz nie mogę!... Tak... Okej... Pa! – Odłożyła słuchawkę i zapatrzyła się w przestrzeń.

– Będę miała sesję fotograficzną do pisma! Wyjeżdżamy na Malediwy! – krzyknęła po chwili.

Arne poprawił rozchełstany szlafrok i podniósł do ust pusty już kieliszek.

\*

Ole i Gerd stali w drzwiach swojego pokoju i wpatrywali się w wypięte tyłki dwóch robotników zrywających wykładzinę. Od rana było słycać ich mamrotane przekleństwa. Wykładzina zostawiała na deskach podłogi grube, ciągnące się plamy starego kleju.

Malediwy na fotografii w internecie wyglądały jak archipeląg bezludnych wysp z dowcipu rysunkowego o samotnym rozbitku. Próbował wyobrazić sobie Liv pozującą do zdjęcia na tle białego piasku i palmy. Mówiła, że jadą tam jeszcze dwie inne dziewczyny. Nic więcej nie wiedziała albo nie chciała powiedzieć. Była podekscytowana jak dziecko, jej myśli odbiegły gdzieś tak daleko, że resztę wczorajszego wieczoru spędzili jak para dalekich znajomych, niemogących znaleźć w rozmowie wspólnego tematu.

– A może by te dechy wycyklinować? Po jaką cholere ktoś nakleił na nie ten szary dywan – odezwał się Gerd, chyba do Ole. – Szefie, po jaką cholere nam ta wykładzina? – To było jednak do niego.

Arne oderwał wzrok od białych wysp na błękitnym oceanie i podszedł do drzwi. Robotnicy zrolowali już wykładzinę z połowy pokoju. Ściśle ułożone deski upstrzone były tysiącami wysepek niedającego się zeskrobać klajstru.

– Może rzeczywiście to wycyklinować zamiast tej wykładziny? – rzucił wyzwanie w stronę drapiących podłogę męczenników.

Starszy z ulgą przerwał skrobanie.

– To i tak trzeba najpierw oczyścić, bo tarcza się zaklei.

– Ile czasu chcecie to tak drapać? – spytał Ole, jakoś nagle zaniepokojony.

– My nie chcemy, ale musimy. Nie wiem, zjedzie trochę, cały ten pokój obrobić, jak ma być cyklinowany.

– Przepraszam. O jakim cyklinowaniu jest ta rozmowa? – rozległo się spokojnie, ale stanowczo postawione pytanie.

Zapadła dłuższa cisza, podczas której spojrzenia pięciu mężczyzn spotkały się na wąskich, połyskujących okularach pani Nygaard, stojącej w drzwiach sekretariatu. Ciszę przerwał dzwonek telefonu Arne.

– Mówi Nicolas Chardin. Czy pan Arne Hilmen? – zabrzmiał w słuchawce nieco schrypnięty głos, mówiący po angielsku z francuskim akcentem.

– Tak, to ja. Dziękuję, że pan zadzwonił – odpowiedział również po angielsku, skupiając tym oczywiście uwagę wszystkich obecnych.

– Zrozumiałem z pańskiego listu, że chciałby się pan skonsultować w sprawie oddziaływania infradźwięków. Co pan takiego zaobserwował?

– Tak, to prawda. To, co zaobserwowałem, jest dość dziwne i... – Widząc, że w swoim pokoju i tak będzie słyszany i zapewne słuchany, szczególnie po ostatnim nieopatrznie wypowiedzianym zdaniu, przeszedł obok kolegów i zaczął schodzić na parter. – I wymaga to chyba jakichś dłuższych wyjaśnień – kontynuował już ciszej. – Nie jestem pewny, czy przez telefon zdołam to panu właściwie opisać.

– Rozumiem. To co pan proponuje?

– Wiem, że mieszka pan we Francji, może nie sprawiłoby to kłopotu, gdybym przyjechał do pana na dzień czy dwa.

– Oczywiście, to żaden kłopot. Mieszkam w Paryżu, więc nie będzie pan musiał długo podróżować. Pytanie tylko, czy zdołam pana usatysfakcjonować. Ja nie jestem naukowcem od akustyki, tylko dziennikarzem, no, powiedzmy, historykiem rozwiązań technicznych, jeśli tak można powiedzieć. Nie wiem, czy pan zdaje sobie z tego sprawę.

– Wiem o tym. Wydaje mi się, że na razie pańska wiedza powinna mi wystarczyć. Moje kontakty ze światem nauki jakoś do tej pory specjalnie mi nie pomogły.

– Dobrze. W takim razie kiedy mam pana oczekiwać?

– Zadzwoń do pana, jak zorientuję się w sprawie biletów.

– W takim razie czekam na telefon. Do widzenia.

Po pożegnaniu się z Chardinem Arne chodził jeszcze trochę po ulicy. Zastanawiał się, co ma wymyślić, gdyby Gerd albo Ole zaczęli go wypytywać. Ich relacje były na tyle nieformalne, że musiał coś im powiedzieć. Istniała jednak nadzieja, że jego dziwne zachowanie przez ostatni czas spowodowało już jakiś rodzaj dystansu i jako człowiek podejrzany o pogłębiającą się depresję uniknie dociekliwości kolegów. Wściekły był na siebie, że nie wykazał się refleksem i powiedział przez telefon w ich obecności, że zaobserwował coś dziwnego. Spojrzał na okna biura. Wyglądało na to, że nikt nie widział go biegającego z telefonem bez kurtki po ulicy. Byli chyba zajęci wykładziną. Z panią Nygaard też nie powinno być problemu. W końcu sama namawiała go na wzięcie urlopu. Problemem był kot, trzeba będzie namówić Ole, żeby zaopiekował się nim przez dwa lub trzy dni. Wchodząc powoli po schodach, zastanawiał się, co ma mu odpowiedzieć, jak go zapyta, po co tak nagle wyjeżdża. Przyznanie się do prowadzenia poszukiwań z jakichś nie do końca jasnych powodów ciągle groziło posądzeniem o poważniejsze problemy z psychiką. Nie do końca jasnych, bo właściwie dlaczego nie miałby opowiedzieć chłopakom o dziwnych zjawiskach, które zaobserwował, i razem z nimi prowadzić nieoficjalne śledztwo w tej tajemniczej sprawie? Po pierwsze, nie był pewien ich reakcji. Może Gerd, miłośnik filmów sensacyjnych, dałby się ponieść wyobraźni i mógłby wspólnie dywagować nad różnymi możliwościami; gorzej było z Ole. Ten,

wydawałoby się, artysta był, jeśli idzie o sprawy pozamuzyczne, pozbawionym polotu pragmatykiem, pilnie przestrzegającym procedur; jego tęsknoty do wolności znajdowały ujście jedynie w grze na kontrabasie i słuchaniu z nabożeństwem nagrań Pale'a Danielsona. Było jednak coś jeszcze, co go powstrzymywało od opowiedzenia wszystkiego: chciał mieć to dla siebie. Pragnął, aby ta historia zamieniła się w jakąś wstrząsającą prawdę i zmieniła jego życie, dodając energii, bez której po prostu zdychał.

– Prowadzimy jakieś międzynarodowe śledztwo? – usłyszał za sobą głos Ole, gdy wszedł do swojego pokoju.

– Nie. – Roześmiał się, na szczęście chyba dość naturalnie. – Jeden Francuz dzwoni do mnie w sprawie jachtów. Może wyjadę do niego na dwa, trzy dni. – Żeglarstwo było jedyną częścią jego życia, do której Ole i Gerd nie mieli bezpośredniego wglądu. – Facet prosi mnie o konsultacje w sprawie kupna jachtu. Uczyłem go kilka lat temu. Wziąłbyś mojego kota na te parę dni?

– Jasne, nie ma sprawy. – Ole chyba dał się oszukać, bo wyglądał na rozczarowanego.

– Przywiozę ci go dzisiaj wieczorem. Może jutro uda mi się wylecieć.

– Okej. Nie ma forsy na jakieś cyklinowania. – Ole kiwnął głową i pochylił się nad leżącym w korytarzu rulonem nowej wykładziny. – Wymienią tylko kawałek, i to też na jakąś trochę inną, bo nie ma tego samego koloru.

\*

Ciemna, jednolita szarość rozbłyskiwała co chwila białym światłem. Końcówka skrzydła zanurzona była w gęstych deszczowych chmurach, które natychmiast po starcie zakryły przesuujące się w dole fiordy. Po oknie pędziły poziomo cienkie strużki wody. Robiło się coraz jaśniej. Arne z przyciśniętym do szyby czołem czekał, aż wyjdą nad chmury. Przemknęły strzępy obłoków i znaleźli się pod kolejnym puchatym sufitem. Po chwili samolot wbił się w niego i znów otoczyła go mgła. Nie do wiary, ile pary wodnej dzieliło jego miasto od nieba. Pojawiło się dopiero po kilku minutach. Najpierw w szczelinach między głębokimi kanionami, później w tle zwalistych białych gór z nieprawdopodobnymi nawisami i tunelami. Wreszcie oślepił go płonący pomarańczowy horyzont, przechodzący przez fiolet do głębokiego granatu w zenicie. Słońca nie było widać. Nad krainą pierzasto-śnieżnych bałwanów wisiała już połówka księżycy.

\*

Kiedy taksówka zatrzymała się w wąskiej ulicy, był wieczór. Słońce zdążyło już dawno schować się przed nim za wysokimi elewacjami klasycystycznych kamienic. Arne od kilku lat nie wyjeżdżał za granicę. Poczul, że jest w kompletnie innym świecie. Nie było tak ciepło, jak się spodziewał, ale aromat kawy i zupełnie innego jedzenia, napływający z małej restauracji, nie miał nic wspólnego z zapachem zimnej mgły i mokrych świerków.

Chardin mieszkał w wąskiej, sześciopiętrowej kamienicy z mansardowym dachem. Ledwie Arne nacisnął guzik przy numerze dwunastym, usłyszał jego głos w domofonie. Wszedł do pokrytej stiukami wysokiej klatki schodowej. Wsiadł do małej ażurowej windy i ruszył w powolną podróż ku górze. Na ostatnim piętrze czekał na niego Chardin. Był około siedemdziesiątki, miał bardzo krótko przystrzyżone białe włosy i siwe, równie krótko przystrzyżone wąsy. Przypominał emerytowanego generała.

– Przepraszam, że nie mogę pomóc z bagażem, ale ostatnio trochę boli mnie kręgosłup. – Odsunął składane drzwi windy. – Jak lot? – spytał, zapraszając do mieszkania.

– Miałem rzadką okazję pooglądać trochę niebieskie niebo, więc całkiem przyjemnie.

– No tak. W Norwegii o tej porze roku jest pewnie niezbyt jasno.

– Delikatnie pan to ujął, jest po prostu bardzo ciemno.

Weszli do małego salonu. Chardin zaproponował kawę. Z kuchni dobiegał odgłos gotującej się wody.

– Tam jest łazienka, a tu pański pokój. Proszę się rozgościć. Przyniosę kawę do mojego gabinetu, jest większy od salonu, bo głównie tam spędzam w tej chwili życie.

Mały pokój spełniał chyba rzeczywiście rolę gościnnego, bo w odróżnieniu od reszty mieszkania, której miał okazję do tej pory się przyjrzeć, nie było w nim książek. Stało tu, oprócz łóżka i niewielkiego stolika, kilkanaście rzeźb afrykańskich. Małe posążki ustawiono również na blacie i parapecie okna wychodzącego na ulicę. Wyglądało na to, że Chardin ma znacznie więcej zainteresowań. Jego gabinet to potwierdzał. Był czymś w rodzaju długiej biblioteki, wypełnionej nie tylko książkami, ale też dziesiątkami segregatorów i stertami zapisanych kartek. Wzdłuż nachylonej ściany mansardowego dachu na tle trzech okien sięgających niemal do ziemi stały dwa długie stoły i ogromne biurko. Pokrywały je stosy książek, gazet i teczek z papierami. Niesamowite wrażenie robił widok z okien. Rozpościerał się za nimi bezkres zachodzących na siebie dachów najeżonych tysiącami kominów. W oddali wynurzała się z tego nieziemskiego pejzażu kopuła bazyliki Sacré-Cœur.



Chardin nalał parującej kawy do filiżanek i wskazał jeden z dwóch potężnych klubowych foteli.

– Przyznam, że zaciekał mnie pan swoim listem. Co takiego sprowadza norweskiego inspektora policji do francuskiego historyka?

– Na wstępie może wyjaśnię, że nie jest to żadne oficjalne śledztwo, tylko coś w rodzaju mojej prywatnej inicjatywy.

– Tym bardziej wydaje się to intrygujące. Niech pan opowiada.

– Zaczęło się kilka tygodni temu. Zwróciłem uwagę na coraz większą liczbę wezwań do domów, w których uruchamiały się systemy alarmowe bez dającego się wyjaśnić powodu.

Chardin słuchał uważnie. Wydawał się serdecznym i otwartym człowiekiem. Skłoniło to Arne, aby opowiedzieć mu właściwie wszystko. Postanowił zaoszczędzić mu tylko opisu własnych frustracji i nadmiernie rozfantazjowanych domniemań. Gdy doszedł do przypadkowego eksperymentu ze szklanką whisky na pralce, Chardin poczęstował go gitanem. Zanurzony w kłębach aromatycznego dymu z czarnego tytoniu słuchał dalej z niesłabnącą uwagą jego opowieści. Skończyła się na opisie zbrodnic, z którego było widać rafinerię. W gabinecie, tak jak na dworze, zrobiło się już ciemno. Chardin zapalił lampę na biurku i zaproponował herbatę.

– Postaram się, żeby nie była dziwna! – krzyknął do niego z kuchni.

Podczas całego opowiadania nie zadał żadnego pytania. Może wydało mu się to zwykłym stekiem naiwnych fantazji rozentuzjzmowanego głupka z Północy, a może miał już jakąś hipotezę, która potwierdzała się, w miarę jak słuchał.

Wróciwszy z herbatą, Chardin usiadł w fotelu i spojrzał na Arne przez dym z kolejnego gitana.

– Jeśli miałbym odnieść się do tego jako ktoś w rodzaju eksperta, to przyznam się, że nie całkowicie, ale częściowo podzielam wątpliwości tego profesora geofizyki, o których pan wspominał. Zbiór tych wydarzeń może być swego rodzaju sugestią albo, nazwijmy to, pewnym złudzeniem, jakiego można ulec, nie mając, tak jak pan, materiału porównawczego. Nie dysponujemy statystycznymi wynikami obserwacji zachowań systemów alarmowych z innych dzielnic na przestrzeni dłuższego czasu. Nie wiemy, ile osób cierpi na zaburzenia nerwowe w pańskim mieście. Nie mamy również pojęcia, ile szyb pęka z powodu zwykłych naprężeń termicznych albo skaz materiałowych. O rynnach nie wspomnę. Nie znaczy to jednak, że wszystko lub część tego, co pan zaobserwował, nie mogłoby być wynikiem oddziaływania jakichś wibracji. Proszę mi wierzyć, naprawdę trudno jest wyrokować w tej sprawie, i to nie znając dokładnie miasta. Jedno, co mogę zrobić, to uświadomić panu bardziej, czym są dźwięki niskich częstotliwości i jak mogą powstawać. Pan sam zdecyduje po powrocie, czy wiedza, którą postaram się panu przekazać, pozwala rozwinąć tę hipotezę. – Podał Arne leżące na biurku czarno-białe zdjęcie przedstawiające

jakiegoś człowieka w okularach w cienkich oprawkach, stojącego obok urządzenia z powyginanych rurek poprzyczepianych do kratownicy. – Słyszał pan o Vladimirze Gavreau?

Arne pokręcił głową.

– To właśnie on jest na zdjęciu. W latach sześćdziesiątych był szefem zespołu naukowców w Narodowym Laboratorium Badawczym w Marsylii. Zajmowali się automatami różnego rodzaju, nie tylko dla wojska. Przeniesiono ich do nowego budynku. Od tego momentu zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Prawie cały zespół chorował. Ciągłe powtarzały się zawroty głowy, nudności, a nawet arytmie serca. Nikt nie potrafił znaleźć przyczyny tych zjawisk. Poddawali budynek testom chemicznym i biologicznym, trwało to dość długo. Któregoś dnia ktoś zauważył, że jeśli w jednym z pomieszczeń jest otwarte okno, to dolegliwości ustają, a jeśli jest zamknięte, powracają. Po wielu dniach przeróżnych testów doprowadziło ich to w końcu do nieprawidłowo działającego wentylatora w jednej z hal. Wolnoobrotowy silnik tego zwykłego urządzenia wytwarzał drgania w zakresie poniżej dwudziestu herców. Od tego czasu zespół zajął się badaniami akustycznymi w zakresie niesłyszalnym, czyli infradźwiękami.

– Czytałem w pańskiej książce, jak infradźwięki oddziałują na organizm. To prawda, że potrafią zatrzymać akcję serca?

– Niczego tam nie zmyśliłem. – Chardin zaśmiał się. – To są informacje z bardzo wielu źródeł. Dźwięk to rozchodzące się w powietrzu obszary wyższego i niższego ciśnienia. Jeśli jego częstotliwość zrówna się z częstotliwością pracy serca, może wpaść ono w arytmie. Dużo zależy od natężenia.

– Serce przeciętnie uderza trochę częściej niż raz na sekundę – wtrącił Arne. – To mniej więcej jeden herc.

– Tak, ale wystarczy, żeby częstotliwości były zgodne w tonacji. To znaczy, żeby, powiedzmy, co któraś fala większego ciśnienia zgadzała się z uderzeniem serca, wtedy wpadnie w rezonans. Coś chcę panu pokazać.

Francuz wstał i podszedł do biurka. Spomiędzy papierów wydobył płytę CD opisaną czarnym flamastrem. Włożył ją do odtwarzacza w komputerze i podsunął do ekranu swój fotel. Arne usiadł na krześle przy biurku.

– To film nakręcony w sześćdziesiątym siódmym roku w jednym z amerykańskich laboratoriów akustycznych. Film nie ma dźwięku, ale przeczytam panu relację jednego z pracowników. Wyszedł z tego jedynie z uszkodzeniem ucha środkowego i błędnika. – Rozłożył na kolanach kilka kartek starego maszynopisu.

Na ekranie pojawił się czarno-biały obraz przedstawiający przygotowania do jakiegoś eksperymentu. Kamera, trzymana najprawdopodobniej w rękę, filmowała kilku mężczyzn chodzących po drewnianym poziomym rusztowaniu, na którym spoczywała rura o potężnej

średnicy. Mogła być ponaddwukrotnie wyższa od człowieka. Coś mówili do siebie i uśmiechali się do obiektywu. Następne ujęcia pokazywały stojące na stołach urządzenia pomiarowe. Ktoś dokręcał końcówki kabli schodzące całymi pękami ze stołów i prowadzące do dziwnych mikrofonów stojących w różnych miejscach ogromnej hali. Jeden z eksperymentatorów zachęcał kamerzystę, aby pokazał początek ogromnej rury. Doprowadzone były do niej blaszane tunele około metrowej średnicy. Wsparte również na drewnianych rusztowaniach, wychodziły z czegoś, co wyglądało na wielką turbinę wentylacyjną.

Chardin założył okulary i zaczął czytać:

– „Eksperyment z szóstego czerwca polegał na wywołaniu rezonansu w celu wzmocnienia drgań w słupie powietrza. Nasza piszczałka organowa miała siedemnaście metrów długości i dwa metry siedem centymetrów średnicy. Mieliśmy wywołać drgania o częstotliwości szesnastu herców. Poprzedni eksperyment się nie udał, ponieważ do wzbudzenia drgań stosowaliśmy membrany stalowe uginane mechanicznymi siłownikami. Po kilku sekundach drgania wchodziły w przeciwfazę i wytłumiały się. Teraz mieliśmy zastosować zmodyfikowany i powiększony gwizdek Galtona napędzany powietrzem z turbiny. Badanie miało pokazać stopień przenikania powietrza przez mur. Ewentualne skruszenie go skoncentrowaną falą dźwiękową”.

Teraz na ekranie było już widać obraz z kamery stojącej prawdopodobnie w pomieszczeniu za szybą. Szeroki kadr pokazywał prawie całą rurę skierowaną na betonową ścianę stojącą w odległości kilkunastu metrów. Na pierwszym planie znów było widać stoły z aparaturą pomiarową i stertami jakichś planów czy wykresów. Mężczyzna w szarym garniturze pomachał do kamery. Inny, w białej koszuli, włączył coś w dużym pudle z półokrągłymi wskaźnikami i wyszedł z kadru. Na przeciwległym skraju obrazu stali dwaj eksperymentatorzy w dużych słuchawkach. Pokazywali sobie coś, chyba kabel biegnący wzdłuż rury i znikający w niej mniej więcej w połowie długości.

– „Po włączeniu turbiny huk powietrza w paśmie słyszalnym był nie do zniesienia, ale mieliśmy słuchawki tłumiące. Gdy turbina osiągnęła właściwe obroty i gwizdek zaczął generować drgania, doświadczyliśmy dziwnego efektu. Prawie nie mogliśmy się porozumieć. Zdjęliśmy słuchawki i próbowaliśmy przekrzyczeć hałas. Udawało się to wcześniej, gdy eksperymentowaliśmy z samą turbiną. Teraz nasze głosy jakby falowały. Nie można było nic zrozumieć.

To wszystko stało się później. Sprawdzaliśmy odczyty rejestratorów niskich częstotliwości. Słup powietrza w rurze drgał w okolicach dwunastu herców. Z murem nic szczególnego się nie działo. Mieliśmy to już wyłączyć, ale z jakiegoś powodu obroty turbiny nagle spadły mniej więcej o jedną trzecią. Ktoś stojący przy odczycie krzyknął, że drgania niskiej częstotliwości zniknęły. Podeszedłem do drugiego rejestratora. Też niczego nie wykazywał. Nagle zakręciło mi się w głowie.

Poczułem jakiś ucisk w pobliżu przepony, miałem uczucie, że się duszę. Pamiętam, że znów spojrzałem na odczyt rejestratora. Oscylował w okolicach sześciu herców. Zaraz potem straciłem przytomność”.

Na filmie było widać tę scenę. Przez pewien czas eksperymentatorzy przyglądają się aparaturze na stołach. Później zdejmują słuchawki i krzyczą coś do siebie. Jeden z nich jest bardzo rozbawiony. Rozśmieszył go pewnie ten efekt falowania dźwięku. „Tak jakby pies raz był dalej, a raz bliżej” – Arne przypomniał sobie dziwne zdanie wypowiedziane przez ogrodnika. Po chwili jednak w zachowaniu ludzi dało się zauważyć jakieś zaniepokojenie. Człowiek, który wcześniej spokojnie przechodził przez halę, przebiegł teraz przez nią z powrotem. Z prawej strony pojawił się mężczyzna w marynarce, krzyczał i pokazywał coś ręką, najprawdopodobniej komuś poza kadrem.

– Niech pan zobaczy, co dzieje się z tymi kartkami. – Chardin dotknął palcem ekranu.

Na jednym ze stołów ryza papieru zachowywała się, jakby nie istniało tarcie. Kartki rozjeżdżały się po blacie i spadały na ziemię. Za stołem ktoś położył się albo przewrócił na podłogę. Kulił się i zasłaniał głowę. Nagle na ekranie powstała cienka długa rysa.

– Pękła szyba pomieszczenia kamery. Teraz niech pan uważa. Tu z prawej, za tym urządzeniem na stole.

W hali na ekranie przez chwilę nic więcej się nie działo. Nagle zza prawej krawędzi kadru wyłoniły się plecy mężczyzny w marynarce. Wyglądało, jakby chciał kogoś podtrzymać, i chyba mu się udało, bo zniknął tam, skąd wyszedł. Po kilku sekundach jednak w miejscu, gdzie stał, upadł człowiek w białej koszuli zaplamionej czymś czarnym. Zniknął za blatem stołu, ale zaraz znów było go widać na podłodze. Z ust prawdopodobnie ciekła mu krew. Trzymał się za szyję i wił wśród kabli zwisających ze stołu. Na tym film się urwał.

– To Frank Goldstein, jeden z dwóch głównych inżynierów tego eksperymentu – powiedział Chardin. – Niestety, nie przeżył tego. Udusił się. Popękały mu naczynia krwionośne płuc.

– A inni?

– Inni wyszli z tego z różnymi uszkodzeniami. Układ przedsionkowy, ucho środkowe, płuca, serce. Goldstein musiał się znaleźć w miejscu, gdzie infradźwięki miały większe natężenie.

– To nie rozchodzi się równomiernie jak słyszalne dźwięki?

– Rozchodzenie się długich fal dźwiękowych to skomplikowana sprawa i właściwie nieprzewidywalna. Jak widać na filmie, Goldstein stał gdzieś z tyłu, najprawdopodobniej koło turbiny, która sama nie wytwarza infradźwięków, tylko spręża powietrze. Ci, którzy stali bliżej wylotu rury, nie ucierpieli tak bardzo. On musiał znaleźć się w miejscu, gdzie na skutek jakichś odbić i rezonansu całego pomieszczenia doszło pewnie do nałożenia się fal, czyli interferencji. Następuje wtedy wzmocnienie siły ich oddziaływania.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Chardin nalał herbaty z imbryka. Arne sięgnął po teczkę

i wyjął z niej zdjęcie planu dzielnicy z pozaznaczanymi punktami.

– Rafineria jest w tym miejscu, na płaskowyzu, a to obszar, o którym panu mówiłem. Jak pan widzi, ta chmura punktów zaczyna się kilka kilometrów pod rafinerią i rozprasza jakby nieco ku centrum miasta. Nie wydaje się panu, że to właśnie w rafinerii może być jakieś źródło takich dźwięków?

– Oczywiście, że może. Mógłby pan zażądać inspekcji technicznej czy czegoś takiego.

– Myślałem już o tym, ale nie jest to takie proste. Trzeba by mieć poważniejsze, bardziej namacalne dowody, że w ogóle mamy do czynienia z jakimiś wibracjami.

– To prawda. Nie ma pan żadnego konkretnego dowodu. Poza tym powiem szczerze, że patrząc na ten plan, mam dość duże wątpliwości. Gdyby rzeczywiście w rafinerii coś nie działało jak należy, rozproszenie tych punktów byłoby o wiele większe. Mamy tu do czynienia z pofałdowanym terenem, gdzie mogą oczywiście zachodzić jakieś odbicia, wytlumienia i interferencje, ale chyba nie w takim stopniu.

– Myśli pan, że jakiś duży rurociąg gazowy, w którym coś byłoby nie w porządku, nie mógłby wywołać takiego efektu?

Chardin po chwili zastanowienia pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Chodzi mi o skalę. Gdyby rzeczywiście wchodziły tu w grę infradźwięki, urządzenie, które miałyby je w jakiś sposób wytwarzać, musiałyby być gigantyczne i emitować je w postaci dość mocno skoncentrowanej wiązki. Tu jest, jak pan wspominał, kilkukilometrowa odległość, a punkty, w których coś się zdarzyło, układają się w wąską i długą plamę. Eksperymentalne instalacje wojskowe, o których słyszałem, budowano po to, żeby osiągnąć mniej więcej właśnie taki efekt. Widział pan na filmie, jak wielka była ta ich piszczalka organowa. W późniejszych eksperymentach wysyłała skoncentrowaną wiązkę na odległość nie większą niż paręset metrów. Dalej fale rozpraszały się i traciły skuteczność przydatną do militarnego zastosowania.

– No tak. Zaczynam rozumieć. Jaką, pańskim zdaniem, wielkość musiałyby mieć urządzenie czy taka rura, żeby swoim działaniem wytworzyć tak silne fale infradźwiękowe?

– Są metody, żeby to policzyć, ale sądzę, że taki słup powietrza musiałby mieć długość chyba nie mniejszą niż parędziesiąt metrów i proporcjonalną do tego średnicę. Trudność jednak nie polega na zbudowaniu takiej rury, ale na zainicjowaniu drgań o takiej sile i wprowadzeniu powietrza w rezonans. Stosowano różne rozwiązania. Ruchome tłoki napierające i cofające się z odpowiednią prędkością, wirujące łopaty perforowane, nawet seryjnie odpalane małe ładunki wybuchowe. To wszystko jakoś tam działało, ale powstające fale infradźwięków nie miały wystarczającego natężenia, żeby zastosować je na polu walki. Pod koniec lat siedemdziesiątych zaprzestano tych eksperymentów na rzecz skuteczniejszych metod robienia sobie krzywdy. Proponuję, żebyśmy zjedli kolację.

– Tak, wystarczająco już pana zmęczyłem.

– Nie, to bardzo ciekawa rozmowa. Chodźmy teraz do kuchni. Żona wyjechała do rodziny, ale przed wyjazdem coś nam przygotowała.

– Proszę jej serdecznie ode mnie podziękować.

Kuchnia państwa Chardin była niewielka, ale urokliwa. Na drewnianej konstrukcji stropu wisały pęczki ziół, a z piekarnika wydobywał się aromat tarty ze szpinakiem. Siedzieli przy małym stoliku pod oknem i pili czerwone wino.

– Przyznam się panu, że nie mam pojęcia, co z tym wszystkim zrobić.

– Nie jest pan skłonny przychylić się do hipotezy, że to jednak może być zbiór zwykłych wydarzeń obserwowanych z dość szczególnego punktu widzenia? Myślę tu o pańskim zawodzie. Normalny człowiek nie ma dostępu do raportów, zdjęć nieżyjących osób, nie musi przesłuchiwać nikogo, kto przeszedł jakiś szok albo ma uraz psychiczny. Zastanawiam się, co moglibyśmy odkryć, gdyby dano nam możliwość nieograniczonego wglądu w zwykłe z pozoru życie ludzi mieszkających chociażby na kilku najbliższych ulicach.

– Co dwa dni mniej więcej dochodzę do takiego wniosku, ale potem znowu dzieje się coś, co zmusza mnie do tych poszukiwań.

– Dzieje się coś czy pan sam dopasowuje jakąś myśl, czy drobny fakt do swoich, nazwijmy to, potrzeb emocjonalnych?

– Właśnie tego nie jestem w stanie sam stwierdzić.

Jakiś szelest na parapecie okna przyciągnął jego uwagę, ale gdy przeniósł spojrzenie z mieniącego się głęboką czerwienią wina w kieliszku, który trzymał na tle płomienia świecy, niczego tam nie zauważył. Widział tylko swoje odbicie nakładające się na czarne dachy i świecące gdzieś tam okienka. Znowu coś zaszeleściło. Jego odbicie nie było zbyt wyraźne, tylko lekko rozmazane, jakby szyba drżała z jakiegoś powodu.

– Ma pan swoje infradźwięki. Słyszysz pan coś? – Chardin dolał sobie wina.

Arne pokręcił głową. Niczego nie było słychać.

– Zaraz pan usłyszysz. Za rogiem autobus rusza z przystanku. Szyba wchodzi w rezonans przy niskich obrotach silnika. Widzi pan? Coś takiego mogłoby wzbudzić alarm zamontowany w oknie. Aż kit się sypie.

Po chwili usłyszeli daleki odgłos diesla. Kiedy kierowca zmieniał bieg, obroty spadły i przez moment niczego nie było słychać, ale szyba znów lekko zadrżała.

Leżał i patrzył w sufit. Sam nie wiedział, czy zdążył już zasnąć, czy tylko mu się wydawało. Musiał być chyba środek nocy, bo samochody ucichły, a księżyc przestał świecić w okno. Co chwilę jednak jakieś dziwne światło rozjaśniało pokój. Obrócił głowę. Całkiem niedaleko jego twarzy znad blatu stolika patrzył na niego jakiś bożek afrykański, szczerzący białe drewniane zęby. Od dołu był podświetlony jakimś zimnym niebieskawym blaskiem. Dopiero gdy światło zgasło, a potem znów się zapaliło, dotarło do niego, że to jego telefon z wyłączonym dzwonkiem. Telefonował Młody, ale zanim Arne wziął do ręki aparat, zdążył się wyłączyć. Oddzwonił do niego.

– Przepraszam, szefie, że tak późno, ale prosił pan kiedyś, żeby dzwonić, jak będzie coś znowu z tymi alarmami.

– Okej. Co się dzieje?

– Dzwonili z agencji ochrony, tak jak ich prosiłem, że był fałszywy alarm.

– I co tam było?

– No nic, tylko alarm się włączył na Langmyrveien. Dalej mają do nas dzwonić w takich przypadkach?

– Nie wiem. – Zastanawiał się. – Dobra, niech dzwonią.

– Ten facet, co dzwonił, był zadowolony, bo wygrał zakład, że będzie alarm tej nocy.

– Zakładają się o to?

– Tak mówił. Facet już drugi raz wygrał. Mówi, że wie, kiedy będzie alarm.

– Skąd wie? – Arne usiadł na łóżku. Senne zamroczenie zupełnie go opuściło.

– Mówił, że obstawia, jak jakiś helikopter przelatuje, czy coś tam.

– Jaki helikopter?

– Nie wiem. Nie mówił. Ale to przypadek. On też się śmiał, że tak po prostu trafia. Halo!

Szefie! Jest pan tam?

– Tak, jestem. Jutro będę z powrotem.

\*

Nad jego dzielnicą prawie nic nie latało. Czasami jakaś prywatna awionetka z aeroklubu. Lotnisko było daleko od miasta, z przeciwnej strony. Arne nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział jakikolwiek lecący helikopter. Wirnik śmigłowca pewnie może wytwarzać drgania, ale czy też te niesłyszalne? Cholera wie, jak to z tym jest. Przypomniawszy sobie odgłos manewrującego helikoptera. To rzeczywiście dziwnie się zachowuje. Jak leci w naszą stronę, słyhać bardziej pracę turbiny, a jak odlatuje, zaczyna być słyszalny łopot wirnika. Z boku też jakoś inaczej słyhać. Skąd się bierze ten łopot? Przecież wirnik kręci się równomiernie. Postanowił dać sobie z tym spokój. Poza tym skoro facet tylko dwa razy wygrał, to musiał być przypadek. Helikopter w jego wyobraźni nie był w stanie przebić się przez gęszcz różnych rur, które widział przez lornetkę w rafinerii.

To, co opowiadał Chardin, z jednej strony studziło jego wyobraźnię, z drugiej znów rozpałało. Był jednak tym wszystkim coraz bardziej zmęczony. Czuł, że jeśli nie skończy z tym jakoś, niedługo stanie się prawdziwym dziwakiem i każdy będzie to widział. Chardin był niezwykle miłym i delikatnym człowiekiem, ale dało się zauważyć, że patrzy na niego jak na kogoś owładniętego manią. Postanowił, że wizyta w rafinerii będzie ostatnim ruchem, jaki zrobi w tej sprawie. Jeśli nie znajdzie tam nic, co mogłoby wytwarzać jakieś drgania, zostawi to wszystko w diabły i zajmie się poważniej remontem jachtu. Jacht był jedyną rzeczą, jaka wydawała mu się zdolna utrzymać go na powierzchni tej czekającej na niego zwykłej rzeczywistości.

Zachodzące słońce zostało gdzieś z tyłu. Samolot zwolnił i opuścił nos. Po kilku minutach zanurzył się w ciemnoszarej wacie.

\*



Wylądował po piątej. Nie miał ochoty wracać do domu. Prosto z lotniska ruszył w stronę rafinerii. Po około dwudziestu minutach jechał już wąską szosą wzdłuż jej płotu z drucianej siatki. Na tle ciemnoburego nieba piętrzyły się w oddali wieże rektyfikacyjne, kominy wyrzucające parę, chłodnie kominowe i inne gigantyczne instalacje, o których przeznaczeniu nie miał bladego pojęcia. Zastanawiał się głównie nad tym, jak dostać się na teren rafinerii bez okazywania legitymacji służbowej i tłumaczenia celu swojej wizyty. Dojechał do skrzyżowania z szeroką szosą, którą cysterny dojeżdżały do autostrady. Jadąc nią wzdłuż ogrodzenia, minął dwie bramy, wpuszczającą i wypuszczającą tiry. Bramy były otwarte, ale kierowcy zatrzymywali się przy budynkach wartowni i następowała tam jakaś kontrola. Szosa kończyła się dojazdem do wielkiego parkingu dla samochodów osobowych. Można było na niego wjechać bez żadnego problemu. Zaraz za nim stał duży budynek, najprawdopodobniej mieściła się tam dyrekcja. Zaparkował samochód z brzegu, daleko od latarni, i ruszył wzdłuż wysokiego ogrodzenia. Szansa dostania się na teren rafinerii bez okazywania legitymacji i tłumaczenia celu wizyty była raczej znikoma. Z parkingu do głównego wejścia prowadził przez trawnik szeroki betonowy chodnik. W szklanych drzwiach było widać oświetlony blat i wystającą zza niego głowę recepcjonisty. Arne minął chodnik i szedł dalej wzdłuż trawnika porośniętego krzewami. Budynek kończył się z dala od latarni. Kilka świerków i krzaki zasłaniały widok na dochodzące do niego ogrodzenie. Na parkingu w tej chwili nie był nikogo. Wszedł na trawnik i pokonał szpaler gęstych jałowców. Do ściany budynku przystawiony był segmentowy płot budowlany. Przez szpary między blaszаныmi panelami było widać szalowania pod remontowane właściwe ogrodzenie z wysokiej siatki na podmurówce. Jedyłą kamerę, jaką widział, zamontowano na ścianie nad nim. Nie mogła obejmować tego, co działo się pod nią. Nieco wydeptana trawa przy murze świadczyła o tym, że robotnicy też ułatwiali sobie życie, odstawiając nieco końcowy segment płotu, żeby dostać się bezpośrednio na parking. Uniósł metalową ramę i przestawił panel, robiąc sobie wąskie przejście przy ścianie. Przeszedł przez szalowanie i stanął między oknami. Na parterze od tej strony na szczęście nikt nie urzędował. Światło z kilku okien pierwszego i drugiego piętra nie docierało do ziemi. Cały widziany stąd teren oświetlony był z rzadka ustawionymi latarniami. Rzucały niewielkie kręgi żółtego blasku. Betonowe drogi rozchodziły się we wszystkich kierunkach i prowadziły do mnóstwa przeróżnych zabudowań technicznych i węzłów z zaworami, łączących biegnące po niskich rusztowaniach rurociągi. Główne, wysokie instalacje stały dość daleko, ale wyglądało na to, że da się do nich dojść bez większego problemu.

Zapiął kurtkę pod szyją i założył swoją czarną wełnianą czapkę. Było chyba w okolicach zera i wiał niezbyt silny wiatr, niosący niestety mżawkę. W oddali przejechała furgonetka. Nikt niczego tu nie pilnował. Starając się trzymać z dala od latarni, doszedł do wiaty, pod którą spotykały się dochodzące z trzech stron pasma równoległych rur. Miały nie więcej niż pół metra przekroju i nie wchodziły w grę jako coś, co mogłoby go zainteresować. Przyłożył mimo to rękę do zimnej, stalowej powierzchni. Nie dało się wyczuć żadnego drżenia. Najprawdopodobniej nic tędy akurat nie przepływało. Ruszył dalej, kierując się do bardziej okazałych instalacji, rokujących spotkanie z rurą o większej średnicy. Minał kilka zbiorników z benzyną. Każdy z nich był jednak otoczony wysokim płotem z siatki. Jedną z betonowych dróg szli dwaj robotnicy. Mieli ciemne kurtki podobne do tej, którą nosił. Gdyby miał czerwony kask budowlany, z daleka nie różniłby się od nich specjalnie. Począł, aż przejdą, i wszedł między dwie grubsze rury biegnące około metra nad ziemią. Prowadziły prosto do wysokiej stalowej kratownicy podtrzymującej cylindryczne zbiorniki różnych wielkości. Szum, który cały czas słyszał, dochodził z niedającego się określić kierunku. Spomiędzy zawieszonych na konstrukcji zbiorników czy filtrów dochodziło tylko niezbyt głośne syczenie. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej wznosiły się potężne kolumny rektyfikacyjne. Oświetlone były lampami zamontowanymi na oplatających je pomostach. Od kolumn na różnych wysokościach odchodziły węższe i szersze rury. Ich proste odcinki nie były jednak zbyt długie. Po kilku metrach zaginały się w dół, w górę i w każdym innym kierunku. Podeszedł bliżej. Tu zdecydowanie działo się coś w środku. Poza szumem w instalacjach słychać było jakies pracujące silniki czy pompy. Pamiętał, że przez lornetkę widział kilka grubych rurociągów, ale tu, z bliska, zagubiony w trzewiach tego blaszanego potwora, nie był w stanie ich zlokalizować. W świetle odległej latarni pojawił się wózek elektryczny. Zbliżał się niezbyt szybko, więc Arne zdążył schować się za betonową podstawą konstrukcji. Przejechało nim trzech robotników albo inżynierów. Gdy zniknęli w ciemności, ruszył w głąb kłębowiska rur. Światło lamp rozsianych z rzadka po rusztowaniach docierało do ziemi tylko wąskimi szczelinami, których ubywało, w miarę jak wchodził pod coraz potężniejsze instalacje. Utrzymywane na stalowych kątownikach rury biegły na każdej wysokości, również po samej ziemi.

Było to idealne miejsce na złamanie nogi albo ręki. Założył rękawiczki, bo co chwila musiał łapać się jakiegoś metalu. Szum i syczenie narastały. W instalacjach panowało pewnie spore ciśnienie. Zaczynał żałować, że zamiast obejść to monstrum po obwodzie, wlał w sam jego środek. Najbardziej obawiał się ciśnieniowych zaworów bezpieczeństwa. Nie miał pojęcia, czy są tu w ogóle stosowane, ale gdyby były, w każdej chwili z dowolnego miejsca uderzyć mógł w niego strumień gorącej pary albo co gorsza jakiegoś chemicznego świństwa. Długa rura o ponadmetrowej średnicy, którą na podstawie swojej nowej wiedzy mógł podejrzewać o wytwarzanie niebezpiecznych drgań, nie mogła przebiegać przez dżungłę kratownic, wsporników i rusztowań

oplecionych setkami mniejszych rur. Mogła stąd wychodzić, ale musiałaby być poprowadzona przecież z racji swej funkcji na większą odległość, czyli gdzieś w wolnej przestrzeni. Wejście tu było jednym z głębszych pomysłów, jakie go ostatnio nawiedziły. Postanowił jednak nie zawracać, tylko dobrnąć jakoś do miejsca, skąd mógłby się rozejrzeć. Instynktownie podążał w kierunku większych plam światła lamp, jakie zdołało się przedrzeć do ziemi. Dwie takie trójkątne plamy widział teraz przed sobą. Dojście do nich wymagało jednak przejścia po paśmie równoległych rur biegnących po ziemi. Miały ponad sześćdziesiąt centymetrów średnicy i leżały w odległości około piętnastu centymetrów od siebie, co czyniło tę przeprawę dość trudną. Metal pokryty był chyba małymi kropelkami oleju albo ropy, której zapach przesycił powietrze na terenie całej rafinerii. Spacer po rurach groził niechybnym upadkiem. Pozostawało stawianie stóp na betonie między rurami. Opierając się końcami palców o powierzchnię pokonywanej okraciem rury, stwierdził z niepokojem, że każda następna jest bardziej gorąca. Do przejścia zostały jeszcze cztery. Stojąc w szczelinie między dwiema ostatnimi, przeklinał już głośno. Wyprostował się i rozpiął kurtkę. Było tu przynajmniej ciepło. Chwilę odpoczął, po czym zdobył się na desperacką decyzję i stawiając ostrożnie stopy na gorących rurach, pokonał ostatecznie przeszkodę. Okazało się to dość łatwe, więc zaklął głośno. Mógł przejść tak od początku. Stanął przed jedną z plam światła i zastanawiał się nad dalszym kierunkiem poszukiwań. Otaczająca go ciemna płatanina konstrukcji nie zachęcała do żadnego. Kontemplując tłuste zabrudzenia na spodniach, zauważył, że tym, co dzieli plamy światła, jest cień czegoś szerokiego i poziomego. Gdy zadarł głowę, zobaczył to, czego szukał. Na wysokości pięciu, może sześciu metrów, ponad płataniną krzyżujących się rusztowań biegła ciemnoszara rura dwumetrowej średnicy. Wychodziła spomiędzy oddzielonych wysoką siatką wież rektyfikacyjnych, ale jej początku nie był w stanie wypatrzeć. Na tle czarnego już nieba właściwie w ogóle nie było jej widać. Po kilku minutach przechodzenia pod i nad wszelkiego kształtu przeszkodami dotarł do wolnej przestrzeni. Potężna rura biegła stalowym mostem w stronę terminalu kolejowego. Pozostawało pójść jej śladem i zobaczyć, jak się kończy. Do tej pory niesprawne rurociągi gazowe wyobrażał sobie jako podobne do rury w amerykańskim laboratorium. Trzeba jednak na głowę upaść, żeby oczekiwać tu luf skierowanych w stronę miasta. Skoro jednak we wszystkich publikacjach, jakie do tej pory wpadły mu w ręce, była mowa o wadliwie działających rurociągach gazowych jako o potencjalnych źródłach infradźwięków, to taki mógł mieć właśnie przed sobą. Działające rurociągi zawsze dokądś prowadzą. Jeśli wpadają w jakieś drgania, to fale najprawdopodobniej rozchodzą się w różnych kierunkach. Właściwie już miał to, czego chciał. Wisiała nad nim zagrażająca życiu rura. Mógł sprawdzić, czy nie ma takich więcej. Szedł wzdłuż konstrukcji podtrzymującej rurociąg i zastanawiał się, co ma z tym wszystkim zrobić. Wizyta w dyrekcji rafinerii nie miała większego sensu. Myślał o tym już wiele razy. Co miałby im powiedzieć? Że może coś tu u nich działa nieprawidłowo i naraża ludzi w mieście na poważne

niebezpieczeństwo? A właściwie dlaczego miałby tego nie zrobić, skoro istnieje takie przypuszczenie? Na to pytanie też miał odpowiedź: nie chciał wyjść na maniaka, który na podstawie brzęczych jak urojenia wymysłów rozpętuje aferę zagrażającą w konsekwencji jego posiadaniu. Nie była to chyba etyczna postawa. Tłumaczyło go jedno: sam nie bardzo w to wierzył. Chardin i profesor z uniwersytetu patrzyli na to trzeźwiej. Najprawdopodobniej inni zareagowaliby podobnie. Snując te spekulacje, Arne miał niejasne przeczucie, że jest jakaś myśl, która próbuje przez nie się przebić. Gdyby coś działało tutaj wadliwie, odczuliby to przede wszystkim ludzie pracujący w rafinerii. Myślał już o tym. Rzecz w tym, że dziwne zjawiska zdarzały się w nocy. Jakoś nic nie działało się w dzień. Zepsuty wentylator w Marsylii emitował fale niskiej częstotliwości przez cały czas, kiedy był włączony. Zjawisko ustępowało tylko wtedy, kiedy jakieś okno było otwarte i zmieniał się słup powietrza wpadający w rezonans. Może tutaj działało się coś podobnego. Zatrzymał się przy drabince prowadzącej na konstrukcję dźwigającą rurociąg. Robotnicy jeżdżący daleko wózkami widłowymi nie mieli szans go zobaczyć. Wspiął się na górę. Zdjął rękawiczkę i przyłożył dłoń do powierzchni potężnej rury. Nie wyczuł żadnych drgań, z wnętrza dochodził jedynie monotony szum. Rurociąg skręcał parędziesiąt metrów stąd w stronę ogromnej chłodni kominowej. Nie było sensu iść dalej jego śladem. Z mostu widać było kilka rzędów torów kolejowych z cysternami. Stała za nimi długa hala bez okien i konstrukcje umożliwiające napełnianie cystern. Zaczął padać deszcz. Żeby kompletnie nie przemoknąć, zszedł na dół, mając nadzieję schować się przed nim pod mostem. Wiele to nie pomogło. Wiatr nawiewał deszcz, a woda spływająca z rury lała się strumieniami. Postawił kołnierz i szybkim krokiem ruszył w stronę hali za torowiskiem. Gdy przeszedł przez tory, z ulgą dojrzał spory okap, pod którym mógłby się schować. Dwuspadowy dach hali w kilku miejscach przedłużony był dla osłonięcia jakichś przylegających do długiej ściany urządzeń. W pobliżu hali nie było nikogo. Pod zamkniętymi wrotami zniknęły szyny wpuszczone w beton. Osłonięty wreszcie od zacinającego deszczu oparł się o ścianę z trapezowej blachy i otarł twarz szalikiem. Za ścianą coś się działo. Słychać było metaliczne uderzenia i syk jakichś urządzeń ciśnieniowych. Nie miał pojęcia, do czego może służyć ta hala. Na pewno wjeżdżał w nią pociąg. Może i tutaj napełniano cysterny. Inspekcja instalacji petrochemicznych w taką pogodę przekraczała granice jego wytrzymałości.

Postanowił odczekać, aż deszcz osłabnie, i wrócić do samochodu. Strzepywał wodę ze spodni, gdy poczuł wibrację betonu. W stojącym pół metra od niego zabudowanym blachą urządzeniu włączył się silnik elektryczny. Wycie i narastający szum powietrza w tej odległości były nie do zniesienia. Ogromna turbina wentylacyjna zasysała powietrze przez szeroki zakratowany otwór i tunelem o dużym przekroju wtłaczała je do wnętrza hali. Wzdłuż ściany długości boiska futbolowego rozmieszczonych było sześć albo siedem takich turbin. Otwory wlotowe do hali umieszczono tuż pod krawędzią dachu. Arne wyszedł na deszcz, zasłaniając uszy od hałasu.

Wysokie wrota musiały być zablokowane, bo drżały pod naporem wdmuchiwanego powietrza, a szparą przy ziemi wypływała woda. Miał ochotę tam wejść, ryzykując nawet spotkanie z kimś, kto mógłby go spytać o powód tej wizyty, chociaż w tym hałasie wydawało się to mało prawdopodobne. Za rogiem, na bocznej ścianie dostrzegł blaszane drzwi, których przedtem nie zauważył. Nacisnął klamkę. Dały się otworzyć. Gdy zamknęły się za nim, znalazł się w absolutnej ciemności. Powietrze przesycone było intensywnym zapachem nafty. Zrobił kilka kroków do przodu z wyciągniętymi rękami, mając nadzieję wymacać gdzieś następną klamkę. Drzwi do hali powinny znajdować się na wprost, ewentualnie po prawej. Obrął właściwy kierunek, bo gdy nagle otworzyły się z impetem, dość boleśnie otarły mu rękę. Chmura wodnego pyłu pomieszanego z naftą wpadła do przedsionka, uderzając go w twarz i zmuszając do zaciśnięcia powiek. Gdy przetaił i otworzył oczy, zobaczył przed sobą coś, co przez ułamek sekundy wydało mu się nierealną zjawą. W prostokątnym otworze stało człekokształtne monstrum. Gumowy kaptur z wygiętą szybą i dwa sterczące na boki pochłaniacze zakrywały mu twarz. Facet musiał mieć ze dwa metry wzrostu. Czarny albo ciemnoszary, pokryty kroplami wody błyszczący kombinezon nadawał mu wygląd potwora z innej planety. Tumany pary i rozpylonej wody buchały zza jego pleców. Arne nie widział jego twarzy, ale monstrum przesunęło się na bok i potężnym ramieniem w gumowej rękawicy usłużnie przytrzymało mu drzwi, uznając go pewnie za kogoś z nadzoru technicznego. Podziękował kiwnięciem głowy i chcąc nie chcąc, wszedł do środka. Kotłujące się chmury rozpylonej wody, prześwietlone umieszczonymi w stropie halogenowymi lampami, odsłaniały co raz fragmenty stojących na szynach cystern. Po zamontowanych na nich pomostach chodzili robotnicy w identycznych kombinezonach, myjąc je ciśnieniowymi węzami. Woda musiała być chyba gorąca, bo intensywność oparów nafty była tak duża, że nie dawało się w żaden sposób przyglądać temu dłużej. Mrużąc łzawiące oczy, odszukał czym prędzej drzwi i plując naftą, wybiegł na zewnątrz. Zdjął czapkę i podszedł pod okap, dając spływającej wodzie opłukać twarz z tego świństwa.

Na dzisiaj miał dość. Ruszył na przelaj w stronę budynków administracji, gdzie zaparkował samochód. Przeszedł przez torowiska i stanął przed szerokim rzędem rur ułożonych na ziemi. Postanowił ominąć je od strony miasta, tam zaginały się w górę, poprowadzone nad jeszcze jednymi torami. Był tak zmęczony i mokry, że przestał przejmować się przechodzącymi tu i ówdzie robotnikami. Oni zresztą też nie zwracali na niego uwagi. Przekraczając tory pod mostkiem z rurami, zdziwił się trochę, że prowadzą w stronę skarpy. Tam nie było już widać żadnych instalacji. Po przejściu kilkudziesięciu kroków wzdłuż szyn stwierdził, że jednak się mylił. Tory prowadziły do drugiej, identycznej hali. Stała w zupełnej ciemności, z dala od jakichkolwiek latarni. Szum dmuchaw wentylacyjnych dochodził już teraz z oddali, tutaj nic się nie działo. Nie miał ze sobą latarki, a oglądanie jej po ciemku mijało się z celem. Z ulgą zawrócił do samochodu.



Obudził się po południu, bo nikt do niego nie telefonował. Oficjalnie był jeszcze na urlopie i miał ochotę z tego skorzystać. Nie wiedział tylko w jaki sposób. Liv biegła po mieście, szykując się do wyjazdu. Od kiedy miała nadzieję powrotu do kariery modelki, stała się jeszcze mniej kontaktowa. Rozmawiała z nim niby jak dawniej, ale myślami była już na Malediwach albo jeszcze gdzieś dalej.

Zaparzył kawę i postanowił na razie zająć się swoją garderobą. Całe ubranie z nocnej wyprawy leżało na podłodze w łazience. Śmierdziało w niej naftą niewiele mniej niż w hali mycia cystern. Do wyprania w pralce kwalifikowały się jedynie spodnie i skarpetki. Kaszmirowy sweter wychodził po wszystkim twardy, gruby i pomniejszony o kilka rozmiarów, już miał okazję to sprawdzić. Podobnie było z szalikiem. Wrzucił je do umywalki i zalał ciepłą wodą. Prawdziwy problem był z kurtką. Nie miał nic równie ciepłego, a skóra przesiąkła naftą do tego stopnia, że gdy brał benzynę i kupował pizzę, wracając do domu, kasjerka na stacji spytała go, czy nic mu się nie stało.

Zapiął zamek w kurtce i powiesił ją na kranie pod prysznicem, licząc, że gorąca woda z proszkiem nie zdoła jej przemoczyć na wylot. Nie sprawdzając rezultatów tego prania od wewnętrznej strony, przymocował suszarkę do włosów do pręta prysznicowego i skierował na kurtkę. Miał nadzieję, że w ciągu godziny wyschnie na tyle, aby ją włożyć. Zamknął łazienkę, bo opary nafty rozchodziły się już po całym mieszkaniu, i z kawałkiem podgrzanej pizzy oraz kawą usiadł w swoim fotelu. Wyprawa do rafinerii nie rozczarowała go. Było tam sporo urządzeń mogących wytwarzać niskie częstotliwości. Poza rurociągami także potężne dmuchawy hali dość mocno rozbudziły jego wyobraźnię. Wyglądały podobnie do tej, która napędzała działą infradźwiękowe w amerykańskim laboratorium. Któraś z nich mogła teoretycznie wpadać w wibrację albo zwalniać obroty, wytwarzając te przedziwne fale. Dlaczego jednak nikt na to nie reagował? A może robotnicy odczuwali jakieś dolegliwości, tylko nie wiedzieli dlaczego. Może przekonani byli, że podtruwają ich chemikalia. To na pewno było do sprawdzenia. Wystarczyło porozmawiać z którymś z nich bez oficjalnego powiadomienia dyrekcji o powziętych podejrzeniach. Wątpliwości dotyczyły jednak rzeczywiście skali. Odległość między domem profesora Ronstad a rafinerią była naprawdę spora. W linii prostej wynosiła między cztery a pięć kilometrów. Poza tym obszar objęty ewentualnym oddziaływaniem z grubsza ograniczał się do kilkunastu ulic. Prawdę powiedziawszy, właściwie jedynie jego niewiedza co do skomplikowanej i jak dotąd podobno niezgłębionej fizyki rozchodzenia się tych fal była powodem,

dla którego ciągle jeszcze nie zrezygnował z myśli, że za wszystko mogą odpowiadać infradźwięki. Na zdrowy rozum, tak jak ocenił to Chardin, taki efekt mogło wywołać jedynie jakieś gigantyczne działo infradźwiękowe. Pozostawały dwie możliwości: iść za podpowiedziami naiwnych wyobrażeń albo porzucić tę koncepcję i zostać z niczym. Pierwsza możliwość ciągle jeszcze wydawała się bardziej pociągająca. Nagła cisza, która najprawdopodobniej z powodu przegrzania się suszarki zapadła w łazience, nasunęła mu pomysł, na który nie wiedzieć czemu nie wpadł do tej pory. Przecież te cholerne infradźwięki na pewno można było jakoś mierzyć albo przynajmniej identyfikować. Wystarczyłoby ustawić taki czujnik u profesorowej i sprawdzić, co się tam dzieje. Włączył komputer i wpisał w wyszukiwarce „detektory infradźwiękowe”. Otworzyło się kilka stron firm produkujących akustyczne urządzenia pomiarowe. Rejestrator ciśnienia akustycznego firmy Bruel & Kjaer, właściwie jedyny czujnik pracujący dla szerokiego pasma niskich częstotliwości, mieścił się w sporej walizce i kosztował majątek. Na innych stronach opisane były co prawda jakieś kombinacje z bardziej konwencjonalnymi mikrofonami, ale potrzebne były do tego oscyloskopy i podobne urządzenia. Pozostawały usługi firm pomiarowych. Żadna nie wypożyczała sprzętu, a wynajęcie technika, który miałby czatować po nocach w opuszczonym domu, wyglądało mało realistycznie nie tylko ze względów finansowych. Policyjne laboratorium nie potrzebowało takiej aparatury, korzystałoby z usług firm specjalistycznych. Poza tym wciągnięcie komendy w tę historię nadal było dla niego ostatecznością. Infradźwięki pasowały do wielu okoliczności, ale im dłużej o tym myślał, tym bardziej wydawały się problemem nie do ugryzienia. Nagle jednak coś przyszło mu do głowy i to nie był chyba głupi pomysł.

W domu profesorowej poruszała się zasłona! To był darmowy czujnik reagujący na to niewyjaśnione zjawisko. Jeśli w rafinerii jakieś urządzenie wytwarzało te fale, zasłona powinna się poruszać. Wystarczyło być w dwóch miejscach naraz, a to w pewnym sensie wydawało się wykonalne. Potrzebował tylko swojego laptopa, a ten niestety był w biurze.

Kurtka była już tylko trochę wilgotna i jakimś cudem nie przemokła do spodu. Śmierdziała jednak naftą niewiele mniej niż przed praniem. Wyciągnął z szafy suche spodnie i sweter. Ubrał się i wymienił baterie w latarce. Było już po czwartej. Nie padało, ale zaczynała opuszczać się mgła.

\*



Zatrzymał samochód przed komisariatem. W oknie Ole i Gerda paliło się światło, któryś z nich musiał jeszcze pracować. Przywitał się z dyżurującym policjantem i wszedł powoli na piętro, nie zapalając światła w korytarzu. Istniała szansa, że uda mu się zabrać komputer i uniknąć przy tym rozmowy. Pani Nygaard wyszła już do domu. Przeszedł cicho przez pusty sekretariat i zatrzymał się przed wejściem do swojego pokoju. Drugie drzwi na korytarz niestety były otwarte. Widział przez nie szparę w uchylonych drzwiach do pokoju Ole. Słyszał było szelest kartek i klikanie w klawiaturę. Podeszedł ostrożnie do stołu i nachylił się, sięgając po laptopa.

– Po co on właściwie pojechał do tego Paryża? – usłyszał głos Gerda.

– Nie wiem. O jachtach rozmawiać z jakimś facetem – odpowiedział Ole.

Arne zwinął kabel i upchnął w bocznej kieszeni kurtki. Zamknął uważnie ekran laptopa i starając się, aby nie skrzypnęły deski pod wykładziną, powoli podeszedł do drzwi sekretariatu.

– To chwilowo nie przybywa nam szpilek? – znów odezwał się Gerd. – On naprawdę te alarmy tak tropi?

– Na to wygląda.

– Mówię ci, on zaznacza adresy najlepszych lasek w okolicy. – Obaj parsknęli śmiechem.

– Trzeba przyznać, że jest ciągle w tym niezły.

– No tak, ale nie ma już tej mocy co kiedyś. Chociaż wyrwał tę hiszpańską pannę ze sklepu.

– W głosie Gerda było całkiem sporo uznania.

– Wyrwał ją? Skąd wiesz? – nagle zainteresował się Ole.

Nigdy by nie przypuszczał, że mogą być tak zorientowani w temacie, zwłaszcza że sklep był dość daleko od komisariatu, a Ole mieszkał w innej dzielnicy. Stał teraz i słuchał podwładnych z zapartym tchem.

– Ktoś ich widział w dyskotecie. Zajebista jest ta Mercedes. Pasowałaby mu do samochodu.

– Gerd wyraźnie rozbawiony był własnym komentarzem.

Przynajmniej dowiedział się, jak ma na imię dziewczyna ze sklepu.

– Dobrze, że robi sobie przerwy w tych szpilkach – zauważył z troską Ole.

– Tak, odwaliło mu trochę z tymi alarmami. Co on chce tymi szpilkami wyśledzić?

– Pewnie chce sam sobie coś udowodnić.

– Że jeszcze się do czegoś nadaje? Chociaż mi też chyba by odwaliło, jakby mnie laska w trąbę robiła.

– No co ty, Liv? A skąd ty to, kurwa, wiesz?

– No przecież wiadomo. Wszyscy gadają.

– I z kim ona?

– Jakiś producent od reklam czy coś tam.

Arne gapił się we framugę i czuł, jak zaciska mu się coś w gardle. Nie dało się powiedzieć, że nie mógł w to uwierzyć. Właściwie to spodziewał się czegoś takiego.

Któryś z nich chyba wstawał od stołu. Arne cofnął się szybko z drzwi i najciszej jak umiał zszedł na dół.

\*

Siedział w samochodzie pod domem profesorowej i nie mógł pozbierać myśli. Jedna część mózgu przetrawiała zdradę, a druga nie wiedziała, co teraz robić. Za godzinę będzie zupełnie ciemno i oglądanie drugiej hali bez latarki stanie się niemożliwe. Tłumaczenie się ze szpiegowania w nocy z latarką w rękę byłoby dla oficera policji dość niezręczną sytuacją. Z drugiej strony chciał uruchomić swój czujnik i pójść do rafinerii, mając możliwość sprawdzenia, czy podczas pracy jakiegoś podejrzanego urządzenia tu, na Erlends vei, nie zachodzi właśnie to tajemnicze zjawisko. Pomysł polegał na ustawieniu kamery laptopa przy samej zasłonie i połączeniu się z telefonem za pomocą aplikacji przesyłającej obraz. Okazało się jednak, że w telefonie nie miał tej aplikacji i nie bardzo wiedział, jak ją ściągnąć i czy w ogóle jest to możliwe. W ten czy inny sposób eksperyment dałoby się przeprowadzić, ale Arne potrzebował więcej czasu na jego przygotowanie. Zdecydował się pojechać do rafinerii.

Mgła rzędła w miarę jak wjeżdżał na płaskowyż, niebo jednak z ciemnej szarości przechodziło już w czern. Podjechał na parking, tak jak poprzednio, i znaną już drogą ruszył do torowiska. Po kilku minutach z zapadającej ciemności wyłoniła się frontowa ściana hali. Stała właściwie w złomowisku. Z jednej strony leżały zardzewiałe cysterny, z drugiej – gruba warstwa powyginanych rur, szyn i kratownic. Nieopodal koparka z opuszczonym ramieniem trzymała w niedomkniętych szczękach sporą kiść złomu. Najprawdopodobniej ładowano go do stojącego obok wielkiego kontenera i wywożono do huty. Wpuszczone w betonową płytę szyny, podobnie jak w pierwszej hali, znikwały pod ogromnymi drzwiami z trapezowej blachy. Arne podszedł do nich i pociągnął za przyspawane do kątowników uchwyty, ale nawet nie drgnęły. Pozostały drzwi do przedsionka. Na bocznej ścianie ich jednak nie było. Przeszedł na drugą stronę. Tu również na długiej, znikającej we mglistej ciemności karbowanej powierzchni blachy niczego podobnego do drzwi nie było widać. Co kilkanaście metrów stały jedynie ogromne turbiny wentylacyjne. Przeszedł kawałek wzdłuż ściany, ale żadnego wejścia za nimi nie znalazł. Wrócił do pierwszej ściany i zrobił to samo. Za blaszanymi obudowami wentylatorów nie było jednak żadnych drzwi ani klapy, przez którą mógłby się dostać. Zapalił latarkę i przyjrzał się blasze przy dolnej krawędzi. Tak jak przypuszczał, była przerdzewiała. Szedł wzdłuż ściany, szukając miejsca, gdzie dałoby się ją odgiąć. Za drugą turbiną znalazł fragment, gdzie na łączeniu blach śruby były zerwane, a płyta wgięta do środka utworzyła sporą szparę. Uklęknął i zajrzał. W środku panowała ciemność. Snop światła latarki bez przeszkód omiatał przeciwległą ścianę, ukazując nachylone wyloty kanałów nadmuchowych. W tej części nie było żadnego pociągu. Arne usiadł na ziemi i naparł nogami na

blachę. Ugięła się kilka centymetrów. Położył się na plecach i z całej siły kilka razy uderzył w nią podeszwami butów. Teraz szczelina pozwalała już wczołgać się do środka. Dopiął kurtkę i precyzyjnie się między zardzewiałą krawędzią blachy a stalowym kątownikiem dolnej ramy, znalazł się w hali. Betonową podłogę pokrywała warstwa pyłu, rdzy i drobnych kamyczków. Powietrze nie było przesycone zapachem nafty jak w pierwszej hali. Wyglądało na to, że dawno nikt nie mył tu żadnych cystern. Przez całą długość środkiem biegły szyny, ale nie stał na nich ani jeden wagon. Prawdziwie zadziwiającym odkryciem było jednak to, że wrota w przeciwnym końcu hali otwarte były na oścież. Nieco jaśniejszy prostokąt ledwo odcinał się od tonącego w ciemności prawie stumetrowego tunelu. Zmurszały beton i pył chrzęścił pod butami. Odgłos kroków wracał pogłosem, odbity od łukowato wysklepionego stropu. Co paręnaście metrów z obu stron nachylały się wyloty wentylacyjnych kanałów nadmuchowych. Miały około półtora metra szerokości i przysłonięte były stalowymi żaluzjami. Trudno było powiedzieć, do czego mogły służyć. Nawet duże kanały wentylacyjne, które widział na statkach czy w halach fabrycznych, przeważnie przykryte były normalną siatką albo kratownicą. Żaluzje musiały pełnić jakąś szczególną funkcję. Może zamykały dostęp łatwopalnym oparom, gdy turbiny nie były włączone, napędzały je przecież iskrzące silniki elektryczne. Zbliżając się do otwartych wrót hali, zorientował się, że nie widać przez nie żadnych zabudowań ani instalacji rafinerii. Tor kolejowy kończył się typową blokadą z buforami, za nią była już tylko mgła. Doszedł do samego końca. Po kilku metrach betonu zaczynało się urwisko. Z początku dość strome, przechodziło w porośnięte lasem coraz łagodniejsze zbocze. W oddali mgła przykrywała miasto. Najdalej, przy fiordzie, jego centrum wyświetlało na niej żółtą lunę, bliżej kolorowe plamy kryły pod sobą neony wyższych budynków. Patrząc wtedy przez lornetkę, nie zauważył tej hali. Stała zbyt blisko zbocza, skierowana wylotem w sam środek miasta. Była już prawie noc, ale przezierające przez mgłę szczyty wysokich świerków zdradzały położenie wzgórz, na których rozciągała się jego dzielnica. W kilku miejscach widać było rozmyte światelka ulicznych latarni. Dom profesorowej Ronstad stał na osi hali. Był niemal pewny, że się nie myli. Konfiguracja oświetlonych ulic wyglądała znajomo. Teraz zrozumiał, dlaczego dziwne zjawiska koncentrują się tylko w jednym ograniczonym rejonie. Ta część dzielnicy leżała wyżej. Mgła ukazywała wyraźnie pionowe zróżnicowanie terenu. Niżej położona część dzielnicy, tam gdzie był komisariat, kryła się pod nią w całości. Jakieś urządzenie w hali emitowało infradźwięki, które musiały rozchodzić się w postaci skoncentrowanej wiązki. Domy położone na wzgórzach najprawdopodobniej częściowo wchodziły w obszar jej oddziaływania. Odległość między halą a wzgórzem była mniejsza, niż to zakładał. Mogła wynosić około trzech kilometrów. Przedtem mierzył ją na planie do głównych instalacji rafinerii. Jakim sposobem hala wytwarzała drgania o takiej sile, pozostawało tajemnicą. Eksperymentalne urządzenie, które widział na filmie, działało podobno na odległość nieprzekraczającą kilkuset

metrów. Zasilająca je dmuchawa nie była mniejsza od tych, które miał za plecami. Co w takim razie powodowało, że siła oddziaływania hali zwiększała się tak bardzo? Może kilka wentylatorów działało nieprawidłowo? Mogły powstawać tu zjawiska fizyczne o tak dużym stopniu skomplikowania, że tylko eksperci od akustyki byliby w stanie je pojąć. Wszystko to chyba mogłoby się dziać, gdyby w hali ktoś ostatnio pracował. Suchy pył i brak intensywnego zapachu nafty świadczyły jednak, że raczej nic tu się od dawna nie działo. Mgła podchodziła coraz wyżej i wzgórze pogrążyło się w burej wacie. Arne wszedł z powrotem do hali, żeby dokładniej przyjrzeć się wylotom wentylacyjnym. W świetle latarki trudno było ocenić, czy różnią się od siebie. Wyglądały identycznie. Wszystkie zamknięte były pionowo ustawionymi żaluzjami, których osie kończyły się w metalowych profilach kryjących zapewne mechanizm obrotowy.

Był w połowie hali, kiedy z jej końca dobiegło go metaliczne szczęknięcie. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Ktoś mógł otwierać zamek frontowych wrót. Po kilku sekundach usłyszał drugie szczęknięcie, a po nim skrzypnęło coś na zewnątrz. Już wiedział, co to jest. Włączały się dmuchawy. Nagle ze wszystkich stron rozległo się wycie silników elektrycznych. W kanałach narastał szum pędzącego powietrza. Nad głową Arne jęknęły łączenia blach skierowanego w dół wylotu. Nie zdążył odskoczyć, nim otworzyły się żaluzje. Potężny podmuch popchnął go w tył, na tory. Próbuąc utrzymać równowagę, zawadził nogą o szynę. Przewrócił się, amortyzując upadek wyciągniętymi do tyłu rękami. Latarka, gnana strumieniem powietrza, turlała się po betonie, oszalałym snopem światła wydobywając z mroku kłębiące się tumany kurzu. Przekreślił się na brzuch i złapał ją, nim uderzyła o szynę. Teraz dopiero przyszedł strach. Przed oczami Arne stanął obraz przewracającego się i plującego krwią inżyniera z amerykańskiego laboratorium. Poczul pulsowanie w skroniach. Serce uderzało szybkim, nierównym rytmem. Zerwał się i dopadł do ściany, umykając z linii podmuchu. Przywarł do zimnej, karbowanej blachy.

Ściana hali drżała. Ogarniała go panika. Pył wdierał się do oczu. Wiedział, że za chwilę może stracić przytomność. Przed oczami wirowały mu drobne świecące punkciki. Nie wiedział, czy to kurz w świetle latarki, czy coś dzieje się z jego wzrokiem. Odepchnął się od ściany. Biegł niemal na oślep, popychany to w jedną, to w drugą stronę strumieniami powietrza z mijanych wylotów. Wyciągniętą przed siebie latarką świecił na szyny, aby nie stracić orientacji i nie potknąć się o nie. Świadomość, że z prędkością dźwięku ściga go śmierć, której nie jest w stanie usłyszeć, kazała mu wstrzymać oddech i biec tak szybko, jak nigdy dotąd nie biegł. Kiedy dopadł do wyjścia, rzucił się w bok. Resztkami świadomości kojarząc, że ma przed sobą morze złomu, biegł po krawędzi zbocza, potykając się o nierówności. Zatrzymał się, gdy poczuł, że mdleje. Upadł na ziemię i krztusząc się, łapał oddech. Serce waliło wściekle, przed oczami latały świecące punkciki. W odległości kilkudziesięciu metrów hala ciągle huczała, przepompowując powietrze. Leżał na plecach i czekał, aż serce wreszcie przestanie łomotać. W ustach i gardle czuł rdzawy pył, ale nie miał na razie siły

charczeń i go wypluwać. Z wolna docierała do niego myśl, że chyba nic mu się jednak nie stało. Oparł się na łokciu i spojrział w stronę hali. Wciąż dobiegał stamtąd szum turbin. Dlaczego się włączyły? Nie było przecież żadnych cystern ani robotników. Coś dziwnego działo się tutaj, nie miał już najmniejszych wątpliwości. Kiedy poczuł, że puls zwolnił, najpierw usiadł, a potem wstał i zaczął otrzepywać ubranie. Nie miał ochoty wracać i sprawdzać na sobie, czy hala rzeczywiście emituje te cholerne dźwięki. Wystarczyło mu to, co przeżył. Przyszedł chyba czas, żeby złożyć wizytę w dyrekcji.

Świecąc pod nogi, żeby nie wpaść na jakiś kawał złomu, ruszył w kierunku parkingu. Przechodził właśnie obok koparki, kiedy hala nagle ucichła. Z dala dobiegał jedynie szum instalacji rektyfikacyjnych. Jakiś dźwięk dochodził jednak jeszcze od strony hali. Samochód. Po chwili zobaczył jego reflektory. Zza frontowej ściany wyłoniła się furgonetka. Jechała betonową drogą wzdłuż torów. Zgasił latarkę i stanął za ramieniem koparki. Z tego miejsca nie było widać, czy ruszyła spod hali; mogła tam stać w ciemności z wyłączonymi światłami. A może po prostu przejeżdżała. Minąwszy złomowisko, skręciła w boczną drogę i zniknęła między instalacjami. Stał jeszcze chwilę, ale nic więcej już tu się nie działo.

\*

Szefowa sekretariatu dyrekcji rafinerii połączyła go z szefową sekretariatu dyrektora technicznego, która po konsultacji z sekretarką wicedyrektora do spraw technologii zgodziła się na audiencję u jego zastępcy. Wyzaczyła ją na szesnastą.

Miał sporo czasu na uruchomienie swojego systemu wykrywania infradźwięków. Im bardziej jednak zagłębiał się w meandry technologii połączenia telefonu z komputerem, tym bardziej wydłużała się lista problemów do pokonania. W końcu właściwa aplikacja, użyta we właściwy sposób, zaowocowała udanym odbiorem obrazu z kamery laptopa przez jego telefon. Podstawowy problem polegał na tym, że połączenia nie można było przerwać, ponieważ przy komputerze nie będzie nikogo, kto mógłby je odebrać. Oznaczało to stałe utrzymywanie połączenia i stałe doładowywanie telefonu, który w tym trybie pracy dość szybko się wyładowywał. Prowadzenie normalnych rozmów stawało się niemożliwe. Jedynym wyjściem było uruchomienie drugiego telefonu. Miał stary, prywatny, z którego właściwie nie korzystał.

Za oknem ogród profesorowej tonął w szarej mgle. Pomyślał, że jeśli nie chce zostawiać zapalonego światła, musi wyłączyć wygaszacz ekranu, żeby ciągle świecił, inaczej kamera nie zarejestruje niczego, kiedy zrobi się ciemno. Komputer, podłączony przedłużaczem do gniazdka pod etażerką, stał na podłodze przy samej krawędzi zasłony. Gdy lekko ją potrącił, poruszyła się, ale na ekranie telefonu trudno było ten ruch zauważyć. Krawędź zlewała się z resztą materiału. Potrzebował jakiegoś znacznika. Przypomniał sobie, że w szufladzie, gdzie znalazł notes z telefonami, było kilka szpilek i rolka plastra opatrunkowego. Oddał kawałek i przykleił pionowo na ekranie telefonu. Wpięta w brzeg zasłony biała szpilka oddalała się teraz od paska i chowała za nim przy najmniejszym ruchu. Urządzenie działało. Potrzebne były jedynie infradźwięki.

\*

Na parking rafinerii wjechał po trzeciej. Stało na nim jeszcze sporo samochodów. Urzędnicy administracji kończyli pracę o czwartej. Nie miał ochoty czekać w korytarzu jak petent. Wolał jednak nie spóźnić się na spotkanie. Sekretarki działu technicznego nie wykazywały specjalnej gorliwości, gdy przedstawiał się jako inspektor policji. Żadna nie spytała nawet, po co chce się umówić. Miało to swoje dobre strony, bo nie chciał zdradzać powodu swojej wizyty. Głównie dlatego, że oficjalnego powodu nie było. Miał nadzieję doprowadzić do kontroli technicznej hali, nie ujawniając zbyt wiele ze swoich podejrzeń i nie przyznając się, że chodził tam bez zgody dyrekcji.

Na ekranie łebek szpilki świecił wyraźnie na tle ciemnej zasłony. Nie poruszał się. Gdyby dmuchawy w hali działały w tej chwili, Arne miałby szansę sprawdzić przed spotkaniem, czy jego podejrzenia są słuszne. Zostało mu ponad pół godziny. Odłączył telefon od ładowarki i wysiadł z samochodu. Upewniwszy się, że nikt go nie widzi, obszedł budynek dyrekcji i ruszył znaną sobie drogą. Podmurówka ogrodzenia była już gotowa. Tkwiły w niej słupy, ale siatki na szczęście jeszcze nie naciągnięto. Przestał przejmować się mijanymi robotnikami i inżynierami. Nikt tu nie zwracał na niego uwagi.

Minął dwa ogromne zbiorniki i skręcił w drogę między stacjami węzłów z zaworami. Po kilku minutach doszedł do terminalu kolejowego. Jedyne szum, który słyszał, docierał tu od strony wysokich instalacji rafineryjnych. Hala nie pracowała albo nie było jej stąd słychać. Widok zasłaniało kilka stojących pociągów z cysternami. W zasięgu wzroku nie było żadnej pracującej lokomotywy, więc nie obawiając się, że któryś z pociągów nagle ruszy, zaczął przechodzić między wagonami. Przepisnąwszy się pod buforami cystern stojących na trzecim już torze, zobaczył, że ma przed sobą jakiś inny pociąg. Na niskich platformach leżały długie cysterny bez pomostów umożliwiających dostęp do wlewów. Przeszedł wzdłuż jednej z nich i ze zdziwieniem stwierdził, że nie są to zbiorniki, tylko stalowe rury zakończone szlifowanymi kryzami z otworami na śruby. Rafineria prawdopodobnie rozbudowywała się i potrzebne były nowe rurociągi. Rur było kilkadziesiąt. Miały około dwóch metrów średnicy i od środka wyglądały jak niekończący się tunel o idealnie gładkich ścianach. Niósł się przez nie daleki stukot pociągu i zniekształcony szum instalacji. Kiedy wyszedł wreszcie pomiędzy wagonów, pociągu nie było już słychać. Z lewej strony dochodził jedynie znany mu szum hali, w której myto cysterny. Wyciągnął z kieszeni telefon. Szpilka na ekranie stała w miejscu, kilka milimetrów od plastra. Oznaczało to, że pierwsza hala nie emitowała dźwięków niskich częstotliwości. Od złomowiska i drugiej hali dzieliło go



kilkaset metrów. Z tej odległości na razie nie było nic słychać.

Szedł wzdłuż pustego toru, zerkając na nieruchomą szpilkę z narastającą świadomością, że gdy usłyszy pracujące dmuchawy, będzie mógł pójść do domu. Cała teoria, którą żył od tygodnia, legnie w gruzach, pozostawiając go siedzącego w fotelu z myślami o przyszłości, w której dobór koloru farby do ścian będzie znaczącym wydarzeniem. Szum pierwszej hali cichł za plecami. Tor zaczął odbijać od pozostałych w stronę złomowiska. Arne poczuł ulgę. Z przodu nie dobiegał żaden dźwięk. Jeszcze parę kroków i zobaczył długi szary kształt. W drugiej hali nic się nie działo.

\*

Na korytarzu trzeciego piętra panowała cisza, jakby wszyscy już wyszli. Przez uchylone drzwi do sekretariatu działu technicznego dojrzał jednak zapatrzoną w monitor sekretarkę. Od kiedy internet rozrósł się na taką skalę, wszyscy urzędnicy robili wrażenie niezwykle zapracowanych.

– Dzień dobry. Nazywam się Hilmen. Umówiony jestem z dyrektorem technicznym na szesnastą – powiedział z uśmiechem, wsuwając głowę do środka.

Nieco zdezorientowana, oderwała się od ekranu.

– Ale z którym? – spytała, spoglądając gdzieś w głąb pokoju.

– Chyba z wicedyrektorem technicznym, nie podano mi nazwiska.

– Jest jeszcze tylko pan Solberg, zastępca wicedyrektora.

– Tak, to o niego chodziło.

Rozejrzała się po biurku.

– Tak, mam tu coś zapisane. – Przeczytała małą karteczkę. – To pan jest z policji? – Na jej twarzy pojawiło się zainteresowanie. – Dyrektor Solberg powinien zaraz tu być. Może napije się pan kawy?

– Nawet chętnie. – Uśmiechnął się, widząc, że ma do czynienia z inną kobietą niż ta, z którą rozmawiał przez telefon.

– Niestety, wyłączyłam już ekspres, automat jest na korytarzu – powiedziała szczerze zmartwiona, widząc, że rozgląda się, gdzie usiąść.

Nie miał ochoty na rozpuszczalną kawę z automatu, ale jakoś niezręcznie było mu się wycofać z przyjętej propozycji. Znów uśmiechnął się jak najserdeczniej i chcąc nie chcąc, rozejrzał za automatem. Z głębi korytarza wabiła go naga dziewczyna, do połowy zanurzona w czymś ciemnym, co najprawdopodobniej miało być alegorią aromatycznego morza kawy. Podszedł, przeszukując kieszenie kurtki; zwykle miał tam kilka drobnych monet. Nie chcąc przez nieuwagę zerwać połączenia, wyjął telefon i położył go na parapecie okna. Wrzucił monety, wybrał gorącą czekoladę i wcisnął guzik. Dziewczyna na plakacie nie była w jego typie. Wyobraził sobie, jak Liv pozuje teraz właśnie zanurzona w lazurowym morzu, a jej nowy adorator wspomaga okrzykami zachwytu stojącego po kostki w wodzie fotografa. Nie bez satysfakcji pomyślał, że Mercedes wyglądałaby lepiej. Automat przestał brzęczeć. Ostrożnie wyjął miękki, gorący kubek i sięgnął po telefon. Chowając go do kieszeni, zerknął na ekran. Odstawił kubek na parapet. Szpilki nie było widać. Jakimś cudem wypadła albo schowana była za plastrem. Odkleił kawałek. Biała główka poruszała się nieznacznie w zmienionej pozycji. Odruchowo spojrzął przez okno, ale stąd nie było

niczego widać ani tym bardziej słycać. Szpilka oscylowała nieregularnie w granicach centymetra. Z przeciwnej strony korytarza zbliżał się jakiś mężczyzna około czterdziestki. Wszedł do sekretariatu. Pewnie Solberg. Arne przykleił plaster na swoje miejsce. Teraz łebek szpilki co parę sekund ukazywał się to z jednej, to z drugiej strony. Powinien natychmiast biec pod halę, ale ważniejsze było w tej chwili doprowadzenie do jej fachowego zbadania. Zerkając nieustannie na wyświetlacz telefonu, poszedł do sekretariatu.

– To jest właśnie pan Hilmen – powiedziała sekretarka do dyrektora, który najwyraźniej miał zamiar wychodzić, bo trzymał już w ręku kurtkę.

– Sven Solberg. Czym mogę służyć? – spytał z miłym uśmiechem, ale czuło się, że myślami jest już gdzie indziej.

– Nie zajmę panu wiele czasu. Mam pewien problem z alarmami w mojej dzielnicy.

– Z alarmami? – zdziwił się Solberg i spojrział na drzwi gabinetu, mając jeszcze nadzieję, że załatwi sprawę na stojąco.

– Kilkoro mieszkańców ulic położonych na wzgórzu skarżyło się też na dziwny hałas w nocy. Może są tu urządzenia, które wytwarzają jakieś drgania. Od jakiegoś czasu systemy alarmowe wzbudzają się częściej bez wyraźnego powodu.

– Ktoś złożył na nas skargę? – Dyrektor zrobił niepewny krok w stronę gabinetu.

– Nie, nikt nie składał oficjalnych skarg. Obiecałem po prostu paru osobom, że sprawdzę, czy jakieś urządzenie u was nie działa nieprawidłowo.

– Do nas też nie docierały nigdy jakieś zażalenia. W przeciwnym razie coś bym o tym wiedział. – Solberg wciąż nie mógł się zdecydować, czy ma zaprosić Arne na dłuższą rozmowę do gabinetu.

– Widzę, że pan się spieszy. Może porozmawiamy w drodze na parking? – zaproponował Arne.

– Tak, rzeczywiście, niestety, jestem umówiony, szczerze mówiąc, nie wiedziałem, że pan przyjdzie. – Wyraźna ulga pojawiła się na jego nijakiej, ale dość sympatycznej twarzy.

Pożegnali się z rozczarowaną trochę sekretarką i wyszli na korytarz.

– To o co chodzi z tymi alarmami? – spytał Solberg, już bardziej skoncentrowany.

– Nie znam się na waszych instalacjach, ale wiem, że niektóre urządzenia, takie jak systemy wentylacyjne czy rurociągi gazowe, mogą wywoływać drgania niskich częstotliwości i to może wzbudzać alarmy.

Dyrektor milczał przez chwilę, chyba dość zaskoczony problemem, zanim powiedział:

– Wszystkie urządzenia funkcjonują normalnie. Mamy nad nimi stałą kontrolę. Alarmy mogą się wzbudzać z wielu powodów...

– Oczywiście, bierzemy to pod uwagę, ale może warto sprawdzić niektóre systemy

wentylacyjne.

– Ma pan jakieś sugestie? Bo szczerze mówiąc...

Wyszli na parking.

– Czasami w nocy słychać szum. Wydaje mi się, że dochodzi z tych hal do czyszczenia cystern kolejowych.

Solberg zatrzymał się zdziwiony, nie wiedząc chyba, o czym mowa.

– Na skraju urwiska są takie długie blaszane hale. Byłem tam kiedyś. Tam są potężne systemy wentylacyjne i bardzo hałasują.

– A, o tym pan mówi! – Dyrektor rozpromienił się. – Myślałem, że chodzi panu o instalacje do przetwarzania ropy. Powiem szczerze, że dawno tam nie byłem. Ale oczywiście, że można to sprawdzić. Wyślę tam kogoś z kontroli technicznej. – Zatrzymał się, uznając sprawę za załatwioną.

– To świetnie. Bardzo będę panu zobowiązany. Mam jeszcze taką prośbę: jeśli to możliwe, chętnie uczestniczyłbym w tej kontroli.

– Nie ma problemu, ale jeśli chodzi o raport, to mogę panu go wysłać.

– Nie, wie pan, to nawet nie chodzi o raport, obiecałem po prostu kilku mieszkańcom, że sprawdzę. Raport mogę wziąć przy okazji. Myśli pan, że kontrolę można by przeprowadzić jutro?

Solberg zastanowił się.

– Niech pan przyjdzie, powiedzmy, o dziesiątej, podeślę tam technika. – Wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Dziękuję za szybką reakcję. Będę czekał przy tej mniej używanej hali.

Dyrektor kiwnął głową i wszedł między zaparkowane samochody.

– Ale wie pan, to trochę dziwne. – Zatrzymał się przy otwartych drzwiach samochodu. – Te wentylatory nie są aż takie głośne, ich nawet tutaj nie słychać. Nie wiem, dlaczego myśli pan, że właśnie one są przyczyną tych kłopotów z alarmami. Nikt do tej pory nie skarżył się na żadne hałasy.

– Sam się dziwiłem. Ale w nocy czasami słychać jakiś szum, chyba właśnie z tej hali. Może dlatego, że stoi na krawędzi urwiska. – Miał nadzieję, że Solberg nie powie, że właśnie tam mieszka i nic nigdy nie słyszał.

Na szczęście nie powiedział. Kiwnął głową, uśmiechnął się i wszedł do samochodu.

Arne spojrział na wyświetlacz telefonu. Szpilka tkwiła w miejscu jak na nieruchomym zdjęciu. Nie było sensu biec teraz do hali. Bateria kończyła się, musiał ją podładować. Wsiadł do samochodu i włączył ładowarkę. Doładowanie baterii musiało potrwać z pół godziny. Potem mógł pójść pod halę i czekać, aż się włączy. Równie dobrze mogło to nastąpić w środku nocy. Czuł, że już nie ma na to siły. Był głodny i chciał pojechać do jakiejś restauracji. Odłożył telefon na fotel pasażera i wyjechał z parkingu. Zastanawiał się, co zrobi, jeśli jutro kontrola techniczna stwierdzi,

że system wentylacyjny rzeczywiście działa nieprawidłowo i wysyła drgania niskich częstotliwości. Będzie to niewątpliwie sukces. Napisze raport, w którym połączy wszystkie te z pozoru niewiele znaczące zjawiska w jedną spójną i logiczną całość. Opisz, jak krok za krokiem szedł tropem śmiałych przypuszczeń, jak nie dał się zwieść wiedzy fachowców i jak – mając do dyspozycji jedynie intuicję – doszedł do zadziwiającego rozwiązania, ratując tym od tragedii, jaka spotkała lokatorów domu przy Erlends vei, pozostałych mieszkańców dzielnicy. Dołączy do tego raport z kontroli i kolejny raport stwierdzający, że zagrożenia już nie ma. Wyśle to wszystko do komendy głównej i najprawdopodobniej nie odbierze nawet mejla z podziękowaniem. Jeśli coś dalej będzie się działo, to zajmie się tym prokuratura. No, może jeszcze coś się zadzieje, jeśli o wszystkim dowie się prasa i włączą się w to prawnicy z prywatnymi pozwami. Będzie nawet sporo bałaganu prawnego, gdy zetną się ze sobą rzeczoznawcy. Wszystkie dolegliwości mieszkańców z tego bliżej niesprecyzowanego okresu i terenu zostaną przez prywatnie wynajętych ekspertów przypisane infradźwiękom, eksperci towarzystw ubezpieczeniowych i pociągniętej do odpowiedzialności rafinerii będą oczywiście podawać to wszystko w wątpliwość, posiłkując się argumentem o braku weryfikacji naukowej. Wszystko to jednak z nim niewiele już będzie miało wspólnego. No, może padnie jego nazwisko w jakimś artykule. Może nawet udzieli wywiadu. Wyobraził sobie swoje zdjęcie w gazecie. Chociaż, gdyby trochę się koło tego zakręcić, jakiś zaprzyjaźniony dziennikarz mógłby zrobić z niego całkiem niezłego bohatera. Może wtedy życie nabrałoby trochę innych barw. Sorensen czy Syrensen – jak nazywał się ten facet w klubie na występie brazylijskich tancerek? On chyba był dziennikarzem.

Rozpędził się trochę za bardzo i musiał przyhamować przed zakrętem. Telefon zsunął się z siedzenia i wylądował na podłodze. Podniósł go, żeby sprawdzić, czy połączenie nie zostało przerwane. Połączenie trwało, a szpilka znów chowała się pod plastrem. Był już za daleko, żeby wracać. Wentylacja włączała się pewnie na krótko. Erlends vei była o wiele bliżej. Chciał jeszcze raz, bez lęku, obejrzeć poruszaną przez ducha zasłonę. Wchodząc na chwilę w strefę infradźwięków, nie ryzykował chyba aż tak wiele. Ronstad była chora na serce, zmarła w wyniku wielokrotnego ich oddziaływania. Korciło go, żeby sprawdzić, czy coś odczuje i tym razem. Ulica jak zwykle była niemal pusta. Tylko daleko parkował jeden samochód. Kiedy otwierał furtkę, uświadomił sobie, że właściwie już tu powinien coś zacząć odczuwać. Zatrzymał się przed gankiem. Panowała niemal zupełna cisza, tylko z rynny kapą woda. Uspokoił oddech i wsłuchał się w siebie. Stał tak może minutę, ale niczego nie poczuł. Serce biło normalnie, nic go nie dusiło ani nie pulsowało w skroniach. Przypomniał sobie, co mówił Chardin. Drgania akustyczne niskich częstotliwości rozchodzą się w sposób nieprzewidywalny. Powstają odbicia, tłumienia i wzmocnienia fal, których praktycznie nie da się wyliczyć. Jeśli w tym marsyjskim laboratorium wszystko ustawało w wyniku otwarcia jednego okna w odległym korytarzu, to dlaczego tu, między

domami w lesie rosnącym na pofałdowanym terenie, miałyby być inaczej. Może salon profesorowej znajduje się akurat w miejscu, gdzie te cholerne fale się koncentrują. Szpilka na wyświetlaczu ciągle jeszcze chowała się za plastrem. Wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Tu słychać było już tylko tykanie kuchennego zegara. Zapalił światło i stanął na progu salonu. Z tej odległości ruch zasłony był niezauważalny. Arne nadal nie odczuwał żadnych sensacji. Powoli podszedł do stołu. Z podłogi dochodził jedynie cichy szum komputera. Obszedł stół i ostrożnie, żeby nie wzburzyć powietrza, uklęknął przy krawędzi zasłony. Poruszała się, ale jej ruchy były mniejsze niż te, które widział wtedy. Główka szpilki wahała się, nie przekraczając zakresu półtora, może dwóch centymetrów. Dolna krawędź przesuwiała się nad klawiaturą laptopa, a boczna przed obiektywem kamery. Jej ruch nie był regularny. Co dwie, trzy sekundy coś zatrzymywało ją jakby na krótką chwilę, potem wahnięcia znów stawały się większe. Wyciągnął dłoń i delikatnie końcami palców dotknął fałdy materiału. Poczul na opuszkach minimalnie zmieniający się nacisk. To było niesamowite doznanie. Te niesłyszalne, śmiertelne dla człowieka zagęszczenia i rozrzedzenia powietrza popychały tkaninę i w niemal niewyczuwalny sposób dotykały jego skóry. Co sprawiało, że tym razem nie były tak intensywne jak pamiętnej nocy? Może wibracje w jednym z uszkodzonych wentylatorów z jakichś powodów ustały, a może po prostu zmieniła się pogoda. Ciśnienie atmosferyczne na pewno miało wpływ na rozchodzenie się fal akustycznych. Mimo wszystko nie chciał dłużej ryzykować. Nie poprawiając niczego, co jak widać działało bez zarzutu, wyszedł z salonu i zgasił światło. Gdy dotarł do domu i odłączył telefon od ładowarki, wentylacja hali musiała już przestać pracować, bo szpilka znów tkwiła nieruchomo obok naklejonego plastra. Żałował trochę, że nie został na Erlends vei dłużej, może wtedy odczułby jakąś różnicę, ale za kilkanaście godzin i tak wszystko miało się definitywnie wyjaśnić.

\*

Mgła bardzo powoli podchodziła do góry. Miasto i wzgórze były nią zasnuwane zupełnie. Grube ciemne chmury napływały z nad fiordu. Było już po dziesiątej. Koparka z potwornym hukiem ładowała złom do kontenera. Arne szedł betonową ścieżką wzdłuż hali i zastanawiał się, czy Solberg nie zapomniał zarządzić kontroli. Było mu zimno i czuł coraz większe zdenerwowanie. Wzdłuż torów przejechał bus, ale się nie zatrzymał. Nim doszedł do końca ściany, usłyszał nadjeżdżający pojazd. Podbiegł do rogu, ale to był tylko wózek widłowy, wiozący kawałki blachy. Kucnął i oparł się plecami o stalowe drzwi hali. Wyjął ostrożnie telefon i sprawdził połączenie. Nieruchoma szpilka była na miejscu, ale zegar pokazywał już pół do jedenastej. W tym momencie zza stacji zaworów wyjechała mała furgonetka i zatrzymała się pięć metrów od niego. Wsiadł z niej nieduży, brodaty człowieczek w ogromnej kurtce puchowej. Sięgała mu niemal do kolan. Wyglądał jak zdenerwowany czymś krasnal. Otworzył tylne drzwi furgonetki i wydobyl z niej żółtą plastikową walizeczkę. Żwawym krokiem ruszył ku hali. Arne odsunął się, aby mógł podejść do zamka. Krasnal zerknął na niego, ale się nie odezwał. Szarpnął za metalowe uchwyty i zaklął pod nosem, bo wrota nawet nie drgnęły. Odwrócił się i takim samym krokiem wrócił do samochodu. Wyciągnął z bagażnika ubrudzone smarem pudełko i długo w nim grzebał, mieląc pod nosem przekleństwa. Z dwoma długimi kluczami związanymi kablem podszedł do drzwi i otworzył oba zamki. Znowu szarpnął za uchwyty, ale wrota uchyliły się tylko kilka centymetrów. Arne pomógł mu je odciągnąć. Krasnal mrugnął powiekami, wyrażając w ten sposób swoją wdzięczność, i wyciągnął z kieszeni maskę przeciwpyłową, którą założył sobie na nos i usta. Wyglądało na to, że w ogóle nie ma zamiaru się odezwać.

– Nazywam się Arne Hilmen – powiedział Arne, gdy tamten wszedł już do środka.

Krasnal odwrócił się, zaskoczony.

– Pan do mnie?

– A nie byliśmy umówieni?

– Nie wiem. Mam tu sprawdzić poziomy hałas. A pan na mnie czeka?

– No chyba na pana. Dyrektor Solberg nas tu umówił.

Wzruszył ramionami i otworzył żółtą walizeczkę.

– Mnie przysłał tu szef kontroli technicznej. Spieszę się, bo mam jeszcze inne rzeczy. Jak pan chce wejść, to lepiej w masce, bo kurz jest jak cholera. Są w samochodzie. – Wyjął miernik i zniknął w ciemnościach.

W samochodzie, wśród różnych narzędzi i przewodów, rzeczywiście leżało kilka masek.

Arne wybrał najmniej używaną i nałożył czym prędzej, bo w hali już zaczynały pracować turbiny. Wydmuch kurzu przez szparę we wrotach był tak intensywny, że wołał chwilę odczekać, zanim zdecydował się, mrużąc oczy, precyzyjnie do środka. W hali paliły się lampy. Chmury rdzawego pyłu przesłaniały widok na otwarte wrota w przeciwnym końcu. Technik stał na środku, między pierwszą parą wylotów wentylacyjnych, i w uniesionej ręce trzymał swój miernik. Poza hukiem, unoszeniem się pyłu i podmuchami nic się nie działo. Wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, kiedy Arne uciekał stąd w panice. Poczul, że poci się mimo lodowatych wirów powietrza. Podeszedł, żeby zobaczyć, co wskazują pomiary. Krasnal obrócił do niego skalę, ale podziałka była zbyt drobna, żeby odczytać, do jakiej wartości wychyla się cienka wskazówka.

– Jest ledwo powyżej stu, a norma jest sto czternaście! – krzyknął technik. – Nie wiem, o co chodzi! Ktoś się skarżył na hałasy? – Odwrócił się i ruszył pod następną parę wentylatorów.

Arne wyszedł za nim ze strumienia powietrza, ale pozostał nieco z tyłu. Rozpiął kurtkę i wyjął z kieszeni telefon. Tak naprawdę w głębi duszy spodziewał się tego. Szpilka stała w miejscu, zasłona się nie poruszała. Trochę zakręciło mu się w głowie, ale nie był to efekt infradźwięków. Stał z opuszczonym telefonem i patrzył, jak technik znów podnosi swój miernik, wzrusza ramionami i idzie dalej w głąb hali. Waliło się wszystko, co z takim wysiłkiem ustalił. W okolicy nie było niczego poza tą halą, co mogłoby emitować te dźwięki. W pierwszej hali cały czas pracowali ludzie. Czuliaby coś przecież. Poza tym skierowana była w inną stronę. Tylko ta hala stała na osi wzgórza, gdzie był dom profesorowej, a dalej laboratorium farmaceutyczne. Dom Ingi Strand znajdował się w tym samym rejonie. Dlaczego ta pieprzona szpilka nie rusza się teraz z miejsca?

Dogonił technika przy ostatnich dmuchawach. Nachylił się i krzyknął mu do ucha:

– Dlaczego ta wentylacja włącza się sama?! Przecież hala jest nieużywana?!

– Tu też jest poniżej normy! – Krasnal pokazał mu skalę i machnął ręką, żeby wyszli na zewnątrz.

Przeszli przez otwarte wrota i stanęli przed barierą z buforami. Zrobiło się ciszej, poza tym wreszcie mogli zdjąć maski.

– Czasami jest używana, ale rzadziej. Tam jest automat bezpieczeństwa. – Technik wskazał ręką w głąb hali. – Po myciu cystern zostają opary nafty w powietrzu. To grozi wybuchem. W obu halach jest tak ustawione. Włącza się co kilka godzin na parę minut.

– A do czego służą te żaluzje na dmuchawach?

– Zamykają wyloty i kierują powietrze w ten koniec hali. Tu jest wlot w stropie nad drzwiami. Zasysa opary i wysyła do filtrów. – Przeszedł kilka kroków i pokazał Arne wielkie blaszane pudła, stojące za rogiem przy dłuższej ścianie. – Muszę iść. Raport jutro prześlę do dyrekcji. Wszystko jest w normie.



– To dlaczego te drzwi są otwarte? Wszystko wylatuje na zewnątrz bez filtrowania.

– Nie wiem. Pewnie zapomnieli zamknąć. – Schował miernik do walizeczki i ruszył do samochodu ścieżką wzdłuż złomowiska.

– Zmierzył pan tylko decybele, a częstotliwość jest w normie?

– Częstotliwość?! – Technik zatrzymał się, zdziwiony.

– Niskie dźwięki mogą być szkodliwe. Infradźwięki nawet bardzo.

– Nie mam urządzeń do pomiaru częstotliwości. Ale tu wszystko jest w porządku. To od lat tak pracuje i nic się nie dzieje. Przecież czuliśmy, jakby coś było nie tak. Są jakieś skargi? Na co konkretnie?

– Ludzie narzekają na alarmy, które włączają się same. Sprawdzamy, czy to może od jakichś wibracji.

– Wibracji? Czuje pan tu jakieś wibracje?

– No nie. – Arne wzruszył ramionami, jakby też dziwiły go te nieuzasadnione skargi.

– Muszę się zbierać. Do widzenia. – Technik mrugnął oczami, jak miał to w zwyczaju, i odszedł. Krzyknął coś jeszcze do robotników pracujących przy złomie i wskazał ręką w kierunku końca hali. Turbiny wyłączyły się. Robotnicy podchodzili, więc Arne, żeby nie stać jak kolek, wrócił na krawędź urwiska. Stojąc przy zakończeniu torów, obserwował, jak zamykają wrota. Technik zdążył już wyłączyć lampy i zamykał halę od drugiej strony. W szczelinie ogromnych drzwi naprawdę przypominał krasnala.

Mgła rozrzedziła się trochę, ale miasta wciąż nie było widać. Jedyne świadectwem jego istnienia była czerwona poświata neonu na którymś z wyższych biurowców.

Nie miał tu już nic do roboty. Wszystko, co skonstruował, rozmyło się jak mgła. Pozostały jedynie osobne fragmenty czegoś, co wcale nie musiało być żadną budowlą i najprawdopodobniej nie było. Skostniała z zimna dłoń przypominała mu, że wciąż ścisnął w niej telefon. Chowając go do kieszeni, zerknął z niechęcią na ekran – szpilki na nim nie było. Odkleił plaster. Przesuwała się pod spodem w prawo i lewo, jak za każdym razem, gdy działo się to poprzednio. Poczł przez chwilę idiotyczną nadzieję. Coś jednak działo się w domu na Erlends vei.

Obie hale nie pracowały w tej chwili. Siły poruszające zasłoną musiały pochodzić skądinąd. Chodzenie po rafinerii z telefonem i nasłuchiwanie, gdzie coś przestanie pracować, w chwili gdy szpilka wróci na miejsce, nie miało sensu. Znał ten teren już dobrze. Nie było tu niczego, co mogłoby tak oddziaływać. Jeśli nie chciał porzucić tego śledztwa, musiał zacząć od nowa. Musiał przede wszystkim wiedzieć, co porusza zasłoną, ale czy są to infradźwięki, sprawdzić mógł tylko na sobie.

Zaparkował kawałek dalej. Wchodząc do domu profesorskiej, wciąż czuł, że robi coś nagannego. Wolał więc, żeby nikt nie skojarzył samochodu z jego osobą i nie zaczął się

zastanawiać, dlaczego tak często tutaj przychodzi. Przyjechał prosto z rafinerii, najszybciej jak mógł. Szpilka nadal chowała się za plastrem. Zapalił światło w salonie i podszedł do laptopa. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak wczoraj. Zaslona poruszała się tuż nad klawiaturą, a jej ruchy nie były mniejsze. Nie pozostawało mu nic innego, jak usiąść na kanapie i czekać. Jeśli nic szczególnego nie poczuje w ciągu najbliższych kilkunastu minut, może zauważy jakąś różnicę, gdy zaslona przestanie się ruszać. Położył głowę na oparciu i zamknął oczy. Jeśli niesłyszalne drgania akustyczne były z jakichś powodów słabsze, chciał zupełnie się uspokoić, aby móc zauważyć jakiegokolwiek reakcje fizjologiczne. Nie było to łatwe. Przepelniała go gorycz frustracji, odkąd dowiedział się, że wentylacja hali pracuje bez zarzutu, a słyszalny hałas jest poniżej normy. Czuł niesłabnące napięcie i nie wiedział, jak się z niego wyzwolić. Zaczynał rozumieć, że uzależnił się od tego i stracił nad sobą kontrolę. Nie mógł zatrzymać wyobraźni, która niezmordowanie układała fakty w coraz to dziwniejszych konfiguracjach. Do tej pory fałszywe alarmy i inne dziwne zjawiska zdarzały się nocą. Teraz był środek dnia, a jednak coś się działo. Skąd mogły pochodzić niesłyszalne drgania, które ciągle poruszały zasłonę? Kiedy koncentrował się na oddechu, w pokoju coś się zmieniło. Otworzył oczy. Dotarło do niego, że dopiero teraz jest cisza. Zaslona wisiała nieruchomo. Szpilka tkwiła w miejscu, dziesięć centymetrów od kamery laptopa. Gorąca fala wstydu napłynęła mu do twarzy. Siedział jak sparaliżowany. Spływające po karku krople potu zmusiły go wreszcie, żeby zrzucił kurtkę. Zwłókł się z kanapy i wszedł do kuchni. Ochlapał twarz zimną wodą i oparł się o zlew, zapatrzony w okno. Był jednak pełnym idiotą. Jak mógł nie sprawdzić czegoś tak oczywistego? Zaslona poruszał wentylator procesora. Laptop stał tuż przy oknie. Włączał się co pewien czas i wdmuchiwał ciepłe powietrze między ramę okna a blisko zwisający materiał. Dlatego bujał się tylko kawałek zasłony. Zamiast fascynować się niesłyszalnymi dźwiękami, które naciskają na palce, wystarczyło przyłożyć rękę od strony szyby. Wstyd zamienił się we wściekłość. Z zaciśniętymi pięściami wrócił do salonu. Przez dwa dni biegał wpatrzony w szpilkę jak krety. Złość wyładował na zasłonie, z całej siły szarpiąc ją w bok. Zerwało się kilka zaczepów. Własne odbicie w szybie ostudziło go trochę. Patrzył z nienawiścią na poskręcane chaszczki, przez które przekradał się, tropiąc upiora. Teraz, po dwóch tygodniach szaleństwa, stał tak samo bezradny, gapiąc się na pękniętą szybę.

– Do kurwy nędzy, co się tutaj dzieje?! – wrzasnął.

Pęknięcie posunęło się dalej, rysa doszła już do pionowej ramy okna. Wbiegł po schodach na górę. Nie musiał wchodzić do sypialni. Z korytarza widać było szufladę wysuniętą z komody dobre piętnaście centymetrów. Frustracja, wstyd i wściekłość przerodziły się w otępienie. Schodził wolno po schodach, mechanicznie powtarzając przekleństwa. Nie było już żadnego punktu zaczepienia. Był wszędzie. Widział wszystko, co mogło mieć jakieś znaczenie. Działo się coś, czego po prostu nie dało się pojąć. Stał na środku pokoju i znów nie wiedział, w którą stronę się

ruszyć. Zdziwiło go trochę, że zaczynał się uspokajać. Chyba uspokajała go myśl, że jednak coś nadal się działo. Upiór istniał naprawdę. Szuflada nie otworzyła się sama. Pies ogrodnika nie padł ze starości, a Inga Strand nie przedziurawiła sama parawanu. To, co przeżył tu w nocy, również nie było urojeniem. Odetchnął głębiej i usiadł w fotelu. Gdyby Greta Jensen odzyskała pamięć, nic by to nie dało. Opowiedziałyby swoją wersję jego własnej paniki. Może dodałyby coś o książkach, które spadają z półek, albo jeszcze innych nieprawdopodobnych zjawiskach. Pewnie miałyby sporo do powiedzenia na temat kurzu, który wypełza spod mebli. Doktor ze szpitala nie telefonował do niego, więc i tak nie miał jak tego sprawdzić.

Wiedział, że dzieje się coś, co przekracza skalę tego domu i tego kawałka dzielnicy. To, co przerażało ludzi i poruszało zasłonę, miało potężną siłę. Było niesłyszalne, ale gdzieś musiało się rodzić. Ochłonął na tyle, żeby myśleć spokojnie i logicznie. Dziwne zjawiska układały się wzdłuż osi. Z jednej strony kończyła ją hala. Za nią, ze sporym przesunięciem, wznosiły się wieże rafinerii. Z przeciwnej strony osi trafiała w miasto. Jeśli nie hala wytwarzała infradźwięki, to może napływały z odwrotnego kierunku. Tunele metra przecinały osi niemal prostopadle i były poza podejrzeniami. Poza tym w centrum niczego takiego nie było. Port i stocznia leżały zupełnie z boku. Starał się sobie przypomnieć, co widział spod hali, gdy patrzył na miasto. Niewiele, bo przez ostatnie dni mgła przykrywała je niemal całkowicie. Wszystko, co pamiętał, to czerwona poświata jakiegoś neonu. Musiał być na wyższym biurowcu, bo dzisiaj jako jedyny przebijał się przez szarą watę. Co to za budynek? Pamiętał, że poświatę miał dokładnie na wprost siebie, gdy patrzył wzdłuż wystających z hali torów. Wysokość budynku uświadomiła mu coś jeszcze. Do tej pory rozpatrywał osi widzianą z góry. Spróbował wyobrazić ją sobie oglądaną z boku. Tajemnicze zjawiska występowały tylko w domach położonych na wzgórzu. Im niżej, tym mniej szpilek na planie. Oznaczało to, że pole tych dziwnych oddziaływań przechodziło wysoko nad miastem. Hala i najwyższe piętra biurowców znajdowały się mniej więcej na tym samym poziomie. Wszystko jedno, z której strony rozchodziły się fale; jeśli wieżowiec z neonem rzeczywiście stał na osi, musiał stanowić element tej kombinacji. W laptopie znów uruchomił się wentylator. Przez chwilę Arne zastanawiał się, czy go nie wyłączyć. System działał jednak całkiem nieźle. Po krótkim namyśle przyczepił oberwaną zasłonę do karnisza i ustawił pod nią komputer. Wyjął trzy książki z biblioteki i obstawił nimi kratkę wydmuchu wentylatora. Ciepłe powietrze kierowane było teraz do tyłu i nie poruszało zasłonę. Obserwował przez chwilę szpilkę. Tkwiła w miejscu jak zamurowana. Zgasił światło w salonie i spojrzął przez okno na ogród. Las za płotem był czarny. Wyglądało na to, że mgła zaczyna opadać i może da się dojrzeć, jaki to wieżowiec stoi na osi hali. Lornetkę miał w samochodzie.



Robotnicy pracowali jeszcze na złomowisku. Cięli na kawałki palnikiem długą, powyginaną rurę, zwisającą ze szczęk koparki. Arne doszedł do końca hali i stanął na krawędzi zbocza, schowany za ścianą szczytową. Mgła rzeczywiście rozrzedziła się nieco i widać było kilka kolorowych łun rozrzuconych nad ciągle zasnutym nią centrum. Niebieski i czerwony, dwa najwyżej zawieszony neony, były już trochę lepiej widoczne. Wieżowiec z czerwoną poświatą mijał się chyba trochę z osią. Arne cofnął się pod wrota hali i stanął między szynami. Teraz można było ocenić dokładnie położenie wieżowca. Schodził z osi w lewo o jakieś dziesięć stopni. Pamiętał, że na zdjęciu satelitarnym oś, którą wyznaczała hala, pokrywała się z osią chmury zaznaczonych na planie zdarzeń. Nie była to geometryczna precyzja, ale jeśli połączyło się linią halę i dom pani Strand, a był to najdalej wysunięty punkt chmury, i poprowadziło się ją dalej, ku centrum, przechodziła mniej więcej przez środek dolnego zaniku chmury i trafiała w fiord, kilka ulic od city. Wynikało z tego, że to raczej nie wieżowiec emitował drgania. Czyli że jednak w jakiś sposób wytwarzała je hala.

Podniósł do oczu lornetkę. Z tego punktu widzenia neon ustawiony był pod kątem na tyle ostrym, że napis nie dawał się właściwie przeczytać. Przez mgłę widać było tylko, że składa się z dwóch wyrazów zaczynających się wyższymi literami. Pierwszy chyba T, drugi od O albo G. Był krótki, dwa albo trzy znaki, może skrót literowy. Jak to możliwe, żeby mieszkając w tym mieście od prawie trzydziestu lat, nie wiedział, jaki to neon? No tak, chodząc, gapił się w chodnik albo oglądał za dziewczynami. Miasto widział, tylko kiedy wpływał jachtem do fiordu, ale było to dawno, neonu równie dobrze jeszcze mogło nie być. Pamiętał jedynie Nokię, która świeciła niebiesko na sąsiednim biurowcu.

Ruszył wzdłuż siatki biegnącej krawędzią urwiska. Liczył, że po przejściu kilkuset metrów przeczyta już napis. Doszedł prawie do pierwszej hali. Oparł lornetkę o słup ogrodzenia i spojrzał na neon. Drugi wyraz to nie był skrót, tylko Oil. Pierwszy też dał się przeczytać. Thorsen Oil. Rzeczywiście nigdy na niego nie zwrócił uwagi, tym niemniej samo brzmienie nazwy wydało mu się znajome. Wracając pod swoją halę, próbował przypomnieć sobie, skąd zna to nazwisko. Całkiem niedawno wydarzyło się coś błahego. Teraz stawało się ważne. Był w szpitalu u Grety Jensen, ale to przedtem... Już wiedział. Ktoś coś mówił na występach brazylijskich tancerek. Gerd! To on po pijanemu gadał o jakiejś próbie samobójstwa. Facet, z którym rozmawiał, był dziennikarzem i wiedział więcej. Powiedział, że to był zawał. Chodziło właśnie o Thorsena.

Wyjął swój prywatny telefon i zadzwonił do Gerda.

– Ciągłe jesteś na tym urlopie?

– Tak, ale już wróciłem z Paryża. – Uświadomił sobie, że będzie musiał coś zełgać. – Mam trochę zamieszania. Rozstałem się z Liv i porządkuję sprawy. Wracam niedługo.

– Coś tam słyszałem. Współczuję... – Gerd zawiesił głos, nie bardzo wiedząc, co jeszcze miałby powiedzieć.

– Pamiętasz tego faceta, z którym rozmawiałeś w klubie? Nazywał się Syrensen czy jakoś podobnie.

– Syrensen?

– Może Sorensen, jest chyba dziennikarzem. Wyglądało, że się dobrze znacie.

– To Syvertsen. No, był wtedy z nami.

– Masz może do niego telefon?

– Chyba mam, a co?

– Chciałem się go o coś prywatnie zapytać. Wydaje się zorientowany w sprawach biznesu.

– No, on pisze o gospodarce. A co, rozkręcasz biznes?

– Nic nie rozkręcam. Ktoś mnie o coś prosił. Możesz mi wysłać jego numer?

– Jasne, zaraz wyślę.

Telefon zapiszczał, gdy dochodził do samochodu. Wsiadł, włączył silnik i uruchomił ogrzewanie. Gdy ciepłe powietrze wypełniło wreszcie wnętrze, rozpiął kurtkę i przystawił na chwilę skostniałe dłonie do kratki nadmuchu. Zastanawiał się, czego właściwie chce się dowiedzieć od Syvertsen. Wieżowiec Thorsena, przynajmniej jego najwyższe piętra, najprawdopodobniej znajdował się w polu oddziaływania infradźwięków. Może właśnie dlatego sam Thorsen miał zawał, ale szczęśliwie wyszedł z tego. Ciekawe, co z innymi ludźmi z biurowca. Istniała szansa, że dziennikarz będzie coś wiedział albo da mu namiar na kogoś, kto tam pracuje. Kłopot polegał na tym, że nie mógł poinformować nikogo o swoich podejrzeniach, zwłaszcza dziennikarza. Wystukał przysłany numer.

– Syvertsen – usłyszał głos, którego jakoś nie kojarzył z tamtym facetem w klubie.

– Nazywam się Arne Hilmen. Nie wiem, czy mnie pamiętasz, byliśmy razem w klubie na brazylijskich tancerkach.

– A tak, byłeś z Gerdem i dziewczyną – powiedział po chwili namysłu. – Co słychać?

– Wiem, że piszesz o biznesie. Potrzebuję skonsultować się z kimś w pewnej sprawie związanej z firmami naftowymi.

– Jeśli masz mnie na myśli, to chętnie, tyle że ja akurat odlatuję do Sztokholmu. Jeśli to nic pilnego, to może za kilka dni, jak wrócę.

– Szczerze mówiąc, wolałbym wcześniej. Może zadzwonię do ciebie, jak tam dolecisz.

– Tak szybko nie dolecę, bo na lotnisku jest mgła i samolot ze Sztokholmu jeszcze nie

wylądował. Prawdę powiedziawszy, teraz mogę rozmawiać.

– Wolałbym jednak nie przez telefon. Jestem nie tak daleko. Co byś powiedział, gdybym przyjechał teraz na lotnisko?

– Jeśli to takie pilne i do tego poufne, to przyjeżdż. Zaczynasz mnie zaciekawiać.

– Rozczarujesz się. – Zaczął wycofywać samochód z parkingu. – Prowadzę sprawę, do której potrzebuję trochę informacji o firmach, i tyle. Będę za piętnaście minut.

– Okej. Czekam w hali odlotów.

Chyba się trochę przeliczyłem z tymi piętnastoma minutami, pomyślał, gdy znalazł się na szosie dojazdowej do autostrady. Tiry z cysternami jechały jeden za drugim w obu kierunkach. Dopiero teraz zaczął się zastanawiać nad pretekstem do rozmowy o firmach z wyższych pięter biurowca i samym Thorsenie, o którym wiedział tyle, co usłyszał w klubie. Im bliżej był lotniska, tym bardziej sytuacja, w którą sam się wpakował, wydawała mu się niezręczna. Powinien najpierw pojechać do biurowca i spisać firmy z ostatnich pięter. Potem mógłby dowiedzieć się czegoś z internetu. Musiałby naprawdę dobrze znać kogoś, kto tam pracuje, żeby spytać go od niechcenia, jak znosi pracę w pomieszczeniach bez otwieranych okien czy coś w tym rodzaju. Mogłoby to sprowokować niewinną rozmowę o samopoczuciu jego współpracowników i tak dalej, i tak dalej. Syvertsen raczej nie mógł mu w tym dopomóc.

Parkując przed terminalem, zobaczył lądujący samolot. Miał niewiele czasu, lotnisko zaczęło przyjmować. Wszedł do hali odlotów i rozejrzał się. Błyszcząca posadzka odbijała dziesiątki sylwetek spieszących we wszystkich kierunkach. Pasażerowie zaczęli rozchodzić się do swoich wyjść. Wyjął telefon, aby sprawdzić, czy ma jeszcze szansę na spotkanie. Zobaczył Syvertsen, zanim zdążył się połączyć. Stał przy szklanej ścianie na tle ogromnego statecznika z koroną w liściach palmowych i machał do niego.

– Myślałem już, że nie zdążysz. Mój samolot wylądował zaraz po naszej rozmowie – powiedział, wyciągając uchwyt swojej walizki na kółkach.

– Dzięki, że zaczekałeś. Jeszcze was nie wzywali?

– Nie, ale pewnie zaraz będą. Pytaj, nie traćmy czasu.

– Pamiętam, że wtedy w klubie rozmawialiście o Thorsenie. Gerd opowiadał jakieś plotki o jego próbie samobójstwa. Ty powiedziałaś wtedy, że miał zawał. – Arne zamilkł, mając nadzieję, że Syvertsen podejmie i rozwinie temat, nie czekając na konkretne pytanie.

– Tak, coś takiego było, takie plotki. O Thorsenie nie wiem za wiele. Informacje o jego życiu prywatnym są wyjątkowo trudno dostępne.

– Jest jakąś taką szczególną osobą?

– Jest bardzo bogaty. Ma w końcu większość udziałów w dużej firmie wydobywczej. Wiele osób chciałoby coś o nim wiedzieć.

– Prowadzę sprawę, w której ktoś akurat wspominał coś na ten temat, i chciałem mieć nieco większą orientację.

– Prowadzisz sprawę związaną z Thorsen Oil? – Syvertsen spojrzał na niego z wyraźnym zainteresowaniem.

– Nie, nic takiego. Ktoś mówił coś po prostu o tej firmie i chciałem wiedzieć, o czym mówi.

– Chcąc nie chcąc, Arne brnął coraz dalej. – Istotne jest to, co mówi w zupełnie innej sprawie. Chciałem na podstawie tego zweryfikować go, czy jest wiarygodny.

– Mówił o Thorsen Oil czy samym Thorsenie?

– Trochę o jednym i trochę o drugim.

Syvertsen zamilkł i śledził przez chwilę zafascynowanym wzrokiem dwie stewardesy jakichś afrykańskich linii. Szły przez halę z małymi walizeczkami i rzeczywiście na tle szarego tłumu wyglądały jak dwa egzotyczne ptaki.

– Niezłe. Jak te brazylijskie tancerki – powiedział Syvertsen, wykręcając za nimi głowę. – O czym ten ktoś mówił?

– Trochę o Thorsenie, a trochę o jego firmie.

Rozmowa robiła się coraz bardziej niezręczna. Komunikat wzywający pasażerów odlatujących do Sztokholmu sprawił mu wyraźną ulgę.

– Nie wiem, co ciekawego mógłbym ci powiedzieć. Nie słyszałem też, żeby Thorsen udzielił komuś wywiadu. Raczej chowa się przed światem. Ma apartament na szczycie swojego biurowca, ale zdaje się, że nieczęsto tam bywa. Thorsen Oil ma kilka platform wiertniczych. Jakiś czas temu wycofał się z fuzji z jakimś koncernem międzynarodowym i ten koncern o mało przez to nie zbankrutował. Jedna firma dalej stara się o te jego platformy.

– A Thorsen?

– A Thorsen chyba nie chce. Są jakieś ostre tarcia w radzie nadzorczej. Coś takiego słyszałem.

– Nie pamiętasz, jaka to firma? Też mieści się w tym budynku?

– Nie, to jakaś spółka międzynarodowa. Nie pamiętam nazwy, ale i tak nie dojdiesz, czyje to pieniądze. Podobno rosyjskie. Muszę już iść do wyjścia, bo zaraz sam się spóźnię na samolot. Wolałbym tam polecieć. – Syvertsen spojrzał z żalem na ogon samolotu ozdobiony palmowymi liśćmi. – Zadzwoń, jak będziesz chciał jeszcze coś wiedzieć.

– Dzięki. Na razie to mi wystarczy.

– A jak dowiesz się czegoś ciekawego, to chętnie posłucham! – krzyknął z uśmiechem, podchodząc do bramki.

Arne kiwnął mu głową i ruszył wzdłuż szklanej ściany. Co dalej? Ciągnik holowniczy powoli odpychał afrykańskiego boeinga od terminalu. Za opalizującymi szybami kabiny widać było



tylko dwa poruszające się białe kołnierzyki, przecięte na pół czarnymi krawatami.

\*

Usiadł w małej restauracji. Zamówił kawałek ciasta i kawę. Przez ostatnie dni właściwie tylko tym się żywił. Mgła rozproszyła się zupełnie. Opóźnione samoloty startowały jeden za drugim. Wszyscy dokądś spieszyli, każdy szedł z miną człowieka, który wie, dokąd idzie. Jeśli ktoś siedział, to miał coś do załatwienia w laptopie.

Ostrożnie wydobyl z kieszeni telefon, jakby bał się, że poruszy szpilkę. Tkwiła w punkcie bez najmniejszego ruchu. Bateria była na wykończeniu. Jeśli nie podładuje telefonu, połączenie padnie za kilka minut. Dopił kawę i wstał, żeby zdążyć na parking, ale zamiast tego podszedł do baru i zamówił jeszcze jedną kawę. Wyobraził sobie, jak siedzi w samochodzie z włączonym ogrzewaniem i podładowuje telefon. Tylko po jaką cholere? I tak szpilka się nie poruszy. Thorsen miał zawał albo go nie miał. Pęknięcie szyby w domu profesorowej posunęło się dalej w wyniku różnic temperatury. Tak wyglądała prawda, której nie chciał do siebie dopuścić.

Mieszał cukier w kawie i czekał, aż znikną ostatnie dwie kreski poziomu baterii. Czuł, że nie jest w stanie ruszyć się z miejsca. Nie chciał wracać do biura, zresztą i tak kończyli już pracę. Dyżur miał pewnie Ole. Musiałby mu opowiadać, co robił w Paryżu. Potem pojechałby po kota i siedział z nim resztę wieczoru, gapiąc się w ścianę. Co gorsza, gapiąc się w nią po pijanemu. Mógł tylko pojechać pod biurowiec Thorsena i... I właśnie nie wiedział co. Obejrzeć go z bliska? Wejść do środka? Policzyć piętra?

Jedna kreska zniknęła. Wypił łyk kawy. Jej też miał już dosyć. Nie miał pojęcia, po co zamówił drugą. Wstał i podszedł do baru. Dziewczyna stuknęła parę razy w klawisze i szuflada kasy wysunęła się. Zapłacił i wyszedł przed terminal. Szedł coraz szybciej w stronę parkingów. Nie chciał jechać teraz na Erlends vei, żeby wznowić połączenie. Bateria żyła jeszcze jedną kreską. Opłacił bilet w automacie i dobiegł do samochodu. Szyba mogła sobie pęknąć, ale szuflada nie otworzyła się sama. Może warto było jeszcze trochę podtrzymać łączność z firanką.

\*

W podziemnym parkingu biurowca Thorsen Oil było już sporo wolnych miejsc. Firmy kończyły pracę. Nikt nie wjeżdżał, wszyscy wyjeżdżali. Arne nie zauważył napisu, do której parking jest czynny, ale nie miał zamiaru pozostać tu dłużej. Bateria miała już kilka kresek. Odłączył telefon od gniazdka zapalniczki, zamknął samochód i podszedł do windy. Zjechała po kilku minutach, pełna urzędników ubranych w niemal identyczne płaszcze i trzymających niemal identyczne teczki z czarnej skóry. Minęli go w milczeniu, zostawiając na wprost lustra. Wsiadł i wcisnął zero. Winda, jak się tego spodziewał, nie jeździła wyżej niż do recepcji. Przetarte spodnie sztruksowe, kurtka lotnicza i rozczochrane włosy nie dawały mu dużych szans, aby ochrona go przeoczyła. I rzeczywiście, ledwie otworzyły się drzwi, jego wzrok spotkał się z uważnym spojrzeniem odzianego w garnitur faceta z krótkofalówką. Wsiadł i pewnym krokiem ruszył na środek holu. Wiedział, że ochroniarz nadal mu się przygląda. Przed długim blatem, za którym siedziały dwie recepcjonistki, nie było nikogo. Wysokie drzwi obrotowe wypuszczały kolejną dawkę urzędników dostarczonych przez windy zjeżdżające z góry. Był tylko jeden sposób, żeby się rozejrzeć bez nagabnięcia przez któregoś z już trzech zerkających na niego ochroniarzy. Wyjął telefon i zaczął udawać, że prowadzi z kimś ożywioną rozmowę. Poskutkowało, na jakiś czas stracili nim zainteresowanie. Stał przed ścianą, na której umieszczone były nazwy firm działających w biurowcu. Było ich parędziesiąt. Thorsen Oil zajmował trzy najwyższe piętra, jej nazwa widniała na trzech najwyżej umieszczonych paskach. Brak numerów pięter uniemożliwiał jednak zorientowanie się, czy są to rzeczywiście ostatnie kondygnacje. Apartament Thorsena mógł być na którymś z tych pięter albo jeszcze wyżej. Rozejrzał się za drzwiami prowadzącymi do schodów przeciwpożarowych; były za plecami jednego z ochroniarzy, który znów zaczął na niego spojierać. Zmęczyło go to udawanie, poza tym, gdyby nawet mógł wejść do apartamentu Thorsena, to czego miałby tam szukać? Komody z wyjeżdżającą szufladą? Przekrzywionego obrazu? Chociaż istniało coś, co warto by było sprawdzić. Obejrzałby dokładnie wszystkie szyby. Zjechał na dół i wsiadł do samochodu. Mógł stanąć na ulicy i przyjrzeć się im przez lornetkę. Kąt jednak byłby chyba zbyt ostry, poza tym zapadał już zmrok.

\*

Wyjechał na ulicę. Przy samym budynku nie znalazł miejsca do zaparkowania. Posuwał się wolno w długim sznurze samochodów. W bocznym lusterku widział oddalający się biurowiec. Opuścił szybę i przestawił lusterko. Najwyższe piętra były ciemne, paliło się tylko kilka okien, chyba na czwartej albo trzeciej kondygnacji od góry. Jeśli Thorsen miał rzeczywiście swój apartament na szczycie, to dzisiaj raczej go tam nie było.

Dojeżdżał do skrzyżowania. Musiał skrócić w prawo albo w lewo, na wprost był już fiord. Gdy ustawiał lusterko we właściwej pozycji, mignął mu w nim niebieski neon Nokii. Skręcił w lewo. Wieżowiec stał kilka przecznic dalej. Miał chyba około trzydziestu pięter. Był jednym z pierwszych wysokich budynków w mieście. Arne odwiedzał tam kilka razy kancelarię adwokacką i pamiętał wspaniałe widoki na fiord z okien poczekalni. Korciło go, żeby sprawdzić, czy z któregoś z najwyższych pięter nie da się obejrzeć przez lornetkę biurowca Thorsena. Znalazł wolne miejsce całkiem niedaleko, choć stało tu jeszcze mnóstwo zaparkowanych samochodów. Wyjął spod siedzenia lornetkę. To był ostatni moment, jeśli chciał wejść tu dzisiaj. Szedł wzdłuż przeszklonego lobby, starając się wypatrzeć wejście na schody pożarowe, po chwili przyszło mu jednak do głowy, że zachowuje się niedorzecznie. Dlaczego nie miałby wjechać na górę windą, jak normalny człowiek? Zawiesił lornetkę na szyi i zapiał kurtkę tak, żeby nie było jej widać. Gdy drzwi rozsunęły się przed nim, podszedł do recepcji i podał nazwę kancelarii prawnej. Recepcjonista omiół go sennym spojrzeniem i poprosił o jakiś dokument. Na widok legitymacji policyjnej położył na blacie kartę wejściową i nie wpisał nawet nazwiska do książki. W holu kręciło się jeszcze całkiem sporo ludzi, ale panował tu zupełnie inny nastrój niż w Thorsen Oil. Nie widać było strażników z krótkofalówkami, którzy z kamiennym wyrazem twarzy przyglądaliby się wchodzącym. Przytknął kartę do czytnika bramki i podszedł do wind, gdzie czekało już parę osób. Gdy wreszcie jedna zjechała, wysypała się z niej gromada ludzi. Wyglądali też jakby luźniej niż ci od Thorsena. Dwie dziewczyny, z którymi wsiadł, wcisnęły osiemnaste piętro i ściszywszy nieco głos, obgadywały jakąś swoją koleżankę i jej problemy z budowaniem trwalszych związków. Nacisnął trzydziestkę, więcej pięter nie było. Na osiemnastym wyjrzał na korytarz – niestety, żadnych okien. Trzydzieste piętro okazało się identyczne. W jednym z czterech biur ktoś jeszcze pracował. Głosy zbliżały się do drzwi, więc Arne przeszedł za róg, żeby nie musieć wdawać się w rozmowę. Z biura wyszło kilka osób, rozmawiały, czekając na windę. Gdyby któraś z nich odeszła dwa metry dalej, zobaczyłaby go, stojącego na środku korytarza z dziwnie wypchaną kurtką na piersi. Rozejrzał się, szukając jakiegoś schronienia. Za plecami miał drzwi. Poruszył klamką.

Zamek odskoczył, wydając głośnie szczęknięcie. Rozmowa za rogiem ucichła. Nie zważając, gdzie wchodzi, otworzył drzwi i przytrzymał, żeby znów nie trzasnęły, tym razem przy zamykaniu. Szczęśliwym trafem pomieszczenie okazało się klatką schodową. Przez ścianę usłyszał dojeżdżającą windę. Po chwili ruszyła z powrotem i zrobiło się cicho. Schody prowadziły nie tylko w dół, ale też do góry. Wszedł wyżej i wyrzwał za zakręt. Schody kończyły się drzwiami z napisem „Pomieszczenie techniczne – osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Podeszedł i pociągnął za klamkę. Chodziły ciężko, ale dały się otworzyć. Klatka schodowa była drogą ewakuacji, dalej pewnie było wyjście na dach, też raczej otwarte. Wszedł do ciemnego wnętrza, musiało być na poziomie dachu, bo zimno było tu jak na dworze. Zielony napis „Wyjście” świecił przed nim na ścianie. Podeszedł bliżej i wymacał klamkę na metalowych drzwiach. Popchnął je, a gdy się otworzyły, jego oczom ukazał się niezwykle widok. Powierzchnia dachu oświetlona była wściekle niebieskim blaskiem. Niemal zewsząd sterczały konstrukcje podtrzymujące różnego rodzaju anteny. Spomiędzy większych i mniejszych talerzy satelitarnych wystawały maszty najeżone nadajnikami telefonii komórkowej. Wszystko to unosiło się wysoko nad centrum migoczącym setkami świateł. Gdy zbliżał się do barierki, miał wrażenie, że idzie po pokładzie zawieszono nad miastem UFO. Wrażenie potęgowało bzyczenie transformatorów gigantycznego neonu, wznoszące się za jego plecami. Litery miały chyba ponad pięć metrów wysokości. Kropelki mżawki wirowały między nimi w podmuchach zimnego wiatru. Założył czapkę i wyjął spod kurtki lornetkę. Na szczęście mgła rozwiała się już zupełnie. Gdyby nie mżawka i zapadająca noc, widoczność byłaby idealna. Wieżowiec Thorsena stał w odległości sześciuset, może siedmiuset metrów. Krótkie rzędy świecących okien rozrzucone były rzadko po czarnej, połyskującej stalowymi profilami bryle budynku. Boczna ściana odbijała światła jadących ulicami samochodów. Lornetka przybliżała na tyle, że mniej więcej połowa szerokości piętra mieściła się w polu widzenia. Poza tym ścianę od strony rafinerii widział stąd w dużym skrócie. Najwyższe piętra pogrążone były w ciemności, paliło się tylko w kilku oknach na czwartej kondygnacji od góry. Skierował na nie lornetkę, ale i tam właśnie ktoś zdążył wyłączyć światło. Przeszedł na prawy róg dachu. Wieże rektyfikacyjne migają w oddali czerwonymi lampkami. Usiadł na wsporniku anteny i oparł lornetkę o narożnik barierki. Oświetlone fragmenty instalacji rafinerii zawieszono były niemal w zupełnej ciemności. Próbował odszukać terminal kolejowy. Rozpoznał kilka latarni sodowych, które mijał, idąc do hali. Trochę w prawo powinny stać wagony. Zobaczył je niżej, niż się spodziewał. Cienkie żółte kreseczki ułożone jedna za drugą to były odbicia latarni w rzędach stojących na torach cystern. Jeszcze niżej i znów trochę w lewo. Tu gdzieś powinna być hala. W polu widzenia majaczył przez mżawkę jedynie wąski, skosem ustawiony prostokąt. Coś odbijało blade światło daleko stojącej latarni. Z lewej strony świecił mocniej jakiś mały punkt. Przetarł koszulą szkła usiane drobnymi kroplami i jeszcze raz przyjrzał mu się uważnie. To była chyba kabina koparki. Przekrzywiony prostokąt

musiał być widzianym w perspektywicznym skrócie dachem jego hali. Woda ściekająca po wsporniku anteny przemakała przez spodnie. Arne wstał i przeszedł na drugą stronę neonu. Tutaj dach nie oślepił już niebieskością. Całkiem spory kontenerowiec wpływał właśnie do portu. Daleko na fiordzie kilka mniejszych statków mijało się w drodze do morza. Miał ochotę pogapić się na to, ale zimny wiatr i mżawka stały się nie do wytrzymania. Ominął konstrukcję podtrzymującą gigantyczne litery i wszedł do pomieszczenia. Przytrzymał drzwi, żeby w odbitym od dachu świetle dojrzeć drogę do wejścia, gdy do jego uszu dotarł nowy dźwięk. Cofnął się i zaczął nasłuchiwać. Daleki, wibrujący szum mieszał się z odgłosami miasta, przycichał, to znów się wzmagił. Nie mógł się zorientować, z której strony dochodzi. Wyszedł na środek dachu. Dźwięk stawał się coraz mocniejszy. Skądś nadlatywał helikopter.

\*

Staął przy barierce. Rozglądał się na wszystkie strony, ale niczego nie widział. Musiał lecieć poniżej linii horyzontu, bo na tle nieba nic się nie działo. Był coraz bliżej. Szum turbin przycichł na chwilę, jakby zmienił kierunek. Nagle stał się bardzo wyraźny i wzmacniał się z każdą sekundą. Obrócił się i spojrzał w górę. Znad świecących liter wyłonił się z mroku szary brzuch dużego śmigłowca. Przeleciał mu prawie nad głową, w odległości nie większej niż dziesięć metrów. Poczł mocny ciepły podmuch i zapach spalonej nafty. Leciał wprost na wieżowiec Thorsena. Jego malejąca sylwetka pojawiła się na tle czerwonego neonu. Obraz liter rozfalował się od wydmuchiwanycł spalin. Arne podniósł do oczu lornetkę. Helikopter zadarł nos i zaczął hamować. Teraz uniósł się wyżej i przekręcił bokiem. Zapalił reflektory i zawisł nad dachem. To był NH 90, często używany na platformach wiertniczych. Miał czerwony nos i czerwony ogon. Poza norweską rejestracją nie miał żadnych oznaczeń. Zniżał się powoli, wreszcie miękko usiadł, chowając się za świecącym napisem. Pilot zmienił kąt natarcia łopat i zmniejszył obroty turbiny. Arne znów musiał przetrzeć lornetkę, bo halo powstające wokół neonu nie pozwalało dojrzeć szczegółów. Między dachem a literami znajdował się prześwit. Widać było sylwetki kilku wysiadających osób. Wśród nich musiał być Thorsen. Przyleciał z rodziną albo swoją obstawą. Na dachu zapaliło się światło. Teraz Arne wyraźnie widział sylwetki trzech mężczyzn i psa. Zniknęli w wejściu do płaskiej nadbudówki. Helikopter jednak nie odlatywał. Po dłuższej chwili Arne zobaczył ich znowu. Ktoś został w środku, bo wyszło tylko dwóch mężczyzn z psem. Pewnie obstawa. Gdy tylko wsiedli do helikoptera, silnik zwiększył obroty. Za literami znów uniosły się umieszczone pod kadłubem reflektory. Śmigłowiec obrócił się i pochyliwszy nos, odleciał w ciemność nad fiordem. Teraz dopiero dotarło do Arne, co widział: helikopter, o którym mówił ochroniarz zakładający się z kolegami, czy w nocy znów będzie fałszywy alarm. Jak to się stało, że o tym nie pomyślał? Przecież widział ten helikopter już wcześniej. Latał wysoko nad miastem, gdy on kręcił się po dzielnicy w poszukiwaniu źródeł tajemniczych zjawisk. Nie skojarzył tego z rozmową, kiedy zadzwonił do niego Młody. Jak mógł o czymś takim zapomnieć? Facet mówił, że wie, kiedy będzie alarm. No tak, wrócił z Paryża pod wrażeniem amerykańskich doświadczeń i prosto z lotniska rzucił się na poszukiwanie wielkich rur w rafinerii. Dlatego zapomniał o tym cholernym helikopterze. Tak czy inaczej, właśnie przyleciał. Oznaczało to, że w nocy gdzieś w jego dzielnicy może włączyć się alarm. Wyjął telefon i zaczął szukać numeru do Młodego. Nie miał wątpliwości, że chodzi o ten helikopter. Hala, zjawiska w domach na wzgórzu, stojący na osi wieżowiec i przylot śmigłowca wywołujący alarm. Wszystkie kawałki pasowały do siebie. Pasowały, ale co razem

mogły oznaczać?

\*



Podniósł lornetkę i spojrzał na najwyższe piętro wieżowca Thorsena. Ktoś zapalił małą lampę z białym abażurem. Przez pokryte kroplami deszczu szyby Arne zobaczył niewyraźną postać odchodzącą w głąb apartamentu. Thorsen był u siebie, zostawał tu na noc, której mógł nie przeżyć. Jeśli związek między przylotami helikoptera a fałszywymi alarmami rzeczywiście istniał, oznaczało to coś, czego do tej pory nie brał pod uwagę. Znaczyło, że dzieje się coś, co nie jest przypadkiem. Sam helikopter w żaden sposób nie mógł wywoływać tych zjawisk. Trzeba jednak skontaktować się z Młodym; może rozmawiał jeszcze raz z tym facetem. Pytanie, jak ścisły jest związek między fałszywymi alarmami a przylotami śmigłowca miało tu jednak podstawowe znaczenie. Wybrał numer i czekał na połączenie. Nikt nie odbierał. Młody był już dzisiaj po pracy. Włączyła się sekretarka. Jutro musi porozmawiać z tym ochroniarzem. Wypytać go dokładnie, ile razy widział ten helikopter i czy zawsze potem włączał się jakiś alarm; może jego koledzy zaobserwowali to samo. Helikopter był prywatny, ale pewnie istniała jakaś szansa odtworzenia dat jego przylotów. Na pewno obserwowali te lądowania ludzie pracujący w biurowcu, na którym stał w tej chwili. Porównanie terminów przylotów z raportami firm ochroniarskich powinno dać jakąś odpowiedź. Wiedział, że musi to sprawdzić, ale co miał robić teraz? Mógł wyjąć telefon i zobaczyć, co porabia szpilka. Wydobył aparat z kieszeni. Szpilka, jak się tego spodziewał, stała w miejscu i nie miała zamiaru się ruszyć. Bateria znów się kończyła. Jeśli coś się wydarzy, to w nocy, przynajmniej tak działo się do tej pory. Elementy rzeczywiście pasowały do siebie, brakowało jednak najważniejszego. Arne wciąż nie wiedział, co i w jaki sposób wytwarza infradźwięki.

Jeszcze raz podszedł do narożnika, ustawił lornetkę tak jak poprzednio i spojrzał na rafinerię. Powoli przesuwiał pole widzenia. Pojawiły się latarnie, a pod nimi cysterny. Z początku nie zauważył różnicy. Po chwili jednak zorientował się, że pociągów jest mniej. Przedtem widział trzy rzędy cienkich kreseczek, teraz były dwa. Przemieścił się w lewo. Trzeci pociąg cystern stał kilkaset metrów dalej od pozostałych. Tylko ostatnie wagony odbijały światła latarni, reszta stapiała się z czernią. Minimalnie obniżył lornetkę, żeby zobaczyć halę. Znalazł skośny kawałek jej dachu. Coś tu się działo. Za halą manewrował jakiś samochód. Widać było tylko snopy reflektorów przesuwające się po złomowisku. Gdy wreszcie pojawił się z prawej, Arne zobaczył trzy źródła światła. Musiał mieć szperacz na dachu. Cofał się po bardzo łagodnym łuku, wykonywał jakieś dziwne manewry. Arne widział go coraz bardziej z boku i wreszcie zrozumiał, że patrzy na lokomotywę. Manewrowała na torze prowadzącym łukiem do hali. Mógł obserwować jedynie snopy reflektorów poruszające się względem kawałka nieco jaśniejszego od czerni dachu. Przesunął

lornetkę w prawo, tam, gdzie przed chwilą był pociąg. Kreseczki światła na ostatnich cysternach przemieszczały się wolno. Lokomotywa pchała je w stronę pierwszej hali albo przesuwiała na inny tor. Po chwili pociąg zatrzymał się przy pozostałych cysternach. Znow wrócił do hali. Przez dłuższy czas nic się nie działo. Bolały go kolana od kucania przy barierce; już miał przerwać obserwację, gdy nagle lokomotywa ruszyła. Jechała teraz do przodu, zbliżając się znów po łuku do hali. Pamiętał, że tuż przed łukiem była zwrotnica, ale ciemności nie widział, czy lokomotywa ciągnie teraz jakieś wagony, żeby wjechać z nimi do środka. Reflektory omiatały coraz głębiej złomowisko. Kiedy snopy światła dotarły do początku urwiska, zobaczył całą sylwetkę hali na tle rudego złomu. Coś czarnego stało przy wylocie od strony miasta. Poczł zimny dreszcz. Dłonie mimowolnie zacisnęły się na lornetce. Tam nic nie stało. To było skrzydło otwartych wrót hali.

Podniósł się i ruszył do wyjścia. Z chaotycznej gonitwy myśli wyłoniły się dwie możliwości. Pierwszą był odruch, żeby ostrzec Thorsena, drugą – udaremnienie emisji infradźwięków, jeśli rzeczywiście miała nastąpić. Do biurowca Thorsena dotarłby w kilka minut. Musiałby jednak stoczyć walkę z ochroną, domagając się natychmiastowego spotkania. Ktoś weryfikowałby jego tożsamość. Komenda główna zostałaby powiadomiona. Jeśli nawet doszłoby do rozmowy, jak mógłby przekonać Thorsena do ucieczki? Referując listę swoich szaleńczych podejrzeń? Gdyby nawet mu się udało, konsekwencje rozgałęziały się w kilka równie fatalnych dla niego wariantów. Jeśli uciekliby z wieżowca, a emisja naprawdę by nastąpiła, nikt nie mógłby tego potwierdzić, bo dźwięk nie zostawiał śladów. W razie ucieczki i braku emisji sytuacja niczym się nie różniła. Wychodził na maniaka z zaburzeniami psychicznymi. Wariant, kiedy obaj czekają na górze, aż coś z nimi zacznie się dziać, był dość ryzykowny i raczej dziecinny. Poza tym, jeśli ktoś rzeczywiście działał świadomie, zmieniłby taktykę, wiedząc, że jego metoda została odkryta; w efekcie niebezpieczeństwo by wzrosło. Stając twarzą w twarz już nie ze spekulacją, ale z realną decyzją, Arne czuł, że do czynu wciąż popychają go raczej emocje niż fakty. Prawda była taka, że bał się kompromitacji. Może zaryzykowałby ją, gdyby sam choć trochę bardziej był pewien. Pozostawała druga możliwość: w hali coś rzeczywiście się działo. Rano drzwi zostały zamknięte, a do czyszczenia cystern ich się nie otwierało.

\*

Winda utknęła na niższych piętrach. Nie miał pojęcia, z czym przyjdzie mu się zmierzyć, ale wiedział, że musi się spieszyć. Wyciągnął telefon – bateria znów wisiała na jednej kresce. Nie było czasu, żeby jechać na Erlends vei i wznawiać połączenie. Postanowił zbiec schodami. Zeskakiwał po trzy, cztery stopnie. Lornetka pod kurtką obtłukiwała mu żebra. Wydostał ją i przewiesił przez ramię. Na czternastym piętrze o mało nie wpadł na faceta w obłoku dymu, który udawał, że niczego nie pali. Cztery piętra niżej usłyszał, jak facet krzyczy za nim, czy coś się stało. Wkurzył go tą opóźnioną paniką, więc mu odkrzyknął: „Pali się!”. Na ósmym wrzasnął w górę, że nic się nie stało. Facet mógł włączyć jakiś durny alarm. W kieszeni popiskiwał telefon, informując o wyładowującej się baterii. Bramka wyjściowa połknęła kartę, nie musiał pędzić z nią do recepcji. Wymijając slalomem przechodniów, dopadł samochodu. Podłączył ładowanie w momencie, gdy zniknęła ostatnia kreska. Połączenie jakoś się utrzymało. Zrzucił z szyi lornetkę i rozpiął kurtkę. Siedział przez chwilę, dochodząc do siebie po biegu. Próbował wyobrazić sobie, co może zastać na miejscu, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Spojrzał w lusterko i włączył się do ruchu. Żeby dostać się do rafinerii, musiał wyjechać z miasta.

Samochody wlokły się długimi sznurami na drogach do obwodnicy. Jeśli jest to działanie celowe, w hali muszą być ludzie. Ale, na miłość boską, jacy? Musieli coś tam robić, coś obsługiwać. Przecież chyba nie działa infradźwiękowe, jakie widział na filmie. Jeśli jednak nie, to co innego? Zasięg działania fal, jeżeli w ogóle były to dźwięki, przekraczał wszelkie dotychczas przeprowadzane eksperymenty. Tak przynajmniej twierdził Chardin. Ale może się mylił. Może do hali wprowadzono urządzenie o rozmiarach wielokrotnie większych. Przed oczami stanęły mu zdjęcia niemieckich inżynierów pracujących przy tajnych projektach Wunderwaffe. Niektórzy mieli na sobie mundury Wehrmachtu, w tle wznosiło się działo o lufie długości dwóch wagonów kolejowych. Rozejrzał się za przecznicą, w którą mógłby skręcić i zmienić trasę. Nie miał przy sobie broni; leżała w domu, w szufladzie komody. Myśl, że w tym śledztwie miałyby kogoś powstrzymać od działań za pomocą broni, była już kompletnym absurdem. Tym niemniej wjechał w ulicę prowadzącą do domu. Tu było nieco luźniej. Po dwudziestu minutach dotarł na miejsce. Gdy tylko wszedł do mieszkania, z ulgą zdjął buty i ściągnął przemoczone spodnie. Przez cały dzień zjadł tylko kawałek ciasta i wypił trzy kubki kawy. W tej chwili nie czuł głodu, ale ręce drżały mu z osłabienia. Otworzył lodówkę. Na szczęście poza kawałkiem żółtego sera znalazł w niej zapomniany słoik oliwek. Zjedzenie go w ciągu dwóch minut nie należało do przyjemności, ale nie chciał przyjechać za późno, a też obawiał się, że spędzi tam wiele godzin. Z przywalonej

dywanem szafy wydoštał cieplejsze spodnie i grube skarpety. Chyba był gotów. Wszedł z mieszkania, ale musiał wrócić, bo zapomniał broni.

\*

Dochodziła ósma, kiedy wjechał na parking. Stało na nim jeszcze kilka samochodów, ale w budynku administracji światło paliło się tylko w holu recepcji. Odłączył ładowanie telefonu, uzbierały się cztery kreski. Nie miał pojęcia, na ile to wystarczy, ale wolał dłużej nie zwlekać. Na razie szpilka się nie ruszała. Wyjął portfel i wrzucił do skrytki; w kieszeni zostawił tylko legitymację policyjną. Pistolet wcisnął z tyłu za pasek od spodni. Heckler & Koch wykonany był z polimerów, więc tak bardzo nie ziębił, jedynie uwierał. Założył czapkę, rękawiczki i z wyłączoną latarką w dłoni ruszył swą starą drogą. Zanim doszedł do terminalu kolejowego, postanowił zmienić nieco trasę. Nie chciał podchodzić do hali od frontu. Szedł równoległe do torów w odległości kilkudziesięciu metrów. Mijał węzły z zaworami, przechodził przez rury i z ciemności obserwował, czy coś nie dzieje się już przy samych cysternach. Szumiały jedynie z daleka instalacje rafinerii. Na torowiskach nie było nikogo. Przeszedł tak jeszcze kilkadziesiąt metrów; w końcu, korzystając z przerwy w wijących się po ziemi rurociągach, podszedł do wagonów. Rude światło odległej latarni sodowej wydobywało gdzieniegdzie z ciemności ich ogromne zbiorniki. Mijał jeden za drugim, gdy nagle poczuł ciepło na twarzy. Przyłożył rękę do najbliższej cysterny, ale była zimna jak wszystko dokoła. Cofnął się kilka kroków i przedostał pod buforami na następny tor. Błade światło latarni padało przez przerwę między wagonami na zderzaki i chłodnicę lokomotywy. Musiała przed chwilą pracować, osłona silnika była jeszcze gorąca. Starając się nie spowodować hałasu, wspiął się po drabince i zajrzał przez okno do ciemnej kabiny. Na desce rozdzielczej nie świeciły się żadne wskaźniki. Drzwi były zamknięte. Zeskoczył na ziemię i przeszedł na przód lokomotywy. Przed nią tor również był pusty. Tak się przynajmniej wydawało, bo ginął dalej w pełnym mroku. Obawiał się zapalić latarkę, gdzieś tu musieli być ludzie. Widział przez lornetkę, że lokomotywa przepychała jakieś wagony.

Szedł po podkładach, tor prowadził aż za złomowisko. Tam właśnie chciał dojść i podejść do hali od strony wylotu skierowanego na miasto. Oczy przyzwyczajały się do ciemności, a światła rozmieszczone na wieżach rektyfikacyjnych oświetlały teren na tyle, że w porę dostrzegł zwrotnicę i nie przewrócił się o nią. Z tego miejsca odchodziły łukiem szyny prowadzące do hali. Jej czarna sylwetka rysowała się na tle łuny miasta. Żadnych świateł ani ludzi z tej odległości nie dało się jednak zobaczyć. Mogli być w środku z urządzeniem, które wprowadzono już wcześniej. Mogli być też diabli wiedzą gdzie i mieli zamiar dopiero je wprowadzić. Ale nie – jeśli rzeczywiście działało się coś aż tak szalonego, urządzenie musiało być gdzieś niedaleko. Tak naprawdę nie mogło być gdzie indziej niż tutaj, na torach. Przeszedł prawie cały terminal, wszędzie stały jedynie cysterny. Może

w nich coś było ukryte? Potrzebna była potężna rura, w której dałoby się wzbudzić drgania. Cysterny mogły być łączone ze sobą – przyszło mu nagle do głowy. Same stanowiłyby lufę w zasadzie dowolnej długości. Trudno jednak było sobie wyobrazić to łączenie, oglądał je dokładnie, były spawane z grubych, tłoczonych blach, chyba nikt nie rozcinałby ich palnikiem. Nagle stanął mu przed oczami obraz, który widział tu kilka dni temu. Już wiedział, co wprowadzano do hali. Nie istniała żadna inna możliwość. Przecież na długich lorach leżały tu gdzieś rury ponaddwumetrowej średnicy. Pamiętał, że miały kryzy z otworami na śruby, wystarczyło między nie wstawić nie dłuższe niż dwumetrowe łączniki. Niepotrzebny byłby do tego dźwig, wystarczył wózek widłowy. Nie widział tych wagonów, idąc wzdłuż terminalu. Albo stały już w hali, albo przed nim w ciemności na torze. Postanowił zaryzykować. Osłonił dłońmi z boków reflektor latarki i włączył ją na chwilę. Odbicie światła w stalowej kryzie błysnęło o wiele bliżej, niż myślał. Platformy z rurami stały przed nim, kilkanaście kroków dalej. Cały pociąg przestawiony był na tor, z którego wjazd do hali wymagał tylko trzech ruchów. Przeciągnięcia wagonów przed zwrotnicę, przestawienia jej i wepchnięcia ich do hali. Rozumiał teraz, dlaczego wagony nie mogły stać za lokomotywą. Znalazłaby się przed nimi w świetle wrót otwartych na miasto i swoją masą tłumilały zabójcze drgania. Czuł, jak serce uderza mu w piersi. Nie mógł uwierzyć, że po tylu dniach swego śledztwa odkrył coś tak nieprawdopodobnego. Szedł wzdłuż wagonów i mierzył ich długość krokami. Rury miały ponad dwadzieścia metrów. Leżały na drewnianych podkładach wzmocnionych stalowymi taśmami. W całym składzie naliczył czternaście platform. Do hali nie wchodziło więcej niż sześć, może siedem takich wagonów. Na razie nie były połączone, musiały jeszcze pokonać łuk zakrętu torów prowadzących do hali. Najprawdopodobniej łączniki przywożono ciężarówką. Nie musiały być chyba nawet stalowe. Rury wykonane z żywicy epoksydowej mogłyby równie dobrze spełnić takie zadanie.

Wyglądało na to, że jednak się nie spóźnił. Miał szansę zobaczyć, jak powstaje gigantyczne działo infradźwiękowe. Zostawił wagony ich losowi i ruszył w stronę hali. Musiał znaleźć miejsce, z którego bezpiecznie mógłby śledzić rozwój wydarzeń. Nie było to łatwe. Z zewnątrz mógł obserwować halę ze złomowiska, bez problemu znalazłby tam mnóstwo kryjówek. Trudniej jednak byłoby zajrzeć do środka i nie zostać przy tym odkrytym. Jego wzrok padł na koparkę, stojącą obok stalowego kontenera. Trudno byłoby znaleźć lepsze miejsce do obserwacji niż jej przeszklona, chroniąca przed deszczem kabina. Tylko czy za pomocą scyzoryka zdoła otworzyć ten zamek? Bez problemu natomiast mógł schować się pod nią, miała bardzo wysokie zawieszenie. Nie było to wygodne miejsce jak kabina, poza tym z poziomu ziemi halę do połowy zasłaniał leżący złom. Decyzję, gdzie się schować, mógł na razie odłożyć na później i podjąć w zależności od sytuacji, jaka rozwinie się podczas wtaczania wagonów. Teraz należało wejść do hali i sprawdzić, czy nie ma tam już części jakichś instalacji. Siatka odgradzająca teren rafinerii od urwiska biegła częściowo

po zboczu. Wystarczyło się pochylić, żeby podejść wzdłuż niej do hali, pozostając niewidocznym na tle światel miasta. Doszedł w ten sposób pod same wrota. Zanim jednak zdecydował się wyjść z pochyłości, nasłuchiwał przez chwilę, czy z wnętrza nie dochodzą jakieś odgłosy, ale w hali panowała cisza. Poprawił pistolet i skulony podbiegł za skrzydło otwartych drzwi. Przez szparę przy zawiasach nie widać było żadnego światła zdradzającego obecność człowieka. Rozejrzał się jeszcze i wszedł do środka, trzymając się przy samej ścianie. Słaba luna dalekiego miasta ledwie rozjaśniała fragment metalowego sklepienia, resztę wypełniała niczym niezmacona czerń. Spękany beton, przysypany drobnymi kamykami żwiru, chrzęścił pod butami. Każdy krok odbijał się echem od blaszanych ścian i wracał, wzmocniony dodatkowo przez łukowaty strop tunelu. Przedtem Arne nie zwracał na to uwagi, teraz – kiedy w jego wyobraźni istnieli już ludzie – paraliżowało go to. Zatrzymywał się co dwa, trzy kroki i nasłuchiwał, czy z ciemności nie dojdzie do niego jakiś szmer. Świadomość, że przeciwnik może mieć noktowizor i obserwuje, jak sam wchodzi w śmiertelną pułapkę, zmusiła go do położenia ręki na broni. Mimo zimna poczuł kroplę potu spływającą po czole. Tak działała wyobraźnia i jakiś atawistyczny mechanizm. Trzeźwiej myślący umysł mówił mu, że hala jest pusta.

Zatrzymał się i oparł plecami o ścianę. Odetchnął głęboko. Z mroku nie dochodził najmniejszy szelest. Wyciągnął przed siebie latarkę i skierował w głąb hali. Snop światła z trudem dosięgnął zamkniętych stalowych wrót. Wystarczył jednak, żeby stwierdzić, że nikogo ani niczego tu nie ma. Hala wyglądała tak jak rano. Poczuł ulgę, ale i rozczarowanie. Miał nadzieję, że zobaczy tu coś, co potwierdzi jego coraz mocniejsze podejrzenia. Oprócz platform z połączonymi rurami brakowało jeszcze czegoś, co wykorzystując moc jednej czy większej liczby dmuchaw wentylacyjnych, wprawiloby ten ogromny słup powietrza w odpowiednie drgania. Pamiętał z filmu, że to, czego w laboratorium używali Amerykanie do rozbudzenia swojej siedemnastometrowej piszczałki, miało podobną średnicę, ale nie było zbyt długie. Chardin nazywał to powiększonym gwizdkiem Galtona. W przypadku rur o średnicy nawet większej niż dwa i pół metra takie urządzenie mimo wszystko nie powinno być tak duże, żeby nie dało się go przewieźć ciężarówką. Mogli je podłączać do wylotów dmuchaw za pomocą zwykłych blaszanych kanałów wentylacyjnych.

Odszedł od ściany i ruszył wolno środkiem torowiska. Latarkę przykrył dłonią, aby świeciła jedynie pod nogi. Miał już w wyobraźni obraz całej tej instalacji. W tych warunkach była absolutnie wykonalna. Istniało jednak coś, co nie dawało mu spokoju. To wszystko musieli obsługiwać ludzie. Do zmontowania i uruchomienia tak wielkiego urządzenia niezbędny był zespół inżynierów, wspomagany przez wykwalifikowanych robotników. Czy to wszystko byli świadomi swoich czynów mordercy? Jeśli to, o czym wspomniał Syvertsen, było prawdą, chodziło o ogromną stawkę. Wejście w posiadanie kilku platform wiertniczych dawało jakieś pojęcie o jej wysokości.

Zorganizowanie takiej akcji wiązało się jednak z wielkim ryzykiem. Poza tym, kto mógł wpaść na taki pomysł? Biznesmeni, nawet podejrzanego autoramentu, a raczej szczególnie ci właśnie, nie mieli raczej większego pojęcia o fizyce i inżynierii akustycznej. Jeśli w ten sposób chcieli pozbyć się Thorsena, musieli komuś to zlecić. Thorsen najwyraźniej obawiał się o swoje życie, skoro do własnego apartamentu przylatywał wyłącznie śmigłowcem w asyście obstawy z psem. Na pewno nie było łatwo dosięgnąć go w bardziej konwencjonalny sposób, i to taki, który nie wyglądałby na morderstwo. Działo infradźwiękowe idealnie spełniało te wymagania. Ale kto mógł wymyślić coś takiego? Chyba jedynie ktoś, kto już wcześniej zajmował się czymś podobnym. Ktoś, kto prowadził takie eksperymenty na większą skalę i w miejscu, skąd nawet po latach nie wypływały informacje, do których mógłby dotrzeć jakiś Chardin. To musiał być wojskowy inżynier. Może ktoś, kto działał po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Syvertsen mówił coś o rosyjskich pieniądzech. Wszystko układało się w coraz bardziej logiczną całość i zarazem coraz mniej prawdopodobną.

Ocknął się, widząc, że doszedł prawie do końca hali. Było to dość niebezpieczne. Gdyby teraz ktoś otworzył wrota, nie miałby szans na ucieczkę.

Zawrócił do wyjścia. Czy rzeczywiście zorganizowanie takiego przedsięwzięcia wiązało się z takim ryzykiem? Tak naprawdę wystarczyłby jeden inżynier, który zaprojektowałby całość. Najprawdopodobniej użył typowych rur, które w tym miejscu nie dziwiły nikogo. Pewnie nawet służyły jeszcze do czegoś innego. Wykonanie łączników i tego powiększonego gwizdka inicjującego drgania mogli zlecić dowolnej firmie zajmującej się obróbką blachy, nie budząc niczyich podejrzeń. Wyglądały niewinnie, jak elementy jakiejś wentylacji. Maszynista lokomotywy i robotnicy pracujący przy wagonach też nie musieli mieć o niczym pojęcia. Hala mogła być wynajęta pod pretekstem mycia, malowania czy też czyszczenia tych rur. Żeby zmontować całość, wystarczył jeden podnośnik widłowy i dwóch, może trzech ludzi. Urządzenie uruchamiane było w nocy, a tutaj nawet w dzień prawie nikt się nie kręcił.

Dotarł do wylotu hali. Był już kompletnie przemarznięty. Postanowił jednak spróbować dostać się do koparki i przeczekać w niej do momentu, aż coś zacznie się dziać. W otwartych wrotach jarzył się daleko maleńki neon Thorsena. To jednak była ogromna odległość. Zastanawiał się, wracając wzdłuż siatki, czy to usytuowanie hali skierowanej niemal prosto w wieżowiec nasunęło pomysł tej akcji, czy też ktoś wymyślił metodę i szukał potem odpowiedniego pomieszczenia. Jeśli tak, to miał niebywale szczęście, chyba sam diabeł musiał mu w tym pomagać. Bardziej prawdopodobna wydawała się pierwsza opcja. Ale człowiek, który zobaczył tak wyposażoną halę, musiał przynajmniej słyszeć o czymś takim jak działo infradźwiękowe.

Wszedł na platformę koparki i jeszcze raz przyjrzał się klamce przy drzwiach kabiny. Wyjął scyzoryk i trójkątnym szpikulcem – jedynym narzędziem dającym się włożyć w okrągły otworek zamka – pokręcił trochę w lewo i w prawo. Nic to oczywiście nie dało. Arne nie miał w tej



dziedzinie najmniejszego doświadczenia. Sukces osiągnął w zupełnie inny sposób. Okazało się, że niedomknięta jest przesuwana szyba. Odsunął ją i pociągnął od środka za klamkę. Zamek otworzył się jak w samochodzie. Wszedł do środka i usiadł na miękkim, resorowanym fotelu. Zatrzasnął drzwi i odetchnął głęboko. To było idealne miejsce. Niewidoczny z zewnątrz, chroniony przed wiatrem i mżawką, mógł spokojnie poczekać. Wyciągnął z kieszeni telefon. Dwadzieścia po dziewiątej. Szpilka stała w miejscu. Bateria miała trzy kreski. Za szybami kabiny było zupełnie czarno, widział jedynie zarys dachu hali na tle poświaty dalekiej latarni. W dole mrugało miasto, coraz bardziej przysłaniane kroplami gęstniejącego deszczu. Stąd odległość do wieżowca Thorsena wydawała się jeszcze większa. Według mapy było to około siedmiu kilometrów. Czy rzeczywiście komuś udało się skonstruować maszynę wysyłającą skoncentrowane, niesłyszalne dźwięki na taki dystans? Może wymyślili jakiś nowy system wzbudzania tych drgań. Zastąpili czymś ten powiększony gwizdek czy ulepszyli membrany? Wyjął swój stary telefon i wyszukał numer Chardina. Czuł, że w całej łamigłównie ten element jest w tej chwili najslabszy. I tak miał się o tym za chwilę przekonać, ale chciał podzielić się z nim swoimi wątpliwościami. Chardin odebrał dość szybko, w tle słycać było więcej głosów.

– Dobry wieczór. Tu Arne Hilmen. Chyba zadzwoniłem nie w porę, słyszę, że ma pan gości.

– Jesteśmy u znajomych, nic nie szkodzi. Co tam słycać u pana?

– W takim razie będę się streszczał. Znalazłem halę na terenie rafinerii. Stoi na osi tych dziwnych zdarzeń. Mam poważne podejrzenia, że jest do niej wprowadzane urządzenie wytwarzające silne fale akustyczne niskiej częstotliwości. Chciałem pana zapytać...

– Jest wprowadzane? Chce pan powiedzieć, że ktoś prowadzi tam jakieś eksperymenty?

– To raczej nie są eksperymenty. Podejrzewam, że ktoś używa tego w konkretnym celu.

– Dziwne rzeczy pan mówi. Nie wiem, co pan tam odkrył, ale mam wrażenie, że chyba trochę za bardzo zainspirowałem pana moimi opowieściami.

– Zdaję sobie sprawę, jak to wszystko brzmi, ale tu nadal dzieją się te dziwne rzeczy. To nie jest chyba dobry moment, żebym to panu wszystko opisał. To dość długa historia. Chciałem tylko zapytać pana o coś bardziej konkretnego.

– Słucham, niech pan mówi.

– Czy według pana możliwe jest wytworzenie drgań w rurze o długości około, powiedzmy, czterdziestu metrów, może sześćdziesięciu?

– To bardzo niekonkretne pytanie. Zależy, jaką ma średnicę i czy czterdziestu, czy sześćdziesięciu.

– Do hali wprowadzane są na wagonach ponaddwudziestometrowe rury o średnicy około dwóch i pół metra. Najprawdopodobniej łączone są ze sobą w jakąś wielokrotność.

– Rozumiem. Pomijam problem samego wzbudzenia drgań, co w tej skali wydaje mi się

niewykonalne. Rura rezonansowa, czyli ten słup powietrza, musi mieć ściśle określone proporcje. Pamięta pan to amerykańskie urządzenie? Rura miała siedemnaście metrów długości i trochę ponad dwa metry średnicy. Eksperymentowali ze skoncentrowaną wiązką na odległościach nie większych niż kilkadziesiąt metrów. Nie obliczę tego panu teraz w pamięci, ale przy czterdziestu metrach średnica tylko o pół metra większa wydaje się w oczywisty sposób za mała. To tyle, co mogę panu powiedzieć.

– No tak. Pewnie ma pan rację. A nie myśli pan, że mogą istnieć jakieś zupełnie inne sposoby wzbudzania takich drgań, przy których problem proporcji rury nie miałby takiego znaczenia?

– Ja o takich nie słyszałem, ale wie pan, fizyka jest fizyką. Żeby wysłać silną, skoncentrowaną wiązkę akustyczną na odległość kilku kilometrów, potrzebny byłby słup powietrza o naprawdę wielokrotnie większej średnicy i długości pewnie zbliżonej do całego pociągu, a nie jednego czy dwóch wagonów. Przykro mi, że tak pana rozczarowuję.

– Powiem panu, że już się przyzwyczyłem do rozczarowań, ale dziękuję za informacje.

– Trochę myślałem o tym wszystkim po pana wyjeździe – kontynuował Chardin. – Ciągłe wydaje mi się, że te dziwne rzeczy to normalna rzeczywistość, tylko obserwowana, jeśli można tak powiedzieć, jakby z za dużą wnikliwością i pod bardzo szczególnym kątem albo raczej przez bardzo dziwny rodzaj filtra, który dość mocno zmienia optykę.

– Tak, wiem, o co panu chodzi. Sam co chwila mam takie wrażenie, ale nie sądziłem, że tak trudno jest pozbyć się tego, jak pan to nazwał, filtra. Nowe wydarzenia ciągle mi go nakładają.

– Muszę już kończyć, ale coś jeszcze panu opowiem. Wiele lat temu byłem z żoną w Afryce. Pisałem coś w nocy przy biurku. Była zupełna cisza, mieszkaliśmy w bungalowach na granicy sawanny. Zamyśliłem się nad czymś i pamiętam, że spojrzałem na kwiaty stojące w wazonie na stole. Nagle obok z hukiem rozsypała się szklanka. Nie było w niej nic gorącego, stała pusta od kilku godzin. Muszę panu powiedzieć, że nie dawało mi to spokoju przez kilka miesięcy. Żona, gdy jej to opowiedziałem, wspomniała coś o naprężeniach w szkłe; poza tym specjalnie jej to nie poruszyło. Kiedy ciągle do tego wracałem, rozważając wszelkie możliwe czynniki, a doszedłem przy tym nawet do naszych infradźwięków, wie pan, słonie za ich pomocą porozumiewają się na ogromne odległości, opowiedziała mi o czymś, czego świadkiem była w dzieciństwie. Otóż w swej rodzinnej posiadłości mieli służącą, prostą wiejską dziewczynę. Stanowiła dla wszystkich niezwykłą atrakcję. Już idę, opowiem tylko przyjacielowi o tej twojej Marlen! – krzyknął do śmiejącego się w tle towarzystwa. – Przepraszam. Tak więc była ona atrakcją, ponieważ przyciągała przedmioty. Kiedy zbierała naczynia ze stołu i miała sięgnąć po stojący na środku półmisek, pochylała się tylko, a on sam dojeżdżał do jej wyciągniętej ręki. Kiedy szła korytarzem, wiszące na ścianach obrazy lekko odchyłały się ku niej. I wie pan, co w tym

wszystkim było dla mnie równie zdumiewające? Ona nie miała pojęcia, że inni ludzie nie mają takich właściwości. Ona tego, że przedmioty nie zbliżają się same do innych, po prostu nie zauważała. Muszę już kończyć, przepraszam. Może dzwoniemy się jeszcze, opowie mi pan dokładniej o swoich odkryciach. Tylko proszę, niech pan nie popada w przesadę, choć sam wiem, jak to może wciągnąć.

– Będę się starał. Dziękuję za rozmowę. Pewnie się jeszcze odezwę. Dobranoc.

\*

Deszcz coraz mocniej bębnił w dach kabiny. Szyby były tak zalane, że nawet poświata latarni rozmyła się gdzieś zupełnie. Dochodziła dziesiąta. Fala wątpliwości, jaką wzbudziła w nim rozmowa z Chardinem, pociągnęła za sobą falę zmęczenia. Widział teraz wyraźnie, na jak cienkiej krawędzi zawieszona są jego emocje. Manewrująca lokomotywa i rury na wagonach wystarczyły, żeby znów pełen energii ruszył do działania; teraz – po kilku uwagach na temat wymiarów i proporcji – nie miał siły ruszyć się z miejsca. Prawda, uwagi te miały sens, któremu trudno było zaprzeczyć, tym bardziej że sam nie był fizykiem. Ktoś jednak otworzył drzwi hali. Kto i po co miałby to robić, skoro nikt tu od dawna podobno nie pracował. Robotnicy z trudem je zamykali, z takim samym trudem ktoś musiał je potem otworzyć.

Przesunął nogi między dźwigniami i oparł stopy na obudowie deski rozdzielczej. Zacerpnął głębiej powietrza i zamknął na chwilę oczy. Nawet nie musiał specjalnie odpędzać wirujących myśli – zastąpiła je szklanka, nie ta z herbatą, ale pusta, stojąca samotnie na jakimś afrykańskim stole. Za nią w ciemności były gdzieś słonie. Zbliżył się do szkła i starał wniknąć w jego strukturę. Nie było to łatwe przez jego przejrzystość. Mogło mieć skazy. Powstały w ogniu jakiegoś pieca, może we Francji, Anglii, a może w Czechach. Ktoś mu mówił, że właśnie tam produkowane są niemal wszystkie afrykańskie szklane korale. Może piasek kwarcowy nierówno zmieszał się z dodatkami albo coś innego zdarzyło się gdzieś i kiedyś. Coś małego i niewidocznego. Niezauważalnego przez swą przezroczyłość. Po kilku miesiącach, a może latach, to coś nagle ożyło. Okazało się, że drzemie w tym siła zdolna zniszczyć przedmiot odporny na wrzątek, lód, a nawet lekkie uderzenia. Czy życie takiego małego czegoś płynęło własnym rytmem i tylko czas decydował o wszystkim? Czy też potrzebny był impuls wyzwalający lawinę błyskawicznych zmian, obserwowaną jako rozpadnięcie się z hukem? Nie musiało być tak albo tak, mogło być to zmieszane, a proporcja tej mieszaniny nakładała na wszystko kolejną tajemnicę. Tajemnice były jak warstwy, gdzie każda z pozoru stanowi całość wabiącą skończoną ilością rozwiązań, ale one przenikały przez siebie, splatając się domniemanymi przyczynami zdarzeń i wypuszczając ścieżki prowadzące donikąd. Widział przez załamania szkła tylko ciemność, w której zanurzona była sawanna. Nie wiedział, czy płyną nad nią dźwięki, których nie mógł usłyszeć, czy panuje cisza i nic się nie dzieje.



Ból pod kolanem opartym na dźwigni stawał się coraz bardziej nieznosny i wreszcie wyrwał Arne z półsennych majaków. Było siedemnaście minut po północy. Widok przez pokryte kroplami szyby nie różnił się od tego pod zamkniętymi powiekami. W tym czasie mogło zdarzyć się wszystko, chociaż pewnie obudziłyby go manewrująca lokomotywa, a jeśli nie, to na pewno zrobiłaby to włączona instalacja wentylacyjna. Szpilka na wyświetlaczu telefonu nie poruszała się, za to bateria miała znów tylko jedną kreskę.

Arne otworzył drzwi. Zimny wiatr z deszczem wpadł do kabiny. Ciągle jeszcze był półprzytomny. Siedział w fotelu i nie mógł się ruszyć. W końcu zebrał się w sobie i wyszedł na obrotową platformę. Zacerpnął dłonią trochę wody z zagłębienia i obmył nią twarz. Zeskoczył z koparki i ruszył do hali. Szedł wolno przy samej ścianie i tak jak poprzednio przystawał co kilka kroków. Szum deszczu na blaszanym dachu dawał mu tym razem akustyczną osłonę, ale mógł też przykrywać szmery płynące z głębi.

Zatrzymał się w połowie hali, tak przynajmniej mu się wydawało. Zdał sobie sprawę, że zachowuje się zupełnie bezsensownie. Jeśli miałby tu natknąć się na kogoś, to spotkanie w ciemności nie różniłoby się w swoim finalnym efekcie od zapalenia w tej chwili latarki. Tak naprawdę zachowywał się najbardziej nieprofesjonalnie, jak to tylko możliwe. Jeśli w ciemnościach kryli się ludzie zdecydowani popełnić morderstwo, nie miał szans wyjść z tego cało. Ale nie miał innego pomysłu. Obserwując halę z zewnątrz, nie wiedziałby, co dzieje się w środku. Po emisji infradźwięków rury na wagonach wyjechałyby z hali i udowodnienie czegokolwiek stałoby się niemożliwe. Problem polegał na tym, że Arne nie miał żadnego planu wezwania pomocy. Niby wystarczyłby jeden telefon, żeby radiowozy były na miejscu w mniej niż dziesięć minut. Nie mógł jednak ich wezwać bez pewności, że to rzeczywiście się dzieje. Najlepszym rozwiązaniem byłoby doczekanie u wylotu hali do momentu włączenia dmuchaw i sprawdzenie, czy szpilka reaguje na infradźwięki. Mógłby wtedy odbiec w bok na bezpieczną odległość i wezwać posiłki. Jaka jednak miałaby być ta bezpieczna odległość? Nie miał pojęcia, jak rozchodzą się na boki te fale. Może jedyne bezpieczne miejsce znajdowało się za rurą, i to daleko stąd? Amerykanie stali obok swojego urządzenia. Więc to było kompletne wariactwo, wchodzenie tutaj w tej chwili. Ale w takim razie, jeśli połączone rury stoją tu przed nim w ciemności i czekają na włączenie się turbin, w hali jest teraz sam. Wziął głęboki oddech, jakby miał skoczyć do wody, i zapalił latarkę.

Hala była pusta.

Właściwie spodziewał się tego, ale czuł się tak, jakby rzeczywiście skoczył, a z basenu ktoś

wypuścił wodę. Ruszył bezwiednie w głąb hali. Większość dziwnych zdarzeń i fałszywych alarmów odnotowanych w raportach miała miejsce między północą a trzecią. Wszystko jeszcze mogło się tu wydarzyć. Zmęczony usiadł na szynie. Była tak zimna, że musiał zdjąć rękawiczki i je sobie podłożyć. Wszystko mogło się zdarzyć, ale nie musiało. Nie było sensu tu sterczeć. Jeśli miał skończyć, co zaczął, powinien wrócić do samochodu, podładować baterię, potem usiąść w koparce i czekać, aż szpilka raczy się ruszyć. Może równocześnie coś wydarzy się tutaj.

Uniósł się i sięgnął po rękawiczki. Poczuł pod paznokciami jakiś proszek. Oświetlił szynę latarką. Pokryta była rdzą. Tu od tygodni albo i miesięcy nie wjechał żaden wagon. Nieużywane szyny korodują szybko, ale te miały na sobie naprawdę grubą warstwę rdzy. Stał z opuszczoną latarką i patrzył. Głęboko pod skórą przeczuwał, że ta historia skończy się bez rozwiązania, ale zaskoczyło go, że stało się to tak po prostu i teraz. Nie było tu już nic do zrobienia.

\*

Zgasił latarkę i popatrzył na neon. W odległym prześwicie wylotu przebijał się przez ścianę ulewy poświatą migoczącej czerwieni. Jedyne, o czym mógł pomyśleć z ulgą, to o tym, że nie popędził ostrzegać Thorsena. Jak mógł wpaść na pomysł, że ktoś chce go unicestwić w tak absurdalny sposób? Jeśliby rzeczywiście jakiś silny i zdesperowany przeciwnik postanowił usunąć go z biznesu, zrobiłby to skuteczniej, pozorując pospolite morderstwo na tle rabunkowym albo wypadek. Śmigłowiec mógłby się do tego całkiem dobrze nadawać. Co działo się z jego głową, że najdrobniejsze, najzwyczajniejsze zdarzenia interpretował w ten sposób? Nawet nie sprawdził, czy w innych dzielnicach nie włączają się alarmy z równie niejasnych powodów. Gdyby głowa profesorowej Ronstad osunęła się po ścianie pod nieco innym kątem, w ogóle by nie pomyślał, że przestraszyła się czegoś za oknem. Tak naprawdę na Erlends vei dziwna była tylko ta komoda. Dlaczego wysuwa się ta jej cholerna szuflada? Na to nie miał odpowiedzi. A może jednak ją miał: wysuwała się z takiego samego powodu, z jakiego w jego poprzednim mieszkaniu ni stąd, ni zowąd same uchylały się drzwi, a w łazience raz samo włączyło się światło. Nie chciał o tym pamiętać, bo niszczyło to tajemnicę jakiejś ekscytującej sensacji, która była mu potrzebna do życia. We framudze tych drzwi na dodatek przez ponad dziesięć lat mieszkał kornik, którego nigdy tam nie było. Gdy czasami zbliżał się do niej, słyszał wyraźnie rytmiczne ciche chrupanie. Zawsze, gdy postukał w drewno, chrupanie cichło, żeby za jakiś czas znów się odezwać. Kiedyś, zamiast stuknąć i wyobrazić sobie przestraszone i bardzo długowieczne zwierzątko, delikatnie popchnął palcem uchylone drzwi. Chrupanie natychmiast ucichło. Okazało się, że skrzypi tak zawias. Skrzydło drzwi miało tendencję do otwierania się, ale była ona na tyle słaba, że opór zawiasu niemal ją równoważył. Otwierały się niezauważalnie, milimetr po milimetrze, wydając przy tym ciche, ledwie słyszalne chrupnięcia. Same otworzyły się kiedyś, diabli wiedzą dlaczego, najprawdopodobniej przez niedostrzegalny przeciąg. A światło w łazience miało czujnik ruchu. Leżał na łóżku w sypialni i nie mogąc zasnąć, gapił się w ścianę. Była zupełna cisza i nagle w oknie zamkniętych drzwi łazienki zapaliło się światło. Postanowił to zbadać, dręczyła go myśl, że nie ma żadnego realnego wytłumaczenia. Otworzył delikatnie drzwi i zajrzał do łazienki. Wszystkie przedmioty były na miejscu, żaden ręcznik nie zsunął się z wieszaka na podłogę, skręcony przewód suszarki do włosów zwisał w zupełnym bezruchu. W powietrzu nie było już pary ani z kranu nie kapła woda. Stał tak w progu i odganiał dziecinne myśli o duchach. Po chwili światło zgasło. Czujnik działał prawidłowo i nawet nie był dość wrażliwy, żeby zauważyć jego ruch w drzwiach. Zwrócił wtedy uwagę na zasłonę prysznicową. Była częściowo zsunięta na bok i sfałdowana.



Przypomniał sobie, że często, gdy bierze prysznic, mokre fałdy skleją się ze sobą. Jak woda wyparowuje, rozchodzą się nagle na boki. I to był właśnie ruch, który spowodował włączenie się światła.

\*

Szuflada profesorowej chodziła dość lekko na rolkach. Może jedna z klepek, na której akurat stała noga komody, była trochę obłuzowana i gdy przechodziło się obok, powodowała stopniowe jej wysuwanie. Parkiet pod komodą mógł być wybrzuszony i pracował w zależności od zmian wilgotności, unosząc minimalnie cały mebel tylko z jednej strony. Nie sprawdzał przecież tego, tylko kopał w komodę. Jakie jeszcze zdarzenia zdołał zinterpretować w ten sposób? Czy zostało cokolwiek, czego nie mógłby teraz podważyć? Opowieść ogrodnika o dziwnym szczekaniu psa wywarła na nim wtedy ogromne wrażenie. Teraz wydawała się tylko dziwna. Jeśli ludzie, którzy sami przyciągają przedmioty, nie umieją ogarnąć rzeczywistości na tyle trzeźwo, aby wiedzieć, że są wyjątkowi, czego mógł się spodziewać po relacji starego, przestraszonego człowieka. Parawan Ingi Strand od początku nie był bastionem jego sensacyjnej teorii. W głębi duszy zgadzał się z opinią swojego przyjaciela z laboratorium: Strand pokłóciła się z mężem, ktoś kogoś popchnął i parawan przewrócił się na oparcie fotela, pękając bez ostrego wgniecenia.

Czuł się coraz gorzej. Wyciąganie z pamięci kolejnych dziwnych historii i odzieranie ich z woalu mrocznej tajemnicy nie dawało nawet satysfakcji odkrycia jakiejś prawdy. Prozaiczne rozwiązania gotowe były od dawna. Wszystko zamykało się w jednym krótkim: koniec, czas wracać do domu.

Zauważył, że zamiast przyspieszyć kroku, zatrzymał się. Już wiedział, że tego nie uniknie. Ograniczała go fala wściekłości. Na nią też nie miał najmniejszej ochoty. Schylił się i podniósł większy kamyk. Stał chwilę, ściskając go w rękę, po czym z całej siły cisnął w blaszaną ścianę. Huk był taki, jakiego się spodziewał. Teraz już zdecydowanie ruszył do wyjścia. Dwa, może trzy kroki po tym, jak wybrzmiało echo, wydało mu się, że coś jeszcze usłyszał za sobą. Odwrócił się i zimny dreszcz przeszedł mu po plecach: z ciemnego kąta hali patrzyła na niego para żółtych żarzących się oczu. Drżącą ręką unióś latarkę. Zanim zdołał obrócić ją w dłoni i znaleźć włącznik, dotarło do niego, że się nie poruszają. Światło latarki wydobyło z mroku skrzynkę tablicy rozdzielczej. Na górnym panelu paliły się dwie okrągłe lampki kontrolne. Podszedł bliżej. Nic dziwnego, że wcześniej jej nie zauważył. Wysoka na metr skrzynia zrobiona była z pomalowanej szarą farbą grubej blachy. Przykręcona do dwóch szyn wpuszczonych w beton i pokryta pyłem, nie różniła się kolorem od ściany. Dźwięk musiał wydać automat czasowy włączający prąd w całym układzie. Za chwilę uruchomił się wentylacja. Chciał już odejść, nie mając ochoty narażać się na sponiewieranie w tumanach kurzu, ale zauważył, że jedna z dwóch dolnych pokryw paneli ma świeże zadrapania przy wkrętach mocujących ją do obudowy. Pozostałe pokrywy miały wkręty

pokryte farbą i pyłem. Owinął nos i usta szalikiem, wiedząc, że zaraz rozpęta się burza piaskowa, i usiadł przed tablicą. Wyjął scyzoryk. Wkręty nie stawiały większego oporu, ktoś niedawno musiał dostawać się tędy do środka. Odstawił blachę na bok i oświetlił wnętrze skrzynki latarką. Nie było tu nic nadzwyczajnego. Do brązowej płyty z nieużywanego już od dawna ebonitu przykręcone były rzędy przekaźników. Zamykały obwody zasilające turbiny albo sterujące otwieraniem żaluzji. Pod spodem na perforowanych kątownikach wisiały dwa duże transformatory. Wszystko oplatały grube wiązki kabli. Jedna z takich wiązek prowadziła do czarnego pudełka z przezroczystą przykrywką. Przez zakurzony plastik widać było układy elektroniczne złożone jeszcze z osobnych tranzystorów i podzespołów, jakie stosowane były dobre trzydzieści lat temu. Podniósł blachę, żeby ją przykręcić, ale zobaczył coś, co go zdziwiło. Spod lekko niedomkniętej przezroczystej pokrywy wychodziło z boku kilka cienkich kolorowych drucików. Nie zauważył ich wcześniej, bo zawijały się na tył płyty izolacyjnej. Sięgnął ręką za płytę i przesuwając palcami po drutach. Po chwili wyczuł coś, co na nich zwisało. Podniósł to delikatnie i wyciągnął na wierzch. Kabelki prowadziły do zielonej płytki wielkości pudełka papierosów. Przypominała nieco kartę z pamięciami komputera. Do złotych drukowanych obwodów przylutowany był układ scalony i trochę maleńkich oporników czy kondensatorów. Wyglądało to dość dziwnie w tym archaicznym otoczeniu. Niewątpliwie była to czyjaś ingerencja w stary system, ale do czego miała służyć, nie miał najmniejszego pojęcia. Wyjął telefon, chcąc sfotografować płytkę. Ale musiałby rozłączyć się z komputerem, żeby uruchomić aparat. Pomysł kontrolowania zaslony w domu profesorowej brzmiał teraz dla niego jak szyderstwo z własnej naiwności. Zlikwidował połączenie i na resztkach baterii włączył funkcję aparatu. Coś szczęknęło w przekaźnikach skrzynki rozdzielczej. Nie zwlekając, zrobił dwa zdjęcia wnętrza otwartej skrzynki i wiszącej na drucikach zielono-złotej płytki. Gdy podnosił blachę, usłyszał zmultiplikowany trzask zwierających się styków i zaraz potem ruszyły turbiny. Dokręcał w pośpiechu pokrywę. Nie chciał zostawić po sobie śladów, mimo że nie miało to już chyba większego znaczenia. Silniki wchodziły na pełne obroty. Schował telefon do wewnętrznej kieszeni kurtki i odbiegł pod ścianę. Pamiętał, że strumienie powietrza miały tam trochę mniejszą siłę. Gdy usłyszał nad sobą otwierające się żaluzje, przycisnął szalik, osłaniając szczelniej usta i nos. Poderwany z betonu kurz natychmiast wypełnił przestrzeń. Arne szedł z zamkniętymi oczami, bo pod ścianą pył wznosił się prosto do góry. Miał do pokonania prawie całą długość hali. Pomyślał, żeby wrócić i włączyć oświetlenie, konspiracja nie miała już najmniejszego znaczenia, ale latarka w zasadzie wystarczała, aby nie wpaść na ścianę. Po jaką cholere podłączył tam ktoś tę płytkę z elektroniką? Mógłby jutro odszukać tego krasnala z nadzoru technicznego i spytać go o to. Wzdrygnął się jednak na samą myśl o tym, żeby tu wrócić i węszyć. W tej chwili chciał tylko stąd wyjść, wrócić do domu, wziąć prysznic i zasnąć, żeby zapomnieć o swym upokorzeniu. Mijał trzecią parę wylotów, kiedy usłyszał, że w szumie przelatującego przez nie powietrza coś się

zmieniło. Odwrócił się i zaświecił w górę. Żaluzje były przymknięte, ale po kilku sekundach znów się otworzyły. Skierował snop światła na sąsiedni wylot. Tu działo się podobnie, żaluzje zamykały się i otwierały.

Coś jednak działało nie do końca idealnie. Wyglądało, jakby na obwodach sterowania żaluzji było zwarcie. Kanał wentylacyjny nad nim zamykał się i otwierał coraz szybciej. Arne przeszedł kilka metrów do przodu i oświetlił następne wyloty. Żaluzje wariowały wszędzie. Powietrze wpadało krótkimi, gwałtownymi podmuchami. Nie wyglądało to już na zwarcie, rytm zamknąć się stabilizował. Mogło być to uszkodzenie w programie, ale też dość dziwne, bo kanały otwierały i zamykały się naprzemiennie. Mimo zmniejszenia się ilości wpompowywanego powietrza poczuł, że zatyka mu uszy. Hala z otwartymi wrotami nie była szczelnym pomieszczeniem, więc to nie zmiana ciśnienia wywoływała ten efekt. Zrozumiał, co się dzieje, gdy zobaczył, jak zachowuje się kurz w snopie światła latarki. Tumany pyłu kłębiły się mniej niż poprzednio, ale jakaś niewidzialna siła zaczynała szarpać nimi do przodu i tyłu. Po kilku sekundach odczuł ją na własnej twarzy. Policzki drgały mu, wstrząsane jakby falami uderzeniowymi niesłyszalnych wybuchów. Wszystkie mięśnie napięły się z przerażenia. Powietrze hali wchodziło w rezonans. Przez pobudzony paniką mózg Arne przebiegła myśl, żeby wrócić do tablicy rozdzielczej. Pod lampkami kontrolnymi były chyba dwa wyłączniki. Instynkt samozachowawczy powstrzymał go jednak i nakazał uciekać do wyjścia. Arne rzucił się ile sił w nogach w stronę wylotu. Po kilkunastu metrach poczuł jednak, że zwalnia. Nie mógł odetchnąć głębiej, tak jakby coś przyduszało mu płuca. Zerwał szalik z ust, ale nic to nie zmieniło, czuł, że słabnie, zaczynały się zawroty głowy. Już wiedział, że do wylotu nie dobiegnie. Zatrzymał się, żeby złapać więcej powietrza, ale nacisk na płuca był coraz większy. Dotarło do niego, że jest w potrzasku. Przebiegł jeszcze kilka kroków, ale nogi ugięły się pod nim i opadł na kolana. Latarka, popychana strumieniami powietrza, poturlała się łukiem. Podpełzł na czworakach, żeby ją schwycić, ale podmuchy gnały ją dalej. Zatrzymała się na szynie. Całe ciało Arne przenikały pulsacje. Zwiesił głowę między wspartymi o beton rękami, ale coraz bardziej ciemniało mu w oczach. Nie zauważył momentu, gdy upadł. Poczł tylko uderzenie twarzą o beton. Ostry ból w płucach, do których wciągał pył pomieszany z rdzą, przywrócił mu na moment świadomość. Ukłucia były nie do wytrzymania. Otworzył oczy. Latarka oświetlała odległą o kilka metrów ścianę i odgiętą przy ziemi blachę. Uniósł się na łokciach i resztką sił zaczął czołgać w stronę czarnej szczeliny. Przez wółprzymknięte oczy widział tylko swój obnażony nadgarstek, który co chwila pojawiał się w świetle pozostawionej latarki. Płuca paliły go coraz bardziej. Musiał już kaszleć krwią, bo nadgarstek coraz gęściej pokrywał się czerwonymi punktami. Złapał kątownik biegnący pod poszarpaną blachą i odpychając się kolanami, wystawił głowę na zewnątrz. Nie czuł, żeby drgania powietrza były tu słabsze. Wszelkie postrzeżenie blokował strach i potworny ból w konwulsyjnie

dławiących się płucach. Wiedział jedynie, że umrze, jeśli nie odpełźnie od hali. Zaparł się łokciami o kątownik i z całej siły odepchnął nogami, ale wgięta do środka blacha postrzępioną krawędzią wbijała mu się w kark i klinowała każdą próbę ruchu do przodu. Szarpał ciałem coraz mocniej, napierając na blachę. Przestał, gdy poczuł, że przecięła kurtkę i wbiła mu się w skórę. Odpychając się nogami, ułożył tułów równolegle do ściany. Przecisnął stopy na zewnątrz i zaparł się nimi o kątownik. Zaczął obracać się tyłem do kierunku ucieczki. Osią tego obrotu była klatka piersiowa, przyciśnięta do kątownika. Ból, jaki to wywołało, wyzwolił w mięśniach resztki energii. Pokonał opór drącej się kurtki i kilkoma spazmatycznymi szarpnięciami przecisnął najpierw kark, a potem potylicę pod zardzewiałą krawędzią blachy. Był już cały na zewnątrz, ale zdarta z pleców kurtka tkwiła zakleszczona w szparze. Nie mógł wyszarpnąć z niej ramion, ciągnął całym ciałem, wijąc się po betonie. Wreszcie odpadł od ściany. Przybliżający się w ciemności huk turbiny i wibracja betonu uzmysłowiły mu, że nie ucieka, tylko pełźnie wzdłuż hali. Zmienił kierunek. Teraz przed sobą miał złomowisko. Wczołgał się na pocięte blachy. Łokcie i kolana wpadały co chwila między szorstkie od rdzy i ociekające wodą żelastwo. Ból w płucach i kaszel nie ustępowały. Zawroty głowy stawały się coraz silniejsze. Brnął w zgrzycie zapadającego się złomu. Odległość od hali zwiększała się stanowczo za wolno. Uderzył czołem w jakąś poziomą szynę. Aby przedostać się dalej, musiał wczołgać się pod nią. Między powyginanymi kawałkami cieńszych rur wyczuł rękami ziemię, ale podeszwy butów ciągle trafiały na stalową płataninę albo zapadały się w najeżonych zadziornymi wykrotach. Wyrywał z nich nogi, raniąc kolana i łydki. Cały czas miał wrażenie, że traci właściwy kierunek. Po kilku przebytych tak metrach zatrzymał się, myśląc, że zawraca. Hałas wyjących turbin dochodził teraz jakby z przodu. Wyciągnął przed siebie rękę. Natrafiła na wklęsłą powierzchnię. Musiała stać przed nim połówka przeciętej rury o bardzo dużej średnicy. Odbijała dźwięk, skupiając go w okolicach jego głowy. Dotarł do krawędzi i przedostał się za nią. Pełził po czymś w rodzaju siatki z prętów zbrojeniowych. Przechyliła się nagle i opadła na ziemię. Stracił równowagę. Spadał głową do przodu. Zasłonił twarz rękami, czekając z przerażeniem na uderzenie w jakiś ostry metal, ale jego łokcie trafiły na coś miękkiego i ześlizgnęły się po tym. Leżał twarzą do ziemi z nogami na przechylonej kracie. Tym razem wznosiła się nad nim pozioma wypukłość, najprawdopodobniej rury owiniętej izolacją termiczną. Wyszarpnął stopy spomiędzy prętów i wczołgał się pod rurę. Tej przeszkody nie był w stanie pokonać górną. Musiał znaleźć jej koniec. Wiedział, że jeśli będzie zbyt długa albo coś stanie na drodze, a hala nie przestanie pracować, straci za chwilę przytomność. Przesuwał się wolno, wciągając powietrze płytkimi oddechami. Każde głębsze zaczerpnięcie powietrza kończyło się bólem i spazmami jeszcze bardziej bolesnego kaszlu. Czołgał się, ale miał wrażenie, że stoi w miejscu, wykonując tylko niemrawe i jałowe ruchy. Nie miał już siły. Położył się, wyciągnął ręce do przodu i wcisnął głowę w grubą warstwę izolacyjną. Instynktownie zakrył uszy ściągniętą z pleców kurtką; jego lewa dłoń, podnosząc się, najpierw

natrafiła na pustkę, a potem uderzyła o metal. Leżał na końcu rury. Zaczepił się o nią ramieniem i podciągnął ciało do przodu. Charcząc i kaszląc, zgiął się i wczołgał do środka. Huk ciągle pracującej wentylacji pobrzmiewał tu dziwnym echem, ale był dużo cichszy. Coś się zmieniło. Nacisk na skronie zelżał i odetkały mu się uszy. Wsunął się jeszcze głębiej, ale to nie spowodowało różnicy. W głowie nie przestawało wirować. Zorientował się, że ból w płucach jest mniejszy, gdy leży na boku. Podkurczył nogi i zamknął oczy. Szum wentylacji brzmiał tu jak brzęczenie pszczół. Trochę cichł, potem znów się wzmagił. Miał uczucie, że drętwieje i nie może się ruszyć. Nie wiedział, czy zasypia, czy umierając, traci przytomność. Rój pszczół coraz głębiej wnikał w jego ciało. Wywoływał dreszcze przychodzące falami. Owady przelatywały przez płuca, zostawiając za sobą linie piekącego bólu. Oddychał coraz płycej, żeby ich nie drażnić. Chowały trochę żądła, więc jeszcze mniej oddychał. Wolał przestać oddychać, niż czuć ich ukłucia. Wreszcie przestał, a one odleciały gdzieś w ciemność.

\*

Coś szumiało w oddali. Szum, a może raczej warkot, przycichał, to znów się wzmagał. Coś trochę zgrzytało, trochę pobrzękiwało. Zrobiło się ciszej, potem znów warkot się zbliżył. I znów przycichł na chwilę, jakby wstrzymał oddech. Coś stuknęło raz, potem drugi. Ogłuszający łoskot wstrząsnął ciałem Arne. Otworzył oczy. Szara blacha zbliżyła się, jakby go chciała owinąć, ale tylko odepchnęła go trochę. Podniósł głowę. Ból w płucach przywrócił mu świadomość. W okrągłym otworze słabe światło dnia przesączało się przez brązowe kłębowisko metalu. Z rozdartych spodni sterczały pokaleczone kolana. W ustach miał pełno piasku. Spróbował splunąć, ale płuca znów go zakłuły. Oparty na łokciach, zaczął wyczołgiwać się z rury. Sam wylot nie był przywalony, ale pół metra dalej zaczynało się coś, co wyglądało jak zasieki przeciwczołgowe. Złapał się sterczącej szyny i uniósł na chwiejnych nogach. Kilka metrów dalej za kawałkami blach i rur stał podnośnik widłowy, który najwyraźniej przed chwilą zrzucił na niego złom. Wspiął się ostrożnie na kratę z prętów zbrojeniowych i rozejrzał. Był w odległości sześciu, może siedmiu metrów od hali. W nocy miał wrażenie, że dotarł do środka złomowiska. W zasięgu dwóch kroków leżał wielki kawał karbowanej blachy. Mógł po nim przejść, nie zapadając się w złom. Wstrzymując się od głębszych oddechów, Arne stanął na blasze. Po pierwszym kroku obsunęła się z hukiem. Krzywiąc się z bólu, opadł na kolana i w dalszą drogę ruszył na czworakach. Miał jeszcze do przejścia kilka metrów po cienkich rurach przemieszanych z dwuteownikami, kiedy jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem szeroko otwartych oczu. Przy podnośniku stał młody, tęgi robotnik w czerwonym kasku i w zatrzymanym geście rozpakowywania kanapki przyglądał mu się z miną, jakby zobaczył diabła. Arne, machając rękami dla utrzymania równowagi, przeszedł wolno dwa chwiejne kroki na przykurczonych nogach, cały czas zastanawiając się, co ma powiedzieć. Między trzecim a czwartym krokiem doszedł do wniosku, że mógłby powiedzieć prawdę. Nabrał nieco więcej powietrza i krzyknął:

– Policja!

Nie był pewny, czy facet zrozumiał, bo z podrażnionego rdzą i pyłem gardła wydobyło się coś podobnego do skrzeku. Robotnik nie zmienił miny ani pozycji, więc gdy wreszcie szczęśliwie zszedł ze złomu, minął go i ruszył w stronę samochodu. Teraz dopiero poczuł, że jest przemarznięty do kości. I w tym momencie uświadomił sobie nagle, co przeżył. Był w samym środku maszyny, która siała śmierć na odległość wielu kilometrów. Wyszedł z tego żywy tylko dzięki odgiętemu kawałkowi blachy. Teraz wiedział już, czym są infradźwięki i dlaczego czymś takim interesowało się wojsko.





Spędzający noc w swoim apartamencie Thorsen na pewno coś odczuł. Koniecznie trzeba go ostrzec. Może nie odleciał jeszcze śmigłowcem. Arne nie mógł iść szybciej, bo wtedy jego oddech przyspieszał, wywołując ból rozdzierający płuca. Minęło go kilku robotników, przyglądali mu się jak ten przy podnośniku. Musiał rzeczywiście wyglądać jak diabeł.

Budynek administracji obszedł swoją starą drogą. Nie zamierzał wywoływać sensacji, przechodząc przez recepcję. Na parkingu było już pełno samochodów. Kilku ludzi wysiadło z firmowego busa. Arne stanął za podobnym, żeby poczekać, aż przejdą. W przydymionej szybie zobaczył swoje odbicie. Nie wyglądał jak diabeł. Wyglądał jak alkoholik, który wpadł do młockarni i przeżył. Połowę zapuchniętej twarzy pokrywała zaschnięta krew. Z przetartego swetra na piersi wisały frędzle poskręcanej wełny. Kurtkę pstryżyły dziesiątki jasnych zadrapań i przecięć. Jakimś cudem na głowie utrzymała się czapka, ale nie była już czarna, tylko szarobrązowa od rdzy.

Towarzystwo zniknęło wreszcie za drzwiami głównego wejścia. Arne podszedł do mercedesa i włożył rękę do kieszeni spodni, żeby wydobyć kluczyki. Kieszeń była pusta. Druga też. Nie miał teraz czasu ani ochoty na włamywanie się do własnego samochodu. Rozejrzał się, czy na parkingu nie stoi jakaś taksówka. Nie stała, poza tym pieniądze zamknięte były w samochodzie. Zaklął i oparł się o błotnik, zastanawiając się, czy nie pora użyć legitymacji służbowej. Coś stuknęło go w nogę. Spojrzał. Spodnie na wysokości kieszeni były rozdarte, w dziurze kluczyki wisały zaczepione szekłą żeglarską, która służyła mu jako breloczek. Zdjął rękawiczkę i wy dostał je, rozrywając resztki kieszeni. Otworzył samochód i z ulgą usiadł w fotelu. Pistolet boleśnie wbił mu się w kość ogonową. Przeklinając, wściekle wyrwał go zza paska i z nagłą furią rzucił o podłogę. Przecież mógł bez problemu rozwalić tę pieprzoną tablicę rozdzielczą! Któraś z piętnastu kul przerwałaby w końcu chociaż jeden z obwodów. Mógł strzelać w żaluzje. Unieruchomienie ich w jednym, może w dwóch wylotach rozsynchronizowałoby tę całą diabelską maszynę. Kiedy ochłonął, wrzucił pistolet do schowka pod deską rozdzielczą i uruchomił silnik. Znowu zakręciło mu się w głowie. Błędnik chyba miał jednak uszkodzony. Wyjechał ostrożnie na szosę, starając się nie kręcić zbyt gwałtownie głową. Odruchowo spojrzął na zegar umieszczony koło radia. To nie był wczesny ranek, jak mu się wydawało. Dochodziła dwunasta. Weisnął mocniej pedał gazu i wyprzedził wlokącego się tira. Szansa na spotkanie z Thorsenem stała się mniej realna. Przypomniawszy sobie, jak wygląda w tej chwili – to zmniejszyło ją jeszcze bardziej. Nie miał możliwości się przebrać, ale przed wejściem do biurowca musiał chociaż umyć twarz. Zbliżał się do zakrętu przed wjazdem na obwodnicę. Zwolnił i zjechał na pobocze. Usłyszał za sobą wściekły

klakson tira. Minał go o centymetry, wzniecając tuman wodnego pyłu. Wysiadł i oparł się o maskę. Od spojrzenia w bok znów zakreśliło mu się w głowie. Odczekał chwilę i zszedł z pobocza do rowu, gdzie woda ściekała z omszałych korzeni świerków, tworząc małe kałuże. Zdjął czapkę, kurtkę i sweter. Wyplukał usta z piasku i umył dokładnie twarz. Rozcięcie na czole znów zaczęło krwawić. Włożył sweter tyłem na przód, czapkę otrzepał i przewrócił na drugą stronę. Kurtka była poharatana, ale oddarty na plecach płat skóry dało się wepchnąć do środka. Wrócił do samochodu, urwał kawałek ręcznika papierowego i przyłożył do rany pod czapką. Podpuchnięte, zaczerwienione oczy i szary zarost nie dodawały mu wiarygodności. A może wręcz przeciwnie? W rozmowie z Thorsenem nie pominie przecież tego, co działo się dzisiaj w nocy.

Wjechał na obwodnicę i ruszył pełnym gazem. Wyprzedzał samochody z lewej i z prawej, nie patrząc na ograniczenia prędkości. Tym razem był na służbie, nie jechał do Thorsena prywatnie. Tym razem nie stały za nim domysły, ale twarde fakty. Hala wytwarzała dźwięki niskich częstotliwości. Sama była gigantycznym słupem powietrza wzbudzonym do rezonansu o niespotykanej sile. Uratowała go rura, do której się wcisnął. Była wąska i miała swój własny rezonans, o wiele wyższej częstotliwości. Usłyszał go nawet. To był rój tych brzęczących pszczół. Niesłyszalna niska częstotliwość pobudzała wyższą, wchodzącą w zakres słyszalny i nieszkodliwy dla organizmu. Fale, które powstawały w hali, musiały mieć zaledwie kilka herców. Na to wskazywała prędkość, z jaką zamykały się i otwierały żaluzje.

Jechał już ulicą prowadzącą do centrum. Ruch gęstniał z każdym skrzyżowaniem. Zniecierpliwiony skręcił w przecznicę prowadzącą do równoległej. Nie była tak szeroka, ale miał nadzieję, że będzie luźniejsza. Tak samo myśleli i inni kierowcy, było więc tam jeszcze ciasniej. Posuwał się teraz w tempie idących chodnikiem. Między domami było już widać biurowiec Thorsena. Dochodziła pierwsza. Dalej była rozgrzebana studzienka kanalizacyjna i tylko jeden pas ruchu. Doturlał się do pierwszej przecznicy i skręcił w nią mimo zakazu. Był już w połowie, gdy z przeciwnej strony wjechała śmieciarka, a za nią po chwili coś jeszcze. Nie było szans na minięcie, bo wzdłuż całej, i tak wąskiej ulicy, samochody parkowały jeden przy drugim. Musiał się wycofać. Dojechał tyłem do zatłoczonej ulicy i czekał, aż ktoś go wpuści. Wściekli kierowcy udawali, że go nie widzą. Śmieciarka napierała od przodu. Wkurzyło go to wreszcie. Wysiadł i podszedł do wlokących się samochodów. Pokazał ręką, że chce wyjechać. Facet w oplu po prostu go ominął. Arne wyciągnął z kieszeni legitymację policyjną i machnął nią następnemu przed szybą. Ten posłał mu jakąś wiąchę, sądząc po wyrazie twarzy, i zrobił dokładnie to samo co tamten. W pierwszej chwili Arne oniemiał. Co jest, do jasnej cholery? Po kolejnej nieudanej próbie wreszcie dotarło do niego, że wygląda raczej jak wariat machający ludziom biletem miesięcznym albo legitymacją inwalidzką niż policjant na służbie. Przypomniawszy sobie, że w samochodzie ma koguta, którego nigdy nie użył. Kiedy nachylił się, żeby otworzyć bagażnik, kątem oka zobaczył na ulicy coś

znajomego. Jakiś znajomy układ liter. Spojrzał uważniej. Grupa przechodniów odsłoniła automat do gazet. Na wystawionej pierwszej stronie „Dagbladet” widniał nagłówek: Co dalej z koncernem Lasse Thorsena? Podeszedł do automatu. Zobaczył zdjęcie mężczyzny na tle płomienia platformy wiertniczej, a niżej krótki tekst: „Właściciel koncernu naftowego zmarł dzisiaj w nocy. Przyczyną śmierci był najprawdopodobniej zawał serca. Znany przemysłowiec zmagał się od dłuższego czasu z zaawansowaną chorobą wieńcową...”.

Przeciągły dźwięk klaksonu śmieciarki oderwał go od gazety. Podbiegł do otwartego bagażnika i wyciągnął koguta. Wsiadł i podłączył go do gniazda zapalniczki. Z tyłu natychmiast zrobiło się miejsce. Wycofał między ustępujące mu samochody. Wszyscy teraz patrzyli na niego, czekając, co zrobi. On jednak oślepił tylko błękitnymi błyskami i siedział, patrząc przed siebie. Miał na imię Lasse – powtarzał w myślach w kółko.

\*

Wszystko straciło sens. Jeszcze przed chwilą jechał po upragnione zwycięstwo, a teraz już tylko spekulował, co ma na swoje usprawiedliwienie. Thorsen pewnie by żył, gdyby on, Arne, nie trząśnię się tak o swoją reputację.

Jazda do biurowca nie miała już sensu. Teraz tam i tak niczego więcej się nie dowie. Przekroczył środkową linię. Samochód jadący z przeciwka zatrzymał się i poczekał, aż wykręci i wjedzie na jego pas ruchu. Musiał wrócić jak najszybciej do hali. Zjeżdżanie do miasta było kompletną głupotą. Przecież widział wczoraj tablicę rozdzielczą i tę dziwną płytkę z elektroniką. Co innego mogło sterować synchroniczną pracą żaluzji, jak nie ta zielona płytka? Kable, na których wisiała, omijały stary, oryginalny system. Przekładniki otwierające żaluzje brały dyspozycje bezpośrednio z jej układów scalonych. Ktoś zaprojektował je w taki sposób, aby z odpowiednią częstotliwością otwierały i zamykały żaluzje. Wentylacja włączała się dla bezpieczeństwa zgodnie ze swoim ustalonym cyklem. Zabójczy program wywołujący infradźwięki mógł być uruchamiany zdalnie, drogą radiową.

Skręcił w przecznice, żeby szybciej znaleźć się na obwodnicy. Kolejnym błędem, który właśnie popełniał, było działanie dalej w pojedynkę. Radiowóz z komisariatu mógł być na miejscu wcześniej, nawet o pół godziny. Sięgnął do kieszeni kurtki po stary telefon. Ledwie go dotknął, wyczuł pod palcami pęknięcia. Telefon miał strzaskany ekran, był zupełnie czarny. Otworzył jedną ręką obudowę, żeby wyjąć kartę, i w tym momencie poczuł dreszcz, a potem falę gorąca. Uświadomił sobie, że gdy wyjmował legitymację z drugiej kieszeni kurtki, nowego telefonu nie wyczuł palcami. Zatrzymał samochód, wysiadł i rozłożył kurtkę na masce. Telefon nie wsunął się za podszewkę, na co miał jeszcze przez moment nadzieję. Sprawdził pod fotelami. Nie było go. Wraz z nim nie było też zdjęć, jedynek dowodów, że coś się rzeczywiście stało. Tym bardziej potrzebował teraz telefonu. Rozejrzał się. Stał naprzeciwko apteki. Kilka starszych osób miarowo oświetlanych niebieskimi błyskami patrzyło na niego przez szybę. Wszedł. Rozmowy przy ladzie ucichły. Legitymacja służbowa została w kurtce na masce samochodu, ale niebieskie błyski chyba dobrze ją zastępowały.

- Coś się stało? Potrzebuje pan opatrunku? – odezwała się jedna z dwóch farmaceutek.
- Nie, nie mam czasu. Potrzebuję zatelefonować.

Drobna dziewczyna spojrzała mu w oczy i podała swój telefon, który wyjęła z kieszeni fartucha. Uśmiechnął się i wziął go do ręki, ale zastygł z nim, oparty o ladę. Nie mógł sobie przypomnieć numeru. Kolejność znajomych cyfr przeskakiwała mu w głowie. Stał tak, czując na

sobie zaciekawione spojrzenia. W aptece nadal panowała cisza.

– Chce pan zadzwonić na pogotowie? – spytała ciepłym głosem dziewczyna.

– Nie, ale... – Nie wiedział, co jej powiedzieć. Cyfry numeru do Ole nadal nie chciały stanąć w szeregu. – Czy mógłbym przełożyć do pani telefonu moją kartę?

Skinęła głową, więc oddał jej telefon i odwrócił się do drzwi. Przy ladzie znów odezwały się głosy. Końcówka numeru ustawiła się sama we właściwym porządku. Cofnął się od progu i wrócił do dziewczyny.

– Przepraszam za zamieszanie. Przypomniałem sobie numer.

Podala mu telefon bez słowa. Naciskając kolejne cyfry, pomyślał o wielkiej dziurze, którą miał na plecach. Ole odebrał po dwóch sygnałach.

– Tu Arne. Posłuchaj mnie uważnie. Weź natychmiast radiowóz i jedźcie do rafinerii. Przerwij to, co robisz, i wyjedź od razu. Ja zaraz tam będę. Wjeżdżajcie główną bramą, bez gadania z ochroną. Możecie wjechać na sygnale. Jedźcie prosto do terminala kolejowego. Po prawej, przy krawędzi urwiska, stoi długa blaszana hala. Prowadzą do niej tory. Pilnujcie, żeby nikt do niej nie wchodził. Jeśli ktoś tam będzie, to go zatrzymajcie. I jeszcze jedno: niech nikt z was nie dzwoni na mój prywatny numer. Na miejscu wam wyjaśnię. Zrozumiałeś wszystko?

– Zrozumiałem.

– No to jedźcie!

– No jedziemy, jedziemy.

Arne oddał dziewczynie telefon.

– Przemyję panu tę ranę na czole – powiedziała. Trzymała w ręku watę i małą butelkę.

Zdjął czapkę i pochylił się nad ladą. Gdy tylko dziewczyna przykleiła plaster, podziękował za pomoc i wybiegł do samochodu.

Po kilkunastu minutach jazdy bocznymi ulicami dotarł wreszcie do obwodnicy.

Nie mając zdjęć, nie miał niczego. Telefon mógł wypaść, gdy przeciskał się pod blachą i kurtka zawinęła mu się na głowę. Prawdopodobieństwo, że znalazł go tam ktoś, kto przyszedł zatrzeć ślady, było zdecydowanie większe niż w złomowisku. Próbował przypomnieć sobie, w którym miejscu mógł się wysunąć, ale w pamięci była tylko ciemność. Ale był jeden moment. Tuż za pionową połówką rury próbował iść na czworakach po kracie z karbowanych prętów zbrojeniowych. Przechyliła się nagle tak, że znalazł się nogami do góry. Jeśli tam wypadł, leży do tej pory. Ale co zrobić, jeśli go tam nie znajdzie?

Mógł już trochę głębiej oddychać, czuł jednak w płucach ukłucia. Może powinien poddać się obdukcji? Próbował przypomnieć sobie, co te cholerne dźwięki spowodowały w płucach Amerykanów. Pęknięcie naczyń krwionośnych albo pęcherzyków płucnych, chyba o czymś takim wspominał Chardin. Jeśli miałby to zrobić, powinien działać zaraz. Do szpitala jednak w żadnym

razie nie mógł jechać w tej chwili. Poza tym nie miał pewności, że w jego płucach coś takiego rzeczywiście się stało. Na rentgenie ani na USG pewnie by to nie wyszło. Musieliby mu zrobić rezonans albo tomografię. Podejrzał, że ból w płucach spowodowany jest bardziej nawdychaniem się pyłu i sproszkowanej rdzy niż oddziaływaniem fali dźwiękowej. A jeśli nawet, to co by mu to dało? W raporcie, który miałby moc uruchomienia prawdziwego śledztwa, musiałyby znaleźć się coś więcej niż opis jego odczuć i badanie lekarskie, w którym raczej nie byłoby napisane, że jest to ewidentny wynik działania infradźwięków. Nikt nie uruchomi śledztwa w sprawie profesorowej Ronstad, już prędzej Thorsena, a on przecież, jak napisano w gazecie, od dawna chorował na serce.

Wyprzedził podjeżdżającą do rafinerii cysternę i przejechał przez główną bramę, korzystając z podniesionego szlabanu. Strażnik popatrzył tylko za nim bezradnie i podszedł do kierowcy cysterny. Betonowa droga dojazdowa prowadziła obok wież rektyfikacyjnych prosto do terminala kolejowego. Otworzył okno i zdjął z dachu lampę. Mimo wszystko nie chciał wywoływać sensacji. Jechał wzdłuż torów, aż znalazł przejazd dla samochodów. Przejechał na drugą stronę i skręcił w prawo, do hali. Już z daleka zobaczył, że obawa przed niepotrzebną sensacją była mocno przesadzona. Obok radiowozu stały dwie samotne postaci. Ole i Młody wyglądali bardziej na przemarzniętych niż przejętych. Naciągnął czapkę na plaster i wysiadł.

– No i co? – spytał, idąc od razu do złomowiska na drugą stronę hali.

– No i nic. Stoimy. – Ole patrzył na jego porozdzierane spodnie z takim wyrazem twarzy, jakby chciał o coś zapytać, ale Arne wstrzymał go gestem.

Gdy wyszedł zza rogu, zobaczył coś, czego nie brał pod uwagę: prawie cały pas złomowiska od strony hali został uprzątnięty. Podbiegł do miejsca, w którym wydostał się z hali. Na ziemi znalazł tylko ślady kół podnośnika. Zamiast starego kontenera na złom obok koparki stał nowy. Ole i Młody przyglądali się Arne uważnie.

– Macie latarkę? – zapytał, zaglądając pod odgiętą blachę.

Młody podał mu latarkę z wyposażenia radiowozu. Nawet nie musiał wchodzić do środka, żeby stwierdzić, że telefonu tu nie ma.

– Ole, zadzwoń na mój prywatny telefon! – krzyknął, leżąc nadal w szparze. Rozległy się ciche piśnięcia wyszukiwanego numeru. Wszyscy trzej nasłuchiwali w skupieniu, ale nie usłyszeli niczego.

– Mówi, że poza zasięgiem albo wyłączony. – Ole podszedł i ukucnął pod ścianą. – Szeffie, o co tu chodzi?

– Wejźmy do środka. Tam też muszę coś sprawdzić. – Wstał i ruszył w stronę wylotu hali. Ole i Młody szli za nim w milczeniu, czując, że na razie niczego się nie dowiedzą. Żałował teraz, że ich tu ściągnął. Nie mając żadnego dowodu, nie chciał nikomu opowiadać tej całej historii.

Podejrzanie, że Thorsen został zamordowany, i to w tak szczególny sposób, rozprzestrzeniłoby się natychmiast, ale jedynie jako sensacyjna plotka.

Doszli do końca hali.

– Wy zamykaliście te wrota?

– Nie, były zamknięte. Nie wchodziliśmy do środka. Jeśli tam ktoś miał być, to siedzi nadal.

Nikt nie wychodził.

– Dobra, otwieramy – powiedział Arne i złapał za metalowe uchwyty. Młody pomógł mu odciągnąć skrzydło stalowych drzwi. Weszli do środka. Arne zapalił latarkę.

– O w mordę! Ale długie! – zabrzmiał powielony echem spontaniczny komentarz Młodego.

Co prawda drzwi mogli zamknąć robotnicy pracujący przy złomie, ale raczej mało prawdopodobne, żeby zrobili to z własnej inicjatywy. Odpowiedź była w skrzynce rozdzielczej.

Doszli w milczeniu do szczeliny pod ścianą.

– Zadzwoni jeszcze raz – powiedział Arne.

Oprócz pisków klawiatury nie usłyszeli niczego. Ale to nic nie znaczyło. Telefon mógł gdzieś tu leżeć z rozładowaną baterią. Metr za metrem Arne oglądał drogę, którą półprzytomny pokonał tu w nocy. Coś przed nim błysnęło. Przy szynie leżała latarka. To, że nikt jej nie zauważył, oznaczało, że i jego obecność najprawdopodobniej nie została odkryta. Świeciła jeszcze pewnie kilka godzin po jego ucieczce, więc ktoś musiał być tu później, pewnie dopiero rano. Podniósł latarkę i podszedł do skrzynki. Podał Młodemu obie latarki i wyjął z kieszeni scyzoryk. Wkręty zostały dokręcone o wiele mocniej, niż on to zrobił w pośpiechu. Starając się w miarę możliwości nie zatrzeć ani nie zostawić śladów, odkręcił pokrywę i odstawił na bok. Ole i Młody pochylili się, widząc rzędy oplecionych kablami przekaźników. Nie musiał zaglądać głębiej – spod obudowy starego układu sterowania nie wystawały żadne kabelki. Nigdzie nie było zielonej płytki z układami scalonymi na złotych obwodach. Miał przed sobą prawdziwy, niezaprzeczalny dowód. Thorsen został zamordowany. Prawdziwy i niezaprzeczalny był jednak tylko dla niego. Teraz dopiero uprzytomnił sobie, co to oznacza. Mordercy mogli wiedzieć, że on, Arne, szuka tu czegoś. Przychodził tu wiele razy i rozmawiał z ludźmi. O jego podejrzaniach wiedział dyrektor techniczny rafinerii i ten krasnal z kontroli.

W tej chwili jego samochód i radiowóz stały przed halą. Mogli znaleźć telefon i zdjęcia.

A on nie latał do pracy śmigłowcem z obstawą, chodził sam ciemnymi ulicami.

– I co tu jest, szefie? – usłyszał za plecami głos Ole.

Odwrócił się i przetarł twarz ręką.

– Przesadziłem, wzywając was tutaj. Były pewne podejrzania, że ta hala nie działa tak, jak powinna. Że jej system wentylacji wytwarza zakłócenia, które mogły być źródłem tych alarmów. – Ole uśmiechnął się nieznacznie i kiwnął głową. – Facet, który miał to sprawdzić, totalnie mnie

wkurzył. Umawiał się ze mną trzy razy i nie przychodził. Chciałem go trochę przestraszyć.

– I dzisiaj też nie przyszedł? – Wyglądało, że Ole jakoś łyka tę bzdurę.

– Przyszedł. Musiał być wcześniej. Zrobił to, co obiecał. Dlatego tutaj zajrzałem.

Ole pokiwał głową już bardziej zdecydowanie, ale sprawiał wrażenie, jakby o coś jeszcze chciał zapytać. Zanim zdążył to zrobić, Arne odwrócił się, podniósł pokrywę i zaczął ją dokręcać.

– Dobra, możemy iść.

Wstał i ruszył w stronę wylotu.

Przeszli w milczeniu prawie całą halę.

– Trochę przesadziłem, to prawda, ale jedno ci powiem: od dzisiaj nie będzie już tych fałszywych alarmów.

– Naprawdę ta hala tak na wszystko działała? – Ole spojrzał na niego zdziwiony.

– Tak mi się wydaje.

Wyszli na zewnątrz.

– To mogę powiedzieć temu facetowi, że już nie będzie mógł się zakładać? – Młody uśmiechnął się, domykając wrota.

– Wstrzymaj się kilka dni, żeby nie zapeszyć.

– Ale powiedz mi... – zaczął Ole i przerwał, widząc, że Arne daje mu gestem do zrozumienia, że porozmawiają później.

\*



Podeszli do samochodów. W okolicy nie było nikogo. Robotnicy pracujący przy złomie musieli mieć przerwę. Młody wsiadł do radiowozu i uruchomił silnik.

– Nie chciałem przy Młodym – zaczął ciszej Arne. – Wiem, o co chcesz spytać. – Wskazał ręką na spodnie. – Miałem wczoraj bliższe spotkanie z tym złodem. Byłem kompletnie uchłany i czałem się tutaj. Coś mi odbiło, chyba zresztą wiesz w związku z czym. Kilka dni temu rozstałem się z Liv i trochę mnie to rozwaliło. Jutro oficjalnie wracam z urlopu.

– Okej. To już trochę zaczynam rozumieć. Bo przyznaję, że miałem problem z połączeniem tej historii z halą i tym zgubionym telefonem. – Ole wydawał się usatysfakcjonowany tłumaczeniem, ale coś jeszcze chyba go niepokoiło. – A ten facet, w jakim jest stanie?

– Spotkałem się sam na sam ze złodem. Spokojnie, facet jest cały.

– Twój kot pytał o ciebie – powiedział Ole, wsiadając do radiowozu.

– Dzięki za wszystko. Dzisiaj wieczorem przyjadę po niego. – Uśmiechnął się i klepnął w dach, gdy odjeżdżali. Radiowóz zniknął za pociągiem cystern.

Stał przy mercedesie i próbował myśleć. Sytuacja zmieniła się dość zasadniczo. On nie miał nic poza pewnością, że było to morderstwo, a mordercy wiedzieli, że wie o tym tylko on. Jeszcze wczoraj jego wyobrażeni mordercy jawili się jako techniczna obsługa tajemniczej i groźnej maszyny. Kręcili się jak szare myszki przy potężnej, siejącej niesłyszalną śmierć rurze. Teraz stali się grupą gotowych do kolejnego zabójstwa niewidzialnych agentów. Brzmiało to i może naiwnie, ale niestety groźnie. To nie był jeden człowiek, który umknął policji i robi wszystko, żeby wszelki ślad po nim zaginął. To była organizacja świadoma swej siły i przewagi, zdeterminowana działać do końca.

Wsiadł do samochodu i ruszył wolno w stronę głównej bramy. Przyłapał się na tym, że zerka na boki i co chwila patrzy w lusterko. Wyjechał na szosę.

Wszystko przebiegło zbyt szybko, żeby mógł to ogarnąć. W gruncie rzeczy nie potrafił nawet określić, w jakim właściwie jest stanie. W głębi duszy przygotowywał się na to, że w momencie gdy brak dowodów stanie się faktem, będzie musiał pogodzić się ze swą bezsilnością i wrócić do prozy życia. Zdawał sobie doskonale sprawę, jak jego wyobrażenia buduje wizje, których nastrojów determinuje wszelkie działanie. Budowała zdecydowanie za szybko, ale z drugiej strony właśnie dzięki tym wizjom wykrył to morderstwo.

Zwolnił, dojeżdżając do obwodnicy. W lusterku zbliżała się do niego cysterna. Miał wrażenie, że widział ją już za sobą, gdy wyjeżdżał na szosę z drogi dojazdowej do rafinerii.

Załóżmy, myślał, że telefon ze zdjęciami odjechał do huty w kontenerze ze złomem. Było mało prawdopodobne, żeby sprawcy podejrzewali go o posiadanie prawdziwie zagrażającej im wiedzy. Jeśli nawet ktoś go tam widział i dowiedział się, że spowodował kontrolę techniczną hali, nie znaczyło to nic innego jak tylko to, że zauważył efekty uboczne ich działalności. Musieliby śledzić go od dawna, żeby postrzegać go jako prawdziwe niebezpieczeństwo. Nie oplącałoby im się organizować kolejnego morderstwa, ryzykować śledztwo. Upozorowanie wypadku miało jednak w sobie sporo ryzyka.

Zbliżał się zjazd do centrum. Cysterna wciąż trzymała się dwa samochody za nim. Minął zjazd i przyspieszył. Postanowił zjechać następnym. Na łuku, gdy znowu zwolnił, obejrzał się. Została na obwodnicy.

Jego komputer nie powinien stać w domu profesorowej. Postanowił pojechać po niego. Nie zauważył, żeby ktoś siedział mu na ogonie. Nie bardzo wierzył, że ktoś teraz naprawdę może go śledzić, mimo to ciągle zerkał w lusterko.

Erlends vei była jak zwykle ponura i pusta. W oddali parkowały tylko dwa samochody. Zatrzymał się kawałek dalej, po drugiej stronie ulicy, wziął klucze i wysiadł z samochodu. Cofnął się jednak i sięgnął po pistolet. Wetknął go, jak poprzednio, za pasek z tyłu i przykrył pokiereszowaną kurtką. Powinien jak najszybciej pojechać do domu się przebrać. Niepotrzebnie zwracał na siebie uwagę. Rozejrzał się. Na ulicy nie było nikogo. Otworzył furtkę, a potem oba zamki w drzwiach i wszedł do ciemnego domu. Znajomy zapach przypomniał mu chwile przedziwnej grozy, jaką tu przeżył. Minął kuchnię z tykającym zegarem i wszedł do salonu. Światło latarni jak zwykle docierało jedynie do krawędzi dywanu. Poczuł, jak cierpnie mu skóra na karku. Nic nie podświetlało zasłony od dołu. Zanim dotarł do lampy przy stoliku z telefonem, trzymał już w ręku pistolet. Gdy włączył światło, zobaczył swój komputer. Ekran był ciemny, ale stał chyba w tym samym miejscu. Odetchnął głęboko i pomyślał, że coś musi z tym zrobić. Nie mógł pozwolić zaszczuć się własnej wyobraźni. Po co ktoś miałby tutaj przychodzić? Nikt nigdy nie szedł ani nie jechał tu za nim. Rozejrzał się po salonie. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak jak poprzednio. Kawałki potłuczonej porcelany nadal leżały pod etażerką, tak samo odsuniętą od kanapy. Podeszedł do komputera i nacisnął pierwszy lepszy klawisz. Nic się nie stało, ekran pozostał ciemny. Przedłużacz tkwił w gniazdku, kabel zasilacza był podłączony. Nacisnął „power”. Po chwili system się uruchomił. Nie było żadnego zwarcia, ktoś musiał go wyłączyć. Jeśli była to akcja mająca na celu sprawdzenie, do kogo należy, robiłby to profesjonalista i zostawił go w stanie takim, w jakim zastał. Mógł też po prostu przegrzać się procesor i przed wyłączeniem wydać polecenie prawidłowego zamknięcia systemu. Książki, które ustawił tuż przy wylocie wentylatora, mogły się do tego przyczynić. Odłączył przedłużacz i zamknął ekran laptopa. Szpilka w zasłonie tkwiła na swoim miejscu.

O co chodzi, do jasnej cholery – pomyślał. Przecież musieliby tu się włamać, tylko on miał klucze. Naprawdę nietrudno było sprawdzić, kim jest i gdzie mieszka. Nie musieliby węszyć aż tutaj.

Zwinął komputer, zamknął dom i wyszedł na ulicę. Minął go jakiś mężczyzna w płaszczu i czapce z nasznikami. Odwrócił się i patrzył, jak Arne zamyka kluczem furtkę. Potem zatrzymał się i obserwował, jak wsiada do samochodu. Arne włączył silnik i zastanawiał się, czy nie poczekać, żeby sprawdzić, dokąd ten facet pójdzie. To mógł być sąsiad, którego zaciekawiło, że wychodzi z domu profesorskiej, albo cholera wie kto, ktoś, komu wydał się podejrzany jego łachmaniarski wygląd. Odczekał chwilę, ale zdecydował nie poddawać się paranoi. Ruszył i skręcił w najbliższą przecznicę. Stan, w którym się znajdował, był dla niego czymś zupełnie nowym. Poza dzieciństwem, kiedy to zdarzało mu się obawiać przejść samemu ulicą kontrolowaną przez chłopaków z innej dzielnicy, nigdy nie czuł się fizycznie zagrożony. W tej chwili nic oprócz jego własnych wyobrażeń nie wskazywało na to, żeby ktoś mu zagrażał, mimo to nie mógł myśleć o niczym innym. Najgorsze było to, że nie wiedział absolutnie nic o tych ludziach. Ilu ich jest, jakiej są narodowości, jak bardzo są zdeterminowani albo raczej jak bardzo bezkarni się czują. Czy są to ludzie wpływowi? Nie miał żadnego pojęcia o wielkim biznesie. Mógł snuć jedynie naiwne wyobrażenia zaczerpnięte z filmów. Wiedział, że korporacje naftowe potrafiły w przeszłości doprowadzać do wojen i przewrotów państwowych.

Znalazł wolne miejsce niedaleko domu. Wysiadł i zasłaniając się drzwiami, wsunął pistolet za pasek. Zastanawiał się, co ma z nim zrobić jutro i przez najbliższe dni. Nie wyobrażał sobie chodzenia w tej chwili bez broni. Kaburę pod marynarką natychmiast zauważą w komisariacie. Poza tym prawie nigdy nie nosił marynarki. Dobrym rozwiązaniem byłaby jakaś teczka, ale teczki też nigdy nie nosił. Schylił się po kabel zasilacza, który rozwinął się i ciągnął po chodniku. Podnosząc wzrok, spostrzegł coś, co podobnie jak nagłówek w dzisiejszej gazecie wydało mu się znajome. Po drugiej stronie ulicy stała zaparkowana szara furgonetka z przyciemnionymi szybami. Podobną albo taką samą widział na parkingu przed administracją rafinerii. Nigdy specjalnie nie przyglądał się zaparkowanym w sąsiedztwie samochodom, ale był niemal pewny, że nikt nie jeździł tu furgonetką. Nie miała żadnych oznaczeń ani firmowych napisów. Rejestracja była miejscowa. Wchodząc po schodach, nie mógł opędzić się od myśli, że ktoś na niego czeka w mieszkaniu. Przed drzwiami stanął i zaczął nasłuchiwać. Jeśli czekali na niego, to wiedzieli, że jest po drugiej stronie, podsłuchiwanie nie miało więc żadnego sensu. Zamek starego typu mogli otworzyć bez trudu. Jak wejdzie, nie będzie miał żadnych szans. Ciche otwieranie zamka i wpadanie z bronią gotową do strzału nie zmieni niczego. Zostanie zabity. Jeśli nie na miejscu, to wywozą go i utopiają w basenie portowym. To wszystko był jakiś idiotyzm. Miał niemal stuprocentową pewność, że nikogo tam nie ma. Niemal znaczyło jednak w tej sytuacji zbyt wiele, żeby po prostu wejść i zapalić światło.

Trzymał klucz w ręku i wahał się. Ale musiał coś zrobić. Nie mógł przecież odejść i czekać przez noc w samochodzie, aż zmniejszą się jego obawy. Myśl o ewentualnej śmierci czyhającej za drzwiami nie pozwalała mu jednak ruszyć się również do przodu.

Stał tak i kontemplował ten przedziwny stan zawieszenia. Sąsiednie mieszkanie zajmowała emerytowana nauczycielka. Mógł zadzwonić do jej drzwi pod jakimś pretekstem. Znali się dobrze. To ona oddała mu kota, kiedy okazało się, że jest uczulona na sierść. Mógł, rozmawiając z nią głośno, otworzyć zamek i... i co dalej? Nagle po prostu przekręcił klucz i pociągnął za klamkę. Stał jeszcze chwilę, patrząc w ciemny przedpokój, po czym wszedł i zapalił światło. Dopiero na środku salonu, w którym oczywiście nikogo nie było, uświadomił sobie, że nawet nie wyciągnął broni. Korzystając z tego głupiego i zaskakującego przyływu odwagi, zapalił światło w sypialni, łazience i kuchni. Zamykając drzwi – jednak na oba zamki – pomyślał, że zamiast urządzać taką iluminację, powinien raczej poobserwować trochę tę furgonetkę z ciemnego mieszkania, pozostając niewidocznym z zewnątrz. Na razie postanowił nie podchodzić do okna. Włączył komputer i wszedł w policyjny rejestr numerów samochodowych. Szara furgonetka należała do wypożyczalni samochodów. Nikt jej nie ukradł. Oznaczało to, że w tej chwili jest kompletnie anonimowa. Nie chciał na razie oficjalnie dowiadywać się, kto ją wypożyczył. Jeśli to oni, dokumenty i tak na pewno były fałszywe. Pogasił światła i przysunął się z boku do okna. Stała tam nadal. Podszedł do łazienki i wreszcie zrzucił z siebie ubranie. Trzymając w ręku pistolet, zastanawiał się, gdzie go położyć, kiedy będzie brał prysznic. Na palce nie, bo dawało to tyle samo, co pozostawienie go gdziekolwiek w mieszkaniu. W końcu ułożył pistolet na kranie i odkręcił wodę. Gorący strumień sprawił, że mięśnie zaczęły się rozluźniać. Poczul, jak bardzo jest zmęczony. Po kilku minutach nie miał już siły stać. Usiadł i oparł się o ścianę. Mieszanka triumfu i bezsilności nie dawała się złożyć w jedno konkretne uczucie. Dodatek strachu o życie spowodował, że dosłownie co moment przenikały go zupełnie przeciwstawne emocje. Przez najbliższych kilka dni wszystko powinno się wyjaśnić. Jeśli zacznie się dziać coś naprawdę niepokojącego, będzie musiał napisać raport i mimo braku dowodów spróbować uruchomić śledztwo dające mu jakieś minimum ochrony. Wydawało się logiczne, że jeśli mordercy dowiedzą się o prowadzonym śledztwie, a tym samym uzyskają świadomość, że więcej osób wie już to samo co on, dojdą do równie logicznego wniosku, że sprzątnięcie go nic im nie da. Wręcz przeciwnie, ich istnienie zostanie potwierdzone. Jeśli sprawa rozeszłaby się po wyższych instancjach policji, istniała duża szansa, że będą o tym wiedzieć. W skrajnym przypadku zagrożenia mógł ostatecznie swoje podejrzenia opublikować w prasie. Byłby to co prawda koniec jego kariery w policji, ale może uratowałby życie. Tak czy inaczej, jak najszybciej musiał napisać raport. Precyzyjna relacja o wszystkim, czego doświadczył, była warunkiem koniecznym obu opcji. Sięgnął nad głowę, żeby zakręcić wodę. Pistolet z przeraźliwym łomotem spadł do brodzika, odbijając kawał emalii.



Była czwarta nad ranem, kiedy skończył pisać coś, co w zasadzie mogło uchodzić za raport. Aby nadać mu większą siłę przekonywania, powinien oprócz dokładniejszej chronologii wydarzeń wprowadzić jeszcze porównanie raportów firm ochroniarskich wyjeżdżających do niewyjaśnionych alarmów z datami pobytów Lasse Thorsena w swoim apartamencie. W jego sytuacji zdobycie tych informacji bez wywołania plotek wydawało się nierealne. Poza tym zintensyfikowałyby to działania morderców. Tę konkluzję również umieścił w raporcie i cały tekst przesłał na swój prywatny adres mejlowy.

Podszedł do okna i spojrzął na furgonetkę. Stała w tym samym miejscu, pokryta kroplami deszczu. Mieniły się w świetle latarni. Napięcie związane z nią jakoś jednak zelżało. Jeśli ktoś naprawdę w niej siedział, musiał być wykończony nie mniej niż on sam. Powlókł się do sypialni i padł bezwładnie na łóżko. Zanim zasnął, mając przy sobie pistolecie, który zamiast na stole w salonie powinien raczej leżeć pod jego poduszką, ale uznał z ulgą, że niewiele to zmienia.

\*

Za oknem było nieco jaśniej, niż kiedy zasypiał. Nie miał telefonu, więc nie wiedział, która jest godzina. Mógł być świt albo popołudnie. Wstał i podszedł do komputera. Zegar na ekranie wyświetlał czternastą osiemnaście. Furgonetka ciągle parkowała po przeciwnej stronie ulicy. Zauważył, że szyba jest trochę opuszczona i przez szparę ktoś wydmuchuje dym z papierosa. Wyglądało, że na coś tu czeka. Arne odstawił zrolowany dywan i wy dostał z szafy nowe ubranie. Przyszedł moment na decyzję, co zrobić z pistoletem. Przypomnił sobie, że ma jeszcze jedną kurtkę. Nie lubił jej, bo była nieco za długa i uważał, że wygląda w niej jak emeryt. Ale miała dużo głębokich kieszeni i pistolet bez problemu można było w jednej z nich schować. Wyciągnął ją z najwyższej półki i przymierzył. Lustro na wewnętrznej stronie drzwi szafy potwierdziło jego dawne uprzedzenia. Wyglądał trochę ciamajdowato, ale trudno. Kawę postanowił wypić w komisariacie; miał nadzieję, że znajdzie tam też coś do jedzenia. Zabrał laptopa i wyszedł z mieszkania. Mrożona szyba w drzwiach frontowych nie pozwalała zobaczyć, co dzieje się na ulicy. Uznał, że bezpieczniej będzie skorzystać z tylnych drzwi prowadzących na małe podwórko. Można było z niego wydostać się na ulicę, obchodząc budynek z boku. Miał teraz furgonetkę przed sobą, stała tyłem do niego. Wyglądał zupełnie inaczej niż wczoraj, na głowie miał czapkę z daszkiem, a kurtka zmieniała sylwetkę dość radykalnie, przynajmniej w jego mniemaniu. Jeśli pilnowali drzwi frontowych, a w lusterkach mieli pod kontrolą samochód, mogli go nie rozpoznać, gdy przejdzie obok chodnikiem. Minął swojego mercedesa. Trzymał przed sobą laptopa, a za nim dłoń na rękojeści pistoletu w wewnętrznej kieszeni kurtki. Okno od strony pasażera też było nieco opuszczone. Przyciemniane szyby nie pozwalały jednak w lusterku dostrzec, kto siedzi w środku. Arne przesunął kciukiem bezpiecznik nad spustem i przeszedł obok furgonetki. Usłyszał tylko jedno zdanie:

– Zrobiłeś dokładnie to samo, co wczoraj, potraktowałeś ją jak idiotkę!

W środku najwyraźniej toczyła się awantura. Nie dbając już o zachowanie pozorów, Arne zrobił w tył zwrot i ruszył do samochodu. Poczuł ulgę, ale też trochę złości i rozczarowania. Wspomnienie wieczornego przedstawienia przed własnymi drzwiami uzmysłowiło mu, do jakiego stopnia nie panuje nad sytuacją. Wsiadł do samochodu, odłożył zabezpieczony pistolet do schowka i ruszył, nie patrząc już za siebie w lusterka.

Gdy parkował przed komisariatem, znów ogarnęła go wściekłość. Będzie musiał teraz lawirować w rozmowach, udzielać wykrętnych odpowiedzi na pozornie obojętne pytania, odgrywać, że wszystko jest po staremu, czyli wypełniać kretyńskie druczki i udawać, że nuda to

jego największy problem. Wszedł i machnął ręką do dyżurującego Młodego, który na jego widok rozpromienił się i już nabierał powietrza, żeby właśnie zadać jedno z tych pytań, ale zdążył mu umknąć na schody.

– No, dzień dobry – powiedziała pani Nygaard, kiedy stanął w drzwiach sekretariatu. Oderwała wzrok od ekranu, ale nie zdjęła okularów. Patrzyła ponad nimi jak nauczycielka na ucznia, który znów spóźnił się do szkoły. – Nie wygląda pan za dobrze po tym urlopie.

– Miałem trochę prywatnych problemów, a dzisiaj jeszcze trochę spraw do pozalátwiania. Idę do kuchni, nie piłem kawy od rana.

– To dobrze, że już pan pozalátwiał – powiedziała pani Nygaard.

W kuchni na szczęście nie było nikogo. W lodówce znalazł pomidora, puszkę kukurydzy i parę plasterków szynki. Wypadało zapytać. To było czyjeś drugie śniadanie. Ole i Gerd siedzieli w swoim pokoju. Po drodze włączył ekspres i podstawił największy kubek, jaki znalazł.

– Cześć, chłopaki. – Wetknął głowę przez uchylone drzwi. – Mogę zjeść to wszystko, co jest w lodówce?

– No jasne, jedz! – krzyknął Gerd, nim Arne zdążył dodać, że nic od wczoraj rano nie jadł. Ewidentnie traktowali go jak chorego, któremu wszystko wolno. Ole musiał już coś naopowiadać Gerdowi. Arne miał nadzieję, że wszystko poszło na karb afery z Liv, a nie jego bzika. Wrócił do kuchni z gorącą kawą i zjadł w kilka minut wszystko. Uzupelniał kubek następną porcją kawy i usiadł za swoim biurkiem. W planie wiszącym na ścianie tkwiły nietknięte dziesiątki jego kolorowych szpilek. Zanim otworzył komputer, podszedł i wyjął je wszystkie. Wiedział, że znak zostanie zauważony: z obsesją alarmową definitywny koniec. Pozbierał porozrzucone w różnych miejscach pokoju raporty o alarmach i zabrał się do ich segregowania. Układał je chronologicznie i jeszcze raz odcedzał te, które naprawdę nie miały żadnego wyjaśnienia. Nawet bez dat lądowania Thorsena zwiększały wagę jego raportu. Błogosławił plotki o rozstaniu z Liv. Nikt nie zaglądał do jego pokoju, nie głądził o kaloryferze ani nie próbował się czegoś dowiedzieć. W tej chwili Arne najbardziej obawiał się pytań technicznych. Szczególnie o to, jakim sposobem hala wzbudzała alarmy? Wykręcanie się jakimiś wibracjami czy zakłóceniami elektrycznymi nie zostałyby przełknięte tak łatwo, zwłaszcza przez Gerda, miłośnika sensacji i wszelkich technik niszczenia.

Przeczytał jeszcze raz to, co napisał w nocy. To była jednak opowieść w stylu Gerda. Mało prawdopodobne, aby ktoś na podstawie tych domniemań i opisów doznań zarządził śledztwo. Zastanawiał się, jak zdobyć daty pobytów Thorsena w biurowcu, kiedy usłyszał przez drzwi głos pani Nygaard:

– Panie Hilmen. Był przed chwilą jakiś człowiek z rafinerii, przyniósł pański telefon.

Zerwał się zza biurka i dopadł do okna w pokoju Gerda i Ole. Zobaczył trochę rudych włosów wystających spod kasku. Młody, tęgi robotnik, który wtedy patrzył na niego przy



złomowisku, wsiadał właśnie na skuter. Zasłonił go niemal w całości swoim ogromnym ciałem i odjechał z nieproporcjonalnie niepoważnym warkotem. Arne wyszedł na korytarz, zamierzając zejść na dół, ale pani Nygaard wręczyła mu jego telefon. Unikając jej pytającego spojrzenia, wycofał się do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Ekran był czarny i porysowany, obudowa mocno poharatana. Wyciągnął z szuflady ładowarkę i podłączył do telefonu. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Nagle jednak wyświetliło się zapytanie o PIN. Gdy go wprowadził, urządzenie ożyło. Wszedł w folder fotograficzny. Na ekranie pojawiły się jego zdjęcia. Miał dowody, a mordercy o tym nie wiedzieli! Szansa, że w ogóle o nim nie wiedzą, stawała się bardziej realna. Przesłał zdjęcia do komputera i wyświetlił na dużym ekranie. Drugie było trochę nieostre. Przypomniawszy sobie, jak zachwiał się, robiąc zbliżenie. Na pierwszym widać było, w jaki sposób płytka jest podłączona, ale sama była niestety dość mała. Wątpliwości przygasiły falę entuzjazmu. Żałował, że nie zrobił dużego zbliżenia płytki z obu stron. Rozszyfrowanie funkcji obwodów drukowanych na podstawie samego wyglądu było chyba niemożliwe, ale musieli istnieć jacyś eksperci od elektroniki, którzy mogliby coś o tym układzie powiedzieć. Pierwszą osobą, która przyszła mu na myśl, był ten facet od kontroli technicznej, z rafinerii. Ten człowieczek o wyglądzie krasnala może nie był ekspertem, ale z pewnością wiedział, do kogo się zwrócić. Skopiował zdjęcia na przenośną pamięć i włożył kurtkę.

– Już wychodzisz? – spytał Ole, gdy przechodził przed jego drzwiami. Nie chciał znów sprawić wrażenia, że biega w jakichś dziwacznych sprawach po mieście, ale nie miał pojęcia, co mu powiedzieć teraz. W zasadzie, mając raport i zdjęcia, mógł im już wszystko wyjaśnić. Postanowił jednak poczekać z tym do przeprowadzenia ekspertyz.

– Przyjadę dzisiaj wieczorem po kota. Głupio mi, że tak długo to trwało – powiedział, mając nadzieję, że to jakoś oddali sprawę. Zwykle mówili sobie, dokąd wychodzą.

– Przyjedź, on chyba tęskni za tobą. Nawet tego swojego granulatu z fioletowej torby nie zre za bardzo.

– Przyjadę na pewno. – Spojrzał na Ole ze skrucą i zbiegł ze schodów. Nie podejrzewał tego czarnego kosmatego potwora o jakiegokolwiek uczucia. Zwykle robił wrażenie lekko obrażonego i przejawiał potrzebę kontaktu tylko w związku z nasypaniem mu jego ulubionych kulek do miski. Chociaż ta ocena była trochę niesprawiedliwa. Usadawiał się na nim dość często i dręczył wbijaniem pazurów.

\*

Dochodziła szesnasta, kiedy wysiadł z samochodu na parkingu rafinerii. Zastanawiał się, czy tym razem nie wejść przez główne drzwi budynku administracji i nie spytać, jak dojść do działu kontroli technicznej. Nie chciał jednak wdawać się w historie z przepustkami. Wolał na razie poruszać się w miarę możliwości anonimowo. Swoją drogą było to trochę dziwne, że właściwie każdy mógł wejść na teren rafinerii. Co prawda główne instalacje ogrodzone były wysokim płotem z gęstej siatki i tam już tak łatwo by się nie dostał. Ominął budynek swoją zwykłą drogą. Pamiętał, że za stacją zaworów stało kilka niskich baraków. Tam na pewno ktoś będzie coś wiedział. Znowu zaczynało padać. Nie pamiętał, żeby kiedy tu był, nie lało. Ta kurtka przynajmniej miała tę przewagę nad starą, że nie nasiąkała tak łatwo. Pod wiatą w świetle lampy sodowej pracowało przy zaworach dwóch robotników. Podeszedł do nich i spytał, jak iść do wydziału kontroli technicznej. Pokazali mu ostatni, najdłuższy z baraków.

Od kiedy odzyskał zdjęcia, czuł się o wiele pewniej. Zdał sobie jednak sprawę, że teraz właśnie ma zamiar je pokazać i ktoś już o nich się dowie. Czyli robił coś, czego przez ostatnią dobę tak bardzo się obawiał. Ujawniał się jako jedyny świadek, mający na dodatek dowody. Zatrzymał się kilka metrów przed drzwiami. Z sześciu okien w trzech paliło się światło. Wahał się, czy wejść. Może lepiej byłoby pokazać zdjęcia specjalistom spoza rafinerii. Niewątpliwie byłoby bezpieczniej, tyle że człowiek, z którym robił pomiary, wiedział o tablicy rozdzielczej na pewno zdecydowanie więcej niż ktokolwiek z zewnątrz. To było stosunkowo stare i nietypowe urządzenie. Prędej czy później zdjęcia i tak dotarłyby do tego miejsca.

Drzwi otworzyły się i z baraku wyszli dwaj mężczyźni, zapinając w pośpiechu żółte kurtki. Przeklinając deszcz, wsiedli do małej furgonetki i odjechali, nie spojrzawszy nawet na niego. Podeszedł bliżej i pozostając poza padającym światłem, zajrzał przez okno do środka. To chyba był krasnal. Siedział tyłem do okna przy długim stole zastawionym narzędziami i miernikami różnego rodzaju. Przepisywał coś z notatnika do komputera. To był właściwy moment. Arne zapukał i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

– Pamięta mnie pan? Arne Hilmen z komisariatu przy Nissens gate.

Facet odwrócił się i kiwnął głową, przymykając oczy – to musiało być u niego formą wyrażenia akceptacji, bo na brodatej, zaczerwienionej najprawdopodobniej nie tylko od wiatru twarzy pozostał uśmiech.

– Pamiętam. Jarle Haugland. Coś nie tak z tym raportem? – Nie wstając z krzesła, wyciągnął do Arne rękę.

– Nie czytałem go, ale podejrzewam, że chyba trochę nie tak. – Usiadł na krześle, które Jarle wysunął spod stołu. – Hala nie działa zgodnie z normami. Zdarza jej się wytwarzać bardzo silne drgania akustyczne niskich częstotliwości.

Na twarzy Jarle pojawiło się zdumienie.

– Ktoś to mierzył?

– Nie. Ja byłem tego świadkiem. Prawdę mówiąc, ledwie uszedłem z życiem.

Oczy Jarle rozszerzyły się jeszcze bardziej, a potem zwężyły, jakby starał się coś zrozumieć albo sobie przypomnieć. Patrzyli na siebie w milczeniu. Technik pierwszy odwrócił wzrok i zaczął nerwowo przeszukiwać nim stół. Arne poszedł jego śladem. Spod notatnika leżącego na parapecie wystawał mały kawałek zielonej płytki. Haugland prześlizgnął się po nim obojętnym spojrzeniem i dalej szukał czegoś między kablami i sprzętem pomiarowym. Arne powoli sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i objął dłonią rękojeść pistoletu. Czegoś takiego nie brał jednak pod uwagę. Jarle Haugland wiedział, co się dzieje, i brał w tym udział.

– Ale jak to ledwie uszedł pan z życiem? – powiedział nagle z przejęciem i nawet jakby troską.

– No, po prostu o mało mi płuc nie rozwalilo.

– Ale kiedy to było?

– Przedwczoraj w nocy.

Haugland znów próbował coś sobie przypomnieć. Arne sięgnął do drugiej kieszeni i podał mu kartę pamięci.

– Niech pan to otworzy.

Technik bez słowa włożył ją do gniazda komputera. Obaj w milczeniu czekali, aż ekran pokaże pliki.

– Poznaje pan to? – spytał Arne, kiedy ukazało się pierwsze zdjęcie.

– No, poznaję. Tablica sterowania w hali – powiedział Haugland, najwyraźniej nadal nie rozumiejąc, po co to ogląda.

– A to też pan poznaje? – Arne pokazał palcem płytkę wiszącą na drutach.

– Sam to zrobiłem, to poznaję.

– Do czego ona służy? – zapytał Arne.

– To jest obejście starego systemu. Wyloty nie otwierały się we właściwej kolejności. Zamówiliśmy układ kontrolujący i założyłem go. Sam pan widział, że wszystko działało.

– Kiedy pan go założył?

– Jakies trzy miesiące temu. Powietrze musi być wydmuchiwane z hali od jednego końca do drugiego. Dlatego najpierw otwierają się żaluzje na początku, a potem kolejne, do wylotu, żeby był przepływ powietrza. Otwierały się, jak chciały, szczególnie jak była wilgoć, coś tam nie stykało

albo właśnie stykało.

– To dlaczego płytka zniknęła?

Odpowiedź na to pytanie i tak nie miała już większego znaczenia. Po wyrafinowanej zbrodni na Lasse Thorsenie nie został już nawet ślad.

– Nie zniknęła, zdjąłem ją, żeby sprawdzić, bo pan przyszedł i powiedział, że coś źle działa. Wszystko było w porządku, przynajmniej tak mi się wydawało. Nie mam jej tutaj, bo chyba wrzuciłem do samochodu, żeby jutro zamontować. Koledzy odjechali, tak bym panu pokazał.

– A to? – Arne wskazał na kawałek wystającej spod notatnika płytki.

Haugland pochylił się i wyciągnął zielony prostokąt. Był o wiele dłuższy niż ten na zdjęciu.

– To jest co innego. Naprawialiśmy rejestrator ciśnienia.

– W takim razie ta pańska płytka też nie lubi wilgoci. Wtedy w nocy lało. Żaluzje otwierały się jak oszalale i powietrze weszło w rezonans.

– Nie wiem, co mam panu powiedzieć, przedtem działało. – Technik patrzył bezradnie na zdjęcie.

– To pan zamknął wrota hali, kiedy demontował płytkę?

– Kazałem zamknąć robotnikom. Nie wiem, po jaką cholere ktoś je znowu otworzył.

– Jak pan ją jeszcze raz sprawdzi, to proszę do mnie zadzwonić. – Arne położył na stole swoją wizytówkę i wstał.

Krasnal pokiwał głową i zaraz nią pokręcił, tak jakby ciągle nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

\*

Cała zawartość miski została zjedzona. Mimo to miał wrażenie, że kot patrzy na niego z wyrzutem. Niedomalowana ściana, zaschnięty wałek, obrażony kot, papiery w biurze, rozmowy o obejrzanych filmach – to wszystko było nie do zaakceptowania. Myśl o zabranii dziewczyny ze sklepu na jacht do tej pory wydawała się jedyną deską ratunku. Teraz, kiedy już musiał jej się ucześcić, czuł, że jest chyba za mała, żeby mogła go uratować. Nie mógł wyobrazić sobie, co będzie dalej. Już ponad godzinę siedział w fotelu, próbując pogodzić się z rzeczywistością odartą z nadziei na zmianę. Tak naprawdę dopiero w tej chwili zobaczył, jak wielką miała siłę. W ciągu ostatnich tygodni wydawało mu się już tyle razy, że stracił ją całkowicie, ale było to tylko złudzenie. Coś jednak tliło się w nim ciągle, dając siłę do przeczesywania rzeczywistości w poszukiwaniu kolejnej klamry, o którą mógłby zaczepić się we wspinaczce do złudzeń. Teraz nie miał już tej siły.

Wszystko, co budował, nieodmiennie okazywało się domkiem z kart. Miał on jednak pewną nietypową dla tej konstrukcji cechę. Równie łatwo powstawał z ruin, jak się w nie obracał. Już kilka razy Arne zastanawiał się nad tym dziwnym zjawiskiem. Swoje chybotliwe koncepcje montował na fragmentach istniejącej obiektywnie rzeczywistości. To, że się wywracały, nie dziwiło go tak bardzo jak to, że wracały do poprzedniego kształtu, a nawet wznosiły się wyżej. Nie potrafił znaleźć przyczyny tego fenomenu. Istniały jednak tylko dwie możliwości. Albo on spajał w jakiś specyficzny sposób poszczególne elementy, nie zdając sobie z tego sprawy, albo one zrobione były z nietypowo zachowującej się rzeczywistości. Ta nietypowość polegała na elastyczności. Każde zdarzenie, z którym miał do czynienia, zawieszane było w łańcuchu przyczyn i skutków na kilku rozciągliwych niciach. Normalne zdarzenia rozpięte są na dwóch. Jedna to ewidentna przyczyna, a druga to oczywisty skutek. Taka konstrukcja w wypadku błędnego ustawienia na sobie elementów rozpada się bezpowrotnie. On z niezrozumiałych powodów dysponował jedynie tymi nietypowymi elementami. Zdarzenia, które łączył ze sobą w ciągi, mogły mieć wiele przyczyn i – co za tym idzie – przeróżne skutki. Ilość zdarzeń multiplikowała możliwość błędnego wyboru nici do kolejnych połączeń, a mimo to cała budowla podnosiła się po katastrofie nienaruszona. Ten paradoks nie był złudzeniem. Przetestował go już tak wiele razy, że niemal odczuwał go namacalnie. Mimo wszystko iluzja porażki i iluzja triumfu były za każdym razem tak sugestywne, że uniemożliwiały mu spojrzenie na całość. Dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Coś dziwnego działo się albo z nim, albo z rzeczywistością, z którą od pewnego czasu miał do czynienia. To coś podtrzymywało go na powierzchni. Nie dawało zbyt wiele energii, ale dość, aby mógł wstać z fotela.

Z szuflady biurka wygrzebał trzy większe agrafki. Spiał nimi przecięcie na plecach kurtki.

Zdecydowanie wolał wyglądać jak lump niż jak emeryt.

\*

Deszcz przestał już padać. W kałużach przesuwali się odbicia nagich konarów podświetlonych przez uliczne latarnie. Burzył ten obraz grubymi podeszwami butów. Nie było żadnego powodu, dla którego miałyby omijać kałuże. Skręcił za róg i zatrzymał się przed witryną sklepu. Mercedes stała za ladą. Rozmawiała z klientką, pakując zakupy do papierowej torby. Musiała powiedzieć coś zabawnego, bo kobieta odwróciła się z uśmiechem do męża, który oglądał jakieś słoiki na półce. W sklepie kręciło się jeszcze kilka osób. Postanowił przejść się kawałek i wrócić tą samą drogą. Nie miał ochoty dochodzić do Erlends vei. Skręcił w przecznicę, którą prawie nigdy nie chodził. Starał się o niczym nie myśleć, ale obraz rytmicznie zamykających się i otwierających żaluzji ciągle powracał. Czy jest możliwe, aby jakieś wadliwie działające urządzenie pracowało w tak szczególny sposób? Gdzieś słyszał, że układy elektroniczne mogą wchodzić w rezonans. Nie miał jednak pojęcia, co to w istocie oznacza. Tak czy inaczej, rezonans to jakieś rytmicznie powtarzające się zmiany. W takim razie, czy rytm wadliwej pracy żaluzji był aż tak niepojętym zjawiskiem? Było to dziwne i tajemnicze, ale czym w swej dziwności różniło się od innych niezrozumiałych zjawisk? Kiedyś, siedząc w fotelu podczas rozmowy, bawił się, delikatnie przesuwając palec po mosiężnym kloszu stojącej obok lampy. Przy każdym ruchu czuł dziwną, delikatną wibrację metalu. Niewątpliwie wzbudzał ją sam, bo gdy zatrzymywał palec, wibracja zniknęła. Był przekonany, że wielkość i kształt klosza mają tu kluczowe znaczenie. Wilgotna na końcu palca skóra przemieszczała się po mosiądzu drobnymi skokami, wprawiając czasę w rezonans. Efekt był bardzo wyraźny, więc chciał sprawdzić, czy ma to coś wspólnego z przepływem prądu. Wyłączył lampę i znów spróbował. Wibracja się powtórzyła. Tak więc miał rację, była to kwestia szczególnie dobranych proporcji, kształtów i rodzajów trących o siebie powierzchni. Kilka dni później był w tym samym mieszkaniu. Ktoś przestawił lampę na parapet okna. Stał przy niej i znów spróbował uzyskać ten efekt, nic jednak nie działo. Palec przesuwał się gładko po powierzchni klosza. Nie pomagały zmiany prędkości ani zwilżanie skóry. Dopiero po chwili spostrzegł, że lampa nie jest włączona do gniazdka. Podłączył ją i znów sprawdził. Wibracja wróciła. Nie zależała więc od tego, czy żarówka świeci się, czy nie; warunkiem było włączenie kabla do gniazdka. Nigdy nie doszedł, dlaczego tak się działo. Zdziwiający i nieistotne zjawiska zachodziły wszędzie. Zwykle liście na drzewie drwiły ze zdrowego rozsądku. Ostatniego lata czekał na Liv w samochodzie i gapił się bezmyślnie przez okno. Dym z papierosa oddalał się wolno, wyginając się w nieoczekiwane formy. Na obrzeżu parkingu stał klon. Ogromna korona drzewa trwała w doskonałym bezruchu. Na jej tle dym podświetlony zachodzącym słońcem był szczególnie

dobrze widoczny. Dziwaczne meandry dymu były jednak niczym w porównaniu z tym, co działo się za nim. W całej koronie zupełnie nieruchomych liści poruszał się jeden. Niezmordowanie wykonywał małe, wahadłowe ruchy. Nie zwalniał ani nie przyspieszał. Trwało to ponad minutę. Wreszcie się uspokoił. Po chwili w zupełnie innym miejscu drugi liść zaczął robić dokładnie to samo. Oba wisały do dołu i miały wolną przestrzeń. Ich końce kreśliły leżące ósemki.

W kieszeni Arne zadzwonił telefon. Odezwał się Haugland:

– Oglądałem dokładniej te zdjęcia, które mi pan zostawił. Powiększyłem je, na ile się dało. Tam coś jest inaczej. Wielkość płytki i część obwodów jest identyczna, ale układ scalony jest inny. Nie widać oznaczeń, ale jest dłuższy i ma więcej złączy.

– Chce pan powiedzieć, że na zdjęciu jest inna płytka niż ta, którą pan zamontował?

– Tak, to właśnie chcę panu powiedzieć.

– Rozumiem. Mam do pana prośbę: niech pan usunie z komputera te zdjęcia i nikomu o tej sprawie nie mówi. Pojawię się u pana w ciągu najbliższych dni, wtedy porozmawiamy.

– Dobrze. Tak zrobię. Mam nadzieję, że pan mi coś wytłumaczy.

– Ja też mam taką nadzieję. Dobranoc.

Stał jeszcze chwilę pośrodku dużej kałuży, w której odbył całą rozmowę; potem odetchnął głębiej i ruszył w drogę powrotną. Minął przecnicę schodzącą łagodnie do miasta. Przez poskręcaną płataninę gałęzi przeziarała czerwona poświata neonu. Miał wrażenie, że mrugała do niego. Szedł coraz szybciej, omijając kałuże swoim starym dziwnym sposobem. Chciał zdążyć, zanim dziewczyna wyjdzie ze sklepu. Gdzieś bardzo daleko włączył się jakiś alarm. To chyba nie był samochód. Może w jakimś ciemnym i pustym mieszkaniu z sobie tylko znanych powodów poruszył się jeden z liści stojącego przy zamkniętym oknie figusa.



